GORDON R. DICKSON

ŚMIERĆ NA GRANICY

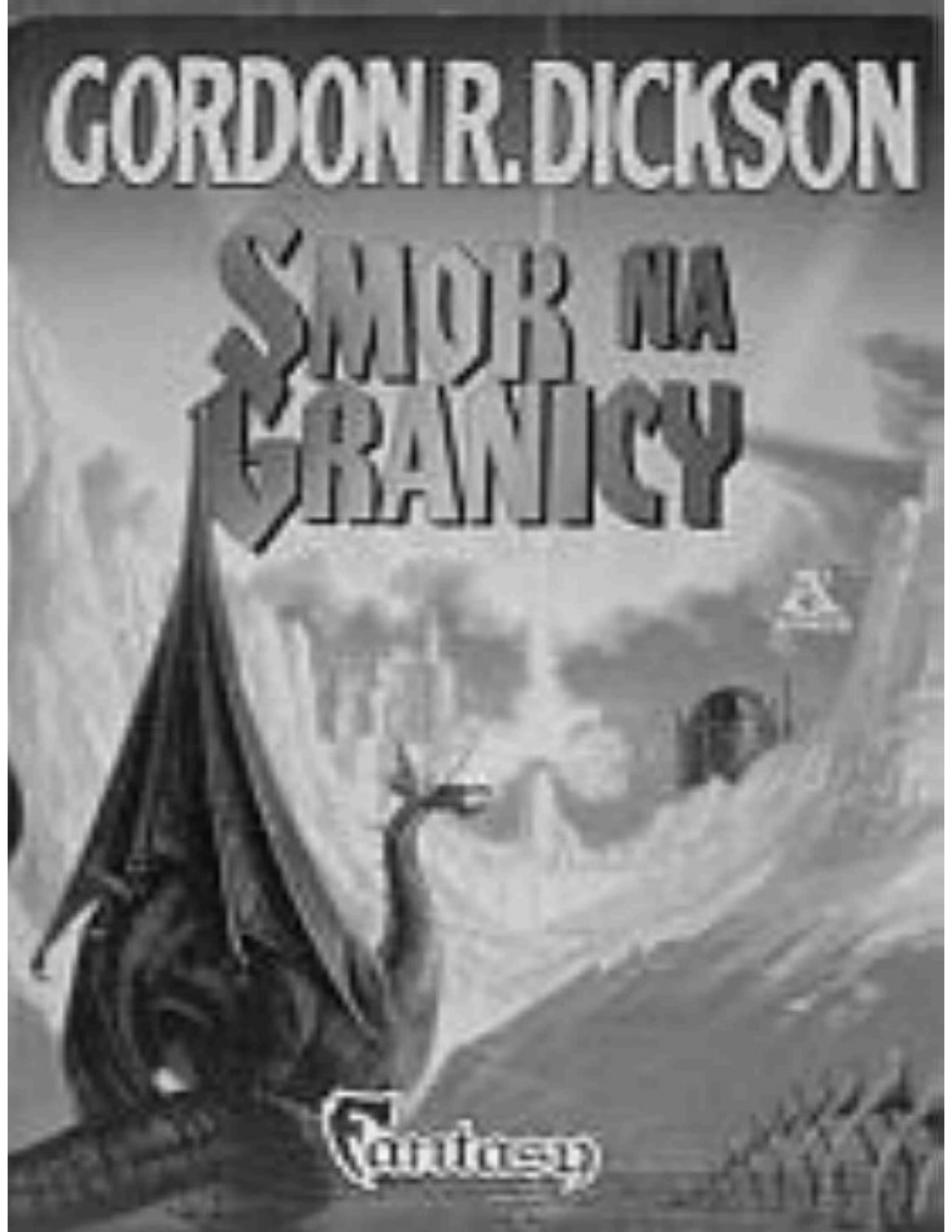

Fantasy

GORDON R DICKSON
Smok Na Granicy

Rozdział 1

Cha, wiosna – rzekł szlachetny rycerz Sir Brian Neville-Smythe – Czy mogłoby być lepiej, Jamesie?

Pytanie to wyrwało z zamyślenia Sir Jamesa Eckerta, barona de Bois de Malencontri et Riveroak, jadącego nieco z tyłu.

Rzeczywiście słońce świeciło wspaniale, ale według dwudziestowiecznych przyzwyczajeń wciąż było zimno.

Dobrze, że pod zbroją miał na sobie grubą bieliznę. Był jednak pewien, że dla Briana dzień jest ciepły. Dafydd ap Hywel, jadący za nimi, ubrany jedynie w zwykły strój łucznika, na który składał się skórzany kubrak nabity metalowymi płytkami, zdaniem Jima powinien wręcz marznąć. Ale Smoczy Rycerz był gotów się założyć, że tak nie jest.

Istniało wytłumaczenie, dlaczego Brian miał dziś tak dobry humor.

Przez całe ubiegłe lato panowała wspaniała pogoda zarówno w Anglii, jak i we Francji. Jednak jesień była już zgoła odmienna. Niemal bez przerwy lało, a zimą wciąż padał śnieg. Teraz śniegi stopniały wreszcie i wiosna dotarła już nawet na północ, do Northumberlandu, leżącego przy samej szkockiej granicy.

To właśnie w kierunku tej granicy jechali Jim, Brian oraz Dafydd.

Smoczy Rycerz uświadomił sobie nagle, że nie od- powiedział przyjacielowi. A przecież nie wypadało przemilczeć pytania. Jeśli nie zgodziłby się z opinią Briana na temat pogody, ten byłby przekonany, że coś z nim jest nie w porządku. Był to jeden z problemów, do których Jim musiał przywyknąć w tym czternastowiecznym świecie, znalazłszy się tu wraz ze swą żoną – Angie. Według ludzi takich jak Sir Brian należało się wszystkim zachwycać, w przeciwnym razie uznawano cię za chorego.

Choroba oznaczała łykanie mnóstwa mikstur, które mogły tylko zaszkodzić. To prawda, że ówcześni ludzie wiedzieli nieco o medycynie, ale jeśli już, to przede wszyst- kim o chirurgii. Potrafili obciąć kończynę zakażoną gang- reną, oczywiście bez jakiegokolwiek znieczulenia, i kaute- ryzowali rany, które wyglądały na zakażone. Jim żył w ciągłym strachu, że zostanie zraniony poza domem, gdzie Angie (jego żona Lady Angela de Malencontri et Riveroak) nie mogłaby się nim zająć.

Jedynym sposobem uniknięcia wątpliwej pomocy ludzi takich jak Brian czy Dafydd było powołanie się na magię.

Jim, nie mając na to wpływu, stał się magiem… mówiąc szczerze dość podrzędnym, ale i to wystarczało do wzbu- dzenia szacunku u zwykłych śmiertelników.

Wciąż nie odpowiedział mistrzowi kopii, który przyglądał mu się z zainteresowaniem. Można się było teraz spodziewać kolejnego pytania, czy Jim nie ma przypadkiem gorączki i czy nie czuje się chory.

–Masz absolutną rację! – stwierdził więc Smoczy Rycerz, siląc się na ton pełen szczerości. – Wspaniała pogoda. Tak jak mówisz, nie może być lepsza.

Jechali bezdrzewnym wrzosowiskiem, miejscami poroś- niętym puszystą trawą. Zbliżali się już do celu podró- ży – zamku de Mer, domu ich przyjaciela Sir Gilesa de Mer, który rok temu zginął we Francji, broniąc heroicznie angielskiego księcia Edwarda. Po wrzuceniu jego martwego ciała do wód Kanału LaManche, jako silkie, przeobraził się w żywą fokę i zniknął w głębinach.

Ich wyprawa była zwykłym obowiązkiem rycerzy lub innych przyjaciół, miała na celu zawiadomienie rodziny

0 utracie krewnego. Wieści takie nie docierały bowiem w żaden inny sposób. Nie był to jednak wystarczający powód dla Angie, która uważała tę podróż za zwykły kaprys i nie chciała nigdzie puścić męża.

Jim nie miał jej jednak tego za złe. Przecież niemal całe ubiegłe lato spędziła bez niego. Miała wtedy na głowie nie tylko cały zamek, którym zawsze się zajmowała, ale także posiadłości z poddanymi, zbrojnymi i całą masą wynikają- cych z tego problemów.

Teraz więc starała się nie dopuścić do jego wyjazdu, a przekonywanie jej trwało dobre dwa tygodnie.

Jim obiecał wreszcie, że podróż do rodziny Gilesa nie potrwa dłużej niż dziesięć dni, sam pobyt nie więcej niż tydzień i kolejne dziesięć dni na drogę powrotną. Miał więc być w domu nie później niż za miesiąc. Nie chciała się zgodzić nawet na to, ale na szczęście ich bliski przyjaciel 1 nauczyciel Jima w dziedzinie magii, S. Carolinus, akurat zjawił się u nich i dopiero jego argumenty poskutkowały.

Angie zgodziła się, ale i tak była mocno niezadowolona.

Cel ich podróży znajdował się nad brzegiem morza, nieopodal miasteczka Berwick, które leżało na wschodnim skraju angielsko-szkockiej granicy biegnącej wzdłuż starego, rzymskiego muru. Zamek de Mer wznosił się ponad morzem, a od osiedla dzieliło go zaledwie kilka mil drogi na północ.

Zamek znajdował się na samym skraju Northumberlan- du, który kiedyś był należącą do Szkocji Northumbrią.

Z opowieści wnioskowali, iż jest to kamienna wieża z przy- legającymi do niej kilkoma budynkami.

–Chyba i nie może być lepsza, ale już wkrótce nie będzie – odezwał się Dafydd ap Hywel. – Kiedy zajdzie słońce, zrobi się bardzo zimno. Spójrzcie, wisi jeszcze nad horyzontem, a już przed nami zaczyna się tworzyć mgła.

Miejmy nadzieję, że dotrzemy do zamku przed zapad- nięciem zmroku, bo inaczej znowu będziemy musieli spać pod gołym niebem.

Niezwykłe było, aby łucznik zwracał się tak swobodnie do rycerzy. Ale Dafydd był towarzyszem Jima oraz Briana

i uczestniczył w walkach z Ciemnymi Mocami, które przez cały czas starały się zakłócić równowagę pomiędzy Losem i Historią.

Jim, pochodzący z zaawansowanego technicznie, dwu- dziestowiecznego świata, po zdobyciu pewnej ilości magicz- nej energii, przybywając tu wraz z Angie, zdawał się wzbudzać szczególne zainteresowanie Ciemnych Mocy.

Carolinus, jeden z trójki magów klasy AAA+, mieszkają- cy u Dźwięczącej Wody, nieopodal zamku Jima, ostrzegł go przed tą mroczną siłą, która starała się go zniszczyć. Nie mogła bowiem podporządkować go sobie tak łatwo, jak ludzi urodzonych w tym świecie i w tych czasach.

W tej chwili nie miało to jednak większego znaczenia.

Niemal równocześnie ze słowami łucznika, Jim poczuł zimno przenikające przez zbroję i bieliznę. Słońce, zapewne w wyniku złudzenia, w ciągu ostatnich kilku minut zdało się znacznie zbliżyć do horyzontu. Co więcej, mgła nad wrzosowiskiem rzeczywiście gęstniała, ścieląc się jak dywan kilka stóp ponad trawami. Jej pasma zaczynały łączyć się ze sobą i stawało się oczywiste, że już niedługo dalsza podróż będzie niemożliwa.

–Cha! Patrzcie, tego się nie spodziewaliśmy! – rzekł nagle Brian.

Jim i Dafydd podążyli wzrokiem za jego palcem. Przed nimi z gęstej już mgły wyłoniło się pięciu jeźdźców. Jechali prosto na trójkę towarzyszy, którzy nagle prawie równo- cześnie zwrócili uwagę na niecodzienny fakt.

–Na wszystkich świętych! – wydusił Brian, czyniąc jednocześnie znak krzyża. – Przecież oni jadą na niewi- dzialnych koniach.

Miał całkowicie rację.

Zbliżająca się piątka wydawała się rzeczywiście wisieć w powietrzu. Z ruchu ich ciał i wysokości, na jakiej się znajdowali, wnioskować można było, że dosiadają wierz- chowców, choć w miejscu koni była tylko pustka.

–Cóż to za nieboskie stwory? – zdziwił się Brian.

Pod uniesioną przyłbicą jego twarz pobladła. Miał kościste, raczej szczupłe oblicze z błyszczącymi oczyma i orlim nosem. Kanciasty podbródek z lekko zaznaczony dołkiem.

–James, czy to jakaś magia? – zapytał.

Magia oznaczała dla Briana kłopoty, znacznie większe niż gdyby postacie okazały się rzeczywiście nieboskimi stworzeniami. Jednak zdaniem Jima sytuacja była niepoko- jąca z zupełnie innego powodu. Ich trójka, z czego tylko dwóch w zbrojach, stawała przeciwko pięciu opancerzonym wojownikom z opuszczonymi przyłbicami i ciężkimi kopia- mi w dłoniach. Był to widok, od którego Jimowi krew niemal zastygła w żyłach – znacznie bardziej przerażający niż cokolwiek niezwykłego.

–Sądzę, że to magia – odparł, przede wszystkim by rozproszyć wątpliwości przyjaciela.

Jim wciąż łudził się, że jeźdźcy nie są do nich wrogo nastawieni, choć w głębi duszy nie wierzył w to. Kiedy stali się dobrze widoczni, ich zamiary stały się jasne.

–Opuszczają kopie – zauważył Brian, wypowiadając te słowa niemal z radością, zaś jego oblicze odzyskało zwykłe kolory. – Powinniśmy zrobić to samo, Jamesie.

Znaleźli się dokładnie w takiej sytuacji, jakiej obawiała się Angie, kiedy zabraniała mu jechać. W czternastym wieku życie ludzkie miało niską cenę. Jadąc nawet do najbliższego miasta na targ, nie wiadomo było, czy kiedy- kolwiek powróci się do domu. Na podróżnych czyhały niezliczone niebezpieczeństwa. Nie tylko ze strony rozbój- ników i ludzi wyjętych spod prawa. Istniało także zagrożenie wplątania się w walkę, a nawet niesłusznego aresztowania i stracenia za naruszenie jakiegoś lokalnego prawa. Jim i Angie słyszeli kiedyś o tych średniowiecznych pułapkach.

Interesowali się nimi jako pracownicy college'u, a później na własnej skórze doświadczyli życia wśród nich podczas pierwszych miesięcy pobytu w tym świecie. Dokładne poznanie warunków tu panujących nie było łatwe, ale teraz wiedzieli już, czego można się spodziewać. Więc Angie martwiła się i miała ku temu powody.

W tej chwili jednak było już za późno na refleksje.

Jim sięgnął po kopię, spoczywającą grubym końcem w specjalnie do tego przygotowanym uchwycie przy siodle, opuścił ją do pozycji horyzontalnej i wsparł na łęku, gotów na przyjęcie szarży. Miał już zamiar opuścić przyłbicę, gdy Dafydd wypuścił konia w kłus, wyprzedził towarzyszy, zatrzymał się i ześlizgnął z siodła.

–Radzę wam poczekać i zobaczyć co uda mi się zdziałać. Jeśli nie będzie to konieczne, nie warto zbliżać się do nich.

Jim nie podzielał spokoju łucznika. Opancerzeni rycerze na niewidzialnych koniach mogli być przecież odporni na strzały nawet z łuku Dafydda. Ale ten nie poddawał się takim obawom.

Stał bez słowa, zupełnie nieporuszony, jak gdyby nie zwracając uwagi na coraz głośniejszy tętent kopyt cwałują- cych niewidzialnych rumaków i błysk pięciu lśniących ostrzy kopii. Przesunął tylko skórzany pas kołczanu tak, że ten swobodnie zwisał mu na lewym biodrze. Wysoki, atletycznie zbudowany, jak zwykle każdym ruchem demon- strując mistrzostwo i pewność siebie.

Spokojnie odrzucił pokrowiec zabezpieczający kołczan przed deszczem, wybrał jedną ze strzał, krytycznie popatrzył na jej metalowy grot, przyłożył do łuku i napiął cięciwę.

Łuk wygiął się, aż pierzasty koniec strzały niemal dotknął ucha Dafydda, po czym strzała pomknęła do celu. Jim z trudnością śledził jej lot. Łucznik nie trafił najbardziej wysuniętego jeźdźca prosto w napierśnik. Rycerz, jeśli był nim rzeczywiście, spadł z konia, lecz pozostali nie zwalniali.

Niemal natychmiast w ich kierunku pomknęły jeszcze trzy strzały. Żadna nie chybiła celu, ale prawdopodobnie tylko raniły przeciwników, ponieważ cała czwórka zawróciła konie i zniknęła w gęstej mgle.

Dafydd opuścił łuk. W milczeniu umieścił go wraz z kołczanem przy siodle i dosiadł wierzchowca. Wspólnie zbliżyli się do miejsca, gdzie upadł trafiony wojownik.

Mieli jednak kłopoty z jego znalezieniem i kiedy wreszcie udało się im go odszukać, nie ukrywali zaskoczenia. Brian ponownie okazał niezdecydowanie.

–Czy mógłbyś przyjrzeć mu się bliżej? – zapytał Jima niepewnie. – Jeśli to jakaś magia…

Smoczy Rycerz skinął głową. Teraz, kiedy niebezpieczeń- stwo minęło, był raczej zaintrygowany niż przestraszony zastanym widokiem. Zsiadł z wierzchowca i podszedł do tego, co leżało na ziemi. Przykucnął. Przed nim znajdowała się zbroja stanowiąca kombinację łańcuchów i stalowych blach.

Strzała Dafydda wbiła się w płytę na piersi po same lotki, a jej ostrze wyszło z tyłu. Zbroja była podobna do tej, jaką miał na sobie Jim, lecz nieco staroświecka. Po dokładnych oględzinach stwierdził, że nie wszystkie części pasują do siebie tak jak powinny. Łucznik wyciągnął strzałę przez pancerz na plecach i pokręcił głową nad uszkodzeniami, jakich doznały lotki. Jim wstał.

–Dwie rzeczy są pewne – powiedział. – Pierwsza, że strzała powstrzymała go, jak widać, skutecznie. Druga zaś, iż ktokolwiek lub cokolwiek było wewnątrz zbroi, już go tam nie ma.

–Może to jakieś przeklęte dusze prosto z piekła, wysłane przeciwko nam? – zapytał niepewnie Brian.

–Wątpię – stwierdził Jim. Po chwili namysłu zdecy- dował: – Weźmiemy tę zbroję ze sobą.

Miał zwyczaj wożenia zwoju cienkiej liny, która już wielokrotnie okazała się przydatna. Teraz powiązał nią części pancerza i umieścił je za siodłem, gdzie były już przytroczone inne przedmioty, niezbędne w podróży.

Dafydd wciąż milczał.

–Mgła jeszcze zgęstniała – zauważył Brian, rozgląda- jąc się wkoło. – Wkrótce stanie się tak gęsta, że nie będziemy mogli dalej jechać. Co robimy?

–Podjedźmy jeszcze nieco – zaproponował Jim.

Dosiedli wierzchowców i jechali przez chwilę, a otaczająca ich mgła coraz bardziej ograniczała widoczność. Wyczuli jednak wilgotną bryzę wiejącą z prawej strony. Zorientowali się także, iż grunt obniża się dość stromo w tym kierunku.

Zawrócili konie i zjechali w dół. Po około pięciu minutach jazdy we mgle, która teraz szczelnie ich otulała, znaleźli się na kamiennej plaży. Mgła w tym miejscu leżała wyżej, ponad ich głowami. O jakieś pięćset jardów z lewej strony nad brzegiem, wznosiła się kamienna wieża – często spotykana na szkockiej granicy budowla fortyfikacyjna.

Przypominała wzniesiony do góry palec, zaś do jej podstawy przylegały zabudowania gospodarcze.

Znajdowała się ponad skrajem klifu, opadającego piono- wo ku pieniącym się falom, wznosząc się ponad nim na pięćdziesiąt, do osiemdziesięciu stóp, a to za sprawą kamiennego występu, na którym ją zbudowano.

–Jak sądzisz, Brianie, czy to zamek de Mer? – zapytał Jim.

–Nie mam najmniejszych wątpliwości! – odparł tam- ten z radością i przynaglił konia do cwału.

Towarzysze poszli w jego ślady i już po chwili przejeżdżali przez drewniany most zwodzony ponad głęboką, lecz suchą fosą i otwartą bramę, gdzie z obu stron, około dziesięciu stóp nad ziemią płonęły dwa metalowe kagańce, rozświet- lając ciemności i rozpraszając mgłę.

Rozdział 2

James! Brian… i Dafydd!

Z takim okrzykiem pojawił się na dziedzińcu niski mężczyzna z bujnymi wąsami i ruszył w ich stronę. Był dobrze zbudowany, ogromny, zakrzywiony nos czynił jego twarz charakterystyczną. Miał na sobie kolczugę, a włosy, takiego samego koloru jak wąsy, były potargane.

–Na Boga! – wysapał Brian, gwałtownie ściągając cugle. – Najpierw niewidzialne konie, a teraz powstały z grobu przyjaciel!

Jednak w ułamku sekundy jego zaskoczenie zmieniło się w radość. Zeskoczył z rumaka i czternastowiecznym oby- czajem pochwycił niższego od siebie rycerza w potężny uścisk i zaczął go całować.

–Cha! Cieszę się, że cię widzę, Giles! – krzyczał niemal. – Byłeś martwy niemal przez tydzień, zanim nie przetransportowaliśmy cię do Kanału Angielskiego i nie wrzuciliśmy tam twojego ciała. Co prawda widzieliśmy jak w wodzie przemieniasz się w fokę, ale później słuch o tobie zaginaj.

Wewnątrz dziedzińca rozmieszczonych było więcej kagan- ków, ale ich światło i tak nie pozwalało ocenić, czy Giles zarumienił się. Znając go Jim, który także zsiadł już z konia, był pewien, że tak.

–Silkie nie może zginąć na lądzie – wyjaśnił Gi- les. – Muszę jednak przyznać, że był to dla mnie niewesoły czas. Wróciłem i moja rodzina oczywiście rozpoznała mnie, lecz nie potrafiła nic zrobić, by przywrócić mi ludzką

postać. Nic, aż do czasu, gdy do Berwick przyjechał wielebny opat i na kilka dni zawitał do nas. W końcu ojciec namówił go na pobłogosławienie mnie, chcąc bym znów stał się człowiekiem. Ale ostrzegł mnie jednocześnie, że drugi raz nie umknę już śmierci, nawet na lądzie. Po tym błogosławieństwie w wodzie mogę przemieniać się w silkie, ale na lądzie nie ominie mnie przeznaczenie… James!

Teraz Giles ściskał i całował Jima. Jego kolczuga za- chrzęściła na zbroi Smoczego Rycerza, lecz nie głośniej niż zarost cudem zmartwychwstałego rycerza na jego policzku.

Pocałunki były tutejszym odpowiednikiem uścisku dłoni, więc wszyscy całowali wszystkich. Nawet interes z obcym człowiekiem potwierdzało się pocałunkiem, a należy pa- miętać, że niemal wszyscy mieli zęby w nienajlepszym stanie i co za tym idzie niezbyt przyjemny oddech. Po- wszechnym obyczajem było też całowanie karczmarki gdy, opuszczało się gospodę po spędzonej w niej nocy.

Jimowi udawało się jednak niemal zawsze unikać tego zwyczaju. Teraz jednak jego zachowanie poczytano by za bezduszne, gdyby entuzjastycznie nie przywitał się z druhem.

Jednocześnie poczuł współczucie dla kobiet, które musiały znosić ukłucia takiej twardej szczeciny jak ta.

Obiecał sobie, choć podświadomie wiedział, że do czasu powrotu do domu zapomni o tym, iż przed całowaniem Angie będzie zwracał uwagę, by dokładnie się ogolić.

Pokręcił głową na widok stalowych naramienników Briana zaciskających się przed chwilą na kolczudze Gilesa. Ten jednak zdawał się nie zwracać na to uwagi. Następnie przywitał się z Dafyddetn, który przyjął to z widoczną radością, pomimo kolczugi wbijającej się w jego skórzany kubrak.

–Ależ wchodźcie do środka! – zachęcał przyjaciół gospodarz. Odwrócił się i krzyknął. – Hej tam, w stajni!

Zabrać konie szlachetnych panów!

Pół tuzina służących pojawiło się z tą samą podejrzaną chyżością co w zamku Malencontri, widoczną zawsze, gdy tylko działo się cokolwiek interesującego. Odprowadzili konie, a kilku, spośród których dwóch miało na sobie szkockie spódnice, wniosło do środka siodła i przytroczony do nich ekwipunek.

Giles poprowadził ich ku długiej, drewnianej budowli przyległej do wieży, zapewne Wielkiej Sieni, i otworzył przed nimi drzwi. Była ona wyraźnie mniejsza od znaj- dującej się w zamku Malencontri, lecz wyglądała podobnie.

Przez całą długość biegł stół, drugi zaś, prostopadły do niego, znajdował się na końcu sali, na podwyższeniu i dlatego nosił nazwę wysokiego.

Gospodarz powiódł ich właśnie do niego. Wnioskując z dochodzących tu zapachów, sąsiadował on z kuchnią, mieszczącą się zapewne na parterze wieży. Nie tylko drzwi przez które weszli, lecz także te prowadzące do wieży, teraz lekko uchylone, były na tyle potężne, że można było przez nie wjechać konno.

To oczywiste, że zamek, jak niemal wszystkie znajdujące się w tych okolicach, został zbudowany przede wszystkim z myślą o zapewnieniu skutecznej obrony. Drzwi zaś miały, w razie potrzeby, umożliwić szybkie wycofanie się do wieży, której kamienne, mocne ściany oparłyby się nawet płomieniom.

Była to mądra taktyka, zwykle stosowana w sytuacjach, gdy napastnicy byli zbyt liczni lub zbyt silni, by pokonać ich na dziedzińcu lub jeszcze przed głównym murem obronnym.

Powietrze przepełnione zapachami jak z każdej czternas- towiecznej kuchni, do których zdążył już przywyknąć, było przyjemnie ciepłe w porównaniu z wieczornym chłodem na zewnątrz.

Giles posadził ich na ławach i zawołał o wino i kubki, które podano z tą samą szybkością, z jaką poruszali się stajenni na zewnątrz. Niemal depcząc służbie po piętach, spoza drzwi prowadzących do wieży wyłoniła się zwalista postać.

–Ojcze, oto dwaj szlachetni rycerze, o których ci opowiadałem. Byli moimi towarzyszami we Franqi, jak ten łucznik ogromnej sławy, który był tam z nami! – rzekł Giles rozpromieniony. – James, Brian, Dafydd, przed- stawiam wam mojego ojca Sir Herraca de Mera.

Giles nie usiadł, a obok ojca prezentował się jak karzeł.

Herrac de Mer miał co najmniej sześć stóp i sześć cali wzrostu, a muskuły proporcjonalne do sylwetki. Nieco kanciastą twarz, z potężnymi kośćmi policzkowymi otaczały płowe krótko przycięte włosy przeplatane srebrnymi nit- kami. Ramiona miał szersze o szerokość dłoni niż Dafydd, który nie należał do ułomków.

Na twarzy Herraca de Mera początkowo pojawił się grymas, gdy dojrzał obcych zasiadających za wysokim stołem. Słowa syna spowodowały jednak, że jego oblicze rozpogodziło się.

–Ależ proszę siadać! – mówiąc to wskazał na ławę, ponieważ wraz z jego nadejściem wszyscy jak na kome- ndę powstali. – Tak, synu, ty też, jeśli to twoi przyja- ciele… – dodał.

–Dziękuję, ojcze!

Giles usiadł zadowolony na ławie w pewnej odległości od pozostałych. Jasne było, że choć prawnie należało mu się miejsce przy wysokim stole jako rycerzowi i członkowi rodziny, nie mógł siedzieć w obecności ojca bez jego pozwolenia.

Wszyscy zajęli wyznaczone miejsca.

–Ojcze – zabrał głos Giles. – Rycerz najbliżej ciebie to Sir James Eckert, Baron de Malencontri et Riveroak, tuż za nim siedzi Sir Brian Neville-Smythe. Trzeci z mych przyjaciół to mistrz łuku – Dafydd ap Hywel i zapewniam cię,

że jeśli chodzi o biegłość w posługiwaniu się tą bronią, na całym świecie nie znajdziesz nikogo mogącego mu dorównać.

–Dziękuję – wyjąkał Dafydd – lecz prawdą jest, iż żaden łucznik nie sprostał mi w strzałach zarówno na odległość, jak i do celu.

Czarne brwi Herraca, zmarszczone na widok mężczyzny w skórzanym kubraku, teraz wygładziły się. Usadowienie łucznika za wysokim stołem nie było zwykłą praktyką, ale takiemu jak ten w pełni się to należało.

–Słyszałem o każdym z was jeszcze zanim poznaliście Gilesa – rzekł. Miał głęboki, basowy głos, który dudnił gdzieś głęboko w jego gardle. – Szlachetni panowie i ty mistrzu łuku, ballady o Twierdzy Loathly są śpiewane nawet tutaj. Możecie liczyć na moją gościnność tak długo, jak długo zamierzacie u nas zabawić. Co was tu sprowadza?

Wypowiedziawszy te słowa, sam zajął miejsce przy stole.

Był nie tylko ogromnego wzrostu, ale też należał do tych, którzy, podobnie jak pochodzący z Walii łucznik, trzymali się zawsze prosto jak strzała. Siedząc, zdawał się więc tym bardziej górować wzrostem.

Dafydd i Brian czekali. Oczywiste było, że z powodu pozycji Jima, to on jako pierwszy powinien zabrać głos.

–Przybyliśmy z wiadomością o śmierci Gilesa – wyjaś- nił Smoczy Rycerz. – Obaj z Brianem widzieliśmy jak jego ciało znalazło się w wodzie… – Ostrożnie formułował zdania. Nie był pewien jak Sir Herrac zareagowałby na wiadomość, że syn zdradził sekret o krwi silkie płynącej w ich żyłach. Z pewnością jego rozmówca był na tyle bystry, by zorientować się co Jim ma na myśli, więc ciągnął: -…lecz nigdy nie przyszło nam do głowy, że może tu wrócić. To wielka radość, że znajdujemy go, w pełni sił i szczęśliwego!

–Dzięki niech będą za to świętemu kościołowi ¦- zadu- dnił Herrac. – Giles nie opowiadał nam jednak wiele poza tym, iż poległ podczas znacznej bitwy we Francji. Moi pozostali synowie wkrótce nadejdą, tymczasem więc każę rozpocząć przygotowywanie wieczerzy godnej tak znamie- nitych gości. – Uniósł potężną dłoń w geście przeprosin. – Zajmie to jednak zapewne godzinę. Proponuję więc po dzbanie wina, a później Giles wskaże wam przeznaczoną dla was komnatę. Będziecie mogli się przysposobić do uczty, jeśli uznacie to za konieczne. W ten sposób gdy zejdziecie, od razu poznacie całą naszą rodzinę. Niestety… – Jego twarz na moment przybrała wyraz pełen cierpienia. – Moja żona nie dostąpi takiego zaszczytu. Zmarła biedaczka sześć lat temu, na trzy dni przed Bożym Narodzeniem, z powodu nagłego bólu w piersiach. Cóż to były za smutne święta.

–Z pewnością tak było, Sir Herracu – przytaknął Brian, lecz jego współczucie niemal natychmiast zmieniło się w ciekawość: – Ile więc masz dzieci?

–Pięciu synów – odparł gospodarz. – Dwóch star- szych od Gilesa, jego i dwóch młodszych. Najmłodszy liczy sobie zaledwie szesnaście lat. Mam także córkę, która dzisiaj odwiedza sąsiadów, lecz już jutro powróci.

–Po to dopiero warto żyć – odezwał się Dafydd swym miękkim głosem. – Mężczyzna powinien mieć synów i córki, aby móc uważać, że godnie przeżył swe życie.

–W pełni się z tobą zgadzam, mistrzu Dafyd- dzie – huknął olbrzym.

Starał się oprzeć ogarniającemu go wzruszeniu.

–Lecz powróćmy do teraźniejszości – ciągnął. – Jes- tem niezwykle ciekaw waszych opowieści o tym, co przydarzyło się Gilesowi we Franq'i. Od niego nie można się niczego dowiedzieć.

Mówiąc to spojrzał czule na syna, który, jak domyślał się Jim, poczerwieniał niczym burak, choć z powodu słabego oświetlenia nie było tego widać.

Herrac podniósł się.

–Giles, kiedy nasi szlachetni goście ugaszą już prag- nienie, zaprowadzisz ich do komnaty na górze i dopilnujesz, by niczego im nie zabrakło?

Zabrzmiało to jak polecenie, nawet rozkaz, a nie pytanie.

Giles poderwał się na nogi.

–Zajmę się nimi jak należy, ojcze – zapewnił. – Naj- lepiej jak tylko się da.

–Mam nadzieję.

Powolnym krokiem odszedł w stronę kuchni, która znajdowała się zapewne gdzieś w wieży, ponieważ stamtąd dochodziły specyficzne dźwięki i zapachy.

Gdy opróżnili dzbany, Giles poprowadził całe towarzyst- wo do wyznaczonej komnaty. Na co dzień zajmował ją ojciec. Mały rycerz wspomniał, iż gdy żyła jego matka, mieściła się tu kiedyś sypialnia jego rodziców. W kącie stała wciąż drewniana rama z niedokończoną nigdy robótką.

–Zostaniecie co najmniej przez miesiąc, prawda? – do- pytywał się Giles wprowadzając ich do komnaty. Niby zwracał się do nich wszystkich, ale wzrok utkwił w Jimie. – Szykujemy wspaniałe polowanie, jak tylko nieco się ociepli…

i możemy łapać ryby, jeśli was to interesuje. Takie, jakich jeszcze nigdy nie widzieliście. Jest chyba tysiąc rzeczy, które chciałbym wam pokazać. Zostaniecie?

Jim poczuł współczucie.

–Przykro mi, Gilesie, ale sytuacja pozwala nam zostać tylko przez tydzień, a później, przynajmniej ja, muszę

wyruszyć w drogę powrotną.

Ponownie zrobiło mu się przykro na widok oblicza przyjaciela pełnego rozczarowania i smutku.

–Musisz pamiętać – starał się mu tłumaczyć – iż myśleliśmy, że nie żyjesz lub na zawsze przepadłeś w wodach Kanału Angielskiego, jako foka. Sądziliśmy, że przekażemy twojej rodzinie wiadomość o śmierci i dłużej nie będziemy się narzucać. Gdybyśmy wiedzieli jak potoczą się sprawy, zaplanowalibyśmy całą tę wyprawę inaczej.

–Och… rozumiem – rzekł Giles siląc się na uśmiech. – Oczywiście, że nie zamierzaliście zostać u ro- dziny, która straciła syna. Byłem nierozsądny, licząc na wasz dłuższy pobyt, a przecież ty, Jamesie, musisz być niezwykle zajęty…

Jim czuł się okropnie. Nie był wprost w stanie patrzeć na ogromne rozczarowanie przyjaciela. Nie mógł jednak opóź- niać wyjazdu, ponieważ Angie uznałaby, iż stało się z nim coś złego. Zawahał się, licząc, że głos zabierze także Brian i wesprze go. Lecz ten milczał.

Dla kogoś takiego jak Brian obowiązek, jakim była wyprawa do zamku de Mer, w żadnym wypadku nie mógł być uzależniony od obaw wybranki serca. Takie panowały tu zwyczaje, a wiele z nich stanowiło żelazne reguły.

–Przykro mi, Gilesie – powtórzył Smoczy Rycerz.

–Nic nie szkodzi, przecież mówię. Wciąż mamy przed sobą niezapomniany tydzień. Jeśli chodzi o to łoże, chociaż duże, może być zbyt małe dla was trzech…

–Nie ma z tym problemu – przerwał mu Jim. – Za- wsze sypiam na podłodze. To część zasad związanych z magią, sam wiesz.

–Och, ależ oczywiście – zgodził się gospodarz, zado- wolony z takiego obrotu sprawy.

Wymówka Jima, iż uczynił ślub zabraniający mu sypiania w łóżku (na którym aż roiło się od różnorodnego robactwa), która sprawdziła się w zeszłym roku we Francji, przestała już być zaskoczeniem. Zamiast tego wpadł więc na pomysł powiązania spania na podłodze ze swymi magicznymi zdolnościami. Tłumaczenie takie działało wspaniale i Jim doszedł do wniosku, że każde wyjaśnienie nietypowego zachowania jest dobre, byle tylko znalazło się w nim słowo "magia". Teraz więc wybrał pusty fragment kamiennej podłogi i rozwinął na nim wyjęty ze skromnego dobytku materac, zrobiony przez Angie.

Zgodnie z panującym zwyczajem, samotnie podróżujący rycerze nie zabierali ze sobą pokaźnych bagaży. Także trzej towarzysze nie mieli zbyt dużego wyboru odzienia, aby przebrać się do wieczerzy. Zdjęli jedynie zbroje, a Jim po przekonaniu Gilesa otrzymał wodę, w której, korzystając z wożonego ze sobą mydła, umył twarz i ręce. To także tłumaczył magicznym rytuałem, więc Brian ani Dafydd nie protestowali. Pomimo tego czekali z niecierpliwością, aż skończy. Otarł twarz dłońmi, strzepnął pozostałą na nich wodę i rezygnując z wycierania się do sucha ruszył wraz z towarzyszami na dół, do stołu, na którym znów stały dzbany pełne wina i kubki. Natychmiast dołączył do nich Giles. Siedzieli rozmawiając i pijąc, podczas gdy do domu powracali pojedynczo młodzi de Merowie.

Jasne było, że zostali już powiadomieni o wizycie rycerzy, którym nie należało przeszkadzać. Żaden z nich nie pojawił się więc w zasięgu wzroku, a o ich obecności świadczyły jedynie głosy. Podobnie jak ojciec i Giles, oni także mówili tubalnym basem, lecz żaden z nich nie był w stanie dorównać Herracowi. Niemniej ich głośne rozmowy niosły się po całym zamku. W końcu, z zadziwiającą nieśmiałością i wahaniem, jeden po drugim, w ustalonej kolejności, wchodzili do Wielkiej Sieni, by poznać trzech znamienitych gości.

Pierwszy przyszedł oczywiście Alan, najstarszy spośród braci. On, podobnie jak reszta rodzeństwa, bardzo przypo- minał ojca. Wszyscy odznaczali się czarnymi oczyma, dużymi, orlimi nosami i płowymi włosami. Żaden jednak nie mógł wielkością nosa dorównać Gilesowi. Żaden także nie mógł mierzyć się pod względem wzrostu i szerokości w barkach z ojcem. Wszyscy byli znacznie więksi od Jima, a nawet Dafydda. Smoczemu Rycerzowi przyszło więc na myśl, iż znaleźli się w domu olbrzymów.

Giganci, szczególnie ci młodsi, byli wyraźnie stremowani spotkaniem z ludźmi, o których śpiewano ballady. Pod- chodzili kolejno i po prezentami zajmowali miejsca przy stole. Alan zgodnie z prawem pierworodnego pozwalał siadać młodszym braciom. Do sali weszli w kolejności wieku Hector i młodsi od Gilesa William oraz szesnastoletni Christopher. Wszyscy starali się mówić najciszej jak umieli.

Widać było, że Herrac de Mer wychowywał dzieci silną ręką.

Wraz z winem znikającym w ich przepastnych gardłach znikała nieśmiałość i trzej towarzysze zostali zalani poto- kiem pytań na temat stanu rycerskiego, broni, zbroi, Francuzów, smoków i najprzeróżniejszych innych rzeczy.

W pewnej chwili jak na komendę bracia zamilkli. Pod- niósłszy głowę sponad stołu, Jim dostrzegł przyczynę tej nagłej ciszy. Z kuchni nadchodził Sir Herrac. Zbliżał się do wysokiego stołu, by zająć przy nim miejsce. Uczynił to, po czym przez chwilę jego czarne oczy spoczęły na synach, którzy pozwieszali głowy.

–Giles, czy bracia nie sprawiają twoim gościom kło- potu? – zapytał.

Rozdział 3 •4* j im lekko zmarszczył brwi. Czy to tylko złudzenie, czy też Herrac położył ledwie wyczuwalny nacisk na słowo "kłopot", jak czynią to członkowie rodziny, chcący dać sobie jakiś znak. Łatwo mógł uznać, iż było to tylko złudzenie, lecz wiedział, że nie byłaby to prawda. Czego więc obawiał się Herrac, co mogliby powiedzieć jego synowie i czy to miało jakikolwiek związek z nimi?

Pomimo, że Giles odebrał sygnał, najwyraźniej zignoro- wał go. Odnotował zapewne z radością stwierdzenie, iż są to jego goście. Zamierzał już coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Przemówił ponownie dopiero po chwili, wyraźnie łagodniej niż zazwyczaj: – Sądzę, że na widok tak wspaniałych wojowników, są tak samo podekscytowani i szczęśliwi jak ja – oświadczył.

–Dobrze – zgodził się ojciec. – Williamie, idź do kuchni z wiadomością, że można już podawać. Kiedy zjemy, będziemy mogli napić się i porozmawiać… Oczywiś- cie za waszym pozwoleniem mój panie i ty, Sir Brianie – dodał.

Jego głos zawisł na końcu zdania. Dafydd uśmiechnął się, wyrażaj'ąc zrozumienie, iż rycerzom nie wypada w takiej sytuacji prosić o pozwolenie łucznika, nawet takiego jak on.

Znów, choć było to pytanie, z tonu głosu Herraca od razu wynikała twierdząca odpowiedź. Jim i Brian po- spieszyli więc z zapewnieniem, iż wieczerza może się już rozpocząć. Smoczy Rycerz nie mógł się już jej doczekać.

Zdał sobie bowiem sprawę, że przed posiłkiem wypił więcej wina niż zamierzał, a wiedział, że działanie alkoholu złagodnieje, kiedy się naje. Mógł oczywiście zawsze prze- mienić wino w mleko, lecz obecnie zależało mu nawet na najmniejszej cząstce magicznej energii. Spodziewał się, że pierwszym tematem rozmowy będą wyczyny Gilesa we Francji. Widać Herrac preferował jednak inny sposób prowadzenia dysputy przy stole. Sam zagadnął więc gości, podczas gdy synowie siedzieli jedząc i słuchając.

Dobrze się z nim rozmawiało, lecz ku zdziwieniu Jima, olbrzym starał się jak najmniej mówić o sobie, rodzinie, ziemi i lokalnych sprawach. Zawsze kiedy Smoczy Rycerz chciał dowiedzieć się czegoś, Herrac umiejętnie powracał do spraw dotyczących przybyszów.

Rozmawiali o pogodzie zarówno aktualnej, jak i ubie- głorocznej, różnicach klimatu panujących w krainach Anglii, z których pochodzili, damach i różnych wersjach ballady o bitwie pod Twierdzą Loathly. Ten ostatni temat dał Jimowi i jego towarzyszom okazję wskazania fragmen- tów, w których opowieść o ich wyczynach rozmijała się z faktami. W rzeczywistości wszystkie ballady w części jedynie zawierały prawdę. Dodawano do nich zmyślone zdarzenia, zapewne w celu zwiększenia atrakcyjności opo- wieści, wydłużenia jej i pogłębienia dramatyzmu. Według niemal wszystkich wersji, także tej powtarzanej w zamku de Mer, Jim udał się do Londynu, prosząc księcia Edwarda o pozwolenie zaatakowania stworów z Twierdzy Loathly.

Książę zgodził się na to podobno, a po zwycięstwie przyobiecał nagrodę. Wersja ta dotarła do samego następcy tronu i sprawiła mu tyle przyjemności, że przyjął, iż jest prawdziwa. Wynikiem tego było potwierdzenie tytułu własności zamku i ziem Le Bois de Malencontri.

Jim otrzymał także nagrodę w postaci nadania herbu.

Choć mógł dopiąć tego sam, powołując się na tytuł barona mitycznego Riveroak, będącego nazwą dwudziestowiecz- nego college'u, który on i Angie ukończyli i gdzie pracowali jako asystenci, przyjął ten zaszczyt z książęcych rąk. Nie każdy mógł go dostąpić, więc przysparzał znacznego poważania. Z tego i innych powodów, wspominane w bal- ladach zaangażowanie księcia nigdy nie było przez żadnego z towarzyszy podważane. Znając Briana i Dafydda, Jim uznał, iż podobnie jak książę, oni także mogli uwierzyć, że była to prawda.

W balladach opiewających ich czyny, znalazły się jednak inne dodane historie i przekłamania, których sprostowaniu nic nie stało na przeszkodzie. Na tych więc elementach skupiła się rozmowa podczas posiłku. Trwała ona, aż ze stołu nie zniknęła ostatnia potrawa i nie zostało opróż- nionych kilka dzbanów z winem. Przeraziło to Jima, ponieważ sądzić można było, iż Herrac i jego potężni synowie są w stanie przepić nawet Gilesa, który we Francji pokazał, co umie. Ucieszył się więc, gdy wreszcie gospodarz zapytał go o wyczyny syna podczas zeszłorocznej wyprawy.

–Giles mówił nam tylko, że zginął podczas wielkiej bitwy we Francji i że wy trzej przetransportowaliście jego ciało do morza – wyjaśnił Herrac, spoglądając surowo na syna, podczas gdy ten starał się unikać jego wzroku. – Z waszych wypowiedzi wnioskuję, że można by na ten temat powiedzieć nieco więcej.

–Znacznie więcej – przyznał cicho Brian.

–No więc, Giles – rzekł gospodarz.

–Ja… – wyjąkał zapytany – miałem nadzieję, oczy- wiście tylko nadzieję, że gdy jakiś pomniejszy bard będzie szukał tematu ballady, wybierze właśnie ten, a wtedy usłyszycie co się wówczas zdarzyło. To wszystko.

Siedzący przy odległym krańcu stołu Hector parsknął śmiechem.

–Giles myślał, że stworzą o nim balladę? – huknął basem. – To byłoby chyba dobre dla krów! Giles w bal- ladach!

–Nie masz racji – rozległ się miękki głos Dafydda. – Znam wiele ballad opiewających znacznie błahsze zda- rzenia.

–Na Świętego Dunstana! – oburzył się Brian i uderzył pięścią w stół. – To szczera prawda! Nie to co te piękne piosnki śpiewane w okolicy!

–Hectorze, wyjdź – polecił Herrac.

–Ojcze… – wyjąkał chłopak, ukarany już wypowie- dziami Dafydda i Briana, teraz zaś skazany na opuszczenie stołu bez wysłuchania opowieści o bracie.

–Wyświadczając nam przysługę – zwrócił się Jim do gospodarza – może wyjątkowo wybaczysz Hectorowi, ten jedyny raz. Trudno jest uświadomić sobie, że ktoś, z kim wychowywało się razem przez całe lata, jest w stanie

dokonać czynów godnych najwspanialszych rycerzy. Niełat- wo przyjąć to i zrozumieć, lecz czasami wszyscy musimy to czynić.

Herrac popatrzył chmurnie na Jima, lecz nie mogło się to równać jego spojrzeniu rzuconemu synowi.

–Bardzo proszę, możesz zostać… ale zawdzięczasz to tylko wstawiennictwu gościa – oświadczył. – Na przyszłość zaś, trzymaj język za zębami!

–Tak, ojcze – mruknął zawstydzony Hector.

Herrac zwrócił się do rycerzy.

–Czy powiecie więc nam, jakie były okoliczności śmierci Gilesa? – zapytał.

Jim ponownie zauważył, że przyjaciele czekają, aż on przemówi pierwszy.

–Sir Giles i ja zostaliśmy wybrani przez Sir Johna Chandosa do wykonania misji specjalnej we Francji.

Z pomocą informatora lub informatorów mieliśmy dowie- dzieć się, gdzie przetrzymywany był przez Pierwszego Ministra Francji szlachetny książę Edward. Naszym zada- niem było oswobodzenie go i bezpieczne doprowadzenie do wojsk, które zostały wysłane z Anglii, aby zapewnić mu ochronę w czasie powrotu do domu.

Zamilkł, mając nadzieję, że Brian lub Dafydd podejmą opowieść. Brian jednak unikał jego wzroku zajęty osuszaniem kubka, podczas gdy łucznik skupiony czekał na dalszy ciąg.

–Mówiąc krótko, z pomocą Sir Briana i Dafydda udało nam się to i dołączyliśmy do angielskich sił w chwili, gdy te napotkały wojska francuskie, prowadzone przez samego króla, i gotowały się do walnej bitwy. Niestety był tam także minister królewski Malvinne – z którego rąk oswobodziliśmy księcia – mag, znacznie bieglejszy w tej materii niż ja. Sporządził on w sobie wiadomy sposób idealnego sobowtóra księcia i sprowadził go na pole bitwy.

Posługując się nim twierdził, że nasz młody książę zdradził ojczyznę, związał się z królem Jeanem i będzie walczył z własnymi poddanymi po jego stronie.

–Słyszeliśmy o tym coś niecoś. Przerwałem ci jednak, panie. Mów dalej.

–Więc cała nasza czwórka, wraz ze zbrojnymi z posiad- łości Sir Briana i moich…

Kątem oka dostrzegł wyraz zadowolenia na twarzy Briana, ponieważ mówił o przyjacielu jak o równym sobie.

–… zdołała osiągnąć powodzenie – ciągnął.

–To Sir James przesądził o sukcesie, dowodząc nami – zaprotestował Brian.

–No cóż… W każdym razie pomiędzy obiema armiami do następnego dnia panował rozejm. Nasz mały oddział planował atak tuż po jego zakończeniu. Mówiąc szczerze, chcieliśmy zza francuskich linii zaatakować króla Jeana i jego osobistą straż złożoną z kilkudziesięciu specjalnie wybranych ciężkozbrojnych rycerzy. Wraz z nimi był nie tylko ów Malvinne, ale także fałszywy książę. Tak znaczne siły zostały wyznaczone do ochrony tej trójki. Jeśli nawet Francuzi ponieśliby klęskę, straż miała zapewnić bezpieczny odwrót tym osobistościom.

Urwał. De Merowie słuchali jak zahipnotyzowani, z oczy- ma utkwionymi w Jimie. Giles zachowywał się podobnie, jakby coś pozbawiło go możliwości ruchu.

–Posługując się więc odrobiną magii…

–Uczynił nas wszystkich niewidzialnymi, ojcze! – wtrą- cił podekscytowanym głosem Giles. – Przejechaliśmy obok taborów zupełnie niezauważeni i zbliżyliśmy się do ostatniej linii francuskich wojsk, gdzie na prawej flance znajdował się król.

–Gilesie, pozwól gościowi dokończyć opowieść – upo- mniał syna Herrac, lecz tym razem uczynił to znacznie łagodniejszym tonem.

–Tak, ojcze.

–Mówiąc krótko – podjął Jim – tuż przed szarżą staliśmy się znów widoczni, ponieważ pozostawanie niewidzialnymi nie byłoby uczciwe. Dopiero wtedy uderzyliśmy od tyłu na straż króla. Naszą jedyną przewagę stanowił czynnik zaskoczenia, ponieważ nikt nie spodziewał się ataku z tej strony. Minęło więc nieco czasu, zanim Francuzi zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje i byli gotowi do odparcia ataku.

W tym momencie Christopher zakaszlał. Widać było, że tłumił kaszel od kilku minut, więc teraz z trudem łapał oddech. Reszta rodziny zrugała go spojrzeniem, na co zaczerwienił się jak burak.

–Natarliśmy na nich i początkowo nie napotkaliśmy silnego oporu. Z pomocą zaś Dafydda i kilku innych wspaniałych łuczników, zwerbowanych spośród Anglików, zdołaliśmy przedrzeć się przez obronę i pojmać samego króla. Ten poddał się i rozkazał swym rycerzom rzucić broń, zrezygnować z dalszej walki. Tak też się stało.

Jim zamilkł ponownie. Ta opowieść okazała się bardziej wyczerpująca niż przypuszczał. Napił się więc i poczuł ożywcze działanie trunku.

–A gdzie znajdował się Giles? – zapytał Her- rac. – Jaki udział miał w tej szarży?

–Jego nie było z nami – wyjaśnił Smoczy Ry- cerz. – Wcześniej, aby ochronić prawdziwego księcia Edwarda, zawiodłem ich obu do ruin małej kapliczki położonej nieopodal. Między zwalonymi blokami skalnymi znajdowała się kryjówka. Prowadziło do niej tylko jedno wejście, tak wąskie, że mieścił się w nim tylko jeden człowiek. Zostawiłem tam księcia, nie bacząc na jego ostre protesty, a wraz z nim, jako strażnik, pozostał Sir Giles.

Wtedy nie podejrzewaliśmy, że mogą oni zostać tam znalezieni, nie mówiąc już o ataku.

–To było zanim pojmaliście króla Jeana i jego straż? – upewnił się gospodarz.

–Rzeczywiście – przyznał Sir Brian – lecz niewiele wcześniej. Nie zdążyłoby się nawet odmówić porannych modlitw.

–Dziękuję, Sir Brianie. Jeśli będziesz tak łaskaw, panie, mów dalej.

Głos zabrał więc ponownie Jim: – Kiedy pojmaliśmy króla, maga i fałszywego księcia, pragnęliśmy jak najszybciej pokazać prawdziwego następcę angielskiego tronu. Wysłałem więc jednego ze zbrojnych, aby przywiódł go wraz z Sir Gilesem. Powrócił chwilę później galopem z wieścią, że ów odpiera bezustanne ataki mnóstwa rycerzy z czarnymi znakami na przyłbicach. Byli to wojownicy owego maga Malvinne'a, który dzięki użyciu magii ustalił, gdzie znajduje się prawdziwy książę i wysłał ich, by pokonali Sir Gilesa i pojmali lub zabili księcia Edwarda.

–Ilu ich tam było, panie? – zapytał Herrac marszcząc czoło.

–Nasi zbrojni naliczyli półtora tuzina – odparł Jim.

W najwęższej części przejścia do kryjówki mieścił się tylko jeden rycerz Malvinne'a, lecz w miejsce pokonanego natych- miast nacierał kolejny, a wszyscy oni byli wybrani jako najlepsi z najlepszych, za sprawą swej nieprzeciętnej siły i umiejętności.

–I co wtedy? – dopytywał się gospodarz, niemal tak niecierpliwy jak jego synowie.

–Natychmiast wysłałem oddział na odsiecz Sir Gilesowi i księciu Edwardowi. Wojownicy przywiedli całego i zdro- wego następcę tronu, lecz twój syn odniósł prawie dwadzieś- cia ran i tak osłabł z powodu upływu krwi, że nie miał szans na przeżycie. Zapewne ciekawi jesteście jak wielu rycerzy pokonał?

Spojrzał prosto na Herraca, jego synów i ponownie na niego.

–Rzeczywiście pragnę się tego dowiedzieć – przyznał gospodarz głosem, który dopiero teraz był potężny.

–Naliczyliśmy więc ośmiu rycerzy martwych i czterech tak dotkliwie poranionych, że zmarli później – odrzekł Smoczy Rycerz. – Była to cena, jaką zapłacili za próbę uczynienia krzywdy księciu, do którego nie udało im się zbliżyć na odległość miecza.

W tym miejscu osiągnął punkt kulminacyjny opowieści i de Merowie znieruchomieli wsłuchani.

–Nasi ludzie przenieśli Sir Gilesa najdelikatniej jak tylko można do miejsca, gdzie się znajdowaliśmy. Niewiele jednak dało się uczynić dla twojego syna. Odniósł zbyt wiele ran, a krew wciąż płynęła i nie było sposobu na jej zatamowanie. Niemniej staraliśmy się robić wszystko co w naszej mocy…

–Poznałem tam pewną damę, piękną niczym ma- rzenie – wtrącił Giles. – Była dla mnie niezwykle czuła, powiedziała wiele słów pociechy i komplementów na temat mojego wzrostu i… nosa. Pragnąłbym wrócić do Francji i odszukać ją!

Opowieść wywarła na słuchaczach tak wielkie wrażenie, że tym razem ojciec nie upomniał Gilesa.

–Niestety to niemożliwe – zwrócił się do niego Jim. – Ona jest Naturalną, czyli kimś innym niż człowiek.

Jedynym jej pragnieniem byłoby zabranie cię na dno jeziora, w którym mieszka i zatrzymanie tam na zawsze.

A przecież masz jeszcze co robić na tym świecie, Gilesie, nie będziesz tkwić uwięziony na dnie francuskiego jeziora.

–W słodkiej wodzie? – mruknął gospodarz.

–Tak, Sir Herracu, w słodkiej wodzie – przyznał Jim.

–Masz więc wiele szczęścia, Gilesie. Słyszałeś? Po- dziękowałeś już szlachetnemu Sir Jamesowi? – rzekł ojciec.

–Nie… nie miałem jeszcze okazji – wyjąkał młody de Mer. – Składam ci ogromne dzięki, Jamesie. Nie tylko za otwarcie oczu na niebezpieczeństwo grożące ze strony tej pięknej damy, ale także umożliwienie mi dostąpienia, owego pamiętnego dnia, takich zaszczytów.

–Dobrze powiedziane, choć nieco po niewczasie – mruknął Herrac. – Gilesie, przyniosłeś też dumę swej rodzinie.

Płowowłosy rycerz zaczerwienił się.

–Więc, Hectorze! – rzekł gospodarz zwracając się do drugiego syna. – Co teraz powiesz na temat prawa do opiewania w balladach czynów swego brata?

–Doprawdy, ojcze – wydusił Hector. – Chciałbym mieć szansę okazania się choć w połowie tak odważnym i dzielnym jak on.

–Dobrze! Teraz, moi szlachetni goście, starczy już tych historii. Wykorzystajmy odpowiednio resztę wieczora i po- mówmy na inne tematy. Jak udała się wam podróż?

–Cóż – głos zabrał Brian. – Po tak ponuro spędzonej zimie samo opuszczenie murów wiosną jest przyjemnością.

Lecz może będziecie w stanie wyjaśnić nam dziwne zjawisko, na jakie natknęliśmy się w drodze do zamku, nieopodal.

Chodzi o pięciu rycerzy w zbrojach…

Wszyscy de Merowie natychmiast zesztywnieli, a twarze ich nabrały wyrazu powagi.

–… z kopiami – ciągnął nieporuszenie Brian – dosia- dających niewidzialnych rumaków. Ruszyli na nas z niewąt-

pliwie wrogimi zamiarami, ale Dafydd ap Hywel ostudził ich zapał strzałami, zanim jeszcze zdążyli się zbliżyć. A kiedy podjechaliśmy do miejsca, w którym leżał jeden z nich, znaleźliśmy tylko zbroję i broń. Wszystko inne – koń i jeździec – zniknęło.

Zamilkł, a goście dostrzegli wyraźną zmianę na obliczach de Merów. Twarze Herraca i Gilesa stężały tak, iż zdawały się wykute z kamienia, zaś pozostali synowie pobledli.

Rozdział 4 p, rzy stole przez długą chwilę panowała cisza, podczas której oczy Sir Herraca pozostawały utkwione w trójce gości.

–Wygląda na to – rzekł w końcu – że mówicie o jednym z naszych miejscowych kłopotów, o którym wolałbym nie wspominać podczas waszej wizyty. – Umilkł na moment, po czym ciągnął: – Cieszę się, że to spotkanie z wrogami ludzkości zakończyło się waszym powodzeniem. Ci, z którymi spotkaliś- cie się nie są bowiem zwykłymi przeciwnikami, ale czymś zupełnie innym niż normalne chrześcijańskie dusze. Zwiemy ich Pustymi Ludźmi i są powodem naszych licznych utrapień.

Składają się z samego zła i nie da się ich porównać nawet z Małymi Ludźmi. Tak naprawdę są duchami kilku zmarłych na terenie nazywanym przez nas granicą, rozciągającym się od morza germańskiego po irlandzkie.

Puści Ludzie mieszkają tu na pewno co najmniej od czasów Rzymian, którzy zbudowali między Anglią i Szkoqą mur. Wiedzą o nim wszyscy, stoi bowiem do dziś – kon- tynuował. – Za życia byli tak źli, że odmówiono im wstępu do nieba, a nawet piekła, więc teraz przebywają tutaj. Nawet ci spośród nich, którzy czcili starego boga Odina, także nie uzyskali dostępu do Valhalli. Mówiąc krótko, są to przeklęte dusze, które nie zaznają spokoju aż po dzień Sądu Ostatecznego.

–Ani my nigdy nie zaznamy z ich strony wytchnie- nia – rzekł ponuro Hector.

Tym razem nie spotkał się z reprymendą ojca, który tylko smutno pokiwał głową.

Wokół stołu przebiegł jakby prąd czy przedziwny impuls i wszyscy jednocześnie unieśli do ust kubki, aby napić się wina. Czekali, lecz Herrac nie odezwał się już.

–A co z ich niewidzialnymi końmi? – zapytał Brian, kiedy kubki znalazły się z powrotem na stole.

–To zapewne także duchy – wyjaśnił gospo- darz. – Puści Ludzie nie mają ciał, lecz kiedy tylko zdołają założyć odzienie lub zbroję, stają się jakby znów ludźmi, posiadającymi dawną siłę i umiejętności. Doświadcza tego każdy, kto zmierzy się z nimi w walce. Jeśli jednak ostrze sięgnie któregoś z nich, przebijając pancerz, odnosi się wrażenie, że miecz przecina powietrze.

Zadumał się.

–Istnieje jednak szansa… – podjął z wahaniem. – Mu- szę o tym pomyśleć.

–Ale jeśli nic tam nie ma, to jak można coś zrobić duchowi? – zapytał Brian. – Dlaczego znaleźliśmy zbroję na ziemi, jakby jej właściciel został zabity?

–Bo rzeczywiście tak się stało, ale tylko na dwie doby.

Po upływie tego czasu każdy z nich powraca do dziwnego życia. Wtedy jednak jest zmuszony znaleźć sobie nowe odzienie lub pancerz, aby stać się czymś innym niż powiet- rze. Poszukiwania może jednak rozpocząć dopiero po upływie czasu, o którym mówiłem. Tak właśnie zrobi ten trafiony strzałą, mistrzu łuku.

Spojrzał prosto w oczy Dafydda, który skinął w od- powiedzi głową.

–Puści Ludzie są dla nas plagą – wyjaśnił gospo- darz. – Udaje się nam ich zabijać i pozbawiać odzienia, ale mimo tego ich liczba nie zmniejsza się, bo wciąż powracają. Co więcej przez lata nagromadzili mnóstwo zbroi i broni, więc uśmiercony po dwóch dniach znów staje się niebezpiecznym wrogiem.

Przy stole zaległa cisza.

Jim zamyślił się głęboko. Miał przeczucie, że Herrac nie powiedział wszystkiego i krył w zanadrzu coś znacznie gorszego niż wyjawiona tajemnica. Ta myśl ogarnęła Smoczego Rycerza jak nagły powiew zimnego wiatru.

Kiedy Carolinus, jego przyjaciel i nauczyciel magii, po raz pierwszy prowadził z nim rozmowę we śnie, a było to przed rokiem we Francji, przyznał, że celowo wysłał go, by zmierzył się z Malvinnem, magiem klasy AAA+, z pew- nością pod każdym względem przerastającym Jima, posia- dającego wówczas klasę D. Tamten przeciwnik wpadł w sidła Ciemnych Mocy i służył im. Czy obecna sytuacja z Pustymi Ludźmi mogła być w jakimś stopniu podobna?

Jim przypomniał sobie teraz jak Carolinus, zjawił się w jego zamku, niby przez przypadek, akurat wówczas gdy Angie nie chciała zgodzić się na tę podróż, poparł go i w rezultacie umożliwił wyjazd. Zwrócił wtedy Jimowi uwagę, że życie w tym świecie nakłada na niego pewne obowiązki, które musi wykonywać, jeśli chce zachować posiadaną pozycję.

Smoczy Rycerz doznał niemiłego uczucia, że z sobie tylko znanych powodów Mag sprawił, że znalazł się w obecnej sytuacji. Trudno było w to uwierzyć, a jednak…

Przecież zanim jeszcze martwe ciało Gilesa znalazło się w Kanale Angielskim, wiadomo było, że on, Brian i Dafydd będą musieli możliwie szybko odszukać rodzinę przyjaciela, aby opowiedzieć o jego heroicznych czynach i zawiadomić o śmierci. Z drugiej jednak strony należało zadać sobie pytanie, kiedy Ciemne Moce zdecydowały się ponownie nim zająć. Przecież nie było przypadkiem, że po raz pierwszy stanął do walki pod Twierdzą Loathly, tuż po znalezieniu się wraz z Angie w tym świecie. Później starł się z nimi w czasie konfrontacji z Malvinnem i teraz

znów natknął się na niezwykłe istoty. Były one idealne do wykorzystania jako pionki w grze Ciemnych Mocy.

–Czy możesz mi powiedzieć coś więcej na temat tych duchów? – poprosił Jim Herraca.

–Ależ oczywiście.

W ten sposób przez najbliższą godzinę de Merowie relacjonowali każdy znany im incydent z Pustymi Ludźmi, podczas gdy oni opróżniali wciąż napełniane dzbany.

Ataki, a raczej najazdy Pustych Ludzi, ponieważ napad grupy co najmniej pięćdziesięciu osób trudno było nazwać zwykłym atakiem, miały dwa podstawowe cele. Przede wszystkim duchy starały się zdobyć niezbędne im nowe i jak najlepsze zbroje. Poza tym duchy potrzebowały jedzenia i wina lub pieniędzy. Niektórzy kupcy skłonni byli nawet do handlowania z nimi.

Duchy istniały od niepamiętnych czasów i niegdyś zapewne tylko niewielka ich część była odziana i uzbrojona.

Jednak przez ostatnich kilkaset lat znacznie łatwiej było im przybrać ludzką postać. Atakowali zawsze mając przewagę liczebną, zakładając, że to przesądzi o losach starcia.

W dużych potyczkach nie odnosili jednak sukcesów, ponie- waż w grupie walczyli słabo, nie chcąc podporządkować się niczyim rozkazom i działając wyłącznie na własną rękę.

Ostatnio jednak najazdy stały się bardziej zorganizowane i miały wyraźny cel – zyskanie kontroli nad obszarem zwanym Wzgórzami Cheviot.

Kiedy wino wreszcie rozwiązało języki, przynajmniej synów, okazało się, choć nikt nie wiedział, kto rozpuszcza takie plotki, iż de Merowie, podobnie jak wielu ich sąsiadów, są oskarżani o czyny będące dziełem Pustych Ludzi. Pomówienia te były na tyle powszechne, że Herrac zaczął myśleć o zebraniu większych sił i zaatakowaniu duchów, by położyć kres takiej sytuacji. Jednak liczba sąsiadów gotowych do podjęcia wyzwania była zbyt mała.

Chcąc pokonać duchy należało wedrzeć się głęboko na teren Wzgórz Cheviot, gdzie mogło być ich setki, a nawet tysiące.

W tym miejscu gospodarz nagle zmienił temat: – Ostatnio pojawiły się także pogłoski o szkockiej inwazji na Northumberland, a nawet dalej, na południe Anglii.

–Doprawdy? – zdziwił się Brian, z zainteresowaniem pochylając się nad stołem.

–Tak. Co więcej, mówi się, że Puści Ludzie mogą wykorzystać tę okazję do dokonania spustoszeń wzdłuż całej granicy. Broniąc się przed szkockimi wojskami wspieranymi przez te duchy, żerujące na trupach jak kruki, zamek taki jak nasz będzie miał nikłe szansę oparcia się atakowi, a wtedy wszyscy zginiemy. Dla mnie i Gilesa to rzecz normalna, ale pozostali synowie, nie będący jeszcze rycerzami, i córka…

Mówiąc to spojrzał czule na potomków.

–Jednak teraz, jak sądzę, między Anglią i Szkocją panuje pokój? – zapytał Sir Brian.

Podobnie jak po Sir Herracu, także po nim nie było widać śladu działania alkoholu. O ilości wypitego wina mogło świadczyć jedynie pozbycie się konwenansów obo- wiązujących na początku rozmowy.

–Rzeczywiście – przyznał gospodarz – ale wystarczy tylko, że jeden ze szkockich możnych przekona innych, że wyprawa taka pójdzie im jak z płatka. Jeszcze przed atakiem zbiorą wielu chętnych do walki, wzmacniając swe szeregi, zanim tu nadciągną.

–Doprawdy to możliwe? – włączył się Dafydd.

–Jak najbardziej, mistrzu łuku. Ta wieża była naszym ostatnim schronieniem niezliczoną już ilość razy. Kiedy atakowały nas siły, którym nie byliśmy w stanie sprostać, zamykaliśmy się w niej. Zawsze udawało się nam przetrwać oblężenie, choć i tak przeciwnik nigdy nie zdołałby nas pojmać. Wieża stoi tuż nad wodą, a w niej…

Urwał nagle, zdawał sobie sprawę, że goście wiedzą o krwi silkie płynącej w żyłach rodziny de Mer, ale uznał za właściwsze przemilczenie tego, aniżeli potwierdzenie w rozmowie z niedawno przecież poznanymi przyjaciółmi syna. Doszedł do wniosku, że i tak powiedział zbyt dużo, więc niespodzianie poderwał się z ławy.

–Jeśli wybaczycie mi, szlachetni panowie i ty, mistrzu łuku… Istnieją pewne sprawy, którymi nie powinniście zaprzątać sobie głowy. Muszę już udać się na spoczynek i…

Posłał spojrzenie swym potomkom. – …I wy także powinni- ście to uczynić. Chodźcie, Alan, Hector, William, Christop- her, czas na sen. Gilesie, jako że jesteś rycerzem, a to są twoi przyjaciele, pozwalam ci zostać z nimi jak długo zechcesz.

Zmartwychwstały rycerz także poderwał się jednak na nogi.

–Jeśli wybaczycie mi, ja również udam się na spoczy- nek. Jamesie, Brianie, Dafyddzie, proszę was o wybaczenie.

–To dobry pomysł – rzekł Jim także podnosząc się. – Nie mam na jutro żadnych planów, ale dzisiaj usłyszałem tak wiele, że pragnąłbym już położyć się spać.

Brian poderwał się na nogi niemal tak szybko jak on.

Dafydd jednak wciąż nie ruszając się z miejsca spojrzał na Sir Herraca.

–Czy możliwe byłoby dostarczenie mi świecy dającej silne światło? – zwrócił się do gospodarza. – Jest pewna rzecz dotycząca moich strzał, którą chciałbym wypróbować.

Olbrzym zasmucił się.

–Niezwykle mi przykro, ale na zamku de Mer nie posiadamy ani jednej świecy. W waszej komnacie znajduje się jednak kaganek, którego światło wystarczyłoby, oczywiś- cie jeśli twoi przyjaciele nie mieliby nic przeciwko temu.

–Jeśli o mnie chodzi, mógłbym teraz spać przy słońcu świecącym wprost w oczy – oświadczył Brian. – Nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo jestem śpiący, zanim nie zacząłem myśleć o odpoczynku. Jamesie?

–Nie mam nic przeciwko temu.

Dafydd popatrzył na przyjaciela przenikliwie.

–Wydaje mi się, że twoja grzeczność nie idzie w zgodzie z prawdą, panie. Jeśli nasz gospodarz pozwoli, zostanę tutaj i popracuję przy świetle płonących pochodni.

–Jak sobie życzysz – odparł bez wahania Sir Herrac.

–Cóż… – zawahał się Jim, któremu wypite wino wyraźnie rozwiązało język. – Będę z tobą szczery, Dafyd- dzie. Wolałbym jakieś słabe światełko w naszej sypialni.

Właściwie myślałem o wzięciu pochodni, która paliłaby się zaledwie przez jakieś piętnaście minut, a później spalibyśmy w ciemności.

–Niech i tak będzie – uznał gospodarz. – A więc do sypialni, moi synowie.

Wszyscy, z wyjątkiem łucznika, opuścili Wielką Sień, a każdy wychodzący wziął palącą się pochodnię. Giles zabrał dwie i poprowadził Jima oraz Briana do komnaty, w której ci złożyli rzeczy. Kiedy dotarli tam, podał pochod- nię mistrzowi kopii i na chwilę zatrzymał się w drzwiach.

–Nie jestem w stanie wyrazić jak wiele to dla mnie znaczy, że znów was widzę – rzekł.

Jakby zawstydzony tymi słowami, wyszedł pospiesznym krokiem i zniknął w korytarzu. Brian umieścił zaś pochod- nię w uchwycie na ścianie. W tym momencie w komnacie niespodziewanie zjawił się Dafydd.

–Wybaczcie panie, Brianie – zwrócił się do nich poważnie – Zapomniałem, że strzały i narzędzia zostały tutaj. Już wychodzę.

Podszedł do swych rzeczy i wybrał spośród nich kołczan i niewielką sakiewkę.

–Wrócę najciszej jak się da, obiecuję.

–Nie musisz się martwić, Dafyddzie – uspokoił go Brian, ziewając przeciągle. – Nie zbudziłby mnie nawet szturm na ten zamek.

–Ależ doprawdy, nie musisz się nami przejmo- wać – zapewnił go Jim.

–Dziękuję wam obu – rzekł łucznik i zniknął.

Brian siadł na brzegu łóżka, zdjął buty i poprzestawszy na tym, rzucił się na posłanie.

–To straszne, że twoje magiczne ćwiczenia zakazują ci spać tak wygodnie jak ja na tym łożu – stwierdził. – No cóż, dobranoc!

–Dobranoc -odparł Jim.

Położył się na wcześniej przygotowanym materacu, który niezbyt łagodził twardość kamiennej podłogi, lecz przy- zwyczajony już do tego wyciągnął się wygodnie. Leżał rozmyślając o wieczornej rozmowie, podczas gdy pochodnia wypalała się, zaczęła przygasać, aż w końcu komnata pogrążyła się w kompletnej ciemności.

Uznał, że Brian, a także Dafydd liczą na dłuższy pobyt na zamku de Mer. Nie godzi się przecież opuszczać przyjaciela i jego rodziny, akurat wtedy, gdy grozi im atak ze strony…

Oczywiście! Jakże mógł być na tyle mało domyślny, że uświadomił sobie to dopiero teraz? Spłynęło na niego nagłe olśnienie. To takie "kłopoty" miał na myśli Herrac tuż przed wieczerzą.

Rzeczywiście musiało się tu szykować coś związanego nie tylko z Ciemnymi Mocami i Pustymi Ludźmi, ale też może i ze szkocką inwazją na Anglię. De Merom groziło zapewne poważne niebezpieczeństwo, a Herrac obawiał się, by któryś z synów nie powiedział, iż liczą, że ci trzej bohaterowie ballad zostaną tu dłużej i pomogą w walce.

Jeśli Brian doszedł do podobnych wniosków, Jim był w nie lada kłopocie. Obaj jego przyjaciele kochali walkę niemal tak jak jedzenie. Co więcej, honor Briana nigdy nie pozwoliłby mu opuścić w potrzebie de Merów i gdyby ten postanowił wracać do domu, mimo łączącej ich głębokiej przyjaźni nikt by go nie zrozumiał. Z drugiej jednak strony, Jim wyobrażał sobie reakcję Angie, gdyby nie wrócił na czas. Szczególnie zaś, gdyby wiedziała, co się tu dzieje.

To ciekawe, wymyślił coś sensownego dopiero wraz z chwilą zapadnięcia zupełnych ciemności.

Kiedyś, we Francji, udało mu się we śnie skontaktować z Carolinusem. Mag uświadomił mu wtedy, że Malvinne także jest w stanie korzystać z tej formy komunikacji, a więc jest ona ryzykowna, ponieważ przeciwnik ma możliwość podsłuchiwania. Wówczas ujrzał we śnie scenę, w której Carolinus namówił Aragha, aby udał się do Francji, by pomóc Jimowi, który musiał przecież zmierzyć się z wrogiem silniejszym od niego pod każdym względem.

Teraz jednak nie uważał, aby rozmowa z Magiem mogła okazać się niebezpieczna. Przypuszczalnie tylko ktoś o zdol- nościach magicznych niewiele mniejszych od posiadanych przez Carolinusa mógł ich podsłuchać, ale nie mógł wy- kluczyć, że zdolność tę posiadały Ciemne Moce. Niemniej Jim musiał porozumieć się z nauczycielem. Zamknął oczy i starając się zasnąć, usilnie myślał o kontakcie z Magiem.

Sen nadszedł szybciej niż się tego spodziewał. A w nim zbliżał się do niewielkiej chatki Carolinusa.

Nie był to jednak dzień, jak wtedy. Wokół panowała ciemność. Doszedł do wniosku, że w jego śnie jest ta sama godzina co na jawie. Domek Maga był cichy i pogrążony w mroku.

Jim zawahał się przed drzwiami. Niezbyt taktowne było budzenie śpiącego. Skontaktowanie się z Carolinusem za dnia byłoby jednak niezwykle trudne. Pytanie, które musiał zadać, stawało się nie tylko pilne, ale także sam Mag mu zwrócił na tę sprawę uwagę jeszcze w zeszłym roku. Smoczy Rycerz wciąż z pewnym wahaniem uniósł rękę i delikatnie zapukał w drzwi.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Czekał. Trawa, kwiaty, mała fontanna i całe otoczenie wyglądało jak w świetle dziennym, lecz pozbawione było barw, jak negatyw oświetlony promieniami księżyca, który wisiał ponad drzewami. Po dość długim oczekiwaniu Jim poczuł narastające zniecierpliwienie.

Zapukał ponownie, tym razem mocniej.

Znów przez dłuższą chwilę nic nie było słychać. Później jednak w środku ktoś się poruszył, po czym drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Carolinus w szlafmycy i długiej, białej koszuli nocnej.

–Oczywiście! – warknął. – Któż mógłby zjawić się o tej porze? Wszyscy inni są na tyle dobrze wychowani, że nie budzą mnie w środku nocy.

–Wydaje mi się, że jest dopiero dziesiąta lub niewiele później – zaprotestował Jim, przypominając sobie, że wieczerza rozpoczęła się tuż po zachodzie słońca.

–Jeśli mówię, że środek nocy, to tak właśnie jest! – oburzył się Mag.

Wsunął koniuszek wąsa do ust i zaczął go rzuć, co zawsze świadczyło o zdenerwowaniu. Opamiętał się jednak, wypluł kilka zabłąkanych włosów i wycofał do wnętrza izby.

–Cóż, jeśli już tu jesteś, możesz wejść – oświadczył.

Rozdział 5 j, im wszedł, zamykając za sobą drzwi. Stali na środku jedynej izby, która służyła Carolinusowi za mieszkanie.

–Więc – zniecierpliwił się Mag.

Smoczy Rycerz także odczuwał zdenerwowanie. Zjawił się tu, jak uważał, z ważnego powodu, lecz zrzędliwość Carolinusa nie pozwalała mu na normalne prowadzenie rozmowy.

–Teraz nie jesteś przynajmniej w swym smoczym ciele i nie rozbijasz moich sprzętów – mruknął starzec.

Jim, znajdując się w smoczym wcieleniu, nigdy nie musnął nawet mebli Maga, nie mówiąc już o ich zniszczeniu, więc poczuł się niesłusznie pomówiony. Zdecydował się jednak puścić to mimo uszu i przejść do ważniejszych spraw.

–Carolinusie – zaczął surowo – czy znów wysłałeś mnie przeciw Ciemnym Mocom?

–Wysłałem cię…? – Mag utkwił w nim przenikliwe spojrzenie.

–Podobnie jak zeszłego roku, nie pytając mnie o zgodę?

Kiedy znalazłem się we Francji i stanąłem do samotnej walki z Malvinnem, okazało się, że wszystko było twoją sprawką. Odpowiedz więc, czy znów wysłałeś mnie na pojedynek z Ciemnymi Mocami?

–Interesujące – stwierdził Carolinus, nagle miłym i pełnym zadumy głosem. – Niech pomyślę…

Jego spojrzenie powędrowało gdzieś w dal i stał tak, zagubiony w myślach przed kilkanaście sekund. Wreszcie z powrotem przeniósł wzrok na gościa.

–Odpowiedź brzmi tak. Wygląda na to, że znów jesteś zamieszany w starcie z Ciemnymi Mocami i jednocześnie nie, ponieważ nie było to moim zamysłem – rzekł nadal ciepłym tonem. – Odnoszę wrażenie, że albo Ciemne Moce starają się doprowadzić do starcia z tobą, albo Los i Historia mają jakiś powód, aby pchnąć ciebie i Ciemne Moce do, jak sam to określiłeś, pojedynku.

–Jeśli tak się sprawy mają, jak dotrzeć do Losu i Historii, aby powiedzieć im, że nie mam zamiaru brać w tym udziału?

–Dotrzeć…? – zdziwił się Mag. – Los i Historia są naturalnymi siłami, Jamesie. Nie możesz mówić z nimi jak z ludźmi. Nie możesz się z nimi nawet porozumieć jak z Ciemnymi Mocami. One przynajmniej coś czują. Los i Historia są naturalnymi mocami, działającymi na rzecz własnych celów. Nawet gdybyś mógł z nimi rozmawiać, nie zmieniłyby decyzji, ponieważ to, co dzieje się za ich sprawą, jest nieodwołalne.

–Ale powiedziałeś, że jedna z tych sił mogła mnie wybrać. Oczywiście zdaję sobie sprawę…

–To inna sprawa! – warknął Carolinus. Ponownie odezwał się po chwili milczenia. – Jak to wyjaśnić?

Jamesie, nawet ty musiałeś słyszeć o królu Arturze.

–Słyszeć o nim? – obruszył się Smoczy Rycerz. – Ja dokładnie studiowałem legendy o nim. Jest mitycznym bohaterem opowieści wymyślonych przez Celtów, lecz nowe dowody świadczą, że mogły one przywędrować wraz z rzymskimi wojownikami ze wschodu, aż ze stepów południowej Rosji i wywodzą się z mitów starożytnego plemienia Sarmatów…

–Jeśli wybaczysz! – przerwał mu Mag.

Jim zamilkł.

–Przestań bredzić!

–Ale… – zaczął Smoczy Rycerz z oburzeniem.

Carolinus uniósł w górę palec, nakazując mu milczenie.

–Bzdury, Jamesie. Nigdy nie mów tego, czego nie jesteś pewien. Obecny wiek jest znacznie bliższy twoim czasom niż teraźniejszość czasom, w których żył król Artur. I w rzeczywistości wiele spośród dotyczących go legend to fakty, choć jak zwykle nieco je podkoloryzowano.

Zapewne nie był tak sławny, jak młody książe Edward, którego uratowaliśmy z rąk Malvinne'a…

A więc to my uratowaliśmy księcia Edwarda? – pomyślał z goryczą Jim. Carolinus przez cały czas pozostawał w Anglii, no może niemal przez cały czas. Smoczy Rycerz nie wypowiedział jednak głośno swych myśli. Teraz bardziej interesowało go zdobycie potrzebnych informacji, a nie sprzeczka. Prawdą było, o czym obaj dobrze wiedzieli, iż jedyny udział Maga polegał na wysłaniu ekspedycji ratun- kowej.

Właściwie wszystko, co zrobił Carolinus (poza zwięk- szeniem zasobów magicznej energii Jima), to wskazanie kierunku poszukiwań i czekanie na efekty. Jakby wysyłał psa z rozkazem "szukaj".

–Niemniej – ciągnął starzec – Artur był potężną bronią w rękach Losu i Historii, szczególnie zaś Historii.

Chodzi mi o to, drogi chłopcze, że istnieją ludzie, którzy stanowią języczek u wagi. Król Artur był jednym z nich.

Niewykluczone, że także ty, z powodu niezwykłego po- chodzenia i znajomości innego świata, z przyszłości, jesteś do niego podobny. Jeśli to prawda, ty, ja, ani nikt inny nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić. Historia i Los mogły zadecydować, że wciąż masz popadać w konflikt z Ciem- nymi Mocami. Mam nadzieję, że tak nie jest, ale możliwości takiej nie da się wykluczyć.

–Dziękuję ci. Niezwykle podniosłeś mnie na duchu.

–Mówię ci tylko prawdę, mój chłopcze. Teraz już rozumiesz?

–Nie.

–W takim razie wysłuchaj mnie. I tak nie masz żadnego wyboru.

–Więc wygląda na to, że mam toczyć nieustającą walkę z Ciemnymi Mocami. Czy nie mogę więc liczyć na żadną pomoc? Przecież jesteś moim nauczycielem. Ale poza czasem poświęconym na nauczenie jak zmieniać postać ze smoka w człowieka i odwrotnie, zostawiasz mnie samemu sobie i samodzielnie muszę rozwiązywać piętrzące się problemy. Oczywiście pamiętam, że użyczyłeś mi nieco magicznej mocy.

–Zawsze udawało ci się nawet bez mojej po- mocy – przypomniał Carolinus.

–Jedynie dzięki szczęśliwym przypadkom.

–Może z brakiem pomocy wiąże się właśnie szczęście.

Pamiętaj, że pochodzisz z innego świata i dzięki temu patrzysz na wszystko inaczej, jesteś w stanie wykorzystywać okazje, których ktoś urodzony tu, nigdy by nie dostrzegł.

Może to jest to twoje szczęście.

–Niemniej sądzę, że mam prawo oczekiwać od ciebie wsparcia – nie ustępował Jim. – Choćby w postaci dobrych rad.

–Rad…

Mag ustawił świecę na stole zawalonym stertą papierów.

Gdyby przewróciła się, pożar byłby nieunikniony, lecz w domostwie Carolinusa wypadek taki nie mógł się wy- darzyć.

–Zawsze z przyjemnością ci ich udzielam. Możesz pytać o wszystko, co chcesz wiedzieć.

–W porządku – ucieszył się Jim. – Co mi powiesz na temat Pustych Ludzi?

–Och… – Mag uczynił pełen zniecierpliwienia gest ręką. – Chodzi ci o te duchy wzdłuż rzymskiego muru między Anglią i Szkocją, który kazał zbudować cesarz Hadrian? Są raczej niegroźne.

–Mnie się tak nie wydaje. Zajęły Wzgórza Cheviot oraz tereny leżące na południe od nich i atakują okolicznych mieszkańców oraz przejezdnych. Sami nieomal padliśmy ich ofiarą podczas podróży do zamku de Mer… A, zapom- niałem ci powiedzieć, że Giles żyje.

–Wiedziałem o tym – oświadczył lodowato Caroli- nus. – A także o fakcie, że odzyskał ludzką postać. Niech jajko nie stara się być mądrzejsze od kury. Jeśli zaś chodzi o Pustych Ludzi, to tylko drobna nieprzyjemność. Niedo- godność tkwiąca w realiach tego stulecia, co jest określeniem nieco mocniejszym, niż w twoim świecie, gdzie za nie- przyjemność uznaje się psa sąsiada szczekającego na traw- niku. Wciąż jednak jest to tylko nieprzyjemność.

–A co, jeśli ich działalność wiąże się z Ciemnymi Mocami i szkockim planem napaści na Anglię? Napaści, która może doprowadzić do utraty co najmniej części Northumberlandu i stworzenia drugiego frontu, jeśli kró- lowi Jeanowi uda się atak od południa.

–Hmm – zadumał się Carolinus skubiąc bró- dkę. – To teoretycznie możliwe, jak sądzę. Powiem więcej, to poważne zagrożenie, jeśli weźmiemy pod uwagę także inne czynniki. Ale francuska inwazja…

–Wciąż krążą o tym plotki, podobnie jak o napaści Szkotów na Northumberland – stwierdził Jim uznając, że zbędne jest przypominanie podobnej sytuacji z dwudziesto- wiecznej historii. – A Puści Ludzie zamierzają wziąć w tym udział i narobić mnóstwa zamieszania. Być może w jakiś sposób da się powstrzymać atak Szkotów, lecz nie jest to wcale takie pewne.

–Jeśli o to chodzi, Jamesie, nie potrafię udzielić ci żadnej rady. Nie wiem nic na temat taktyki wojskowej i strategii. Nie znam się też na intrygach i polityce. Jeśli jednak tak się sprawy mają, co zamierzasz zrobić?

–Nie wiem jeszcze, ale jeśli zostałem w to wmieszany przez Los, wpadłem jak śliwka w kompot.

–Śliwka? Kompot? – zdziwił się Carolinus, przywo- dząc Jimowi na myśl mechaniczną kukułkę z zegara.

Smoczy Rycerz porzucił jednak te skojarzenia, do- chodząc do wniosku, że w tej chwili ma ważniejsze sprawy na głowie.

–Wiesz dobrze, o czym mówię. Angie była przeciwna mojemu wyjazdowi na zamek de Mer. Nie zapominaj 0 tym. Zjawiłeś się nagle, stanąłeś po mojej stronie i dzięki temu puściła mnie.

–To miłe, że doceniasz moją pomoc – zauważył Mag z zadowoleniem.

–Angie zgodziła się, wiedząc, że droga zajmie nam dziesięć dni. Tak też się stało. W gościnie mieliśmy zostać tylko przez tydzień i poświęcić kolejnych dziesięć dni na powrót. Miało mnie więc nie być przez miesiąc. Jeśli jednak nie mylisz się i wpadłem Losowi w oko, mogę być zmuszony do pozostania w zamku de Mer znacznie dłużej niż przez tydzień. Czy mógłbyś skontaktować się z Angie 1 wyjaśnić jej zaistniałą sytuaqę? Powiedz jej, że nieco się spóźnię, ale wrócę najszybciej jak to będzie możliwe.

–Nie jestem twoim chłopcem na posyłki – obruszył się Carolinus.

–Proszę cię jedynie, byś wyświadczył mi przysługę.

–Przysługę! – parsknął Mag, lecz po chwili zreflek- tował się i złagodniał. – Cóż, sądzę, że mógłbym przekazać tę wiadomość. Tak, mógłbym to zrobić. Rozumiem cię…

Właściwie…

Wzrok jego znów zmętniał, co było niewątpliwym zna- kiem, że umysł pozostawił ciało własnemu losowi.

–Wydaje mi się, że rozumiem to lepiej niż ty. Byłem zajęty czymś innym, ale to… zupełnie inna sprawa – stwier- dził, nagle powracając do rzeczywistości i zacierając dło- nie. – Nieważne. Wnioskuję, że nie poznałeś jeszcze dziewczyny.

–Dziewczyny? – powtórzył Jim. – Jakiej dziewczyny?

–Zrozumiesz, kiedy ją zobaczysz. Najważniejsze teraz jest to, abyś podjął decyzję co czynić. Puści Ludzie, szkocka inwazja, twoi przyjaciele silkie… tak, znalazłeś się na zakręcie historii, który pragną wykorzystać Ciemne Moce.

Przede wszystkim kieruj się własną intuicją. Nie wahaj się i czyń to, co wyda ci się najlepsze.

–Tak po prostu? – zapytał Jim.

–Dokładnie. Musisz stanąć po którejś ze stron – Losu lub Historii. Wybierz Historię i trzymaj się jej. Jak sądzę, wiesz dlaczego lepiej nie wybierać Losu?

–Wydaje mi się, że to… ryzykowne – rzekł niepewnie Smoczy Rycerz.

–To nierozsądne! – warknął Carolinus. – Zastanów się nad tym przez chwilę. Nikomu nie może zawsze dopisywać szczęście, prawda?

–Nie. Masz zupełną rację.

–A to oznacza, że stawiając na Los wcześniej czy później stracisz wszystko, co zyskałeś. Czy może być inaczej?

Opinia ta zdawała się być tak logiczna, więc Jim tylko skinął głową.

–Na cóż – ożywił się Mag – starczy tego dobrego.

Wiesz, już, co masz robić. Muszę wracać do łóżka, jeśli zdołam zasnąć po tak niespodziewanym przebudzeniu.

Drzwi są za tobą. Otwórz je, a powrócisz do siebie.

Jim odwrócił się, nieco oszołomiony, z natłokiem myśli kłębiących się w głowie. Otworzył drzwi wejściowe i prze- stąpił próg. Odwrócił się jeszcze i ujrzał Carolinusa stoją- cego ze świecą w ręku.

–Dobranoc.

–Dobra…

Reszty nie usłyszał, ponieważ drzwi zatrzasnęły się.

Rozdział 6 j im poczuł, że ktoś szarpie go za ramię. Był zupełnie zdezorientowany, gdyż jeszcze przed chwilą stał przed chatką Carolinusa. Przebudził się jednak, otworzył oczy i ujrzał Briana.

–…Obudź się! – krzyczał mistrz kopii. – Zamierzasz przespać cały ranek? Ja już zjadłem śniadanie. Giles czeka w Wielkiej Sieni i chyba zagłodzi się na śmierć, bo nie chce zacząć bez ciebie. Twierdzi, że inaczej nie wypada i oczywiś- cie ma rację. Wysoce ceni sobie takiego gościa, Jamesie!

Obudź się! Wstawaj i chodź!

–Już nie śpię – warknął Jim, trzęsąc się po tak energicznym budzeniu. – Przestań szarpać to cholerne ramię!

Brian posłuchał.

–Jesteś pewien, że już nie śpisz? – upewnił się.

–A mógłbym?

Ziewnął przeciągle i usiadł na posłaniu. Jak inni, spał w ubraniu, a przed snem zdjął tylko buty. Sięgnął teraz po nie i zaczął nakładać.

–Jesteś pewien? – Nie ustępował mistrz kopii. – Sły- szałem o ludziach, którzy zasypiają rozmawiając i chodząc

jednocześnie. Wystarczy chwila i już znowu chrapiesz.

–Ja nie chrapię – zaprotestował Jim.

–Ależ oczywiście, że tak.

–To ty chrapiesz. Pewnie słyszysz samego siebie.

–Skądże znowu. Byłem zupełnie rozbudzony poprzed- niej nocy i jeszcze wcześniej. Kiedyś też cię słyszałem, Jamesie. Z pewnością chrapiesz, może niezbyt głośno, nie tak jak Giles. Ten jego nos potrafi grać jak róg bojowy.

Ale ty bez wątpienia także chrapiesz.

–Nie! – oburzył się Jim, zrywając na nogi.

Brian wreszcie osiągnął swój cel. Sam był już syty, co wprawiało go w dobry humor. Jim jednak nie miał jeszcze nic w ustach, ledwie co się rozbudził, a jego ciało wciąż było ociężałe. W tej chwili najbardziej pragnął z powrotem rzucić się na posłanie i zapaść w sen. Jednak przyjaciel zjawił się z zadaniem sprowadzenia go na dół i odmówienie mu stanowiłoby obrazę.

Poczłapał więc za Brianem trzy piętra w dół kamiennej wieży, przemierzył kuchnię (dziwne, że idąc do jadalni zawsze trzeba było przejść przez nią) i ujrzał Gilesa, siedzącego samotnie przy wysokim stole, oczywiście z nie- odłącznym dzbanem wina i kubkiem. Kiedy zbliżyli się, de Mer zerwał się pospiesznie.

–Jamesie! – krzyknął radośnie.

–Dzień dobry – warknął Jim siadając na ławie.

Czuł suchość w ustach i gardle, więc przejrzał wszystkie stojące dzbany, mając nadzieję, że w jednym z nich znajduje się piwo. Wszędzie było jednak tylko wino. Nalał go do kubka i pociągnął duży łyk.

Przełknął je z taką łatwością jak wodę.

Giles musiał w tym czasie dać znak do kuchni, ponieważ na stole pojawiły się tace z wołowiną i ciemnym chlebem.

Smoczy Rycerz wziął pajdę, czując, że nie ma zbytniego apetytu, lecz kiedy zaczął jeść, uzmysłowił sobie, że jest naprawdę głodny. Przestał więc interesować się tym, co działo się wokół niego i zajął się jedzeniem.

Brian usiadł w milczeniu, nie przeszkadzając przyjaciołom w posiłku. Wreszcie na tacy stojącej przed Jimem pozostały tylko kości, a także zniknął cały chleb. Wszystko to zostało popite kilkoma kubkami wina. Smoczy Rycerz ku swemu zdziwieniu stwierdził, że zdecydowanie poprawił mu się humor. Wreszcie rozbudził się także jego umysł, który zaczął pracować, analizując rozmowę z Carolinusem. We- dług planu miał jeszcze sześć dni. Powinien więc wykorzys- tać je w maksymalnym stopniu.

Uniósł głowę i popatrzył na dwójkę przyjaciół siedzących naprzeciw niego i popijających wino (Giles podczas posiłku pochłonął dwa razy więcej jedzenia niż on, i to o wiele szybciej).

–Uff! – sapnął.

–Lepiej, prawda, Jamesie? – zapytał Brian. – Czło- wiek staje się miły dla świata, dopiero wtedy, kiedy ma pełny żołądek.

Jim przyznał mu w myślach rację, lecz jednocześnie przypomniał sobie w jak brutalny sposób został obudzony i uznał, że przyjacielowi nie należą się przeprosiny ani wyjaśnienia. W każdym razie już w pełni pozbył się senności.

–Wydaje mi się, że masz rację, Brianie – przy- znał. – Teraz czuję się dobrze i jestem gotów na wszystko.

–To wspaniale! – ucieszył się Giles. – Dzisiejszego ranka zjawił się ktoś, kogo chciałbym ci przedsta- wić -moja siostra. Rozejrzał się po Wielkiej Sieni. – Gdzież zniknęła ta panienka?

Uniósł głos do krzyku i okazało się, że jest w tym niemal tak dobry jak bracia.

–Liseth! Liseth! Gdzie jesteś? Sir James już tu jest!

Liseth!

–Już idę! – Gdzieś zza kuchni dobiegł kobiecy od- powiednik głosu de Merów.

"Jakież to zadziwiające, że ci ludzie są w stanie porozu- miewać się na odległości, których normalny głos ludzki zdaje się nie być w stanie pokonać" – pomyślał Jim.

–Jest młodsza od nas, z wyjątkiem jedynie Christop- hera – wyjaśnił Giles. – Nie może usiedzieć nawet przez chwilę na miejscu. Powiedziałem, że chcę, abyś ją poznał.

Ojciec także polecił jej pojawić się tu jak najszybciej.

Powinna poznać całą waszą trójkę.

–Rozumiem – odparł Jim, czując jak posiłek układa mu się w żołądku.

Ścisnął pasa przed mającym nastąpić spotkaniem, za- stanawiając się jednocześnie jak może wyglądać kobieta o cechach de Merów, szczególnie zaś obdarzona pokaźnym nosem.

–Oto i jestem! – Za jego plecami rozległ się dźwięczny kobiecy głos.

Zaczął się odwracać, lecz dziewczyna podeszła w tym czasie do ławy, na której siedział, tak że mógł ją zobaczyć obracając tylko głowę. Zupełnie nie tak ją sobie wyobrażał.

W przeciwieństwie do rodzeństwa była drobnej budowy, co czyniło ją zupełnie niepodobną do braci. Tylko czarne, głęboko osadzone oczy oraz włosy tej samej barwy co Gilesa świadczyły o przynależności do rodu de Mer.

Po niemal dwuletnim pobycie w tym świecie Jim zaczął rozpoznawać pozycję i pełnione funkcje po odzieniu.

Dziewczyna miała na sobie brunatną suknię, długą do ziemi i zasłaniającą szyję. Włosy uczesane w dwa grube warkocze opadały na delikatne ramiona. Suknia, jak niemal wszystkie noszone w czternastym wieku, była dopasowana do ciała powyżej tali, zaś jej dolna część układała się w fałdy. Przyjrzawszy się dokładniej, Jim dostrzegł, że jest ona wytarta z tyłu, co świadczyło o częstej jeździe konno.

Ubiór dziewczyny wykonany był z grubej, ciężkiej wełny.

Odzież powstawała w tych czasach głównie w celu zabez- pieczenia przed zimnem. Kiedy zaś przychodziło lato, trzeba było sobie jakoś radzić z nadmiernym gorącem. Co więcej, w zamku takim jak ten, zawsze panował chłód, może tylko nie w końcu lata, kiedy kamienne ściany, podłogi i sufity zdążyły się wreszcie nagrzać.

Na nogach miała buty, które można było określić mianem pantofelków. Przypominały one dwudziestowieczne dziecięce buciki zaopatrzone w sprzączkę wykonaną zapew- ne z kości.

Najdziwniejszym elementem jej stroju był jednak dość szeroki, skórzany pas opinający wiotką talię, na którym wisiało mnóstwo kluczy oraz innych przedmiotów użytecz- nych w gospodarstwie domowym. Lecz Jim nie był w tej chwili w stanie rozpoznać większości z nich. Pas ten zapewne oznaczał, że to ona jest panią zamku. Pomimo młodego wieku powierzono jej widać zadanie bycia gos- podynią i kierowania całą służbą w zamku i otaczających go zabudowaniach, z wyjątkiem jedynie stajni.

Jim był zaskoczony. Takie funkcje wymagały siły charak- teru i stanowczości, których na pierwszy rzut oka nie zauważało się u niej. Nie nosiłaby jednak pasa pani zamku, gdyby nie była w stanie podołać wiążącym się z tym obowiązkom.

–Co dalej, Giles – zwróciła się do brata. – Nie zamierzasz zaproponować, bym usiadła?

–Och… tak, oczywiście. – Ocknął się jej brat. – Mia- łem tylko nadzieję, że będziesz tu już, kiedy zejdą James i Brian.

–Zapominasz o moich obowiązkach – odparła, siada- jąc obok Jima i przyglądając mu się z zainteresowaniem. – Od Wielkiej Nocy na polecenie ojca zarządzam zamkiem, co wymaga ode mnie wiele czasu i pracy. Zawsze jest coś do zrobienia, czym muszę się zająć. Dlatego tak się cieszę, gdy mogę wsiąść na rumaka i wyruszyć na przejażdżkę.

Teraz jednak jestem tutaj… Sir Jamesie, czuję się doprawdy zaszczycona możliwością poznania ciebie! Nigdy nie ma- rzyłam nawet, że spotkam kogoś sławnego niemal jak król Artur. Doprawdy, niewielu było takich śmiałków, którzy zabili olbrzyma.

–Och, no cóż…

Jim znalazł się w nieco niezręcznej sytuacji. Komplement dziewczyny wymagał okazania skromności, lecz z drugiej strony nawet dla smoczego ciała Gorbasha była to morder- cza, cztero – czy pięciogodzinna walka, która pozbawiła go niemal wszystkich sił. Trudno więc też udawać, że był to nic nie znaczący epizod.

Łagodnie położyła dłoń na jego ręce.

–Przepraszam. Nie chciałam przywoływać tego tematu, jeśli jest on, panie, z jakiegoś powodu dla ciebie bolesny.

–Ależ nie – zaprotestował Jim. – Mówiąc szczerze, jestem niezwykle dumny, że zdołałem tego dokonać. Nie- wiele jednak mogę na ten temat powiedzieć, może tylko, iż była to naprawdę trudna walka.

–Z pewnością tak. I przemieniłeś się w smoka w zamku Maga, aby uratować przyjaciół.

–Tak, to prawda, ale nie przypominam sobie, abyśmy wspominali te wydarzenia ubiegłego wieczora z twoimi braćmi i ojcem…

–Och, zadałam Gilesowi mnóstwo pytań na twój temat! – Uśmiechnęła się figlarnie, a cała jej twarz poja- śniała. – Opowiedział mi nawet o tej wróżce mieszkającej w jeziorze, która zakochana w tobie przybyła aż na pole walki między Anglikami i Francuzami. Musiało ci to sprawić niemało kłopotów.

–Cóż, chodziło jej o mnie, zaś ja musiałem uciekać, kiedy wciągnęła mnie w toń jeziora. Sądziła, że zatrzyma mnie, bo mogłem oddychać pod wodą tylko tam, gdzie ona na to zezwoliła. Wykorzystując jednak odrobinę swych magicznych umiejętności uciekłem. Nie sprawiło mi to więc aż tak wielu kłopotów.

–Pomyśl jednak co oznaczałoby to dla twojej żony, jeśli na zawsze musiałbyś pozostać na dnie jeziora. Nie mówiąc już o przyjaciołach, którzy bez ciebie nie oswobo- dziliby księcia.

–Więc Giles powiedział ci też o Angie? – zdziwił się Jim.

–Och, tak. Sama go o to zapytałam – przyznała z uśmiechem.

Nigdy w pełni nie wyjaśnił żonie okoliczności pojmania go przez Naturalną o imieniu Meluzyna – niewiarygodnie piękną. Angie nie wierzyła zaś, że nic pomiędzy nimi nie zaszło podczas niewoli na dnie jeziora. Nie miał jednak teraz ochoty rozprawiać na ten temat.

–Jestem przekonany, że Sir Brian i Dafydd zdołaliby ocalić księcia, nawet jeśli mnie by tam nie było.

–Z pewnością masz rację – przyznała kurtuazyjnie.

Jej dłoń zsunęła się z ręki Jima i zwróciła się w stronę Briana.

–Twoja żona także musiała martwić się o ciebie, Sir Brianie, choć zapewne wie, że paladyn taki jak ty zawsze da sobie radę.

–Ja, paladyn? Ależ skąd! – rzekł Brian przepłukując usta łykiem wina. – Wszystkie zasługi należą się Jamesowi i

Dafyddowi. Jeśli zaś chodzi o żonę, to nie mam jej, przynajmniej na razie. Obiecana jest mi moja pani Lady Geronde Isabel de Chaney, lecz czekamy na powrót jej ojca z Ziemi Świętej, aby pozwolił nam na zaślubiny. Jak dotąd nic z tego, a oczekujemy już od czterech lat.

–Co za strata – uznała Liseth. – Ale przecież kiedyś wróci do domu.

–Jeśli wciąż żyje.

–To prawda – zgodziła się nieco zgaszona. – Tutaj, na granicy, wiemy, co znaczy niepewność życia. Musimy snuć plany na wiele lat naprzód, choć nie wiemy, czy dożyjemy tego czasu.

Ten chwilowy smutek zniknął jak mała chmurka przy- słaniająca słońce i Liseth z powrotem zwróciła się do Jima.

–Powiedz mi, panie, jak długo zamierzasz pozostać w naszym skromnym zamku?

Zanim Jim zdążył odpowiedzieć, dołączyła do nich kolejna postać – wysoka, szczupła, w kubraku, z łukiem w ręku i przewieszonym przez ramię kołczanem.

–A oto ostatni z moich szlachetnych przyjaciół, których chciałem ci przedstawić – rzekł Giles do siostry, gdy Dafydd oparł broń o stół, położył na nim kołczan i stanął wyczekując. – Przedstawiam ci Dafydda ap Hywela, najwspanialszego ze wszystkich łuczników na świecie. Był z Brianem przy Twierdzy Loathly i ze mną we Francji!

Liseth wstała pospiesznie, szybkim krokiem obeszła stół i skłoniła się przed łucznikiem.

–To ogromny zaszczyt poznać cię, mistrzu łuku. Ależ siadaj, proszę.

–I dla mnie jest to niezwykła przyjemność – odparł Dafydd, wciąż stojąc. – Proszę, abyś także usiadła i napiła się z nami wina.

–No cóż… może pół kubka. Dziękuję – rzekła, gdy oboje usiedli. – Giles opowiadał mi, że ty także jesteś już żonaty.

–I to ze wspaniałą damą, kiedyś znaną jako Danielle o'the Wold. Mamy sześciomiesięcznego synka – dodał łucznik.

–Liseth, starczy tych uprzejmości – przerwał im Giles. – Wracaj do swoich obowiązków. My musimy teraz podjąć pewne decyzje. Jim, co chcesz dzisiaj robić? Mogę zabrać was na ryby, a zapewniam, że na naszych wodach można złowić naprawdę duże sztuki. To wspaniały sport.

Możemy też wybrać się na polowanie, choć lasy, gdzie żyją jelenie i inna zwierzyna są nieco oddalone…

–Nic z tych tTsciy – przerwał stanowczo Jim. Z przy- jemnością zająłby się takimi rozrywkami, ale jeśli rzeczywiście miał stanąć do walki z Ciemnymi Mocami, marnowanie czasu byłoby co najmniej nierozsądne. – Pomyślałem, że moglibyśmy poszukać Pustych Ludzi…

–Wspaniały pomysł! – poparł go Brian. – To znacz- nie lepszy sport niż łowienie ryb czy polowanie.

–I ja przyznaję, że to dobry pomysł – przemówił Dafydd, któremu właśnie podano śniadanie. – Dzisiejszego ranka sprawdzałem jedną ze strzał, w której wprowadziłem pewne zmiany. Czekam teraz na okazję, by wypróbować ją na celu, dla jakiego, szczerze mówiąc, została specjalnie zrobiona.

–W takim razie ja też powinienem udać się z wami! – stwierdził Giles. – Będziecie potrzebować prze- wodnika. Oczywiście najpierw muszę poprosić ojca o po- zwolenie…

–Musisz także mnie zabrać ze sobą – wtrąciła stanow- czo Liseth. – Właściwie jesteś do tego zmuszony, ponieważ tylko ja znam szlaki, którymi możemy dostać się do Pustych Ludzi.

Płowowłosy rycerz pokręcił głową.

–Liseth, ojciec nigdy nie zgodzi się…

–A ja sądzę, że się zgodzi. Mówiąc to poderwała się na nogi. – Pójdę i poproszę go – oświadczyła i zniknęła w drzwiach prowadzących do kuchni.

–Ona ma rację – rzekł ponuro Giles. – Umie rozmawiać ze wszystkimi dzikimi oraz oswojonymi zwie- rzętami i wie więcej o Wzgórzach Cheviot niż my wszyscy razem wzięci. A właśnie tam musimy się udać, by znaleźć Pustych Ludzi. Nie ma też zbytniej nadziei, by ojciec jej odmówił. Zna sposób, aby osiągnąć wszystko, czego zechce.

Właściwie ja też powinieniem z nim porozmawiać. Jako rycerzowi i dorosłemu człowiekowi jego pozwolenie nie jest mi potrzebne, ale ta rodzina przetrwała tylko dzięki współpracy, jak niemal wszystkie na granicy. Ojciec może mieć inne plany i nie zechcieć, abym teraz opuszczał zamek, choć wątpię, by miał coś przeciwko temu. Zaraz wracam.

–Poczekaj chwilkę – zatrzymał go Jim. – Nie plano- wałem zabierać ze sobą wszystkich. Właściwie chciałem pojechać sam. Miałem zamiar niepostrzeżenie podkraść się do ich obozu, poobserwować zachowanie i podsłuchać rozmowy.

–Cóż, nie dokonasz tego bez mojej pomocy – stwier- dził Brian. – Co się stanie, jeśli cię odkryją? Będzie ci wówczas potrzebny ktoś do osłony i obrony.

–Rzeczywiście, to prawda – przyznał Dafydd. – Poza tym, o czym zacząłem wcześniej mówić, lecz nie pozwoliliście mi dokończyć, chciałbym wypróbować sporządzoną właśnie strzałę. Ma specjalną budowę i mam nadzieję, że nadarzy się okazja do jej użycia. Istnieje większe prawdopo- dobieństwo tego, jeśli udam się z wami na poszukiwania.

–Nie dacie przecież rady odszukać ich bez pomocy Liseth lub chociażby mojej i ustrzec się przed zabłądzeniem w tych dzikich stronach – rzekł Giles. – A więc ustalone.

Zaraz będę z powrotem.

Rzeczywiście nie było go tylko przez moment. Wraz z nim wróciła Liseth, z uśmiechem na twarzy, który obwieszczał, że jej także pozwolono wyruszyć. Jim za- stanowił się przez moment, czemu nikt nie zapytał jego o zgodę. Doszedł jednak do wniosku, że takie towarzystwo nie zaszkodzi mu podczas wyprawy na nieznane terytorium, na którym mogło grozić wiele niebezpieczeństw.

Wszyscy dosiedli koni. Giles poprowadził ich przez wrzosowisko na pofałdowany teren, z rzadka porośnięty drzewami. Wreszcie znaleźli się między niewielkimi górami i dolinkami, przez które sączyły się strumienie.

Na ten widok coś tknęło Jima, lecz nie mógł sobie tego dokładnie uświadomić, zanim konie nie wspięły się, z nie- małym trudem, na grań, a poniżej oczom jeźdźców ukazała się wąska dolina, którą przecinał pas wody mniejszy od rzeki, lecz większy od strumienia. Oba brzegi były gęsto porośnięte sitowiem." W tym momencie odnalazł to, czego tak szukał w pamię- ci. Był to fragment wiersza Williama Allingera – poety z początku dziewiętnastego wieku. Nosił tytuł "Wróżki", a jedna ze zwrotek brzmiała tak: Nade mną góry wiatrowe U stóp dolina pełna sitowia Nie ośmielamy się polować przed małymi ludźmi owładnięci strachem…

U jego stóp znajdowała się porośnięta sitowiem dolina, a ponad głową, choć nie wyższe niż na kilkaset stóp, wiatrowe góry.

Jim zamyślił się, chcąc sobie przypomnieć, co jeszcze napisał William Allingham. Uznał, że w głębi ducha zawsze pozostanie w nim coś z naukowca. Rzadko jednak rozczulał się nad dwudziestowiecznym światem, który porzucił. Teraz przyszła jedna z takich chwil. Jeśli znalazłby się z powrotem w domu, mógłby pójść do biblioteki akademickiej i zajrzeć do tego, co jeszcze stworzył Allingham. Czy to on napisał także tekst związany z małymi ludźmi?

Mądrzy ludzie, dobrzy ludzie Maszerują wszyscy społem, Niebieska kurtka, czenvona czapka i białe pióro sowie…

¦- Teraz więc oddajemy ci przewodnictwo, Liseth – odezwał się Giles, przerywając myśli Jima. – Jak mamy jechać?

–Prosto przed siebie – odparła szczęśliwa dziewczyna.

Jechała ze swobodą osoby wychowanej w siodle. Siedziała na koniu okrakiem, jak mężczyźni. Damskie siodło wymyś- lono znacznie później, lecz jej suknia była na tyle obszerna, że szczelnie okrywała nogi.

–Jak dotąd widziałam trzy króliki i wszystkie kicały w tym samym kierunku – ciągnęła.

–Cóż to ma oznaczać? – zdziwił się brat.

–Zobaczysz, Gilesie – odparła pogodnie.

Wysforowała się na przód kolumny i ruszyła szczytem grani, aż dojechała do ostrego zjazdu w dół, który prowadził na dno doliny. Nie był to żaden szlak, a tylko półka skalna szeroka na tyle, by pomieścić jeźdźca. Liseth ruszyła nią pewnie i czterej mężczyźni uspokojeni tym, podążyli za nią bez wahania, choć występ sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł urwać się lub osunąć spod końskich kopyt.

Zamykający kawalkadę Jim wolałby uniknąć tak ryzykow- nego zejścia, ale w obliczu niezachwianej postawy reszty, nie pozostało mu nic innego, jak jechać dalej.

W końcu dotarli na dno doliny. Pośród wysokich łodyg sitowia i pałek wodnych, migotała powierzchnia wody, jednak pomiędzy zboczem a mokradłami biegło pasmo stałego gruntu.

–Jesteś pewna, że jedziemy we właściwym kierun- ku? – zapytał podejrzliwie Giles.

–Najzupełniej – odparła Liseth, nie odwracając nawet głowy. – Teraz za ten zakręt i w górę.

Ruszyli za nią, aż dotarli do wskazanego miejsca i…

Oczom ich ukazał się niezwykły widok. Jim wybałuszył oczy tak, że omal nie wyskoczyły mu z orbit. Tuż przed sobą ujrzał bowiem grupę około pięćdziesięciu istot, lecz nie Pustych Ludzi. To byli Mali Ludzie, wprost z wiersza Allinghtona, jak tam maszerujący niczym oddział regular- nego wojska.

Zbliżali się. Ich stroje nie przypominały jednak opisywa- nych w poemacie. Mieli na sobie skórzane zbroje z przy- twierdzonymi do nich metalowymi płytkami. Byli uzbrojeni, 0 czym milczał wiersz. U pasów wisiały im krótkie miecze niemal identyczne jak rzymskie, zaś w rękach wszyscy dzierżyli włócznie proporcjonalne do ich wzrostu. Ostrza wznosiły się kilka stóp ponad głowami ustawionych w zwar- tym szyku małych wojowników.

Mali Ludzie wzrostem nie przekraczali czterech stóp, a ich dzidy miały nie więcej niż siedem stóp, lecz mimo to wyglądały niezwykle groźnie, z lśniącymi na ich końcach ostrzami.

Większość z nich nosiła gęste brody. Ale tu i ówdzie Jim dostrzegł gładko ogolone twarze. Bez zarostu widać było, że wszyscy mają oblicza w kształcie serca, z zaostrzonym podbródkiem, niebieskimi oczami i krótkim, nieco zadartym nosem. Nosy ich przypominały kształtem ten należący do Liseth, co pozostawało w ogromnym kontraście z organem powonienia Gilesa i niewiele mniejszym Briana. Dafydd miał zaś wąski i prosty nos, który pasował do reszty jego smukłego, acz barczystego ciała i słusznie pozwalał sądzić, że należy do Walijczyka.

Jim miał zupełnie przeciętny kształt nosa, dość prosty 1 niczym się nie wyróżniający, może tylko z wyjątkiem

niewielkiego wykrzywienia pozostałego na pamiątkę po złamaniu podczas gry w siatkówkę.

W chwili kiedy ujrzeli Małych Ludzi, zostali także przez nich dostrzeżeni. Widząc obcych, pierwsze dwa szeregi opuściły dzidy, wymierzając je prosto w jeźdźców. Powstała w ten sposób formacja przypominała falangę starożytnych greckich hoplitów.

Nagle dowódca oddziału zmienił zdanie lub może do- strzegł Liseth, ponieważ wydał ostrym tonem rozkaz i lance uniosły się z powrotem. Oddział zatrzymał się gwałtownie z niewiarygodną zgodnością. Grupa jeźdźców prowadzona przez dziewczynę zbliżyła się do wojowników, a z szeregu na ich spotkanie wystąpił Mały Człowiek z rudą brodą, przeplataną już siwizną.

–Liseth de Mer! – ucieszył się, a jego niski głos zabrzmiał zadziwiająco władczo.

–To wszystko przyjaciele, Aracu, synu Lutela. Oto mój brat Giles, którego znasz. Jeśli chodzi o pozostałą trójkę, to jego towarzysze. Uratowali mu życie we Francji przewożąc jego ciało do Kanału Angielskiego, skąd wrócił do domu. Tuż za mną… – Odwróciła głowę w stronę Jima i poradziła: – Lepiej zsiądźcie z koni.

–Przez cały czas prowadziłaś nas do Małych Ludzi! – syknął Giles, gdy stanęli na ziemi.

–Ależ oczywiście! A kto miałby lepiej wiedzieć, gdzie można znaleźć Pustych Ludzi?

Dopiero kiedy Jim zsiadł z konia, był w stanie ocenić możliwości drzemiące w Małych Ludziach. Choć niscy, mieli grube kości i wszyscy byli dobrze zbudowani.

Stali z końcami drzewców wspartymi na ziemi, lecz wciąż sprawiali wrażenie urodzonych wojowników. Liseth powróciła do przedstawiania Ardacowi towarzyszących jej osób: – Oto Sir James Eckert, rycerz sławny dzięki pokonaniu olbrzyma w miejscu zwanym Twierdzą Loathly…

–Słyszeliśmy o nim – stwierdził dowódca oddziału Małych Ludzi – ale nie o zabiciu olbrzyma, i do tego przez jednego rycerza.

–…Wraz z Sir Jamesem jest Sir Brian Neville-Smythe, który towarzyszył mu w walce pod Twierdzą Loathly i sam zabił ogromną larwę.

–Zdają się być dobrymi wojownikami, ale nie przed- stawiłaś nam jeszcze ani jednego powodu, dla którego mielibyśmy uznać ich za przyjaciół i wpuścić na nasze ziemie. Przyznaję jednak, iż. fakt, że zabili olbrzyma i larwę stawia ich po naszej stronie. A kim jest ten trzeci?

Łucznik wystąpił do przodu.

–Jestem Dafydd ap Hywel i jeśli się nie mylę, moja krew jest bliska waszej, choć trzeba głęboko sięgnąć wstecz, by ujrzeć ten związek.

–Tak? – zdziwił się Ardac. – A skąd pochodzisz?

–Jest Walijczykiem – wyjaśniła Liseth. – Choć istnieją inne powody, dla których możecie go uznać za przyjaciela. On też był pod Twierdzą Loathly i omal nie zginął powstrzymując strzałami harpie atakujące z nieba zasnutego chmurami.

–To coś, w co nie mogę uwierzyć. Czy jesteś tego pewna, Liseth? – zapytał Mały Człowiek.

–Wszyscy Brytyjczycy są tego pewni. Daję ci na to moje słowo – zapewniła dziewczyna.

–A ja swoje – dodał Giles. – Widziałem bowiem tego człowieka w czasie walki i nie ma od niego lepszego łucznika na całym świecie.

–Doprawdy tak mówisz? Gdzie więc jest jego łuk? – za- pytał Ardac.

–Jest tutaj.

Z tymi słowami Dafydd podszedł do konia i położył rękę na łuku umieszczonym w specjalnie do tego celu prze- znaczonym futerale.

–To jest łuk? – zdziwił się rudobrody dowódca. – To raczej drzewce piki. Nigdy nie widziałem tak ogromnego łuku.

Odwrócił głowę w kierunku swych żołnierzy.

–Broń naszych łuczników jest ponad dwukrotnie mniej- sza – dodał.

–Bądź pewien, że nie chodzi tylko o jego wielkość – rzekł Dafydd. – Rzecz przede wszystkim w kształcie, bo w nim zawiera się cały sekret tej broni. Mówię to jako łucznik, a także wykonawca łuków i strzał.

–Jeśli sam wszystko przygotowujesz, wielce ci się to ceni, kuzynie – stwierdził Ardac. – Nazywam cię kuzy- nem, ponieważ widzę i słyszę, że w twoich żyłach rzeczywiś- cie płynie starożytna krew. Były czasy, kiedy posiadaliśmy znaczną część północnej i zachodniej Brytanii oraz ziemię na zachód od niej. Wydaje mi się, gdy wiemy już o twoim walijskim pochodzeniu, że masz w sobie coś, co świadczy, iż w starożytności twoi przodkowie cieszyli się naszym szacunkiem i byliśmy im posłuszni. Odpowiedz, czy moje oczy się nie mylą.

–Mówisz o dawnych czasach, o których ludzie już dawno zapomnieli – odparł łucznik – lecz muszę przy- znać, że nie mylisz się w swym odczuciu.

–Nie zostały one zapomniane przez nas, a my jesteśmy przecież ludźmi – powiedział dowódca.

Odwrócił głowę i rzucił krótki rozkaz.

Piki żołnierzy przez moment spoczywały w dłoniach, po czym w ułamku sekundy wszystkie wystrzeliły w górę uniesione na wysokość ramienia, a ich ostrza rozbłysły w słońcu niczym w niemym okrzyku powitania. Ardac

przemówił ponownie i broń znów została wsparta na ziemi.

–Dziękuję – rzekł Dafydd.

–A teraz prosimy, abyś pokazał jak posługujesz się tym długim łukiem.

–Z przyjemnością, jeśli tylko znajdziemy odpowiedni cel, bez którego pokaz ten nie miałby sensu…

Urwał, ponieważ w szeregach Małych Ludzi powstało nagłe zamieszanie, a oczy wojowników zwracały się jednym kierunku. Czwórka przyjaciół powędrowała za ich spoj- rzeniami i dostrzegła zbliżającego się wilka. Przez moment Jim pomyślał, że oto zjawił się jego stary przyjaciel Aragh, podobnie jak we Francji, w ubiegłym roku.

Ten jednak był mniejszy od Aragha, choć niewiele, i jeszcze mocniej zbudowany. Wyłonił się spomiędzy krzaków oddalonych o jakieś pięćdziesiąt stóp, podchodząc teraz do Liseth z opuszczoną głową, położonymi po sobie uszami i machając ogonem.

Przez chwilę Jim odczuł zawiść. Co takiego było w ko- bietach, że wilki okazywały im swoją uległość? Ten nie okazywał takiego oddania jak Aragh żonie Dafydda, Danielle, ale widać było, że także wielce ceni sobie Liseth.

Dziewczyna, podobnie jak czyniła to Danielle, ruszyła w jego kierunku i oplotła rękoma szyję zwierzęcia, drapiąc ją i łaskocząc.

–Nie spodziewałem się spotkać cię tu, Liseth – rzekł wilk tak samo ochrypłym głosem jak Aragh.

¦ Rozdział 7 p.

rzyprowadziłam przyjaciół, aby poznali naszych wspól- nych znajomych, Snorrlu – wyjaśniła dziewczyna. – Widzisz ich przed sobą. Najbliżej ciebie stoi Sir James, baron de Bois de Malencontri et Riveroak, a obok niego, w zbroi, to Sir Brian Neville-Smythe. Tuż za nim ujrzysz zaś Dafydda ap Hywela, mistrza łuku. Ostatnim jest zaś mój brat Giles, którego z pewnością już widziałeś, choć nie miałeś jeszcze okazji poznać.

–Znam Gilesa – odparł Snorrl. Jego żółte oczy przesunęły się po pozostałej trójce. – Mówisz, że to twoi przyjaciele. Ufasz im?

–I to w zupełności – rzekła Liseth. – To oni ocalili życie Gilesowi.

–To już coś – stwierdził wilk. – Dobrze więc. Ja także zaufam im. Mogą więc słuchać.

–A dlaczegóż mielibyśmy nie słuchać, szlachetny wilku? – zapytał z ciekawością Jim.

Żółte oczy Snorrla zatrzymały się na nim.

–Ponieważ nieznajomym nie należy ufać. Zadałeś głupie pytanie, szlachetny rycerzu!

–Nie mów tak do niego – wypalił wściekły Giles. – To nie tylko nasz przyjaciel, ale także mag.

Zwrócił się do Jima.

–Pokaż im, Jamesie! – poprosił.

Prośba ta postawiła Smoczego Rycerza w niezręcznej sytuacji. Najczęstszą w podobnym wypadku sztuczką była przemiana w smoka. Wymagało to jednak zdjęcia ubrania i zbroi, bo w przeciwnym razie uległyby one zniszczeniu.

Nie miał jednak ochoty rozbierać się w obecności Liseth, pomimo iż w czternastym wieku ludzie mieli zupełnie inny stosunek do nagości niż w dwudziestym. Na szczęście ostatnio wymyślił substytut takiego pokazu. Zdjął jedynie hełm i na wewnętrznej stronie czoła napisał: MOJA GŁOWA GŁOWA SMOKA Jak zwykle nic nie poczuł, z wyjątkiem większego ciężaru spoczywającego na barkach. Był więc pewien, że zmiana nastąpiła natychmiast. Potwierdzała to także reakcja widzów.

Nikt nie zmienił wyrazu twarzy. Nikt nie zaczął krzyczeć.

Pośród Małych Ludzi zaległa jednak absolutna cisza, jakby to ich zaczarowano.

Na czole napisał czar przywracający normalny stan rzeczy.

GŁOWA SMOKA MOJA GŁOWA Nacisk na barki zelżał, więc znów miał ludzką głowę.

Z powrotem nałożył hełm. W szeregach Małych Ludzi rozległy się westchnienia ulgi. Zniknęło także napięcie Snorrla.

–Więc jesteś magiem – odezwał się wilk. – Jako mag zyskałeś w mych oczach, jak i u wszystkich innych zwierząt.

Wiadomo bowiem od stuleci, że magowie są naszymi przyjaciółmi, a nie wrogami. Nie oczekuj przeprosin, ponieważ moje słowa wyrażały to, co myślałem. Możesz jednak liczyć na uznanie ze względu na magiczne umiejętności, Sir Jamesie.

–Mówiąc szczerze, jak na razie jestem marnym adeptem sztuki magicznej i nie zasługuję na miano maga – przyznał Jim. – Tak powinno się bowiem zwracać tylko do najlepszych. Posiadam jednak pewne zdolności w tej dziedzinie. Wierzcie mi, że kiedy mówię, iż jestem waszym przyjacielem, to tak właśnie jest. Możecie zaufać nam wszystkim, jak osobom, których przychylność została już wielokrotnie potwierdzona.

–Sir Jamesie, my też posiadamy pewne, nie- wielkie wprawdzie, magiczne umiejętności – zabrał głos Ardac. – Lecz są one doprawdy bardzo małe. Szanujemy więc każdego, kto podąża trudną drogą zgłębiania tej sztuki. Możesz więc uznać nas za swoich przyjaciół, których znasz przez całe życie. Czy myślicie tak samo?

Odwrócił się do swoich towarzyszy, którzy zgodnie mruknęli, zgadzając się ze zdaniem dowódcy.

–Dziękuję – rzekł Smoczy Rycerz. Spojrzał na wilka i zapytał go: – Czy teraz już możemy usłyszeć od ciebie te

wieści?

Snorrl zerknął na Ardaca, po czym przemówił: – Rzeczywiście mam wam coś do przekazania. Chodzi 0 Pustych Ludzi, którzy rzadko mając okazję jeść, pić 1 zabawiać się ze swoimi kobietami, znajdują największą przyjemność w zabijaniu i tańcu. Taniec ten zaś jest tylko pretekstem do wszczynania bratobójczych walk. Jakaś setka ich wyruszyła właśnie w drogę i jedzie prosto w waszym kierunku. Spenetrowali już górną część doliny, więc wkrótce trafią tu do was, jeśli się nie wycofacie.

–Naszą dolinę? – zapytał Ardac. – Przecież wiedzą, że wstęp na te tereny jest im zakazany. Zdają sobie też sprawę, iż nigdy nie schodzimy im z drogi. Nigdy nie zrezygnowaliśmy z walki z nimi, ponieważ w naszych żyłach płynie stara krew i to co nasze, jest nasze, nawet jeśli przyjdzie w obronie tego zginąć. Skoro jednak wszystko robimy za zgodą ogółu, zapytam resztę co czynić. – Zwrócił się do swych wojowników. – Co wy na to? Czy powinniśmy ustąpić i przepuścić Pustych Ludzi?

Wśród szeregów zaległa głucha cisza.

–Czy mamy więc ruszyć naprzód i przepędzić ich z doliny?

Nikt nie wyrzekł słowa, lecz tym razem wszystkie dzidy uniosły się znów tworząc las drzewców ze skrzącymi się w słońcu ostrzami.

–Dobrze – stwierdził Ardac i włócznie opadły. Od- wrócił się z powrotem do Snorrla.

–Dziękujemy ci za ostrzeżenie, szlachetny wilku. Gdzie możemy się z nimi spotkać, na otwartej przestrzeni?

–Wiecie, że za tym miejscem, w którym strumienie łączą się, dolina rozszerza się w niewielką łąkę. To twardy grunt, a wokół piętrzą się pionowe skały, więc będą mogli tylko iść naprzód lub wycofać się. Mogę walczyć po waszej stronie, jeśli chcecie.

–Nie, przyjacielu – zaprotestował dowódca Małych Ludzi. – Bardziej przydasz się przynosząc nam wieści takie jak ta, zamiast ryzykować życiem w spotkaniu z tymi szalonymi cieniami. Możemy stracić wielu towarzyszy w walce z nimi, lecz nowi uzupełnią nasze szeregi, u nich zaś nie. Nie zdobędą bowiem nowych rekrutów spośród nas, którzy kiedyś tu rządziliśmy.

–Lecz ja dołączę do was, do krocset! – wyrwał się Brian. – Nie skorzystałem dotąd z okazji zatopienia miecza w żadnym z nich, choć mieli czelność zaatakować naszą trójkę w drodze na zamek de Mer. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, będę z wami.

–Szlachetny rycerzu, każdy kto walczy po naszej stronie jest mile widziany, pod warunkiem, że czyni to z pełnym zaangażowaniem i dla dobra ogółu, a nie dla własnych korzyści – oświadczył Ardac.

–Będę walczył pod twoimi rozkazami – zadeklarował się mistrz kopii, lecz po chwili zmitygował się i zwrócił do Jima: – Wybacz mi, panie. Zapomniałem, że ty mną dowodzisz.

Smoczy Rycerz skrzywił się. Znów miał przed sobą twardy orzech do zgryzienia, w postaci czternastowiecznego zwyczaju, że osoba posiadająca najwyższą rangę musi dowodzić. Brian wiedział, lepiej niż ktokolwiek inny, iż sam znacznie lepiej nadaje się do tego, już od dwóch zim bowiem uczył Jima posługiwania się bronią, lecz uczeń wciąż nie mógł się równać z nauczycielem. Należało jednak szanować ogólnie przyjęte obyczaje. Oczywiście oznaczało to, że on sam jest zmuszony do walki, choć nikt nie pytał go o zdanie. Giles i Brian, szczególnie zaś ten drugi, uznawali to za rzecz oczywistą, podobnie zresztą jak Snorrl oraz Mali Ludzie.

–Pozwalam ci walczyć, Sir Brianie – rzekł Jim. – To samo tyczy się ciebie, Sir Gilesie. Jeśli chodzi o Dafydda, nie mogę mu niczego polecać lub zabraniać.

–A więc wspaniale – stwierdził łucznik. – Z przyjem- nością wezmę udział w walce. Jak już mówiłem, mam nową strzałę, którą chciałbym wypróbować, przygotowaną spec- jalnie przeciw Pustym Ludziom. To będzie wprost wymarzona okazja.

–I ja będę walczyć – powiedziała Liseth -jeśli tylko ktoś da mi miecz i tarczę.

–Pod żadnym pozorem nie weźmiesz udziału w walce! – zaprotestował jej brat. – Słyszysz mnie, Liseth?

i – Słyszę. Skoro jesteś starszy ode mnie i do tego mężczyzną, nie pozostaje mi chyba nic innego, jak tylko posłuchać cię. Nie mogę jednak powiedzieć, bym była z tego powodu zadowolona.

–To, czy ci się to podoba czy też nie, nie ma tu żadnego znaczenia – stwierdził zapalczywie Giles. – Co powiedziałbym ojcu, gdybym musiał przywieźć do zamku twoje ciało? Chcesz postawić mnie w takiej sytuacji?

–No cóż… nie – odparła siostra miękkim to- nem. – Masz zupełną rację. Muszę trzymać się na uboczu.

–Możesz tylko wdrapać się na grań w miejscu, gdzie mamy spotkać się z Pustymi Ludźmi i wypatrywać ich – rzekł Giles. – Jeśli Snorrl zechce, może pójść z tobą i dopilnować, byś wróciła bezpiecznie do zamku, gdy okaże się, że żaden z nas nie będzie mógł opiekować się tobą w drodze powrotnej.

–On mówi szczerą prawdę – wtrącił się do rozmowy wilk. – Podobnie jak twoi bracia i ojciec, nie mogę pozwolić, by ci się cokolwiek stało. Nawet gdyby Puści Ludzie podążyli za nami, nie będę miał kłopotów z ich zgubieniem. Z jakiegoś powodu wszyscy boją się wil- ków. – Na potwierdzenie tych słów kłapnął paszczą. – Mógłbym powiedzieć, że mamy opinię groźnych stworzeń, ale to coś więcej – ciągnął, – Ich strach przed wilkami przypomina obawę ludzi przed duchami takimi jak oni.

–A więc ty, Snorrlu, i Liseth podążajcie za naszym schiltronem – rzekł Ardac, po czym zwrócił się do Jima. – Sir

Jamesie, pragnęlibyśmy, żebyście i wy jechali za nami.

–Oczywiście. Jak sobie życzysz.

–Ale… – odezwał się Dafydd. – Teraz możemy jechać z tyłu, ale muszę być na przedzie, kiedy ujrzymy Pustych Ludzi i chcę, aby żaden z was nie znalazł się między mną a nimi.

–Gdy uznasz to za stosowne, objedź nas z lewej strony, lecz później wróć na swoje miejsce, zanim dojdzie do starcia.

–Tak uczynię – rzekł łucznik i dał krok w tył na znak zgody.

Snorrl, Jim i cała reszta zajęli miejsce na końcu kolumny, która ruszyła dnem doliny. Mali Ludzie przyspieszyli kroku.

Nie był to trucht, ale szybki marsz, lecz pomimo ich krótkich nóg, jadący konno od czasu do czasu musieli przynaglać wierzchowce do kłusu. Jim uznał to za ciekawe, obserwując równy krok Małych Ludzi. Widok ten był nawet nieco śmieszny: grupa karłów z mieczami, dzidami i tarczami, maszerująca miar owo jak przerośnięte ołowiane żołnierzyki.

Jednocześnie marsz ten znamionowała powaga. Wojow- nicy szli pewni siebie i własnych umiejętności. Pomimo wzrostu, wyglądali na niezwykle trudnych przeciwników.

Jim doszedł do wniosku, że nie chciałby stanąć twarzą w twarz z takim wrogiem. Mali Ludzie budzili strach swoją walecznością i idealnym zgraniem.

Dotarli do części doliny opisanej przez Snorrla. Wciąż nie było tu nikogo. Najwyraźniej Puści Ludzie nie dotarli jeszcze do niej, co można było wytłumaczyć szybkim tempem marszu Małych Ludzi. Pod wieloma względami dolina ta podobna była do tych, które dotychczas przemie- rzali. Stanowiły one ciąg niewielkich rozstępów górskich, połączonych ze sobą wąskimi bramami skalnymi.

W dolinie, w której się znajdowali, strumień płynął wzdłuż jednej ze ścian górskich, tuż obok skał. Dalej rozciągała się niewielka, płaska łąka, łagodnie opadająca w kierunku wody. Osłonięta kamiennymi blokami, była porośnięta trawą na tyle gęstą i wysoką, że przypominała zielony kobierzec.

W przeciwległym końcu doliny, skąd mieli wyłonić się Puści Ludzie, ściany chyliły się ku sobie. W przejściu jakie tworzyły zmieściłoby się jednocześnie dwunastu ludzi.

Ardac zajął pozycję przy drugim skraju doliny, gdzie ściany schodziły się jeszcze ciaśniej. Zmusiłoby to atakują- cych Pustych Ludzi do stłoczenia się między grząskim gruntem porośniętym sitowiem i kamienną ścianą, tak, że równocześnie nie mogło nacierać więcej niż dziesięciu jeźdźców.

Czekali.

W tym czasie Liseth puściła konia wolno i razem ze Snorrlem zaczęła wspinaczkę po stoku, który na pozór nie był zbyt stromy, ale jego pokonanie wymagało od dziew- czyny poruszania się na czworakach. Wkrótce ujrzeli ich na szczycie klifu, z lewej strony. Pomachała ręką, a Giles odpowiedział tym samym.

–Poczeka, żeby obserwować co będzie się działo? – zapy- tał Jim Gilesa.

–Nie zdołałbyś jej odciągnąć siłą. Z pewnością będzie chciała wszystko zobaczyć, by później móc to opowiedzieć ojcu. Liczy oczywiście, że wygramy, i że będzie mogła zejść, dołączając do nas.

Minęło jeszcze około dwudziestu minut nim nadjechali Puści Ludzie. Pierwsi spośród nich cofnęli się, gdy tylko dostrzegli Małych Ludzi. Zjawili się ponownie po kilku minutach i stopniowo gromadzili w przeciwległym końcu doliny.

Znajdujący się z przodu, dosiadali niewidzialnych wierz- chowców i byli odziani w pełne zbroje. Pozostający z tyłu mieli na sobie tylko fragmenty odzienia lub pancerza, lecz wszyscy zaopatrzeni byli w miecze, topory, maczugi lub długie piki.

Kiedy już w komplecie sforsowali wejście do doliny, w ich szeregach dało się zauważyć wahanie.

–Co ich powstrzymuje? – zdziwił się Brian.

Jeden z Małych Ludzi, stojący w ostatnim szeregu, obejrzał się przez ramię i wyjaśnił: – W każdej grupie takiej jak ta jest co najmniej kilku uważających się za przywódców. – Jego głos niemal nie różnił się od należącego do Ardaca. – Zazwyczaj sprzeczają się, zanim nie wybiorą jednego, który ma dowodzić. Ardac to wykorzysta.

–Dafyddzie ap Hywelu! – Niemal w tej samej chwili rozległ się głos dowódcy Małych Ludzi.

Łucznik zsiadł już z konia, wyjął broń i przez ramię przewiesił kołczan. Z lewej strony obszedł oddział i wystąpił naprzód. Brian podążył za nim, a po chwili w jego ślady poszli także Giles oraz Jim. Ardac zmierzył ich spojrzeniem, lecz nic nie powiedział. W dali Puści Ludzie wciąż kręcili się niezdecydowanie, spierając się o to kto będzie nimi dowodzić i jaką przyjąć taktykę. Ośmiu Małych Ludzi, także dzierżących w dłoniach łuki, wystąpiło naprzód.

–To będzie interesujące – stwierdził jeden z nich. – Puści Ludzie są ledwie w zasięgu łuków. Strzała, która do nich doleci, będzie miała zbyt małą siłę.

Powiedział to dosyć głośno, lecz Dafydd zachował się tak, jakby wcale go nie słyszał. Wyjął już z kołczana strzałę tej samej długości co pozostałe. Ta jednak zamiast szero- kiego metalowego grota miała stożkowate ostrze, które w najszerszym miejscu nie było grubsze od drzewca. Grot pięciocalowej długości był tak ostry jak

igła. Przyglądając się mu Jim uznał, iż jest to kawałek odpowiednio ukształ- towanej stali. Połączenia z drewnem nie było widać z po- wodu zakrywającej go owijki.

Dafydd nałożył strzałę na łuk i napiął go tak, że lotki znalazły się na wysokości ucha.

Po chwili zwolnił cięciwę.

Strzała pomknęła na wysokości około sześciu stóp i leciała na poziomie klatki piersiowej siedzących na koniach Pustych Ludzi, aż dotarła do pierwszych ich szeregów…

I zniknęła.

–Chybił – mruknął Mały Człowiek, który odzywał się już wcześniej.

–Poczekajmy i popatrzmy – uspokoił go Dafydd.

W chwilę później jeden z Pustych Ludzi, w pierwszym rzędzie, spadł z niewidzialnego rumaka, a za nim grupa rozdzieliła się na pół, ponieważ w jego ślady poszło jeszcze dwóch znajdujących się głębiej w szyku. W ich szeregach powstało zamieszanie, bo trzy powalone ciała leżały niemal się dotykając.

–W imię Nocy! – wykrztusił rozmowny Mały Czło- wiek, tym razem tonem pełnym przerażenia. – Czy to możliwe, żeby trafił wszystkich trzech?

–Na to wygląda – stwierdził Jim. – Zdaje się, że strzała przeszyła ich po kolei.

W szeregach Małych Ludzi dał się słyszeć pomruk zdziwienia. Ardac pokręcił zaś głową.

–To możliwe byłoby tylko wówczas, gdyby strzała była kierowana magią – rzekł, spoglądając na Jima.

–Nie, po prostu wystrzelił ją Dafydd ap Hywel – wy- jaśnił Smoczy Rycerz.

Spojrzał na łucznika i zapytał go: – Czy to dlatego, że zastosowałeś inny grot?

–Tak – przyznał Dafydd, przysłaniając oczy i spog- lądając ponownie na tłoczących się i zdezorientowanych Pustych Ludzi. Wyglądało, jakby pośród nich rozgorzała ostra sprzeczka. – Muszę przyznać, że nie spodziewałem się aż takiego powodzenia.

–Nie rozumiem – przyznał dowódca Małych Ludzi.

Łucznik przeniósł na niego swe spojrzenie.

–Chodzi o to, o czym wy wszyscy mówiliście – wyjaś- nił. – Mam na myśli opowieść, że kiedy Puści Ludzie są odziani, posiadają coś na kształt zwykłego, choć niewidzial- nego ciała. Kiedy jednak okrycie to zostanie sforsowane, pod nim napotyka się tylko powietrze. Mając to na uwadze sporządziłem grot, który przebija pancerze, umożliwiając strzale dalszy lot i zapobiegają utkwieniu jej w metalu.

–Czy spotkałeś już wcześniej Pustych Ludzi? – zapytał Ardac.

Dafydd spojrzał na Jima, dając tym samym znak, że jemu pozostawia udzielenie odpowiedzi.

–Podczas podróży na zamek de Mer nasza trójka natknęła się na pięciu Pustych Ludzi jadących konno – wyjaśnił Smoczy Rycerz. – Dafydd trafił czterech z nich swymi zwykłymi strzałami, lecz tylko jeden spadł z wierzchowca i zostawił po sobie zbroję, pozostali zniknęli we mgle. Działo się to już o zmroku. – Spojrzał przenik- liwym wzrokiem na przywódcę Małych Ludzi. – A dlacze- go pytasz?

–Ponieważ ostatnio zachowują się nieco dziwnie – wy- jaśnił Ardac. Urwał na chwilę i spojrzał na przeciwników, którzy wciąż toczyli gwałtowny spór. – Nie mówię, że niemożliwe, by ich pięciu zaatakowało was trzech, szcze- gólnie jeśli wyglądaliście na obcych, ale niezwykłe jest, by tak po prostu pozostawili swe niedoszłe ofiary. Chyba że wszyscy czterej trafieni przez Dafydda zginęli, choć z wa- szego opowiadania wynika, że zostali tylko ranni.

–Wątpię – stwierdził sucho Dafydd. – Strzały trafiły tamtych w piersi, czyli w to samo miejsce co tego, który spadł z konia.

–No cóż, w takim razie teraz, tracąc po jednym strzale trzech wojowników i stając wobec broni, której nigdy nie widzieli, podobnie jak my, mogą szybciej zdecydować się na natarcie – rzekł Ardac. – Nie obawiają się śmierci, ponieważ jest ona dla nich tylko chwilowa. Jeśli przy życiu pozostanie choć jeden z nich, wszyscy zabici zmartwych- wstaną. Lecz mimo tego postępują niezwykle odważnie, wdzierając się tu. Wiedzą, że my, spośród wszystkich ludzi, jesteśmy najmniej skłonni do ustąpienia pola i atakujemy zawsze, gdy ktoś wejdzie nam w drogę. Zdają sobie także sprawę, że wolelibyśmy zginąć niż oddać choćby piędź naszej ziemi. Ten mały skrawek wciąż należy do nas.

Tutaj mamy żony i dzieci – wszystko, co pozostało z naszej rasy. Wróg jednak zdobędzie to tylko po naszym trupie.

Gwałtownie wskazał ręką przeciwległy kraniec doliny.

–Jak już wam mówiłem, są gotowi do natarcia, pomi- mo tego, że jedna strzała zabiła trzech spośród nich i stoją przed całym naszym schiltronem. Powinni porzucić nadzieję na zwycięstwo. Nie rozumiem, dlaczego zdecydowali się na takie posunięcie.

Jim nie zastanawiał się do tej pory nad określeniem schiltron. Gdy tylko zobaczył Małych Ludzi i ich dzidy, na myśl przyszły mu greckie falangi. Lecz w zamierzchłych czasach istniały także inne formacje złożone z włóczników.

A schiltron był nazwą szyku formowanego przez Szkotów w czasie walk z Anglikami.

Wyposażając przede wszystkim pierwsze szeregi w szcze- gólnie długie piki, Szkoci byli w stanie przeciwstawić się opancerzonym jeźdźcom gęstym lasem ostrzy. Nie mogli jedynie sprostać łucznikom, których

Anglicy sprowadzali z Walii i południowej części kraju. Używane jednak przez Małych Ludzi określenie schiltron zdawało się mieć szersze znaczenie. Było nazwą oddziału bojowego, przypominają- cego rzymski legion. O podobieństwie tym świadczyły także posiadane przez wojowników krótkie miecze i duże, prostokątne tarcze.

–Czy masz jeszcze takie strzały? – zapytał Dafydda dowódca schiltronu.

–Nie – odparł łucznik kręcąc głową. – Zrobiłem tylko tę jedną na próbę. Przygotuję ich więcej, jeśli przeżyję dzisiejszy dzień. Ale mam kołczan pełen zwykłych strzał i kiedy zbliżą się, zrobię z nich użytek. Wtedy zaatakują także wasi łucznicy. Pozwólcie mi przeprowadzić jeszcze jeden eksperyment.

Sięgnął do kołczanu, wyjął jedną ze zwyczajnych strzał, umieścił ją na łuku i strzelił w kierunku pierwszych szeregów Pustych Ludzi, którzy zaczęli już zbliżać się w ich kierunku.

Tym razem pomknęła niżej, przelatując pod zakutym w zbroję duchem. Ten natychmiast stoczył się na ziemię, strącony ze swego rumaka.

–Przynajmniej mogę pozbawić ich koni – stwier- dził. – Wolicie to, czy abym zabił po prostu tylu, ile mam strzał?

–Zabijaj – odrzekł krótko Ardac. – Jeśli ty, Sir James, Sir Brian i Sir Giles przesuniecie się na flankę wraz z naszymi łucznikami, będziemy mogli przyjąć ich szarżę.

Czwórka przyjaciół, a także dzierżący łuki Mali Ludzie przeszli na wskazane miejsce. Trzy pierwsze szeregi włócz- ników opuściły broń i wycelowały ją przed siebie. Żołnierze stojący w pierwszym szeregu przyklękli na jedno kolano, znajdujący się za nimi wsparli włócznie na ramionach poprzedników, a wojownicy z trzeciego szeregu na barkach tych z drugiego. Wszyscy zamarli w bezruchu czekając.

W ich kierunku, galopowały niewidzialne konie Pustych Ludzi a Jim wraz z towarzyszami i łucznikami ledwie zdążyli zająć dogodne stanowisko, gdy dotarła do nich pierwsza linia natarcia.

W szeregu pędziło dziesięciu Pustych Ludzi i widać było, iż są gotowi na śmierć. W ostatniej chwili ich wierzchowce chciały uniknąć swego losu, lecz jeźdźcy opanowali je i przylgnęli do końskich karków, starając się osłonić przed włóczniami. Broń i tak ich dosięgła. Atakujący nie wy- rządzili jednak wielu szkód wśród wojowników stojących niewzruszenie jak ściana złożona z zachodzących na siebie tarcz. Po chwili żaden z napastników nie pozostał przy życiu. Tuż za nimi pędziła jednak następna fala, która z całym impetem wpadła na formację Małych Ludzi i zdołała ją nieco naruszyć.

Jim stojąc z Brianem, Gilesem i Dafyddem pod urwis- kiem, na którego szczycie usadowiła się Liseth wraz ze Snorrlem, czuł się trochę jak widz, któremu nic nie zagraża.

Z zainteresowaniem obserwował Małych Ludzi. Wyraźnie znali taktykę przeciwnika, doskonale bowiem radzili sobie z odpieraniem ataku.

Na moment rozluźnili zwarty szyk, by niemal natych- miast przegrupować się w niewielkie oddziały, które z włócz- niami najeżonymi we wszystkich kierunkach i szczelnie osłonięte ze wszystkich stron tarczami, przywodziły na myśl jeże. Atakujący nie mogli w żaden sposób zbliżyć się do nich, a więc i zrobić im krzywdy.

Nagle Jim przestał być obserwatorem. Za duchami odzianymi w pełne zbroje zjawiły się te, które miały na sobie tylko części pancerzy – widok, który można by uznać za groteskowy, gdyby nie grożące tak poważne niebezpieczeństwo. Ich szyk wyglądał jak chmara lecących bezładnie części strojów i broni, poczynając od wiszących w powietrzu napierśników, a na samych rękawicach ścis- kających miecze kończąc. Grupa ta rzuciła się na Małych Ludzi, obok miejsca, gdzie stali także Jim, Brian, Giles oraz Dafydd.

Mali łucznicy odrzucili teraz swą podstawową broń, sięgnęli po krótkie miecze i popędzili na pomoc zagrożone- mu oddziałowi. W tym czasie mrowie pustych, niekomplet- nych zbroi otoczyło czwórkę przyjaciół, którzy starali się trzymać jak najbliżej siebie i osłaniać najsłabiej pośród nich opancerzonego Dafydda. Ku zdziwieniu Jima łucznik pochwycił z ziemi długi, dwuręczny miecz i zaczął wyma- chiwać nim jak piórkiem, powalając tłoczących się wokół wrogów.

Wszyscy cięli na oślep wyrąbując sobie drogę, lecz na miejsce zabitych wciąż pojawiali się nowi. Brian walcząc krzyczał radośnie, znalazłszy się wreszcie w swoim żywiole.

Ten entuzjazm udzielił się także Gilesowi i we dwóch pokrzykiwali do siebie, opisując atakujące ich części zbroi, które kolejno spadały na ziemię, gdy noszący je niewidzialni ludzie ginęli. Ich zapał udzielił się Jimowi. Oczywiście nie był on podobny do tego, który zagrzewał go podczas pojedynku na śmierć i życie z Sir Hughem de Malen- contri – sługą Ciemnych Mocy i poprzednim właścicielem jego zamku. Smoczy Rycerz czuł się podobnie jak podczas ubiegłorocznej potyczki pod murami zamku Smythe, gdzie wraz z Brianem starli się z najeźdźcami zza morza.

Jim uświadomił sobie, że jak w każdej tego typu potyczce, wszyscy myślą tylko o zabiciu przeciwnika i walczą, aż wreszcie, zupełnie niespodziewanie okazuje się, że nie ma już nikogo, w kim można by zatopić zimne ostrze. Wyczerpany stwierdził, że chwila taka właśnie nadeszła i wsparł się ciężko na mieczu. Brian i Giles równie zadyszani uczynili to samo.

Dafydd, jakimś cudem bez śladu rany, stał tuż przy nich.

Jedynie po nim nie było widać trudów walki. Plac boju opustoszał. Na murawie piętrzyły się tylko zbroje i ubrania.

Kiedy Jim odzyskał oddech, skierował się w stronę Ardaca, który wsunął już miecz do pochwy i odłożył tarczę. Dafydd, wraz z innymi łucznikami, wyruszył w tym czasie na poszukiwanie swych strzał.

–No cóż, to już koniec – powiedział dowódca Małych Ludzi, zdejmując hełm. – Muszę jednak stwierdzić, że ten atak był bardzo dziwny.

–Dlaczegóż to? – zdziwił się Jim, dostrzegając jedno- cześnie kątem oka, że towarzysze stanęli za jego plecami.

–Kilku z nich mogło uciec w ostatniej chwili, ale jeśli tak, to była ich zaledwie garstka – wyjaśnił Ardac. – A nie- wykluczone, że zabiliśmy wszystkich. To do nich nie- podobne.

Przejechał palcami po zlepionych potem włosach, które przylgnęły do czaszki. Były one kruczoczarne, co dziwnie kontrastowało z rudą brodą i niebieskimi oczami.

–A więc zazwyczaj nie walczą do ostatniego żołnie- rza? – zapytał Smoczy Rycerz.

Ardac pokręcił głową.

–Ale przecież sam mi mówiłeś, że nie troszczą się o to, czy zginą, ponieważ jak długo choć jeden z nich pozostanie przy życiu, ożywi pozostałych po czterdziestu ośmiu godzi- nach – rzekł wciąż nie rozumiejąc Jim.

–To prawda – przyznał rudobrody dowódca, drapiąc się po głowie. – Idą na śmierć znacznie chętniej niż zwykli ludzie. Ale także tylko do pewnych granic. Jeśli uznają, że nie opłaci się umierać, wycofują się. Tym razem nie postąpili w ten sposób. To, oraz fakt, że wdarli się na nasze terytorium, czego już dawno ich oduczyliśmy, są dla mnie niepojęte.

Zamilkł na chwilę i ponownie przesunął palcami po włosach, dostarczając im nieco powietrza.

–Ponadto zadali nam większe straty niż zwykle – ciąg- nął. – Mamy sześciu zabitych, a czterech następnych jest poważnie rannych i nie wiadomo, czy przeżyją. Już mówi- łem, że jesteśmy w stanie uzupełnić te straty, lecz okaże się to niemożliwe, jeśli takie ataki będą następować regularnie.

W żadnym wypadku nie zaprzestaniemy walki, ale jeśli stracimy więcej ludzi niż liczą rezerwy, nasza rasa wymrze.

A z tym nie mogę się pogodzić. Cokolwiek się tu święci, nie podoba mi się to.

Nagle do ich uszu dobiegł powtarzający się, odległy dźwięk. Jim i Brian rozejrzeli się wokół zdziwieni, lecz wzrok Gilesa i Ardaca bezbłędnie powędrował w kierunku Liseth i Snorrla. Dziewczyna machała w ich stronę, wyraź- nie przywołując.

–Czeka nas wspinaczka – rzekł Giles. – Musi mieć jednak jakiś ważny powód, skoro nas wzywa. – Spojrzał na trójkę przyjaciół i zapytał: – Udacie się ze mną na tę wycieczkę, panowie?

Mówiąc to przetarł twarz wolną dłonią, ponieważ w dru- giej, tak jak reszta, trzymał zdjęty dla ochłody hełm.

–Jeśli uważasz, że to konieczne – powiedział Brian, a Jim skinął głową.

Jak zwykle, gdy tylko coś zaczynało się dziać, Brian podświadomie zajmował pozycję przywódcy.

Droga na szczyt klifu była długa i ciężka. Kiedy wreszcie tam dotarli, siedli i przez długą chwilę starali się odzyskać oddech, zanim mogli rozmawiać z Liseth. Na ręku dziew- czyny obciągniętej rękawicą do jazdy konnej siedział sokół z głową zasłoniętą kapturem.

Pomimo zmęczenia, Jim z zainteresowaniem przyjrzał się ptakowi. Podczas poznawania tego średniowiecznego świata, zetknął się już z sokolnictwem, więc rozpoznał w ptaku sokoła wędrownego, i to piękny jego okaz.

Do polowań używano jednak zazwyczaj mniejszych drze- mlików lub kobuzów, a co najwyżej młodych samców sokoła wędrownego.

–Nie musicie pytać. Już wam mówię – odezwała się dziewczyna. – Ojciec wysłał tu Greywings, wiedząc, że mnie znajdzie. Do jednej nogi miała przywiązaną kartkę papieru z narysowanym mieczem i płaszczem. W zamku jest lub niedługo będzie jakiś ważny gość, więc wszyscy powinniśmy jak najszybciej wracać. Zacznijcie już schodzić do miejsca, gdzie zostawiliście konie. Ja ze Snorrlem pójdę inną drogą. Spotkamy się później.

Rozdział 8 D, laczego nie zejdziesz po prostu razem z na- mi? – mruknął niezadowolony Giles.

–Nie dam rady, trzymając jednocześnie Grey- wings. – Wyciągnęła wolną rękę i przepraszająco pogładziła brata po ramieniu. – Jeśli chcecie zabrać Snorrla ze sobą…

–Snorrl nie ma ochoty iść! – przerwał wilk. – Jestem tu, by strzec cię i opiekować się tobą, Liseth.

–Więc dobrze – przerwał Giles i zwrócił się do trójki przyjaciół: Wygląda na to, że mamy w tej kwestii niewiele do powiedzenia.

Ruszyli więc z powrotem tą samą drogą, aż dotarli do miejsca, gdzie pasły się ich wierzchowce. Gdy byli na górze, Mali Ludzie zniknęli bez śladu. Na polu walki nie pozostały ani ciała ich zabitych, ani też odzienie Pustych Ludzi.

Niewielki strumień, sitowie, łączka, wszystko wyglądało niemal tak, jakby nic się tu nie zdarzyło.

–Nie zgubimy się już teraz? – zapytał Jim Gilesa.

Ten pokręcił głową.

–Nie ma obawy. Nie znam tych okolic tak dobrze jak Liseth, nie mówiąc już o wilku, który najwyraźniej jest

jednocześnie wszędzie i widzi wszystko, ale poradzę sobie ze znalezieniem drogi powrotnej. Zapewne za jakieś pięt- naście minut spotkamy się z Liseth i Snorrlem.

Jego przypuszczenia okazały się zadziwiająco dokładne.

Jima zdziwił jedynie fakt, że choć oboje poruszali się wzdłuż klifu, a wędrówka ta nie należała do najłatwiejszych, już na nich czekali. Sokół zniknął z ciężkiej, skórzanej rękawicy dziewczyny. Giles zwrócił na to uwagę i zapytał: – Co zrobiłaś z Greywings? Odesłałaś ją do zamku?

Nie ma tam nikogo, z kim mogłaby się porozumieć. Nie będą wiedzeć, czy zdołała nas znaleźć, czy też… – urwał, ponieważ siostra pokręciła głową.

–Greywings powiedziała mi podczas drogi powrotnej coś ciekawego – wyjaśniła. – Krążąc nad lasem, wysoko w górze, wiesz jaki wzrok mają sokoły…

Jim przypomniał sobie wiadomości o tym ptaku, pocho- dzące z jego dawnego świata. Sokół był w stanie obserwować powierzchnię ziemi nawet z wysokości dwóch tysięcy stóp.

–… Greywings dostrzegła pełznącą larwę. Nigdy nie żyły tu podobne stwory. Właściwie krążą o nich tylko legendy. Poleciała więc, by ponownie ją odszukać i powie- dzieć gdzie się teraz znajduje.

Kiedy Liseth mówiła, ruszyli dalej. Nagle jednak Jim ściągnął wodze, zatrzymując konia.

–Poczekajcie – rzekł Smoczy Rycerz widząc zdziwione miny towarzyszy. – Lepiej zostańmy w tym miejscu, żeby mogła nas znaleźć.

Dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie.

–Greywings odnajdzie nas wszędzie – wyjaśniła. – Prze- stań zaprzątać sobie tym głowę, panie. Ona lata tak wysoko, że widzi na wiele mil w każdym kierunku. Nie umknie jej żaden zając, ani nic, co ma skrzydła. Nawet jeśli nie znajdzie nas, zanim dojedziemy do zamku, to i tak wleci jak zwykle przez okno mojego pokoju.

–Jesteś pewna? – zapytał z powątpiewaniem Jim, gdy konie ruszyły ponownie.

–Jak najbardziej – zapewniła go Liseth. – Zwykli sokolnicy mogą czasami zgubić swego ptaka. Lecz Grey- wings i inne ptaki oraz zwierzęta, które znam, są dla mnie jak siostry i bracia. Z pewnością wróci do zamku, jeśli dotrzemy tam przed nią. Jeżeli wcześniej nie nadarzy się okazja, to wówczas z nią porozmawiam.

–Ona ma rację, Jamesie – włączył się do rozmowy Giles. – Pomiędzy nimi istnieje jakaś szczególna więź, dzięki której potrafią się porozumieć.

–W takim razie nie mam już wątpliwości – stwierdził Smoczy Rycerz.

–Jedźmy kłusem – zaproponowała dziewczyna. – Wydostaliśmy się już ze skalistego terenu, więc możemy jechać szybciej, nie ryzykując zdrowia naszych rumaków.

Przynaglili konie i skierowali się prosto w stronę zamku de Mer.

Jim zauważył, że droga powrotna zajęła im mniej czasu niż jazda w tamtą stronę. Wystarczyło zaledwie około piętnastu minut, by wjechali na dziedziniec zamkowy i zsiedli z wierzchowców. Jim, będąc już na ziemi, spojrzał na Briana, który z trudem zsunął się z siodła, kurczowo trzymając się łęku. Jego twarz była trupio blada.

Jim otworzył już usta, by zapytać przyjaciela co mu się stało, ale ubiegła go Liseth. Zanim przemówiła, przy- skoczyła do niego i podtrzymała ramieniem.

–Brianie! Czy jesteś ranny? Zostałeś trafiony podczas walki? – dopytywała się.

–Rzeczywiście, wygląda na to, że odniosłem lekką ranę – wyszeptał Brian i osunął się na ziemię.

–Pomóżcie mi! – zawołała dziewczyna, starając się unieść leżącego, lecz zabrakło jej sił. – Musimy natychmiast położyć go i upuścić krwi!

–Nie! – warknął Jim. – Żadnego upuszczania krwi.

Zanieście go ostrożnie do naszej komnaty! – polecił, odpinając jednocześnie juki przytroczone za siodłem.

Giles i Dafydd podbiegli już do Briana i unieśli go.

W chwilę później pomogli im stajenni, którzy zjawili się, by zająć się końmi. Czterech mężczyzn wspólnie wniosło rannego do zamku. Jim zatrzymał się i zwrócił do Liseth: – Wybacz mi, ale w tym przypadku sam wolałbym zająć się jego leczeniem…

–Oczywiście, przecież znasz magię! – rzekła. – Ale pospiesz się, panie! Obawiam się, że jego stan nie jest najlepszy po tej wspinaczce i jeździe powrotnej.

–Ja także się tego obawiam – stwierdził ponuro Smoczy Rycerz i podążył za niosącymi Briana.

W wyznaczonej dla nich komnacie zajęli się leżącym już na łóżku mistrzem kopii. Zdjąwszy z niego zbroję stwierdzili, że znajdujący się pod nią dublet jest cały zbroczony krwią.

–Unieście go! – polecił Jim.

Nie miał zamiaru nadawać głosowi tak ostrego brzmienia, lecz sprawił to strach o życie przyjaciela. Na szczęście wszyscy wokół bez zastrzeżeń przyjmowali fakt, iż roz- kazywanie jest jego prawem.

Giles i Dafydd z pomocą stajennych unieśli Briana, a jeden z nich w trakcie tego podtrzymywał mu głowę. Jim ze złością zerwał leżącą na łożu pościel i rzucił ją Liseth.

–Zabierz to do kuchni, wygotuj i najszybciej jak się da wysusz.

–Natychmiast, panie! – szepnęła dziewczyna i biegiem wypadła z komnaty.

Aby zapewnić sobie swobodę ruchów, Jim zajął się zdejmowaniem własnej zbroi. Sięgnął po przyniesiony z dołu pakunek, rozwinął okrywający go materiał pokryty wos- kiem, wyjął swój płaszcz i rozpostarł na łóżku.

–Połóżcie go na nim – rozkazał. – Dobrze. Zdejmij- my mu teraz resztę ubrania i chcę, żeby je także zabrano do kuchni i wygotowano… Nie, czekajcie! – zawołał, kiedy Dafydd zaczął zbierać zdjęte już części garderoby.

Brian nie byłby zachwycony, gdyby jego strój skurczył się i już więcej nie mógł mu służyć. Materiału, z którego był wykonany, nie dało się bowiem porównać do używanego w dwudziestym wieku. – Lepiej powieście je przy ogniu.

I dopilnujcie, żeby zniknęło z niego to robactwo.

Spojrzał na Dafydda i Gilesa.

–Czy któryś z was mógłby tego dopilnować?

–Ja się tym zajmę! – zaofiarował się płowowłosy ry- cerz. – Wiem komu w kuchni można zaufać, żeby przypil- nował wiszących ubrań i uchronił je przed osmaleniem.

Zebrał pozostałe części stroju Briana i niemal biegiem podążył za siostrą. Jim pomyślał, że na szczęście jest tu najwyższy rangą, więc wszyscy postępują zgodnie z jego wolą, nie ociągając się i natychmiast wykonując wszelkie polecenia. Kiedy znalazł się w tym świecie, ta zasada działała mu na nerwy, ale teraz docenił płynące z niej korzyści.

Brian leżał niemal nagi na płaszczu, w którym z pewnoś- cią nie gnieździły się insekty, ponieważ został przed wyjaz- dem starannie uprany przez Angie, a Jim pilnował, by pozostawał czysty. Takie posłanie było jednak twarde, choć w tej chwili nieprzytomny Brian i tak nic nie czuł.

Nie wiadomo, ile stracił krwi, lecz z całą pewnością dużo. Jim odwrócił się do Dafydda i zobaczył, że w kom- nacie pojawił się Herrac z dwoma najstarszymi synami.

–Jest jeszcze jedna rzecz do zrobienia – zwrócił się do nich. – Jeśli ty, szlachetny Herracu lub któryś z twych synów pomoże mi, będę niezwykle wdzięczny. Chcę, żeby ktoś udał się do kuchni i znalazł co najmniej tuzin kromek spleśniałego chleba. Nie może to być chleb pieczony z żytniej mąki. Każdy inny będzie dobry, lecz musi być pokryty grubą warstwą pleśni. To właśnie ona jest mi potrzebna, a nie samo pieczywo. I przynieście je w najczys- tszej ze wszystkich misek. Rzeczywiście ma być czysta!

–Alan! – polecił Herrac, nie patrząc nawet na syna.

Ten momentalnie zniknął z taką samą prędkością, jak uprzednio jego rodzeństwo. Jim zaś zajął się odszukaniem rany i dokładnymi jej oględzinami. Na szczęście, pomimo znacznego krwotoku, nie wyglądała ona na poważną, pod warunkiem, że nie została zainfekowana. Ostrze przecięło pancerz i ukośnie rozorało bok. Dość płytkie rozcięcie biegło od ostatniego żebra aż pod pachę. Wciąż sączyła się z niego krew, więc Jim sięgnął do swego dobytku, skąd wyjął dość gruby prostokąt, wykonany jakby z wosku.

Wosk stanowił tylko zabezpieczenie, pod którym znajdowała się prostokątna płachta grubego, lecz miękkiego materiału, długa na trzy stopy. Angie dała mu go na wypadek, gdyby został ranny.

Sama wysterylizowała tkaninę i osuszyła ją, po czym zabezpieczyła przed dostępem bakterii, pokrywając woskiem.

Jim złożył materiał tak, aby powstał długi pasek, delikat- nie przyłożył go do rany i lekko docisnął dłonią. Odwrócił głowę ku Dafyddowi i rzekł: – Przytrzymaj go tak jak ja, żeby się nie zsunął.

Łucznik bez słowa wykonał polecenie. Smoczy Rycerz, mając ponownie obie ręce wolne, jeszcze raz sięgnął do juków i wyjął tym razem podłużne, wąskie skrawki materiału.

Owinął je wokół piersi Briana, mocując w ten sposób prowizoryczny opatrunek, który choć cały zbroczony już krwią, zdawał się skutecznie powstrzymywać dalszy jej upływ.

Jim nie był zachwycony tym, że okoliczności zmusiły go do użycia jedynego w stu procentach sterylnego opatrunku, zanim jeszcze rana została przemyta i obłożona pleśnią.

Lecz najpilniejsze było zatamowanie krwotoku, a korzys- tając ze swej dość ograniczonej wiedzy medycznej po- chodzącej z dwudziestego wieku, wiedział, że dokonanie tego w przypadku tak długiej, otwartej rany nie jest łatwe.

Nagle zdał sobie sprawę, że w komnacie jest dość zimno, a Brian leży przecież prawie nagi, więc grozi mu także przeziębienie, które w przypadku osłabionego organizmu łatwo może przerodzić się w zapalenie płuc.

Ciężko oparł się o ceglaną ścianę. Przeraziła go myśl, iż nie ma już żadnego czystego ubrania, którym mógłby okryć przyjaciela. Chwilowe zwątpienie minęło jednak i jego umysł znowu zaczął sprawnie pracować.

Oczywiście, że miał. Może niezupełnie czyste, ale na pewno lepszego nie dałoby się znaleźć w całym zamku.

Zaczął się rozbierać i okrywać nieprzytomnego Briana częściami własnego odzienia. Doszedł do wniosku, że pod jego koszulą i kalesonami, rannemu będzie przynajmniej nieco cieplej. Uniósł głowę i ze zdziwieniem spostrzegł, że w komnacie nie pozostał nikt oprócz Herraca i Dafydda.

–Nie byłem pewien, panie, lecz uznałem, że wolałbyś stosować leczenie magią w obecności jak najmniejszej liczby gapiów. Czy jest coś jeszcze, w czym ja lub ktokol- wiek z zamku mógłby ci pomóc?

–Jeśli istniałby jakiś sposób na ogrzanie tego pomiesz- czenia…

–Ależ oczywiście. Można wnieść tu piec. Można także rozpalić tłuszcz w kaganku, co da nie tylko światło, ale też i ciepło. Mam rozkazać, by moi ludzie się tym zajęli?

–Tak – rzekł Jim, lecz nagle pomyślał o problemie związanym z dymem. – Nie. Jeśli zrobimy jak mówisz, zaraz nadymi się tak, że… nie będę mógł używać magii.

Herrac, który już skierował się ku drzwiom, zawrócił.

–Masz rację. Ale kiedyś była to nasza sypialnia – moja i zmarłej żony – więc w okna wstawiliśmy prawdziwe szyby, choć były one drogie. W chłodne, zimowe poranki mieliśmy ten sam problem, więc zarządziłem zrobienie otworu, aby dym mógł się wydostawać.

Podszedł do szczytowej ściany, w której pod sufitem widoczna była klapa z zamocowanym, zwisającym w dół łańcuchem. Pociągnął zań i coś w rodzaju okiennicy, zapewne na prymitywnych zawiasach, odchyliło się do środka pod kątem około czterdziestu pięciu stopni, a do komnaty wpadły promienie słońca.

–Nie chcesz zapewne, aby okno było otwarte, zanim nie przygotuje się ogrzewania, prawda?-zapytał, zerkając na Jima.

–Masz rację, panie – rzekł Smoczy Rycerz z ogromną ulgą. – Bardzo mądrze to obmyśliłeś. W całym zamku nie znalazłoby się zapewne lepszej komnaty dla rannego.

Możesz więc rozkazać, by przygotowano ogrzewanie?

Herrac skinął i kiedy zamknął klapę, powiedział ledwie podnosząc głos, który i tak dotarł chyba do najdalszych zakątków zamku: – Alan!

Nie było żadnej odpowiedzi. Gospodarz mruknął coś pod nosem, zapewne przekleństwo.

–Hej! – wrzasnął ponownie, tym razem naprawdę podnosząc głos. – Ktokolwiek mnie słyszy, niech przyjdzie!

Czekał przez moment, lecz nadal nikt się nie pojawiał.

–Sam pójdę wydać polecenia sługom – postanowił wreszcie. – Zaraz wracam.

Nie oglądając się zniknął w korytarzu.

–Panie, nie powinienem ci przeszkadzać podczas czynie- nia magii, ale powieki Briana drgnęły dwukrotnie – odezwał się poważnym tonem Dafydd. – Niedługo chyba wrócą mu zmysły, a babka uczyła mnie, że ten kto utraci dużo krwi, powinien jak najwięcej pić. Czy mam przynieść wino?

–Nie wino – rzekł pospiesznie Jim. – Wodę… nie wody także nie. Piwo, i to jak najwięcej.

–Mnie wydaje się, że Brian wolałby wino – zawahał się łucznik.

–Może sobie woleć. Nic mnie to nie obchodzi! – zde- nerwował się Smoczy Rycerz. – Ma być piwo!

–Tak, panie – szepnął Dafydd i wyszedł.

Pozostawszy sam na sam z Brianem, Jim dostrzegł, że rzeczywiście drgają mu powieki. Pospiesznie sprawdził więc, czy opatrunek dobrze trzyma się na swoim miejscu.

Był wilgotny od krwi, lecz krwotok został już chyba zatamowany. Należało działać dalej, najszybciej jak tylko można, nawet za cenę ponownego otwarcia rany.

W czternastym wieku nie znano farmaceutycznych środ- ków bakteriobójczych, takich jak w świecie, z którego pochodził. Trzeba więc było polegać jedynie na metodach stosowanych od wieków. Wiadomo, że ludzki mocz skutecz- nie czyści ranę i pomaga w leczeniu, zabezpieczając przed zakażeniem. Znajdujący się w nim amoniak oraz inne składniki działają bakteriobójczo. Na szczęście Jim był w komnacie sam, a przyjaciel wciąż pozostawał nieprzytom- ny. Straszliwe pieczenie rany wywołane zetknięciem z mo- czem nie jest bowiem łatwe do zniesienia.

Zdjął ostatnie elementy pancerza i zluzował rzemień przytrzymujący nogawice. Dopiero wtedy zdecydował się rozwiązać bandaże przytrzymujące opatrunek. Uniósł go i delikatnie oderwał od krzepnącej krwi. Rana znów zaczęła krwawić, ale już w nieporównywalnie mniejszym stopniu.

Pospiesznie oddał na nią mocz, starając się całą zmoczyć.

Wywołało to intensywniejsze krwawienie, więc szybko, z nogawicami wciąż opuszczonymi aż do kostek, przyłożył opatrunek do rany i ściśle obwiązał go bandażem. Następnie zaś wytarł do sucha podłogę szmatami, które zostały tu przyniesione z kuchni.

Na szczęście krew nie wydostawała się już poza opatrunek.

Ledwie zdążył podwiązać nogawice, gdy zjawił się Alan z płytką miską wypełnioną po brzegi spleśniałym chlebem.

W większości były to pokrojone resztki nie dojedzonych bochenków. Choć zwracał na to uwagę, znalazły się tu także kawałki chleba z żytniej mąki. Do upieczenia większości użyto jednak prosa lub podobnego ziarna, ponieważ pieczywo to było znacznie jaśniejsze. Co najważniejsze jednak, znajdowała się na nim pleśń. Pleśń, która jak wynikało z tempa rozwoju nauk medycznych, za sześćset lat miała stać się surowcem do wyrobu penicyliny. Jim nie mając wyboru musiał wykorzystać ją w takiej postaci w jakiej była dostępna, czyli szaro niebieskiej piany pokrywającej tu i ówdzie kromki chleba. Delikatnie zdrapywał ją na jedną, szczególnie cienką kromkę. Następnie, tym razem już z pomocą Alana, ponownie zdjął bandaż oraz opatrunek i palcami rozprowadził pleśń po powierzchni rany.

Krew popłynęła ze zdwojoną siłą, grożąc wypłukaniem naturalnego antybiotyku. Pospiesznie jednak nakrył go

opatrunkiem i większość pleśni pozostała na miejscu.

Kiedy skończyli, Alan odezwał się nieśmiało: – Panie, jeśli nie potrzebujesz mnie już, czy mogę odejść? Ojciec wpadł we wściekłość, ponieważ nikogo nie było w pobliżu. Zagroził nawet, że powiesi kilku służących, by posłużyli za przestrogę dla reszty.

–Nie może tego zrobić! – wykrzyknął Jim.

–Opamięta się. Przynajmniej mam taką nadzieję. Nie zaszkodzi jednak, by cała rodzina była przy nim, hamując jego zapędy. Nas przynajmniej nie powywiesza. Może uda się go uspokoić i słudzy będą znów bezpieczni.

–Ależ oczywiście, idź.

Alan szybko wybiegł z komnaty.

Z gardła Briana dobył się chrapliwy, nieartykułowany dźwięk. Jim spojrzał na niego i zauważył, że przyjaciel ma szeroko otwarte oczy i stara się coś powiedzieć, ale nic mu z tego nie wychodzi.

–Nie mów nic, Brianie – przestrzegł go. – Oszczę- dzaj siły.

–Która… godzina? – wyszeptał jednak ranny. – Mu- simy już wstawać? Czy zaspałem?

–Nie, ależ skąd. Jest popołudnie. Nie pamiętasz?

Walczyliśmy wespół z Małymi Ludźmi przeciw Pustym Ludziom. Zostałeś ranny… ale na szczęście lekko. Straciłeś jednak wiele krwi. Musisz przez kilka dni leżeć.

Brian przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

–Z Pustymi Ludźmi? – wycharczał. – Tak… Przypo- minam sobie…

•- Nie mów tyle. Oszczędzaj siły. Musisz starać się je odzyskać. Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze. Osobiście się tobą zajmuję.

–Achhh – Brian wydał z siebie jęk i zamknął oczy.

Przyglądając się mu, Jim doszedł do wniosku, że raczej zasnął, niż stracił przytomność. A w panujących tu warun- kach nie było lepszego lekarstwa niż sen. Poprawił roz- rzucone na łóżku ubrania, by zapewnić rannemu maksimum ciepła. Pomyślał, że już wkrótce zostanie tu przyniesiony piecyk i w komnacie od razu wzrośnie temperatura.

Ziewnął przeciągle. Uświadomił sobie, że pośpiech, z jakim pracował po stwierdzeniu, że Brian jest ranny, ogromnie go wyczerpał. Wzrokiem poszukał mebla, na którym mógłby usiąść, i wybrał ławę. Ziewnął ponownie, lecz nagle odeszła mu ochota na sen, gdyż na karku poczuł ostre ukłucie. Kierowany odruchem chciał się odwrócić, by sprawdzić co to takiego, lecz powstrzymał go baryton, w którym pobrzmiewał szkocki akcent: – Nie ruszaj się! Mam cię, ty czarnoksiężniku! Coś zrobił temu biednemu człowiekowi?! Tym razem nie unik- niesz pala i przypiekania na wolnym ogniu!

r Rozdział 9 j im zdrętwiał z przerażenia na myśl o wykonaniu tej groźby. Za jego plecami stał najwyraźniej jakiś szaleniec i to z naprawdę ostrą bronią. Otworzył usta, lecz nie mógł dobyć z siebie żadnego dźwięku. W tej jednak chwili usłyszał inny głos, należący do Dafydda: – Ty też nie ruszaj się nawet o cal, Szkocie. Trzymam w ręku naciągnięty łuk i celuję prosto w twoją szyję. Uczyń choć drobny ruch, a jej grot przybije twoje gardło do kręgosłupa.

Zaległa cisza, ponieważ napastnik poczuł się równie zaskoczony jak Jim, lecz po dłuższej chwili przemówił ponownie: – Możesz mnie zabić, ale nie ocalisz swojego przyjaciela.

MacGreggor spełnia to, co obie…

Szkot urwał, ponieważ rozległ się trzeci głos, należący tym razem do Liseth: – LachlanieMacGreggorze! Co chcesz zrobić Sir Jame- sowi? Co tu się dzieje? Dlaczego Dafydd mierzy w ciebie z łuku? Czyżby po to, aby powstrzymać cię przed uczynie- niem krzywdy temu szlachetnemu panu?

–Z pewnością nie jest to żaden szlechetny pan – za- protestował MacGreggor. – Tylko zły czarnoksiężnik!

Uwolnię od niego ten świat, jak po wielokroć czyniłem z innymi mu podobnymi i nie obchodzi mnie, co zrobi ten tchórzliwy łucznik za moimi plecami.

–Czarnoksiężnicy nie istnieją – zaprotestował Jim, przypominając sobie słowa Carolinusa. – Są tylko magowie, którzy zeszli na złą drogę. Ja zaś jestem magiem…

–Wystarczy tego mielenia ozorem! – przerwał mu napastnik. – Może unikniesz pala i płomieni, lecz z pew- nością nie ostrza mojego sztyletu…

Jego dalsze słowa zagłuszyła Liseth.

Jim dawno już zauważył, że czternastowieczna natura ludzka była nieskrępowana w działaniu, szczególnie gdy w grę wchodziły emocje. Zazwyczaj skrywana pod warstwą wyszukanych zwrotów i konwenansów, uzewnętrzniała się w okazywaniu uczuć i gwałtowności czynów. Liseth dała tego kolejny dowód. Jej głos brzmieniem przypominał nieco należący do ojca i braci, lecz Jim był pewien, iż nie może być równie donośny jak męski. Okazało się jednak, jak bardzo się mylił. Zwrócił kiedyś uwagę, że krzyk Angie dobrze niósł się po zamku, gdy tylko tego chciała, lecz nie mogła się ona mierzyć w tym względzie z Liseth.

–Aaaaaa! – wrzasnęła dziewczyna. – Ojcze! Chodź szybko!

Jej głos był nie tylko tak silny, że z pewnością dotarł w najodleglejsze zakątki budowli, lecz jego wibracja spra-

wiła, że Jimowi omal nie popękały bębenki i na chwilę zupełnie utracił słuch.

Kiedy go wreszcie odzyskał, zorientował się, że z oddali dobiegają okrzyki, szybko przybierające na sile. Spośród nich wyróżniały się oczywiście głosy de Merów, choć nie potrafił ocenić z czyich ust pochodzą, ani odróżnić po- szczególnych słów. W komnacie wszyscy pozostawali bez ruchu, a po chwili eksplodował w niej władczy bas Herraca: – Lachlanie MacGreggorze! Odłóż natychmiast ten miecz! Co? W moim domu grozisz bronią gościowi? Nigdy nie spodziewałem się tego po tobie! Oczekuję wyjaśnień!

Jim poczuł, że nacisk ostrza ustał. Odwrócił się i do- strzegł, że obok Herraca i Liseth stał Dafydd, wciąż przyciskając strzałę do szyi mężczyzny w kraciastej spó- dnicy.

–Sądzę, że ty także możesz odłożyć broń, Dafyd- dzie – rzekł Smoczy Rycerz.

–Proszę bardzo, ale miej się na baczności, Szkocie.

Wyciągnę ją z powrotem szybciej niż ty zdążysz mrugnąć powieką – zagroził Walijczyk.

–W moim domu nikt nie będzie groził goś- ciowi! – huknął gospodarz. – Gdyby Sir James nie polecił zdjąć strzały z cięciwy, ja bym to zrobił!

–Polecenie zależy jednak od tego, kto je wydaje – prze- mówił łagodnie Walijczyk.

Niemniej opuścił łuk zwalniając cięciwę. Szkot odwrócił się na pięcie i stanął naprzeciw niego.

–Jeszcze się spotkamy! Jak się zwiesz?

–Jestem Dafydd ap Hywel, mistrz łuku z Walii i jeśli tylko się chce, łatwo mnie znaleźć.

–Wystarczy! – przerwał im Herrac. – Lachlanie, o co tu chodzi?

–Znalazłem tu tego strasznego czarnoksiężnika, które- go nazywasz Sir jakimś, znęcającego się nad tym biedakiem na łożu, który ledwie zipie z jego powodu i nie jest już w stanie się bronić.

Jim poczuł, że traci nad sobą panowanie.

–Nie jestem żadnym czarnoksiężnikiem, ty idioto! – wy- krzyknął. – Jestem magiem! Jesteśmy zwykłymi ludźmi.

Szkolącym się w posługiwaniu magią dla dobra innych, podobnie jak lekarze poznają medycynę. Czarnoksiężnicy to tylko puste słowo, pochodzące z historyjek opowiada- nych przez ludzi nie mających o tym pojęcia i pragnących tylko nastraszyć słuchaczy!

–Dość tego! – oburzył się Lachlan. – Nie pozwolę obrażać mojej babki!

Jim utkwił w nim pełen zdziwienia wzrok.

–A cóż ma z tym wspólnego twoja babka? – zapytał zaskoczony.

–To ona opowiadała mi o czarnoksiężnikach i ich sposobach postępowania! Mówisz więc, że kłamała?

–Nie. Mogła święcie wierzyć w to, co mówiła, ale…

–Lachlanie MacGreggorze! – przerwała im Liseth. – Nie wiesz z kim rozmawiasz, ani co mówisz. Człowiek, który stoi przed tobą nie jest żadnym czarnoksiężnikiem, lecz dobrym magiem. Co więcej, wraz z mężczyzną leżącym na łóżku i stojącym za tobą łucznikiem walczyli ze stworami Ciemnych Mocy i pokonali je. Walka trwała cały dzień i stoczona została w miejscu zwanym Twierdzą Loathly, na moczarach południowej Anglii. Powstało na ten temat wiele pieśni, ale sądzę, że ty nie słyszałeś żadnej z nich!

–Ależ słyszałem je, i to nie raz – odparł MacGreggor znacznie łagodniejszym tonem niż poprzednio, skrobiąc się jednocześnie po niedbale ogolonym policzku, na którym widoczny był zarost tak samo rudy jak jego czup- ryna. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że to oni dokonali tych wszystkich bohaterskich czynów?

–Dokładnie to chciała powiedzieć! – rzekł Giles, wciskając się równocześnie pomiędzy siostrę a ojca. – Nie tylko to, ponieważ osobiście brałem we Francji wraz z Sir Jamesem udział w walce z naprawdę złym magiem! I choć tamten był od niego wielokrotnie potężniejszy, Sir James nie tylko go pokonał, ale jednocześnie ocalił mi życie!

Spędziłem z nim kilka miesięcy i mogą cię zapewnić, że nie ma szlachetniejszego i odważniejszego pogromcy zła niż stojący przed tobą Sir James de Bois de Malencontri.

–Tak mówisz? – spytał Lachlan, mrużąc oczy.

–Tak, podobnie jak my wszyscy – wsparł syna Her- rac. – Wezwaliśmy mą córkę, syna i jego szlachetnych gości, by cię przywitali, a ty przygotowałeś im tak piękne powitanie!

–No cóż, człowiek nie zawsze ma rację – stwierdził filozoficznie Szkot. – Zapomnę to, co mówiłem o tobie i zapytuję cię, panie, choć ciężko przychodzi mi zwracać się tak do Anglika, czy darujesz mi i wybaczysz pomyłkę, którą popełniłem? – zapytał Jima.

Przed rokiem, wkrótce po zjawieniu się tu wraz z Angie prosto z dwudziestego wieku, miałby problemy ze zrozumieniem tak brzmiącej wypowiedzi, lecz teraz dobrze wiedział, o co chodzi. Zdawał sobie sprawę, że są to jedyne przeprosiny, na jakie można sobie pozwolić bez narażenia tak przecież wyczulonej dumy.

–Już o tym zapomniałem – oświadczył i wyciągnął rękę. – Na dowód tego gotów jestem uścisnąć twoją dłoń.

MacGreggor uczynił to, nieświadomie ściskając prawicę Jima jak mógł najmocniej, co wynikało z powszechnie praktykowanej demonstracji siły, lecz po chwili opanował się i jego uścisk zelżał.

–Wszystko dobre, co się dobrze kończy – stwierdził zadowolony Herrac. – Nie zapominajcie jednak, co po- wiedziałem o kłótniach pod moim dachem, szczególnie zaś o użyciu broni.

–Panie, ja z pewnością nie tylko uszanuję twoją wolę, ale także pochwalę taką postawę i oddam ci honor,

ponieważ jest ona ze wszechmiar słuszna – powiedział Jim.

–I ja także – dodał pospiesznie Lachlan. – Takie są obyczaje i przyznaję, że nieco się zagalopowałem. Herracu, stary przyjacielu, obiecuję, że podobne zachowanie nigdy nie będzie miało miejsca w twoim zamku, chyba że sam dasz mi na nie przyzwolenie!

–Dobrze – mruknął gospodarz. – Kiedy już to wyjaśniliśmy, chciałbym zapytać cię, Sir Jamesie, czy można uczynić coś jeszcze, by pomóc Sir Brianowi?

–Zrobiliśmy już wszystko. Niech tylko w komnacie będzie nieco cieplej…

–Piec już powinien tu być! – zauważył Herrac, a w jego głosie można było wyczuć irytację. Spojrzał na syna i poprosił: – Gilesie, pójdź i zobacz, co się tam dzieje.

Ponownie zwrócił się do Jima: – Coś jeszcze, panie?

–Chciałbym, żeby ktoś został przy Brianie i wezwał mnie natychmiast, gdyby zaszła taka potrzeba. Jeśli znajdziesz odpowiednich ludzi, wyjaśnię im, co mają robić.

Aha, i trzeba z powrotem pościelić łoże, jak tylko pościel zostanie wygotowana i osuszona.

–Sądzę, że jest już prawie sucha – rzekł gospodarz.

Zwrócił się do córki: – Sprawdź to, Liseth. I wybierz ze dwóch służących, albo parę godnych zaufania kobiet… a najlepiej i jednych i drugich, żeby troszczyli się o Sir Briana.

Nagle dostrzegł, że Jim trzęsie się z zimna, stojąc rozebrany.

–Jeśli raczysz przyjąć odzienie jednego z moich synów albo moje, będzie nam bardzo miło, panie – rzekł.

–Dziękuję, lecz to zbyteczne – odparł pospiesznie Smoczy Rycerz. – Prawdę mówiąc mam w swoich rzeczach zapasowy strój. Mogę go włożyć, dopóki łoże nie zostanie zaścielone. Do tego czasu będę tu.

–Proszę bardzo. Rozumiem więc, że chciałbyś pozostać sam z Sir Brianem – rzekł olbrzym. – Uczynimy jak sobie życzysz. Lachlanie? Łuczniku?

–Jeśli pozwolisz, panie – odezwał się Dafydd.

–Ależ oczywiście, idź wraz z resztą. Wkrótce dołączę do was, a także do ciebie, Sir Lachlanie…

–Możesz oszczędzić sobie tych tytułów – warknął Szkot. – ¦ Nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Jim tylko skinął głową.

–Spotkamy się więc wkrótce, Lachlanie MacGreg- gorze – rzekł.

Wszyscy wyszli i Smoczy Rycerz ponownie został sam z Brianem. Dopiero teraz naprawdę poczuł panujący w pomieszczeniu chłód. Trzęsąc się z zimna rozpoczął poszukiwania w swoim pakunku rzeczy, w jakie mógłby się ubrać.

Znalazł wreszcie czyste nogawice i wdział je pospiesznie.

Po chwili wyciągnął także kaftan, niestety nie wyglądający najlepiej, jako że był bardzo pognieciony. Nie pozostało mu jednak nic innego, jak tylko włożyć go. Z przyjemnością poczuł jak od razu robi mu się cieplej, lecz nie miał czasu delektować się tym, ponieważ właśnie powróciła Liseth z piecykiem i pościelą, przyniesionymi przez podążające za nią dwie kobiety i tyluż mężczyzn.

Brian ocknął się, gdy służący, z pomocą Jima, unieśli go, aby można było zasłać łoże. Herrac był jak na owe czasy dobrym gospodarzem zamku de Mer, ale nikt tutaj nie dbał o czystość. Jim przyzwyczaił się jednak do takiej postawy, ponieważ nawet we własnym zamku mieli z Angie kłopoty z wymuszeniem utrzymania należytej czystości.

Zdołali wpoić większości służących zwyczaj mycia rąk przed przygotowywaniem i podawaniem posiłku, lecz było to wszystko, co udało im się osiągnąć. Tak więc służba na zamku de Mer nie różniła się od innych. Przemilczał ten temat. Cieszyło go, że przyjaciel został ułożony na czystym posłaniu i szczelnie okryty. Na szczęście podczas przygoto- wywania łoża nie zauważył żadnego robactwa, tak więc wygotowanie materiału poskutkowało.

Kiedy wszystko zostało zrobione, zwrócił się do dziew- czyny, po uprzednim przemyśleniu co należy czynić.

–Liseth, pozwól, że powiem ci jak trzeba zajmować się naszym rannym, a ty z pewnością lepiej niż ja przekażesz to służącym. Chcę, żeby przez cały czas znajdowali się przy nim jedna kobieta i jeden mężczyzna. Pod żadnym pozorem nie wolno im pić z tego samego dzbana lub innego naczynia, z którego korzysta Brian. To niezwykle ważne…

Na poczekaniu wymyślił groźbę, która zdawała się gwarantować właściwy skutek. Znów odwołał się do magii.

–Jeśli uczynią to, wyschną jak wystawione na słońce ropuchy.

Z zadowoleniem stwierdził, że twarze służących pobladły.

Z doświadczenia wiedział, iż taka groźba będzie skuteczna, bo pokusa nie zdoła przezwyciężyć strachu.

–Co więcej – ciągnął – muszą przez cały czas utrzymywać ciepło w komnacie i regularnie opróżniać i myć nocnik. Mają także proponować Sir Brianowi picie, gdy tylko się obudzi. I podawać mu tylko piwo. Trzeba dostarczyć jego organizmowi jak najwięcej płynu, by jak najszybciej odzyskał utraconą krew. My oboje udamy się teraz do kuchni, znajdziemy cielęcą wątrobę i ugotujemy ją. Czy to możliwe, jak sądzisz?

–Oczywiście, panie. Sama mogę się tym zająć – zapew- niła go Liseth.

–Upewnij się więc, czy ludzie zajmujący się gotowaniem są czyści, a kociołek na zupę dokładnie wyszorowany i umyty mydłem.

–Mydłem? – powtórzyła dziewczyna.

–Nie znasz mydła? – zdziwił się Jan. – To substancja używana przede wszystkim przez magów – wyjaśnił.

Myślał przez moment, po czym ciągnął: – Poleć więc, by dokładnie oskrobano wnętrze kociołka, aż będzie lśnić, a następnie niech zostanie napełniony po same brzegi wodą i gdy ta się zagotuje, niech nadal stoi na ogniu przez, powiedzmy dziesięć "Ojcze nasz". Później kociołek może być zdjęty z płomienia, opróżniony i natych- miast trzeba do niego wrzucić posiekaną wątrobę. Niech zagotuje się, po czym należy ją tu przynieść i wmusić w Briana jak najwięcej.

–Czy Sir Brian lubi gotowaną wątrobę? – zapytała z lekkim wahaniem Liseth.

–Zapewne nie, ale i tak musi ją zjeść. I pić jak najwięcej piwa. Nie można mu podawać wina, żeby to było jasne, choćby nie wiem jak o nie prosił. Czy możesz przekazać to wszystko tej czwórce?

–Oczywiście, panie – odparła poważnie Liseth. Zwró- ciła się do służących: – Jeśli Sir Brian umrze, będzie to wyłącznie wasza wina, ponieważ nie troszczyliście się 0 niego odpowiednio. Dlatego też, albo dokładnie spełnicie polecenia tego maga, albo zostaniecie powieszeni. – Sądzę, że to wystarczy. – powiedziała do Jima. – Czy raczysz zejść ze mną na dół, Sir Jamesie?

–Oczywiście. I mają mnie niezwłocznie wezwać, gdyby zdarzyło się coś niezwykłego. Co więcej, jedna z kobiet od czasu do czasu ma dotykać czoła rannego i sprawdzać, czy nie jest gorętsze niż być powinno.

–Słyszeliście? Co czynisz, panie? – zapytała.

–Kończę się ubierać – oświadczył Jim, wdziewając buty.

W pełnym już stroju ruszył za dziewczyną na korytarz 1 oboje skierowali się do Wielkiej Sieni.

–Czy naprawdę powiesiłabyś ich? – zapytał, gdy schodzili po kamiennych, kręconych schodach. – Właś- ciwie śmierć Briana, niemożliwa zresztą, nie byłaby przecież przez nich zawiniona. Jeśli kogokolwiek należałoby winić, to tylko mnie.

–Cóż za pytanie! – rzekła Liseth, przyglądając mu się badawczo łagodnymi, ciemnymi oczyma. – Ciebie nie możemy przecież powiesić, panie. Trzeba by jednak kogoś ukarać. Od tego, między innymi, są służący. Ale jak ktoś taki jak ty może zadawać podobne pytanie?

–No cóż… – zaczął Jim, machnął ręką i urwał.

Na szczęście, ku jego ogromnej uldze, Liseth nie wypy- tywała go więcej.

–Och, tak jak mówiłam, Greywings wróciła – poin- formowała go zadowolona. – Rozmawiałam już z nią i dowiedziałam się, że ponownie znalazła tę potworną larwę.

–A więc udało się jej…

–Tak. Larwa wygrzewała się na kamiennym klifie.

Gdzieś na terenie Wzgórz Cheviot.

–Mówisz, że gdzieś tam? Czyżby więc ta twoja Gre- ywings nie była pewna, gdzie widziała tego stwora? – za- pytał Jim.

–Ależ oczywiście, że wie, ale ona nie wyczuwa przestrze- ni w ten sam sposób co my. Dowiedziałam się od niej, że nie oddaliła się zbytnio od zamku, ale to może być równie dobrze pięć, jak i pięćdziesiąt mil, w zależności od tego jak szybko leciała. Właściwie sądzę, że larwa znajduje się raczej w odleg- łości bliższej pięćdziesięciu milom, jeśli rzeczywiście znajduje się na Wzgórzach Cheviot, tam gdzie mieszkają Puści Ludzie.

–Szkoda, że nie wiadomo dokładnie gdzie – stwierdził w zamyśleniu Smoczy Rycerz.

–Zapytam o to Snorrla, kiedy tylko się z nim spot- kam – zapewniła dziewczyna.

Wilk opuścił ich podczas drogi powrotnej, zanim jeszcze ujrzeli zamek. Wyglądało na to, że nie lubił budynków tak samo jak Aragh – czworonogi przyjaciel Jima, mieszkający nieopodal zamku de Malencontri.

–A kiedy to nastąpi? – zapytał.

–Och, jutro, a może i za tydzień. Ze Snorrlem nigdy nic nie wiadomo, jak z większością zwierząt i ptaków – odparła miękko. – One nie myślą tak wiele o czasie i przestrzeni.

–A co z jej rozmiarami? Jak duża była ta larwa?

–Tego także trudno było dowiedzieć się od Grey- wings – przyznała Liseth. – Zaczęła od tego, że jest większa od zająca. Wiedziałam, że musi wielokrotnie przewyższać go rozmiarami, więc zapytałam, czy była tak duża jak krowa. Przemyślała to i odparła, że owszem.

Wreszcie doszłyśmy do tego, że przewyższała rozmiarami wóz. Nic większego, do czego mogłabym ją porównać, nie przychodziło mi po prostu do głowy.

–A czy miała oczy na słupkach? – zapytał Jim.

–Tak, rzeczywiście! Skąd o tym wiedziałeś? – zdziwiła się dziewczyna. – Greywings właśnie tak powiedziała. Jak wielki ślimak, taki, jakie znajduje się w ogrodzie.

–Opis ten łudząco przypomina stwora, z którym Brian walczył pod Twierdzą Loathly – wyznał jej Smoczy Rycerz.

Rozmawiając zeszli na dół. Przy wysokim stole siedział tam Herrac z synami, Lachlan MacGreggor oraz Dafydd.

Kiedy zbliżyli się, gospodarz zaprosił ich gestem do zajęcia miejsc. Zasiedli więc na ławie naprzeciw niego.

–Jak czuje się Sir Brian, panie? – zapytał olbrzym, napełniając kubek i stawiając go przed Jimem. Zdawał się

zapomnieć o córce, lecz ta sama nalała sobie nieco trunku.

–Przy odrobinie szczęścia wyjdzie z tego bez większego uszczerbku. Jak wiesz, rzecz przede wszystkim w znacznym ubytku krwi. Rana jest płytka, lecz długa i znajduje się z lewej strony, na żebrach. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Przy troskliwej opiece, piciu dużej ilości płynów i jedzeniu gotowanej wątroby, którą przygotuje Liseth, sądzę, że przed końcem tygodnia będzie już w pełni sprawny. A nawet jeśli będzie przychodził do siebie nieco wolniej, do tego czasu wstanie przynajmniej z łóżka i dołączy do nas przy posiłkach.

–Och, zupełnie zapomniałam o tej wątrobie, panie – jęknęła Liseth. – Każę ją przygotować i zaraz wracam. Za twoim pozwoleniem, ojcze.

–Ależ oczywiście. Idź już! – rzekł Herrac, kiwając ręką.

Dziewczyna błyskawicznie wstała i zniknęła w drzwiach prowadzących do kuchni.

–Szkoda, że Sir Briana nie ma teraz z nami, gdy będziemy omawiać tak poważne sprawy – stwierdził gospodarz.

Dopiero teraz Jim dostrzegł zatroskane miny siedzących przy stole. Pociągnął duży łyk wina, a później następne, aż ujrzał dno kubka. Czerwone wino smakowało mu wyjąt- kowo i przyjemnie grzało w środku. Zdał sobie sprawę, że nie tylko odczuwał pragnienie, ale także zajmując się Brianem przez dłuższy czas znajdował się w napięciu. Nie zaprotestował więc, gdy Herrac ponownie nalał trunku do jego kubka. Nie na tym skupił teraz uwagę. Usilnie starał się bowiem powiązać wizytę szalonego Szkota z obecnością larwy, aktywnością Pustych Ludzi, zachowaniem Herraca i słowami Carolinusa.

Mag mógł się przecież mylić…

Rozdział 10 R rzeczywiście, masz rację – stwierdził Lachlan, w za- myśleniu napełniając własny kubek i pijąc z niego. – Prze- cież to Anglii grozi inwazja, a on jest jedynym Anglikiem w naszym towarzystwie.

–Nie zapominaj o Sir Jamesie Eckercie de Malencon- tri – przypomniał Herrac. – On także jest Anglikiem.

Jim w ostatniej chwili ugryzł się w język, ponieważ chciał powiedzieć, że tak naprawdę jest Amerykaninem. Problem związany z wyjaśnieniem tego byłby jednak zbyt skom- plikowany. Na szczęście w porę powstrzymał się.

–Widzę coś niezwykłego w tym, że Szkot, Walijczyk, Northumbrianin, a nawet Anglik zasiadają do rady nad sprawą taka jak ta – zauważył Dafydd.

–Zapomnijmy teraz o takich osobliwościach! – rzekł poważnie Herrac. – Gwoli ścisłości Northumbria przemie- niła się w Northumberland i teraz nas też uważa się za Anglików. Co więcej, sprawy nie dotyczą wyłącznie Nort- humberlandu czy Anglii, ale także Szkocji i Walii. Jeśli mamy zostać podbici przez Francuzów, wszyscy doświad- czymy tego w równym stopniu. Przecież każdy Żabojad mający prawo nosić broń, będzie chciał uzyskać ziemię, by zrekompensować sobie wysiłek związany ze zdobyciem naszej wyspy. Odnosi się to również do Walii, z całą pewnością do Anglii, a nie wykluczone że i do Szkocji.

–Z tym także się zgadzam – przyznał MacGreggor. – Francuzi przesłali całkiem pokaźną ilość złota, ale żaden król nie poświęciłby go tylko dla okazania przyjaźni, ani zachowania pokoju między naszymi państwami.

Spojrzał Jimowi prosto w oczy.

–Krótko mówiąc, Sir Jamesie – pozwolisz, że tak będę się do ciebie zwracał, ponieważ łatwiej przychodzi mi to niż "panie" – rozmawiamy o inwazji Szkotów na Anglię, wspieraną francuskim złotem. Tyle tylko, że moi rodacy wyleją wiele krwi, zanim Anglia zostanie podbita, choć ja osobiście w taki sukces nie wierzę.

–Zależy ci na życiu Szkotów? – zapytał Jim. – Jak to się więc stało, że opuściłeś rodaków i znalazłeś się tu, ostrzegając wrogów o planowanym ataku ziomków?

–Dlatego, że Herracowi się to należy. Wszyscy możemy stać się ofiarami Francuzów. Co więcej, nie jestem przyja- cielem MacDougalla, który stanowi główną siłę podburza- jącą Szkocję do krwawej rozprawy z Anglią. Nie przeczę, że nie miałbym nic przeciwko podporządkowaniu nam Anglii, ale ten plan nie ma najmniejszych szans powodzenia.

–A to dlaczego? – zapytał z zainteresowaniem Jim.

–Bo ci wredni Francuzi nie zjawią się, kiedy przyjdzie na to pora! – rzekł podniesionym głosem Szkot, uderzając pięścią w stół. – Nigdy nie wywiązywali się ze swych obietnic, więc teraz będzie tak samo. Francuzi chcą, żeby to nasze klany odwaliły za nich całą krwawą robotę. Niech Szkoci podbiją Anglię, a później oni przypłyną sobie spokojnie i ich wypoczęte wojsko wymorduje moich roda- ków. Przecież to oczywiste.

–Musisz nam jeszcze powiedzieć, co sprawia, że jesteś tak głęboko przekonany o słuszności swoich przewidy- wań – powiedział Dafydd.

–Francuzi zawsze tacy byli! Teraz chcą kupić Szkotów, żeby ci zawładnęli dla nich Anglią. Zawsze działali w pod- stępny sposób i teraz jest podobnie. Jak wyglądałaby sytuacja, gdyby Francuzi i Szkoci stanęli przeciw po- dzielonym Anglikom, gdzieś na równinach w głębi kraju?

Jeśli wcześniej nie rozgorzałaby pomiędzy nimi wojna, to po pokonaniu Anglików stałoby się to nieuniknione! Czy może zdarzyć się coś innego?

Jim zauważył z zainteresowaniem jak zmieniał się akcent Lachlana. Chwilami mówił tak samo jak oni, by za moment wymawiać słowa ze szkockim akcentem tak, iż trudno go było zrozumieć.

–Znając, jak mi się zdaje, Anglików i Francuzów, zgadzam się z opinią Lachlana – zabrał głos Her- rac. – My,

tutaj na granicy, nauczyliśmy się, że między Szkotami i Anglikami nigdy nie zapanuje prawdziwy pokój.

A oba narody nie oddadzą się dobrowolnie w niewolę Francuzom. Nie ma wątpliwości, że wieści przyniesione nam przez Lachlana są prawdziwe. Zgromadziliśmy się tu, by mówić nie o tym, czy atak nastąpi, ale w jaki sposób to się stanie. Musimy zastanowić się, jak moglibyśmy po- wstrzymać inwazję Szkotów na południe.

–Czy wiadomo skąd nadejdzie to uderzenia? – zapytał Jim. – I kto weźmie w nim udział? Czy będzie to cała armia…

–Obawiam się, że sytuacja wygląda znacznie powa- żniej – rzekł gospodarz wzdychając ciężko.

–Dlaczego? O co chodzi? – zdziwił się Jim.

Uświadomił sobie bowiem, że siedzący przed nim wspa- niały, zaprawiony w bojach wojownik czuje się pokonany jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych.

–Dlaczego? – powtórzył Herrac. – Ponieważ to nie będzie żadna armia, ale nasz odwieczny wróg, którego już poznałeś. To z jego ręki został ranny Sir Brian…

–Kto? Czyżbyś myślał o… – zdziwił się Smoczy Rycerz, zawieszając głos, by to ktoś inny ubrał w słowa jego obawy.

–Puści Ludzie – rzekł zrezygnowany olbrzym.

Bingo!

"Ciemne Moce idą na całego", uznał Jim.

–No cóż! Wciąż nie widzę w tym aż tak wielkiego problemu – oświadczył. – Ilu ich może być? Chyba nie więcej, niż kilka tysięcy…

–Prawdopodobnie nie, ale nikt nie wie tego na pewno.

Przynajmniej nikt żywy.

–Proszę więc bardzo – zaczął Jim, czując, że wypite wino nieco rozwiązało mu język i dodało odwagi. – Siły szkockie, mające zagrozić Anglii musiałyby liczyć co naj- mniej trzydzieści tysięcy ludzi, prawda? Co najmniej tylu.

Może nawet czterdzieści… pięćdziesiąt… albo jeszcze wię- cej…

–Jakież to ma znaczenie jak liczna jest szkocka armia? – przerwał mu Lachlan. – Ilu by ich nie było, Anglicy mają więcej żołnierzy. Chodzi przede wszystkim 0 siły uczestniczące w pierwszym natarciu. O Pustych Ludzi. Co można uczynić dwóm tysiącom, jeśli nie da się ich uśmiercić?

–Można… – zaczął Jim.

–Ale tylko na pewien czas! Jeśli powrócą do życia po czterdziestu ośmiu godzinach, znów będą mogli zabijać zwykłych śmiertelników, którzy już nie powstaną! Jak uważasz, dlaczego udało się im utrzymać Wzgórza Cheviot 1 nikt nie zdołał im ich odebrać?

–Ale… – zaczął z pasją Smoczy Rycerz. k Zamilkł jednak, ponieważ stwierdził, że nie ma o co się spierać. Lachlan miał rację, lecz Jim wciąż nie mógł zrozumieć, w jaki sposób udział Pustych Ludzi w walce umożliwi wdarcie się głęboko na tereny zamieszkałe przez Anglików i zapewni zwycięstwo Szkotom. Duchów tych było zbyt mało, by przeważyć szalę zwycięstwa.

–Niech cię diabeł porwie! – ¦ zdenerwował się Mac- Greggor. – Pomyśl! Puści Ludzie nie mogą przegrać. Jak długo choćby jeden z nich będzie na Wzgórzach Cheviot, a dla bezpieczeństwa zostawią ich zapewne znacznie więcej, ci którzy ruszą do walki mogą ginąć ile tylko razy chcą, by potem znów cieszyć się zdobytymi łupami oraz pieniędzmi dostarczonymi przez Francuzów!

–Ale cóż za znaczenie mają dla nich łupy i złoto?

Przecież oni nie posiadają ciał i wciąż giną – zdziwił się Jim.

–Kiedy jednak powracają do życia, czują się tak samo cieleśni jak my i pragną jedzenia, picia i kobiet. To jest wręcz obrzydliwe.

–Masz rację, ale wciąż jednak… – przyznał Smoczy Rycerz.

–A szkocka armia nie wygra. Nie może! – ciągnął niezwruszenie Szkot. – Prędzej czy później przeważające siły angielskie, przy pomocy choćby takich łuczników jak wasz walijski przyjaciel, z którymi nasi nie mogą się mierzyć, gdyż niejednokrotnie było to przyczyną klęsk, okrążą i pokonają Szkotów.

Przez moment przyglądał się Dafyddowi, któremu nie drgnęła jednak nawet powieka.

–Wszyscy, którzy nie uciekną, zginą – kontynuo- wał. – Większość Pustych Ludzi uratuje się transportując cenne łupy i opuszczając resztę przed decydującą bitwą.

A Anglicy skupią całą swoją niszczącą siłę na Szkotach, ponieważ mówię wam, że Francuzi się nie zjawią! – Urwał i przesunął wzrokiem po słuchaczach. – Francuzi nie wylądują na czas, by nam pomóc. Staniemy sami do walki z Anglikami, a ich kraj jest większy, bogatszy i potężniejszy od naszego. Jesteśmy w stanie bronić się przed nimi wśród naszych gór, jezior i rzek, ale nie możemy ich zaatakować i liczyć na zwycięstwo. Wiem o tym. Każdy dobry Szkot to wie.

Pociągnął ze swego kubka, wziął głęboki oddech i kon- tynuował już nieco spokojniejszym tonem: – Ale MacDougall wciąż wierzy, że Francuzi przybędą na czas, Anglicy wpadną w panikę i rozdzielą siły. Od- niesiemy wtedy łatwe zwycięstwo, zanim Francuzi przy- stąpią do natarcia. A wtedy my będziemy dyktować warunki i każemy Żabojadom wracać, skąd przybyli.

Według niego uczynią to bez oporu, ponieważ wylądowali jedynie w imię zawartego przymierza, by udzielić nam pomocy!

Ostatnie słowa wypowiedział z szyderczym uśmiechem na ustach.

–Co sprawia, iż jesteś taki pewien, że Puści Ludzie łatwo wedrą się na terytorium Anglii? – zapytał Jim. – To prawda, że giną zaledwie na czterdzieści osiem godzin, ale można ich zabić. Zaraz więc Anglicy wyelimi- nują większość z nich, a wtedy reszta nie na wiele zda się Szkotom.

–Tak uważasz? – Lachlan ponownie napełnił swój kubek i spojrzał na Jima. – Kiedy jadąc tutaj spotkaliście ich, o czym opowiedział mi Herrac, jakie były wasze pierwsze wrażenia, gdy ruszyli na was? Chcieliście walczyć…

czy raczej uciekać?

Smoczy Rycerz poczuł się zakłopotany. Brian, a zapewne także Dafydd rzeczywiście bliżsi byli ucieczki niż przy- stąpienia do odparcia ataku wojowników galopujących na niewidzialnych rumakach. On sam odczuwał wtedy raczej ciekawość niż strach. Ale znów wytłumaczenie tego zmusiło- by go do opowiedzenia o swoim prawdziwym pochodzeniu, czego starał się uniknąć. Trudno byłoby wyjaśnić tym ludziom, że w świecie, z którego przybył, zetknięcie się z czymś nieznanym nie kojarzyło się zaraz z magią i du- chami.

–Pierwszą reakcją na taki widok jest oczywiście chęć ucieczki – przyznał. – Zdające się wisieć w powietrzu odzienie i broń świadczą, że ma się przed sobą coś nienaturalnego…

–A więc zgadzasz się ze mną! – wykrzyknął La- chlan. – Mogłeś powiedzieć to znacznie krócej. Jak więc zachowają się według ciebie Anglicy, kiedy po raz pierwszy ujrzą ich, a należy sądzić, że nigdy o nich nawet nie słyszeli?

–My także nic o nich nie wiedzieliśmy, a jednak nie wycofaliśmy się – zauważył sucho łucznik. – Oczywiście nie wszyscy jednak zachowają się tak jak my.

–W tym rzecz! – przytaknął Szkot, zatrzymując na nim wzrok. – Puści Ludzie dotrą daleko, ponieważ większość wojska pierzchnie na ich widok. Mają sporo niewidzialnych wierzchowców, które niewątpliwie są także duchami, a konno nie jest trudno dogonić uciekającego piechura i ciąć go przez plecy. Atak Pustych Ludzi na koniach wystarczy także, by wprowadzić zamieszanie po- śród sił mających zmierzyć się ze Szkotami… przynajmniej w pierwszej chwili. – Musiał przerwać, by zaczerpnąć powietrza. Jego głos nasilił się niemal do krzyku. – Na pewien czas Szkoci zdobędą więc przewagę na skutek tego zamieszania i wedrą się w głąb Anglii. Wśród Anglików zaczną krążyć mrożące krew w

żyłach opowieści o Pustych Ludziach, co jeszcze zwiększy lęk przed nimi. W końcu te obawy znikną, kiedy odkryją, że można ich zabijać, choćby na pewien czas. Ale zanim to nastąpi, moi rodacy mogą znaleźć się już tak daleko na południe, że łatwo będzie ich otoczyć, odcinając drogi odwrotu. A jak już mówiłem, Anglicy są w stanie zgromadzić znacznie większe siły od naszych i szybko dojdą do wniosku, że ich łucznicy, tak jak nasz przyjaciel tutaj, posługują się bronią skutecznie elimi- nującą Pustych Ludzi ze znacznej odległości i bez na- rażania się.

Zamilkł. Zapanowała cisza, którą wreszcie przerwał Herrac.

–Sądzę, że to was przekonało, panowie. Jakimkolwiek wynikiem nie zakończyłaby się ta ofensywa, nie przyniesie ona niczego dobrego Szkotom, ani też mieszkańcom ziem, przez które przejdą. Z pewnością będą bowiem łupić wszystko, co napotkają, korzystając przy tym z ognia i miecza. Jedynym sposobem na uniknięcie tej wojny, włącznie z obiecanym lądowaniem Francuzów, jest po- wstrzymanie Pustych Ludzi. Ale jak tego dokonać, niestety nie wiem.

–Można by ich otoczyć i wszystkich zabić – rzekł Dafydd. – Czyż nie jest prawdą, jeśli mnie pamięć nie myli, że jeśli wszyscy zginą, żaden nie powróci do życia?

Rzecz więc tylko w tym, by zgromadzić ich wszystkich w jednym miejscu, otoczyć siłami zebranymi z całej granicy, i nie wypuścić z życiem żadnego z nich. Sądzę, że można liczyć także na pomoc Małych Ludzi.

MacGreggor wydał z siebie krótki, ironiczny śmiech.

–Lachlanie, twoje obyczaje nigdy nie należały do najlepszych, a teraz dajesz tego wyraźne świadectwo – upo- mniał go gospodarz. – Nasi przyjaciele czynią wszystko co mogą, by rozwiązać tę łamigłówkę. Posłuchajmy ich. Może nie znajdują jeszcze właściwej odpowiedzi, ale to co mówią, może podsunąć ją któremuś z nas.

Ku zdziwieniu Jima z oblicza Szkota zniknął nagle grymas, który gościł na jego twarzy niemal od chwili, gdy zjawił się przy stole. MacGreggor wyprostował się, spojrzał prosto na dwójkę przyjaciół i przemówił do nich, tym razem bez śladu zwykłego akcentu: – Wybaczcie mi. To prawda, że jestem, jak stwierdził Herrac, źle wychowanym gburem, czego teraz dałem wyraźny dowód. Czy mogę prosić was o wybaczenie, panowie?

Jim i Dafydd szybko mruknęli, że oczywiście.

–Cieszę się – rzekł Lachlan. – Dziękuję wam obu za wyrozumiałość. Chętnie wysłucham, co macie do powie- dzenia.

Splótł ramiona i zamilkł, czekając.

–Co się tyczy tego pomysłu, polegającego na zebraniu ich wszystkich i zabiciu, jest to z pewnością doskonałe rozwiązanie. Choć wielokrotnie już debatowaliśmy nad nim wraz z sąsiadami, nie udało się nam opracować żadnego konkretnego planu – powiedział Herrac. – To tak jak w tej historyjce o myszach, które chciały nastraszyć kota. Gdy jedna z nich zapytała, kto to uczyni, zaległa cisza, ponieważ żadna nie była na tyle odważna. Na granicy jest nas wystarczająca liczba, a wszyscy nienawidzą Pustych Ludzi tak, że są gotowi zapomnieć o wzajemnych niesnaskach i stanąć do walki ze wspólnym wrogiem. Ale wciąż pozostaje jedno pytanie: skąd mamy wiedzieć, że zabiliśmy już ich wszystkich?

–Czy nikt nie wpadł na pomysł co zrobić, by wszyscy co do jednego zgromadzili się w tym samym miej- scu? – zdziwił się Dafydd.

–Nikt – przyznał gospodarz. Badawczo spojrzał na swych gości. – Czy może któryś z was ma jakiś pomysł?

–Mnie nic na razie nie przychodzi do głowy, ale wierzę, że na świecie żadne pytanie nie pozostaje bez odpowiedzi – oświadczył łucznik. Zwrócił się w stronę Jima. – Jamesie, może ty jesteś w stanie wymyślić jakiś sposób, może magiczny, by zebrać ich wszystkich razem?

Wszyscy siedzący przy stole utkwili w nim wzrok, czekając z nadzieją na odpowiedź. Jim w zamyśleniu spoglądał na nich, a w głębi duszy poczuł ogarniający go smutek. Znów miał do czynienia z niezachwianą wiarą tych ludzi w magię. Wierzyli, że mag może rozwiązać każdy problem, posługując się znanymi sobie tajemniczymi spo- sobami.

–Tak na poczekaniu nie jestem w stanie niczego wymyślić – oświadczył.

Nadzieje prysły, a Herrac i Lachlan jakby skurczyli się i zmaleli.

–Jeśli jednak dacie mi nieco czasu, postaram się znaleźć jakiś sposób – zapewnił ich.

–Myśl, ile zechcesz – rzekł pospiesznie Szkot. – Z przyjemnością poczekamy. Wątpię jednak, czy dojdziesz do czegoś, co jeszcze nie było rozważone i uznane za bezużyteczne.

Przy stole zapadła cisza. Gospodarz napełnił kubki i wszyscy, z wyjątkiem Jima, zaczęli pić, błądząc wzrokiem po blacie stołu lub ścianach.

Dopiero po kilku minutach, odezwał się Smoczy Rycerz.

–W sytuacji takiej jak ta, warto dowiedzieć się wszyst- kiego, co tylko może okazać się przydatne. – Popatrzył na Lachlana. – Powiedz mi proszę, w jaki sposób dowiedziałeś się o tych planach oraz wszystko co wiesz na temat przewidywanego przebiegu działań i zaangażowanych w to ludzi?

–Cóż – zaczął po chwili zastanowienia MacGreg- gor. – Osobiście byłem na dworze, oczywiście szkockim, przez ostatnich dziesięć miesięcy… – Zakasłał, pociągnął wina i kontynuował. – Załatwiałem tam własne sprawy, ale działałem także w imieniu szlachetnego Argyle'a, z którym łączą mnie pewne koneksje. Oderwał wzrok od blatu stołu i spojrzał na Jima. – W taki oto sposób dowiedziałem się o planie inwazji. Jak do tego doszło? Na początku zaczęły krążyć plotki. Zapewne pochodziły one z dworu francuskiego, a informacje zostały przekazane stronnikom Francji na naszym dworze, może nawet same- mu MacDougallowi. Następnie plany te zostały przez nich omówione, zanim wreszcie MacDougall, który cieszy się zaufaniem króla, zaczął z nim rozmawiać na ten temat.

–Rozumiem – stwierdził Jim, czując, że oczekiwane jest od niego jakieś potwierdzenie.

Szkot skinął głową.

–Sprawa została więc omówiona i zaczęła zyskiwać poparcie coraz liczniejszej rzeszy ludzi, myślących podobnie jak MacDougall. Aż wreszcie zaczęto opracowywać kon- kretne już plany.

Urwał i spojrzał na Herraca.

–Ty poznałeś szlachetnego Argyle'a – rzekł. – Czy uważasz go za mądrego?

–Takie odniosłem wrażenie – odparł zapytany.

–Więc on nie dostrzegł żadnych korzyści z inwazji na Anglię, szczególnie w sytuacji gdy Szkoci mieliby być tylko narzędziem w rękach Francuzów. Jak ja, wielu innych wie jak często Francuzi obiecywali pomoc i nigdy nie wprowa- dzali swych słów w czyny. W każdym razie wyznaczył mi zadanie polegające na dokładnym poznaniu tych planów.

Jak dokonałem tego, niech zostanie moją tajemnicą, lecz dowiedziałem się, że zza

morza lada dzień mają zostać przysłane pieniądze. Sam MacDougall ma je zawieźć Pustym Ludziom jako zapłatę za walkę po stronie Szkotów.

Teraz da im tylko część, sami rozumiecie. Resztę mają dostać, gdy wyprawa zakończy się sukcesem. Wkrótce będzie więc musiał spotkać się z przywódcami Pustych Ludzi, jeśli takowi istnieją, co jest rzeczą wątpli- wą… – Ponownie spojrzał na Smoczego Rycerza. – Mia- łem nadzieję, że ludzie z pogranicza lub ty, jeśli znalałeś się tu, wymyślicie jakiś sposób na sprawienie, by odmówili udziału w inwazji lub nie wywiązali się z podjętych zobo- wiązań. Musisz wiedzieć, że znam datę przejazdu Mac- Dougalla i mniej więcej trasę jego podróży. Nie będzie więc problemem pojmanie go. Uda się to nam przy pomocy odpowiedniej liczby ludzi i przynajmniej zawładniemy wiezionym przez niego złotem.

–Lachlanie, nie myślisz chyba tylko o tym złocie, prawda? Czyżby zagrożenie dla Szkocji i naszej granicy było dla ciebie pretekstem dla jego zdobycia?

–Myślę o wszystkim jednocześnie! – warknął Lach- lan. – Rzecz w tym, że jeśli nie będzie mógł zapłacić Pustym Ludziom, z pewnością oni nie ruszą do walki. Czy widzicie to tak wyraźnie jak ja?

–Rzeczywiście, to logiczne – przyznał Dafydd.

–Proszę bardzo! – wykrzyknął MacGreggor, patrząc na Herraca i Jima. – Ten Walijczyk jest równie mądry, jak biegły w posługiwaniu się łukiem!

–To proste rozwiązanie – uznał gospodarz. – Zbyt proste. My, tutaj na granicy, a szczególnie nasz zamek de Mer, znajdujemy się w zasięgu króla Szkotów. Wkrótce dowiedziałby się, że maczaliśmy palce w kradzieży tego złota i jego ludzie ruszyliby na nas. Nie mam najmniejszego zamiaru zawisnąć, wraz z całą rodziną, na belkach własnego domu, albo jeszcze gorzej!

–No cóż, cała ta sprawa związana ze złotem jest dobrze strzeżoną tajemnicą. Król nie będzie nalegać, by ujrzała ona światło dzienne, szczególnie jeśli kruszec zostanie utracony…

–A co z MacDougallem? – przerwał mu Her- rac. – Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłbym, oczywiście poza interwencją króla, byłoby zjawienie się tu mścicieli w oso- bach członków jego klanu, ponieważ zabilibyśmy lub zranilibyśmy ich przywódcę, lub co najmniej przyczynilibyś- my się do tego. W rezultacie zakończyłoby się to dla nas tak samo jak zemsta króla Szkotów. Nie, Lachlanie, kradzież złota nie rozwiązuje naszych kłopotów!

–Czy więc istnieje jakiś sposób na magiczną zamianę złota w mosiądz lub coś podobnego? – zwrócił się Lachlan do Jima. – Puści Ludzie nie będą zachwyceni, gdy MacDougall będzie starał się ich oszukać, wciskając bez- wartościowe monety.

–Nie wiem – odparł Smoczy Rycerz. A w jego umyśle rodził się diabelski pomysł. – Ale jeśli chcesz, mogę się tego dowiedzieć.

Lekko odkręcił głowę w prawo i rzucił w pustkę: – Wydział Kontroli? Macie mój stan konta w swoich danych. Czy mogę przemienić złoto w mosiądz?

–Nie! – odparł basowy głos dobiegający z wysokości około trzech stóp ponad miejscem, na które spoglądał Jim. – Nawet mag klasy AAA+ musi mieć szczególne powody do dokonania takiej zamiany. Równowaga metali szlachetnych w świecie nie może być zakłócona, nawet przez działanie na tak małych ilościach.

Jeszcze przez chwilę po przebrzmieniu tych słów, Lachlan i Herrac siedzieli nieporuszeni

jak głazy. Już sam głos Wydziału Kontroli robił wrażenie. Rozległ się nagle i zdawał się dobiegać znikąd, a przecież udzielił odpowiedzi na pytanie Jima. Z całą pewnością było to zbyt szokujące dla czternastowiecznego człowieka. Tylko Dafydd, który już zetknął się już z tym zjawiskiem, nie okazał zdziwienia. Był on, szczerze mówiąc, nieco tym rozbawiony. Nie uśmiechnął się, ale jego oczy zajaśniały nagle. Pozostała dwójka została bowiem wprawiona w takie osłupienie, że Jim zaniepokoił się, czy wyjdzie im to na zdrowie.

–No cóż, wygląda, że przemienienie złota w mosiądz nie jest możliwe – rzekł, by przerwać panującą ciszę.

Herrac poruszył na to oczami, a Lachlan zamrugał powiekami, jakby nagle się obudził. Jego zaskoczenie momentalnie przerodziło się w irytację.

–Jeśli nie potrafisz zrobić ze złota mosiądzu, to co z ciebie za mag? Co więc potrafisz zrobić?

–Właśnie na ten temat intensywnie myślę – zganił go Jim. – Pozwól mi jeszcze nad tym podumać.

–No cóż – odezwał się ponownie Szkot, tym razem akcentując słowa tak, że trudno było je zrozumieć. – Mo- żemy jeszcze poczekać. Przynajmniej przez jakiś czas.

Jim nie wiedział, czy reakcja MacGreggora wynikała z utraty wiary w szczególne jego zdolności, czy też zwąt- pienia w skuteczność poszukiwania zdającego się nie istnieć rozwiązania. Jim pociągnął nieco wina i zamyślił się głęboko. W duchu przyznawał rację Dafyddowi. Nie istniał problem, którego nie dałoby się jakoś rozwiązać. Jedyny kłopot w tym, że niektórych rozwiązań poszukiwano bez powodzenia przez tysiąc lat, a może i więcej. Właściwie nawet w czasach, z których pochodził, nie brakowało pytań bez odpowiedzi i nikt nie wiedział, kiedy uda się je wreszcie sformułować.

Niemniej…

–Powiedz mi – zwrócił się do Lachlana – twierdziłeś, że znasz trasę podróży tego MacDougalla i wiesz, kiedy się tu zjawi. Czy wiesz więc także, ilu ludzi będzie towarzyszyć mu jako straż?

–Owszem – odparł niezwłocznie Szkot. – Wyruszy z kilkoma tuzinami. Zapewne członkami własnego klanu lub ich sprzymierzeńcami. W pobliżu Wzgórz Cheviot zostawi większość z nich i dalej ruszy tylko z kilkoma.

Tych zaś pozostawi na kilka mil przed miejscem spotkania z przywódcami Pustych Ludzi.

–I będzie miał wtedy złoto ze sobą? – zapytał Jim.

–Oczywiście! Czy uważasz, że duchy uwierzyłyby mu, gdyby nie przywiózł złota? Sam rozumiesz, że weźmie tylko część zapłaty, ale sprawi, że będą chcieli dostać więcej.

Zabierze więc tyle złota, by mógł sam poradzić sobie z jego przewozem na ostatnim etapie podróży.

–Czy uważasz, że możliwe jest zastawienie na niego pułapki w miejscu, w którym będzie już sam? – zapytał Jim.

–Nie widzę żadnego powodu, dla którego byłoby to niemożliwe – odparł MacGreggor i posłał spojrzenie Herracowi. – Mój stary przyjaciel i jego synowie w zupeł- ności wystarczą. Właściwie, jeśli zaszłaby taka potrzeba, sam mógłbym go pojmać, choć cieszy się reputacją dobrego w posługiwaniu się angielskim mieczem i tarczą.

–Czy obmyśliłeś już jakiś plan, panie? – zapytał Jima Dafydd.

–Nie, ale coś powoli zaczyna mi świtać w głowie.

Wszyscy popatrzyli na niego z nową nadzieją.

Rozdział 11 N, ie siedź tak, człowieku! Mów! – Nie wytrzymał Lachlan. – Jaki masz plan?

–Obawiam się, że nie mogę go jeszcze zdradzić – oświadczył Jim, wstając od stołu. – Jak sugerowałeś wcześniej, wymaga on użycia magii, a mogę o tym roz- mawiać dopiero, gdy dokładnie zbadam jej działanie. Idę więc na pewien czas na górę, do naszego pokoju… żeby zająć się czarami… – Urwał nagle. – Zapomniałem, że leży tam Brian. Będę potrzebować komnaty, nawet małej, do wyłącznego użytku.

Spojrzał na Herraca.

–Czy mogę liczyć na ciebie? – zapytał.

Zamiast odpowiedzi, gospodarz odwrócił głowę i krzyk- nął przez ramię: – Hej!

Po chwili obok niego stanęło trzech służących.

–Idźcie i sprowadźcie Lady Liseth! – rzucił. – Chcę ją mieć tu natychmiast.

Pachołkowie zniknęli w drzwiach prowadzących na wieżę, a po niespełna minucie wyłoniła się z nich Liseth. Szła szybkim krokiem, wiedząc, że obowiązki pani zamku zmuszają ją do pośpiechu.

Podeszła do stołu i zapytała: – Tak, ojcze?

–Sir James potrzebuje dla siebie komnaty, w której mógłby zająć się czynieniem magii – oświadczył Her- rac. – Wskaż mu odpowiednie pomieszczenie i zapewnij mu wszystko, czego będzie potrzebować. Dziękuję ci.

–Z przyjemnością, ojcze – rzekła i zwróciła się w stronę Jima, stojącego u przeciwnego krańca stołu. – Jeśli raczysz pójść za mną, panie…

–Dziękuję – powiedział.

Nie był pewien, czy powinien zwracać się do niej "pani", jako do najważniejszej w zamku kobiety, skoro do jej ojca mówił "panie". Doszedł jednak do wniosku, że najbez- pieczniej będzie nie zwracać się bezpośrednio.

Obszedł stół i podążył za nią przez kuchnię, a potem po schodach w górę, na piętro poniżej mieszczącego ich komnatę. Dziewczyna zamierzała już skręcić w korytarz, lecz Jim zatrzymał ją.

–Wybacz mi, proszę, lecz jestem zmuszony udać się najpierw do swej komnaty, żeby zabrać stamtąd posłanie.

Możemy pójść tam razem?

–Oczywiście, panie – rzekła i pospieszyła na wyższe piętro.

Brian wciąż spał, a na stoliku przystawionym do łoża stały dzbany z piwem. Kiedy weszli, czworo służących spojrzało na Jima z wyraźnym lękiem.

–Wygląda na to, że czuje się nieźle – rzekł, by nieco uspokoić służbę. – Czy napił się piwa?

–Tak, panie – odezwała się starsza spośród ko- biet. – Jeśli wasza mość raczy zajrzeć do dzbana stojącego obok niego, zobaczy, że jest napełniony tylko w dwóch trzecich.

–Dobrze. Nie przestawajcie wciąż go poić, gdy tylko będzie się budzić.

–Tak, panie – odpowiedzili chórem.

Jim zrolował swój materac i wsunął go pod ramię.

–Już jestem gotów – zwrócił się do Liseth. – Mo- żemy iść.

–Tędy, panie.

Ponownie zeszli piętro niżej i korytarzem dotarli do niewielkiej komnaty. W jej rogu stało typowe, średnio- wieczne łóżko, a obok niego grubo ciosane krzesło oraz wysoka, dwudrzwiowa szafa z ciemnego drewna. Pomiesz- czenie było tak małe, że z trudem znalazł miejsce na rozłożenie materaca. Dostrzegł tu jednak coś, co wprawiło go w prawdziwe zadziwienie. Przy oknie zauważył bowiem stojące w kubku dzikie żółte i białe kwiaty.

Nigdy dotąd nie widywał ich w średniowiecznych pomie- szczeniach, oczywiście oprócz własnego zamku, gdzie Angie stawiała kwiaty w sypialni. Utkwił w nich wzrok i dopiero po chwili zorientował się w czym rzecz. Zwrócił się ku dziewczynie i zapytał: – Liseth, czy to twoja komnata?

–Tak, panie. Przepraszam cię, że jest tak mała i zbyt nędzna dla kogoś takiego jak ty, ale wszystkie inne pomieszczenia od lat nie były sprzątane lub są zastawione sprzętami i nawet po ich uprzątnięciu nie czułbyś się tam najlepiej.

–Pragnę powiedzieć, że jestem ci bardzo wdzięczny.

Pokój nie jest wcale nędzny, pani, nawet jeśli nieco mniejszy od innych. Jest wspaniały, skoro wystarczy w nim miejsca na rozłożenie mojego posłania. Właśnie podziwiałem te kwiaty, które nadają pomieszczeniu wiele uroku.

–Może kocham je zbyt mocno, ale kiedy wiosną zakwitną, nie mogę rozstać się z nimi nawet na noc.

Przynoszę je więc tutaj i stawiam tam, gdzie dociera do nich nieco światła. Szybko jednak więdną, kiedy się tu znajdą.

–Proponowałbym ci spróbować nalać do tego kubka nieco wody. Pomaga to kwiatom dłużej utrzymać świeżość.

–Doprawdy? Sama kiedyś myślałam o tym, ale byłam wtedy jeszcze dzieckiem i szybko porzuciłam tę myśl.

Posłucham twej rady i wleję do kubka wody, ale nie teraz, by nie zakłócać ci spokoju.

–Dziękuję. Aha, jeszcze chwilkę.

Liseth zawróciła, ponieważ już była w korytarzu.

–Pragnąłbym, abyś dopilnowała, żeby nikt mi nie przeszkadzał – zwrócił się do niej Jim.

–Możesz być o to spokojny, panie. Górne piętra specjalnie przeznaczamy dla tych, którzy nie życzą sobie obecności sług, a poza tym wątpię, czy ktokolwiek miałby dość odwagi, aby przeszkadzać magowi, który właśnie zajmuje się czarami.

–Jeszcze jedno – rzekł Jim pospiesznie, ponieważ dziewczyna znów zbierała się do odejścia. – Jest kilka spraw, o których chciałbym z tobą pomówić. Jak zapewne słyszałaś na dole, zamierzam zająć się czynieniem magii.

Wiąże się to ze znalezieniem rozwiązania problemu, z któ- rym przybył Lachlan MacGreggor. Nie wiem, czy orien- tujesz się w czym rzecz…

–Dziękuję, panie, ale wiem o wszystkim. Lachlan nie ośmieliłby się nic mi nie powiedzieć, nawet jeśli nie zrobiliby tego ojciec i bracia.

–Rozumiem. No cóż, siedzieliśmy przy stole i staraliś- my się znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie. Otóż zaświtał mi w głowie pewien pomysł… Jego realizacja wymaga nie tylko

użycia magii, ale także posiadania określonych informacji. Rozpocznę od zapadnięcia w magiczny sen. Po przebudzeniu, chciałbym jak najszybciej spotkać się ponow- nie ze Snorrlem. Potrzebuję go, aby powiedział mi coś więcej na temat ukształtowania terenu na Wzgórzach Cheviot, zajmowanych przez Pustych Ludzi. Wnioskuję, że chadza on gdzie zechce, także tam, i zna każdą piędź swego rewiru.

–Tak. Rzeczywiście tak jest – przyznała Liseth. – Spróbuję wysłać na poszukiwania Greywings. Kiedy go odnajdzie, zniży lot i zawoła na niego. Ona nie umie mówić, więc Snorrl może nie wiedzieć o co chodzi, ale sądzę, że kiedy rozpozna ją, domyśli się, iż jest moim posłańcem i pragnę się z nim zobaczyć. Sądzę więc, iż istnieje duża szansa, że zjawi się w miejscu naszych zwykłych spotkań, nieopodal zamku. Jeśli oboje udamy się tam i poczekamy na niego… Czy wiesz, panie, jak długo będzie trwać twój sen?

–Zapewne nie dłużej niż godzinę. A może wystarczy nawet pół.

–W tej sytuacji natychmiast wyślę Greywings. Wrócę za kwadrans i najciszej jak umiem sprawdzę, czy jeszcze śpisz. Gdybyś się obudził, podążymy do miejsca moich spotkań ze Snorrlem i poczekamy na niego, chyba, że znajduje się w pobliżu zamku i przybędzie tam przed nami.

To ważne, ponieważ jeśli zjawi się pierwszy i nie znajdzie mnie, może nie zechcieć czekać. Z drugiej jednak strony, jeśli Greywings zaalarmuje Snorrla, a ten pomyśli, że znajduję się w jakichś kłopotach, z pewnością nie oddali się zbytnio od zamku. Gdy wyruszymy, dostrzeże nas i sam też zjawi się w wyznaczonym miejscu. Kiedy więc Greywings go znajdzie, wierzę, że zobaczymy się z nim. Nie jestem tylko pewna, czy zrozumie, o co jej chodzi.

–Sądzę, że nie ma czego się obawiać – zapewnił ją Jim. – Bardzo dobrze. Oczekuję cię więc za piętnaście minut. Jeśli nadal bym spał, czy będziesz tak dobra i poczekasz chwilę? Wątpię bowiem, bym spał dłużej. Jak już mówiłem, z pewnością nie zajmie mi to więcej niż godzinę.

–Jak sobie życzysz, panie – rzekła Liseth i wyszła.

Zanim się położył, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem kwiaty na oknie i ogarnęło go uczucie tęsknoty. Bukiet przypo- mniał mu o Angie i to jak wiele uczyniła, by mogli żyć w miarę normalnie w tych czasach. A wszystko zaczęło się od przygotowań i zwycięskiej walki, wraz z dwójką przyja- ciół, ze sługami Ciemnych Mocy pod Twierdzą Loathly, kiedy to Brian wreszcie dobrał się do czułych organów larwy, Dafydd celnie strzelał do harpii wyłaniających się z wiszących sto stóp nad ich głowami chmur, a Jim, przybierając postać smoka, zabił olbrzyma.

Przypomniał sobie jak Dafydd, dzięki niemal nadludzkim wysiłkom zdołał przeżyć po ugryzieniu harpii, uważanym za śmiertelne. Stało się tak tylko dlatego, że jego obecna żona, Danielle wyznała mu wtedy wreszcie swą miłość.

To wówczas Carolinus poinformował Jima, że zdobył już wystarczającą ilość magicznej energii, aby móc przenieść się wraz z Angie na powrót do ich dawnego świata.

Angie odciągnęła go wtedy na bok i oświadczyła, że uczyni to, co on uzna za stosowne. Zaskoczyła go wtedy, ponieważ sądził, że jej jedynym pragnieniem jest jak najszybszy powrót do dwudziestowiecznych realiów. Jego samego, czternastowieczny świat niezwykle pociągał, bo we własnym, specjalizował się w zagadnieniach związanych ze

średniowieczem. Wiedziony jakimś wewnętrznym głosem, zdecydował się wreszcie pozostać, oczywiście ku ogromnej radości Sir Briana oraz Dafydda i przy akceptacji i wsparciu ze strony Angie.

Wkrótce potem wprowadzili się na zamek Sir Hugha de Bois de Malencontri i przejęli go na własność, gdy poprze- dni właściciel, który zaprzedał się Ciemnym Mocom, musiał uciekać, by ocalić życie. Opuścił Anglię i słuch po nim zaginął.

Życie w czternastym wieku nie było usłane różami, czego Jim wielokrotnie doświadczał na własnej skórze. Właściwie przypominało wygody madejowego łoża. Ale Angie czyniła cuda, przystosowując zamek do możliwie wygodnej egzys- tencji, wprowadzając wiele niezwykle istotnych zmian. Te kwiaty przypomniały mu teraz o niej i zdał sobie sprawę, że nie może się już doczekać, kiedy ponownie ją zobaczy.

Wyglądało jednak na to, że nie uda mu się wrócić tak szybko, jak obiecał. Co więcej, stawał do kolejnej walki z Ciemnymi Mocami, niemal nie posiadając wystraczającej ilości tak potrzebnej magicznej mocy. Jego magiczne konto, które kiedyś wystarczyłoby na powrót do ich świata, teraz zostało niemal całkiem wyczerpane i jego stan nadal zmniejszał się.

To prawda, że poziom ten wzrósł po ubiegłorocznej wizycie we Francji, kiedy to zginął Giles i uratowany został książę Edward. Znaczna jednak część magicznej energii została mu odebrana, ponieważ rozmyślnie złamał jedną z zasad obowiązującą magów. Pozostał więc wciąż magiem klasy D. Gdyby kiedyś doszedł do klasy AAA+, jak Carolinus, mógłby mieć nadzieje na powrót do swego świata. Pomyślał, już nie po raz pierwszy, że pomimo wsparcia ze strony Angie, decyzją o pozostaniu, zaważył na całym jej przyszłym życiu. Nic już jednak nie dało się teraz na to poradzić, z wyjątkiem jak najszybszego rozwiązania problemu, przed którym stanął. Musiał zniweczyć wysiłki Ciemnych Mocy.

Wyciągnął się na materacu, którego starannie strzegł przed wszelkiego rodzaju robactwem. Został on obmyślony przez Angie tak, by nie tylko dawał wygodę, pomimo znajdującej się pod nim kamiennej podłogi, ale także zabezpieczał ciało przed zbytnim wychłodzeniem.

Zamknął oczy, zdecydowany posłużyć się odrobiną magii.

W wyobraźni, na powierzchni stanowiącej wewnętrzną stronę czoła, napisał czar, który miał przenieść podczas snu jego ciało astralne na południe Anglii, do chatki Carolinusa, nieopodal Dzwięczącej Wody.

JA WE ŚNIE -» DOM CAROLINUSA Jak zawsze w takiej sytuacji, natychmiast zapadł w sen i stanął przed znajdującym się na polance niewielkim domkiem o szpiczastym dachu. Teraz, w świetle dnia, otaczający go trawnik zdawał się być niewiarygodnie zielony, a w jego centrum, z sadzawki wytryskiwała magicz- na fontanna, której spadające do wody krople wydawały charakterystyczne dźwięki. Od nich pochodziła nazwa tego miejsca – Dźwięcząca Woda.

Rozdział 12 ak zawsze przy Dźwięczącej Wodzie panowała wspaniała pogoda. Niebo było błękitne, a czubki drzew lekko chwiały się na wietrze. Jim zorientował się, że jest tu ta sama pora, co w zamku de Mer, gdy usnął. Ruszył żwirową ścieżką w kierunku drzwi.

Dróżka była równo zagrabiona, choć nikt nigdy się tym nie zajmował. Znów magia. Podczas ostatnich kilku wizyt u Carolinusa, zastawał mistrza w złym humorze, który nie opuszczał go zresztą niemal nigdy, poza chwilami poważnego zagrożenia. Jim poznał go już

na tyle, aby wiedzieć, że pod tą skorupą, skrywa naturę pełną dobroci i łagodności, lecz jak zawsze wolał go nie drażnić i delikatnie zapukał do drzwi.

–To nie jest dzień moich przyjęć! – rozległ się ze środka głos Maga.

–To ja, Jim Eckert! – zawołał.

Tylko Carołinus znał jego prawdziwe pochodzenie. Przez moment nic się nie działo, po czym drzwi otworzyły się i wyjrzała zza nich głowa starca.

–Ach, to ty – rzekł Mag niezwykle ciepłym tonem. – Co cię sprowadza tym razem?

–Sprawa związana z Ciemnymi Mocami. Potrzebuję twojej rady. Czy mógłbym wejść…

–Nie, nie! – rzekł pospiesznie Carolinus. – Zostań tu. To ja wyjdę do ciebie.

Wyszedł na zewnątrz i już zamykał za sobą drzwi, kiedy zawahał się i wetknął do środka głowę.

–Zaraz do ciebie wrócę, moja droga – rzekł przymil- nym tonem, jakiego Jim jeszcze u niego nie słyszał. – Bądź cierpliwa jeszcze przez chwilkę.

Ponownie zaczął zamykać drzwi, lecz zatrzymał się i jeszcze raz zajrzał do środka.

–Napij się madery, moja droga – rzucił śpiewnym tonem. – Zrelaksujesz się przy niej. Butelkę i kieliszki znajdziesz na stoliku obok.

Tym razem zamknął drzwi na dobre i odwrócił się w stronę Jima.

–No więc? – warknął. – Widzisz, że jestem zajęty!

Tylko fakt, iż Smoczy Rycerz dobrze znał Carolinusa, sprawił, że nie obraziły go te słowa. Mag po prostu zawsze tak się zachowywał. Do wszystkich zwracał się tonem opryskliwym, włącznie z Wydziałem Kontroli, z którym inni starali się rozmawiać szczególnie uprzejmie.

–Szkoci planują inwazję na Anglię, wspieraną francus- kimi pieniędzmi – powiedział Jim, starając się mówić rzeczowo. – Chcą wykorzystać Pustych Ludzi jako awan- gardę…

–Tak, tak, wiem o tym – przerwał mu sta- rzec. – Przejdź do istotniejszych spraw. Jaki masz problem?

–Właśnie to – rzekł pospiesznie Smoczy Ry- cerz. – Ciemne Moce tym razem ogromnie zaangażowały się w tę sprawę. Puści Ludzie, jeśli wszystko pójdzie według ich planu, przepędzą i zabiją mnóstwo ludności, ciągnąc na południe. Siły szkockie łatwo wedrą się dzięki temu głęboko na terytorium Anglii. W tym momencie Francuzi mają dokonać lądowania na południowym wybrzeżu. Ale według opinii mojego szkockiego eksperta, Francuzi nigdy nie dotrzymują obietnic w takich sprawach, więc zapewne tym razem także tak będzie. – Urwał, by złapać oddech, a po chwili ciągnął dalej: – W wyniku tego powstanie niezwykłe zamieszanie, a wielu ludzi zginie i to zarówno Anglików, jak i Szkotów. W końcu armia szkocka zostanie okrążona i zniszczona przez przeważające siły angielskie, które wykorzystają swych wspaniałych łuczników. Radzę ci zastanowić się nad tym, ponieważ jeśli Francuzi wylądują jednak, zapewne dotrą i do tego miejsca.

–Radziłbym im tego nie robić! – krzyknął groźnie Carolinus, aż zadrżała mu broda. Jego głos był już spokoj- niejszy, gdy kontynuował: – Ale masz rację. Z pewnością zniszczyliby całą okolicę. Wszyscy liczą tylko na zdobycie nowych ziem, tak jak Wilhelm Zdobywca i jego armia, lądując tu 27 sierpnia roku 1066. Nie widzę powodu, dla którego teraz mieliby chcieć czegoś innego. Może z wyjąt- kiem Szkotów, którzy mają nadzieję na bogate łupy.

–Oni chcą ochronić swe domy, bo jeśli Francuzi zajmą Anglię, będą mieli także apetyt na

Walię i Szkocję.

–To prawda – przyznał Mag. – Rzeczywiście Ciemne Moce idą tym razem na całość. I wnioskuję, że nie wiesz jak postąpić w tej sytuacji.

–Niezupełnie – powiedział ostrożnie Jim. – Mam pewien plan, ale wymaga on użycia magii. A wiesz, że na moim koncie znajduje się niewiele energii…

–Posłuchaj. Nie mogę, pod żadnym pozorem, przeka- zać ci nieco mocy z własnego konta. Wydział Kontroli nieźle suszył mi głowę w zeszłym roku, kiedy pomogłem ci uratować tego, jak mu tam, księcia Edwarda.

–Och, nie myślałem wcale o pożyczaniu od ciebie mocy…

–To dobrze! Muszę przyznać, że Wydział Kontroli miał rację. Energia, którą przekazałem na twoje konto, a było tego sporo, stanowiła kroplę, która przepełniła kielich. Właściwie nie przyniosło to nikomu żadnej szkody, ale jak twierdzą, a ja zgadzam się z nimi, jeśli mnie byłoby wolno to czynić, wtedy wszyscy magowie mogliby udostęp- niać swą moc uczniom, a nawet innym, słabszym kolegom.

Spowodowałoby to, że cały system rozdziału energii na poszczególne konta utraciłby rację bytu. A to mogłoby doprowadzić do rozpadu porządku, według którego cały świat utrzymywany jest w równowadze.

–Jak już mówiłem, nie zamierzałem prosić cię o podob- ną przysługę – powtórzył Smoczy Rycerz. – Potrzebuję tylko rady, czy mój kredyt wystarczy do tego, co zamierzam zrobić!

–W takim razie mów. No mów!

–Chciałbym ci teraz przedstawić swój plan i wysłuchać twojej opinii o nim. Szkocki król wysyła jednego ze swoich dworzan z zapłatą w złocie dla Pustych Ludzi, jeśli ci zgodzą się wziąć udział w inwazji na Anglię. Chciałbym zająć miejsce tego wysłannika, a to wymaga magicznego przybrania jego postaci. Czy uważasz, że uda mi się to zrobić?

–To? – powtórzył Carolinus, lekko marszcząc brwi. – Tak. To nie powinno spowodować znaczniejszego obciążenia twojego konta.

–No cóż, będę z tobą szczery. Muszę wyznać, że jak na razie nie wymyśliłem niczego więcej. Zamierzam osobiś- cie zawieźć złoto do Pustych Ludzi, spotkać się z ich przywódcami i zorientować się w ich liczbie oraz możliwoś- ciach. Moim ostatecznym celem jest otoczenie ich przez siły zebrane znad szkocko-angielskiej granicy, a może także przy wsparciu ze strony Małych Ludzi…

–Ach tak. – Niespodziewanie Mag uśmiechnął się wesoło. – Małych Ludzi. Wciąż żyją. Byli więc w stanie jakoś przetrwać przez tyle stuleci? To nie są źli ludzie.

Musisz wiedzieć, że kiedyś posiadali ogromne tereny nie tylko w Szkocji, ale także wzdłuż zachodniego wybrzeża, w stronę Walii, a nawet na samym kontynencie…

–Tak też mi mówili. Wróćmy jednak do sprawy. Rzecz w tym, by stworzyć sytuację umożliwiającą zebranie wszys- tkich Pustych Ludzi w jednym miejscu, aby ich zabić, bo wtedy nie wrócą już do życia. Jeśli zdołamy zrobić to, zanim armia szkocka będzie gotowa do natarcia, to Szkoci zostaną pozbawieni swego największego atutu. Domyślasz się, że ich król liczy na panikę wywołaną przez Pustych Ludzi – duchy krążące po Anglii i mordujące jej miesz- kańców.

–Tak… Hmmm… – Zadumał się Mag, szarpiąc swą bródkę. – Duchowieństwo i szlachta

zapewne nie zrezyg- nują z walki, ale pospólstwo może rozpierzchnąć się jak stado owiec. Wystarczy widok samego miecza wiszącego w powietrzu.

–W zupełności masz rację. Co więc myślisz o tym planie? Na szczęście, jak sam mówisz, mam wystarczającą ilość energii, by przybrać postać kuriera szkockiego dworu.

–Cóż, to dość ambitny plan. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, tak, widzę, że wiesz, iż musisz zabić wszystkie duchy w tym samym czasie, by nie mogły wrócić do życia?

Tak, tak. Jak więc zamierzasz zagwarantować sobie pew- ność, że tak się stanie?

–Nie jestem do końca pewien, ale mam kilka pomys- łów. Liczę przede wszystkim na to, że Herrac de Mer zdoła zebrać wystarczającą liczbę mieszkańców pogranicza, a Mali Ludzie zgodzą się na współpracę. Razem powinno się nam udać osiągnąć sukces.

–I to ma wymagać dodatkowego użycia magii? – spy- tał Carolinus.

–Nie sądzę, żeby była ona konieczna. No, może tylko sztuczka z gałązkami na głowach, powodującymi, że posiadacza ich nie można zobaczyć – taka jaką za- stosowałem we Francji. Trik właściwie równoznaczny z niewidzialnością.

–Rzeczywiście odpowiadający niewidzialności! Ale te- raz to zupełnie co innego. Tego rodzaju czar mający uczynić jedną osobę niewidzialną to bagatela…

–Bagatela? – powtórzył Jim.

–Praktycznie nic – wytłumaczył uprzejmie Mag.

–Och, wiem, co znaczy to słowo… – zaczął Smoczy Rycerz.

–Pozwolisz, że skończę! – przerwał mu ostro Caro- linus. – Chciałem powiedzieć, że w przypadku jednej osoby to drobiazg. Podejrzewam jednak, iż zamierzasz uczynić niewidzialną całą armię. Tego już zbyt wiele.

–Zbyt wiele jak na stan mojego konta?

–Zawsze możemy sprawdzić to w Wydziale Kontroli, jeśli chcesz. Moim jednak zdaniem przekracza to znacznie twoje możliwości.

–Jak dużo ludzi mógłbym więc uczynić niewidzialnymi, przy obecnym poziomie konta, pozostawiając na nim nieco magii na wszelki wypadek? – zapytał Jim.

–Cóż, na krótki czas, powiedzmy… dwadzieścia osób – stwierdził starzec.

–Ach tak – rzekł posępnie Jim.

–Wiem, że to niełatwe, mój chłopcze, ale ścieżka magii nigdy nie była usłana różami. Musisz nauczyć się, że często trzeba stawiać czoło trudnościom.

–Już tego doświadczyłem.

–No cóż, jeśli to wszystko, czego chciałeś się dowie- dzieć, powinienem wracać do środka – oświadczył uprzej- mie Carolinus, kierując się w stronę domku. – Ta biedna driada pomyśli, że opuściłem ją na dobre.

–Co się jej stało? – zapytał Jim.

–Och, ma za sobą niemiłe spotkanie z trollem wodnym.

Jak zapewne wiesz, oboje są Naturalnymi, ale należą do innych klas. Tłumaczyłem ci już, że tylko ludzie posiadają prawdziwą umiejętność posługiwania się magią. Naturalni mają tylko własną, wrodzoną moc. Troll wodny ma jednak w tym przypadku znaczną przewagę nad driadą, czego zresztą nie omieszkał wykorzystać. Ale to nic poważnego, tak jak wyleczenie skrzydła motylowi. Właściwie, by umoż- liwić ci prawidłową ocenę, porównałbym zabieg do usunię- cia wyrostka robaczkowego, bez znieczulenia.

Jim aż się zakrztusił. Brian, na przykład, mógł tylko pobledn ąć i ewentualnie zemdleć, lecz nie jęknąłby nawet, gdyby otwarto mu brzuch i wycięto wyrostek. On jednak nie wyobrażał sobie takiej operacji bez szpitala z praw- dziwego zdarzenia, i oczywiście narkozy.

–Ależ to tylko z pozoru jest tak poważne. Istnieje wiele sposobów na wprowadzenie driad w odpowiedni stan. W ich przypadku sytuacja przedstawia się wyjątkowo.

Jedna z metod jest tu szczególnie skuteczna. Przy jej użyciu, nawet bez znieczulenia, znajdzie się w stanie podobnym do niego.

–Jakiż jest na to sposób? – zainteresował się Jim.

–Lepiej zajmij się swoimi sprawami! – warknął Caro- linus. – Musisz poczekać na poznanie takich rzeczy, aż uzyskasz jeszcze co najmniej dwa stopnie magicznego wtajemniczenia. Uwierz mi po prostu na słowo. Ja znam się na tym, choć czasami wiele mnie to kosztuje. A teraz żegnam.

Odwrócił się na pięcie i skierował ku drzwiom chatki.

–Poczekaj! – zawołał za nim Jim.

–Co znowu? – zapytał niechętnie Mag, trzymając już rękę na klamce.

–Nie zapytałem cię jeszcze o larwę.

–Jaką larwę?

–Na terytorium Pustych Ludzi, na Wzgórzach Che- viot, przebywa larwa. Sprawdzałem jednak w Wydziale Kontroli i Ciemne Moce nie są w to bezpośrednio za- mieszane. Co to może znaczyć? Larwa, a w pobliżu nie ma Ciemnych Mocy?

Carolinus zmarszczył brwi, a dłoń trzymająca klamkę opadła.

–Larwa bez umiejscowienia Ciemnych Mocy?

–Tak, to prawda, choć muszę przyznać, że nie wiem, co masz na myśli mówiąc o "umiejscowieniu" – rzekł Jim.

–Umiejscowienie to inaczej lokalizacja. Umieszczenie w punkcie posiadającym określone położenie w przestrzeni…

–Znam definicję słowa umiejscowienie! – przerwał mu ostro Smoczy Rycerz. Zawsze irytowało go, że Caro- linus zapominał, iż ma do czynienia z człowiekiem wy- kształconym, i to wszechstronnie, na poziomie nie czter- nasto-, a dwudziestowiecznej wiedzy. – Nie rozumiem tylko, w jakim znaczeniu ty go używasz.

–W znaczeniu punktu koncentracji – odparł równie niesympatycznym tonem Mag. – Ciemne Moce wybierają takie miejsca, jak Twierdza Loathly, którą tak dobrze znasz, a następnie powołują do życia różne stwory, by stąd robiły wypady, czyniąc spustoszenia, a jednocześnie broniły swej siedziby.

–Skąd więc ta larwa wzięła się na Wzgórzach Cheviot, jeśli nie ma tu czego bronić? – zdziwił się Jim.

Carolinus utkwił w nim spojrzenie i milczał długo, zanim wreszcie przemówił: – Mój chłopcze, nie wiem. Po prostu nie wiem. Nigdy wcześniej nie słyszałem o niczym podobnym. Nie jestem w stanie zrozumieć powodu, dla którego miałaby się tam znaleźć larwa. Zazwyczaj Ciemne Moce tworzą takie maszkary dopiero po obraniu punktu koncentracji i niszczą je, gdy zniknie sam punkt. Ale w takiej sytuacji nie wiem.

Nagle Jimowi przyszła do głowy pewna myśl.

–Może Wydział Kontroli powiedziałby więcej tobie? – zapytał.

Carolinus pokręcił głową.

–Wiem, że czasami rozmawiam z nimi dość ostro, ale wolno mi, bo jestem posiadaczem jednego z trzech naj- większych kont, jakimi zarządza. Nie daje mi to jednak prawa do szczególnych względów. Cokolwiek mogą powie- dzieć, informacje te są dostępne dla wszystkich magów.

Jimie… – zaczął, a jego głos brzmiał wyjątkowo poważ- nie – musisz koniecznie dowiedzieć się jak najszybciej wszystkiego o tej larwie, przyczynie jej zjawienia się i związku z zaistniałą sytuacją. Bardzo mi się to nie podoba. Jeśli Ciemne Moce zrezygnowały ze zwykłego sposobu postępowania, to niezwykle poważna sprawa.

Postaraj się dowiedzieć, skąd, u licha, się tam wzięła!

–Zrobię wszystko, co będę mógł – zapewnił go Jim. – Właściwie sam postanowiłem zasięgnąć informacji, a jeśli ty jesteś zdania, że to tak poważna sprawa, poświęcę jej maksimum uwagi.

–Bardzo dobrze. Powodzenia, mój chłopcze – rzekł Mag i ponownie odwrócił się w stronę drzwi. – Teraz już naprawdę muszę iść. Przykro mi, że nie mogę ci już w niczym pomóc. To przez swoje pochodzenie z innego świata masz tyle problemów. Właśnie dlatego musisz się mierzyć z potężnymi wrogami, z którymi żaden inny mag klasy D nie miałby szans poradzić sobie. Mistrz zawsze powinien służyć pomocą swemu uczniowi. Ale w tym przypadku mam związane ręce.

–Nic nie szkodzi. Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś, Carolinusie.

–Dziękuję ci, chłopcze.

Odwrócił się na pięcie, wreszcie otworzył drzwi i rzucił do środka: – Czy zmęczyło cię to czekanie? Przykro mi. Ale widzę, że rzeczywiście nie omieszkałaś napić się madery. To bardzo dobrze…

Jim nie usłyszał dalszych słów, ponieważ drzwi zatrzas- nęły się.

Stał samotnie na żwirowej ścieżce, a w uszach dzwięczała mu woda opadająca z fontanny. Westchnął. On także musiał wracać do własnego ciała na zamku de Mer.

Zamknął oczy i na wewnętrznej stronie czoła napisał magiczny wiersz mający sprowadzić go z powrotem. Gdy w chwilę później otworzył je ponownie, stwierdził, że leży na materacu w sypialni Liseth.

–Już nie śpisz! – ucieszyła się Liseth, nachylając się nad nim. – Dopiero co wróciłam. To bardzo uprzejmie z twojej strony, że obudziłeś się tak szybko. Cieszy mnie to, bo Greywings odszukała Snorrla i jeśli wyruszymy nie- zwłocznie, może spotkamy go, zanim zacznie zmierzchać.

Czego od niego oczekujesz?

–Chcę znaleźć odpowiednie miejsce – oświadczył tajemniczo Jim.

–Ośmielam się zapytać, ponieważ może nie zechcieć ci powiedzieć. Wiesz, jaki on jest.

Rozdział 13 w, ybacz, proszę – rzekł Jim wstając, po czym schylił się i zaczął rolować materac tak, by móc wsunąć go pod ramię.

–Możesz go tu zostawić, jeśli chcesz, panie – oświad- czyła dziewczyna. – Któryś ze służących odniesie go do twojej komnaty.

–Dziękuję, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zrobić to osobiście, nikt inny

bowiem nie powi- nien dotykać tego materaca. To część magii, którą się właśnie zajmowałem.

–Och, postaram się o tym pamiętać. W takim razie chodźmy teraz do komnaty, w której leży Sir Brian, abyś mógł zostawić tam swój magiczny materac.

Skierowali się korytarzem ku schodom, a następnie wspięli na wyższe piętro.

–Szczerze mówiąc i tak zamierzałem przed wyjściem zajrzeć jeszcze do Briana. Powinienem dokładniej wyjaśnić sługom, co mają robić. Muszą nie tylko namawiać go do picia piwa, ale także podawać mu kubek i podtrzymywać głowę.

–Wypytam ich zaraz, czy tak postępowali. Jeśli jeszcze sami do tego nie doszli, znajdę sposób, by im to wyja- śnić – zapewniła Liseth.

–Dziękuję.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

–Nie ma za co, panie.

Na policzkach, w uśmiechu, zarysowały się dołeczki, co dodało jej jeszcze urody. Jim zdał sobie sprawę, iż dziewczyna jest wyjątkowo pociągająca. Z obawą odpędził od siebie tę myśl.

–Dziękuję – powtórzył, tym razem dosyć chłodno, lecz Liseth zdała się nie zwrócić na to uwagi.

–Greywings znalazła Snorrla niecałe pół mili stąd – ciągnęła. – Jeśli dotychczas nie dotarł jeszcze do miejsca naszych spotkań, to z pewnością jest już blisko.

Jedźmy więc, jak tylko sprawdzimy co słychać u Sir Briana.

–Dobrze.

–Dobrze? Dlaczego masz więc tak ponurą minę? – zapytała zaciekawiona Liseth.

–Myślę o jutrze. Ten opatrunek, którym zabezpieczy- łem ranę Briana, musi zostać zdjęty i zastąpiony innym.

Czy wygotowałaś, jak prosiłem, długie, wąskie i miękkie pasy materiału?

–Wygotowałam różne rodzaje materiałów o różnych kształtach – oświadczyła Liseth. – …A właściwie przypil- nowałam, by zajęli się tym służący. Kazałam im także wyczyścić ręce najdokładniej jak się da, zanim się do tego wzięli. Czy dobrze postąpiłam?

–Jak najbardziej.

–Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej, żeby po- móc – rzekła, kiedy znaleźli się na wyższym piętrze i podążyli korytarzem prowadzącym do komnaty, gdzie leżał Brian.

–A może będziesz jeszcze pomocna – rzekł Jim tknięty nagłą myślą. – Czy mogę spojrzeć na twoje dłonie?

Liseth wyciągnęła ręce i podsunęła mu wewnętrzne części dłoni pod same oczy.

–Czy mogłabyś odwrócić je drugą stroną, pani? – po- prosił.

Zrobiła to. Tak jak się obawiał, podczas gdy same dłonie były dość czyste, to pod każdym paznokciem znajdowało się pełno brudu.

–Twierdziłaś, o ile pamiętam, że nie macie tu my- dła? – zapytał Jim.

–Sądzę, że tak, panie. Szczerze mówiąc nie wiem, co masz na myśli mówiąc "mydło".

–Zazwyczaj sporządza się je poprzez gotowanie razem popiołu drzewnego i tłuszczu zwierzęcego – wyjaśnił Jim. – Sprawia, że łatwiejsze jest czyszczenie, kiedy dodamy go do wody, w której coś się myje.

–Och! Chodzi ci o mydło? Myślałam, że mówisz o jakimś przedmiocie związanym z magią, mającym tę samą nazwę. Ależ oczywiście, robimy je co miesiąc w dużych kadziach. Prawdę mówisz, panie, pomaga przy myciu.

Czasami jest też dobre jako lek.

Jim odczuł ogromną ulgę.

–Jeśli więc masz mydło, nie widzę powodu, dla którego ci służący nie mieliby starannie umyć dłoni i całych rąk, używając dużej ilości mydła. I oczyścić paznokcie.

–Oczyścić paznokcie? – zdziwiła się Liseth. – Przecież to, co znajduje się pod nimi nie ma styczności z Sir Brianem ani z niczym, czego dotykają.

–Obawiam się, że w przypadku leczenia przy użyciu magii konieczne jest, żeby pod paznokciami nie było żadnego brudu. Wybaczysz, że o tym wspominam, pani, ale jeśli chcesz mi pomóc, byłbym wdzięczny, gdyby twoje ręce były tak czyste jak służących, a może nawet bardziej, aby dać im przykład.

–Ależ co za myśl! – rzekła oburzona dziewczyna, gdy dotarli do komnaty, w której leżał Brian. – Oczywiście, że moje ręce będą czystsze niż służących! Nigdy nie uda im się wymyć ich lepiej niż mnie! Ale czy to oznacza, że powinnam myć je, aż nic nie pozostanie pod paznokciami?

–I jeszcze nieco dłużej.

–Na Świętą Annę! – wykrzyknęła Liseth, zatrzymując się ze zdziwienia.

Po chwili, kręcąc z niedowierzaniem głową, podążyła za Jimem, który zatrzymał się dopiero przy łożu Briana.

Rycerz nie spał, a jego oczy były szeroko otwarte.

–Jak się czujesz? – zapytał Jim.

Brian z pewnym trudem przeniósł na niego spojrzenie.

–Dobrze. Jestem odrobinę zmęczony, ale niech tylko wyśpię się przez noc, to jutro już wstanę…

–Ani jutro, ani nawet pojutrze – oświadczył zdecydo- wanie Jim. – Zostaniesz w łóżku jeszcze przez tydzień.

Czy pijesz to piwo?

Zajrzał do dzbanów i stwierdził, że jeden z nich jest już w połowie pusty.

–Tak – powiedział ranny – choć jestem nieco zdziwiony, że gospodarze niewiele się o mnie troszczą i zapominają o winie. Czy mógłbyś…

–Nie obwiniaj za to gospodarzy – przerwał mu Jim. – To ja nalegałem, by nie dawano ci nic poza piwem.

–Wino… – zaczął Brian, lecz przyjaciel nie dał mu dojść do słowa.

–Wino ma dla ciebie w tej chwili zbyt wiele alkoholu.

Twoja rana nie jest niebezpieczna, ale nie powinieneś dostarczać organizmowi alkoholu.

–Alko…

–To coś, co sprawia, że upijamy się. Obecnie nie byłoby to dla ciebie dobre. Poza tym, straciłeś wiele krwi i musisz uzupełnić ten płyn w swoim ciele. Piwo znakomicie się do tego nadaje, i to jak największa jego ilość.

–Ależ nie ma sprawy – szepnął mistrz kopii. – Jeśli obawiasz się, że będę pijany, zapominasz, iż przywykłem do wina. Mogę wypić tylko trzy lub cztery flasze, jak w dzień, i

przestać, zanim wleję w siebie zbyt dużo tego al… – jak to się tam zwie. A przez resztę dnia będę pić tylko piwo.

–To nie takie proste. Konieczne jest, aby zatrzymać w tobie płyn, a wino jest moczopędne.

–Moczo… – wyjąkał Brian. – To jakieś magiczne słowo! Nie rozumiem, Jamesie…

–To, hm… -Jim rozejrzał się i dostrzegł, że zarówno Liseth, jak i służący przyglądają mu się z zainteresowaniem, oczekując wyjaśnienia. Nie było nadziei na zmianę tematu rozmowy. Słowa "oddanie moczu" czy "defekacja" nic nie znaczyłyby dla tych ludzi. – Wino sprawia, że dużo sikasz.

–Naprawdę? – zapytała z zainteresowaniem Li- seth. – Kiedy zwróciłeś na to uwagę, panie, sama muszę przyznać, że jest tak w istocie. Ale sikanie jest przecież zwykłą i zupełnie niegroźną czynnością. Nie mogę patrzeć na Sir Briana pozbawionego wina, które daje mu siłę i radość. Pozwól mu choćby na dwie butle dziennie.

–Nie! – rzucił stanowczo Jim.

Brian nie śmiał dalej nalegać. Smoczy Rycerz zaniósł więc materac w kąt pomieszczenia i położył go obok reszty swych rzeczy, po czym ponownie zbliżył się do łóżka.

–Na szczęście rana jest dość płytka. Niemniej codziennie należy zmieniać opatrunek, a to może być nieco bolesne…

Brian prychnął tylko pogardliwie.

–W każdym razie, jeśli nie wystąpią żadne kompli- kacje – ciągnął Jim – za tydzień wstaniesz z łóżka, a za dwa będziesz mógł wsiąść na konia.

–Wsiąść na konia za dwa tygodnie! – oburzył się Brian. – Będę jeździć za dwa, najwyżej trzy dni!

–Zobaczymy. Teraz zostaniesz ze służącymi, którzy mają ci jak najczęściej proponować piwo. Chcę, żebyś pił go jak najwięcej. Pamiętaj, że poprzez magię nadałem mu uzdrawiającą moc, więc musisz mnie słuchać!

Ranny posłusznie skinął głową.

–Tak, Jamesie – rzekł cicho.

–Będę cię tu często odwiedzać – zapewnił go Smoczy Rycerz. – Teraz udaję się wraz z Liseth na przejażdżkę.

Wpadnę jednak wieczorem, a później rano. Jak tylko naprawdę będziesz na siłach wstać z łóżka, dam ci na to pozwolenie. W porządku?

–Nie, ale uczynię jak każesz.

Jim położył rękę na ramieniu przyjaciela.

–Tak musi być. Do zobaczenia.

Wyszedł, a za nim podążyła Liseth.

Już w korytarzu i na schodach, dziewczyna zasypała go gradem pytań na temat wina i jego wpływu na organizm ludzki. Mówiła o fizjologii, jak znaczna większość ludzi czternastego wieku, z niewiarygodną otwartością i Jim poczuł się zawstydzony. Zdołał ją wreszcie uciszyć, powo- łując się, jak zawsze, na magię. W milczeniu doszli do drzwi frontowych, przed którymi czekały już na nich konie.

W chwilę później wyjechali na otwartą przestrzeń i cwa- łem skierowali się ku porosłym lasem wzgórzom.

Do zachodu słońca bez wątpienia pozostawały jeszcze co najmniej dwie godziny. Jim uświadomił sobie jak wiele się dziś zdarzyło. Wiedział jednak, że w czasach świec i pochodni, w których żył obecnie, dzień zaczyna się o wschodzie słońca, a kończy tuż po jego zachodzie.

Wkrótce wjechali w cień rzucany przez drzewa, pokryte już świeżymi listkami i zmierzch momentalnie zdał się zbliżyć o godzinę. Las nie był gęsty i przez gałęzie prze- świecało słońce, ponieważ niebo było niemal bezchmurne.

Po kilku minutach znaleźli się na niewielkiej polanie, która Jimowi zdała się zupełnie pusta.

–Czy to tutaj miał się z nami spotkać Snorrl? – zapy- tał, kiedy zatrzymali konie.

–To tutaj się z wami spotkałem -rozległ się głos wilka.

Kiedy Jim spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos, ujrzał Snorrla leżącego w trawie, o zaledwie kilkanaście stóp od niego. Przysiągłby, że jeszcze przed sekundą wilka nie było w tym miejscu.

Liseth zeskoczyła z konia, więc Smoczy Rycerz poszedł za jej przykładem. Rzuciła cugle na ziemię, jak zwykli czynić to kowboje w dawnym świecie Jima, więc postąpił jak ona.

Było to dość niezwykłe zachowanie jak na czternasty wiek, ale wytłumaczył to sobie zażyłością dziewczyny ze zwierzętami. Liseth podeszła do wilka, który natychmiast zerwał się na nogi i także ruszył w jej stronę z opuszczoną głową, położonymi uszami i machając ogonem.

Pochyliła się, a Jim odniósł wrażenie, że wolałaby uklęk- nąć, lecz powstrzymała się od tego, ponieważ ziemia była wciąż wilgotna po roztopach. Zaczęła drapać Snorrla wokół uszu i pod brodą, co ten przyjmował z wyraźną radością.

–Czy potrzebowałaś mnie? – zapytał wilk.

–Właściwie potrzebował cię Sir James, mag – wyjaś- niła dziewczyna.

Snorrl rzucił mu przelotne spojrzenie, lecz nie uczynił najmniejszego ruchu w jego stronę.

–O co więc chodzi, magu? Lub Sir Jamesie, bo tak zapewne zwracają się do ciebie.

–Wolałbym to drugie. Chciałem skorzystać z twojej wiedzy o Wzgórzach Cheviot. Opowiedz mi o obszarze zajmowanym przez Pustych Ludzi, gdzie nie zapuszcza się żaden normalny człowiek. Mam nadzieję, że poruszasz się tam swobodnie.

–Rzeczywiście – przyznał Snorrl, po czym głośno kłapnął paszczą. – Przecież to moje lasy, a Puści Ludzie żyją tam, ponieważ żadni śmiertelnicy, jak ty, nie potrafią skończyć z nimi. Już ci mówiłem, że Puści Ludzie niezbyt za mną przepadają. Boją się wilków, podobnie jak wy obawiacie się duchów.

–Osobiście nie boję się żadnych duchów, Snorrlu.

Obawiam się tylko zła, szczególnie zaś Ciemnych Mocy.

Myślę, że słyszałeś o nich.

–A kto nie słyszał? – warknął wilk. – Nie mają one jednak władzy nad żadnymi czworonożnymi istotami i nie mogą im zagrozić. Walczą na Ziemi tylko z dwunożnymi!

–To prawda. Mam jednak do ciebie pytanie. Czy na terenach zajmowanych przez Pustych Ludzi znasz miejsce, gdzie można by ich zgromadzić wszystkich, gdyby zaszła taka konieczność? Takie, z którego trudno byłoby im uciec.

–Na wzgórzach jest więcej niż jedno takie miej- sce – oświadczył Snorrl, a w jego głosie

dało się słyszeć zainteresowanie. – Dlaczego chcesz zebrać ich wszystkich razem i w jaki sposób chcesz tego dokonać?

–Tego, szlachetny wilku, wciąż jeszcze do końca nie wiem. Na razie wystarczy mi wiadomość, że istnieją takie miejsca. Później może poproszę cię o pokazanie mi ich.

–A nie bałbyś się znaleźć na obszarze zajmowanym przez Pustych Ludzi? – zdziwił się Snorrl, zadzierając głowę, by przyjrzeć mu się uważnie. – Zapewne więc mówisz prawdę, iż nie obawiasz się duchów.

–Duchów nie. Wystrzegałbym się jednak jak ognia spotkania z Pustymi Ludźmi, uzbrojonymi i gotowymi na wszystko. Niemniej niewykluczone, że poproszę cię o pokazanie miejsc, o których mówiliśmy.

–Dla mnie to wszystko jedno! – stwierdził wilk, chwytając zębami dokuczającą mu muchę. – Jeden Pusty Człowiek, czy wielu. Liseth, czy chcesz, bym zabrał Sir Jamesa na Wzgórza Cheviot?

–Byłabym ci za to wdzięczna – oświadczyła dziew- czyna. – Wiedz, że to co mówi Sir James, wszystko co mówi, cieszy się moją akceptagą i wsparciem.

Uszy Snorrla, które uniosły się na czas rozmowy z Jimem, opadły ponownie. Wilk zwrócił się do niego: – Kiedy chcesz wyruszyć? Teraz?

–Nie, nie teraz – odparł Smoczy Rycerz. – Przede wszystkim dlatego, że dzień ma się już ku końcowi i nie byłoby możliwości dokładnego obejrzenia tych miejsc.

Jutro, tuż po wschodzie słońca, pora będzie odpowiedniej- sza. Ale powiedziałeś, że jest ich wiele. Chciałbym obejrzeć, powiedzmy, trzy. Pozwól, że opiszę ci warunki, jakie powinny spełniać.

–Jak sobie życzysz.

–Idealne miejsce ma pomieścić wszystkich Pustych Ludzi, których liczbę oceniam na dwa tysiące. Ponieważ nie wszyscy będą zapewne w pełni ubrani, potrzebuję go mniej niż na dwa tysiące zwykłych uzbrojonych mężczyzn.

Z drugiej jednak strony lepiej byłoby, gdyby miejsca tam starczyło dla większej ich liczby.

–Mów dalej – zachęcił go Snorrl, gdy urwał na moment.

–A więc otwarta, najlepiej płaska przestrzeń. Z jednej strony, a najlepiej z dwóch, ale nie więcej, chciałbym, aby otaczały je strome stoki, na które nie da się wspiąć. Tak, że Puści Ludzie zaatakowani i pozbawieni drogi ucieczki, zostaliby zmuszeni do walki aż do ostatniego. Byłoby najlepiej, gdyby dwie pozostałe strony opadały stromo, żeby armia, mająca ich zaatakować, mogła się skryć, a jeszcze lepiej, by porastał je gęsty las.

Snorrl uniósł uszy i popatrzył z zainteresowaniem na Jima.

–Sir Jamesie, wygląda więc, że planujesz bitwę z nimi.

–Powiedzmy, że mam nadzieję, iż dojdzie do niej.

W tej chwili interesuje mnie, które z tych trzech miejsc najlepiej nadaje się do tego celu, a może nie ma takiego?

Powiedz mi, jeśli możesz, o zaletach i wadach każdego.

A jutro będę mógł udać się z tobą i osobiście je obejrzeć.

–Znam trzy miejsca, które mogłyby się nadawać – oświadczył wilk ochrypłym głosem. – Wspaniałe puła- pki dla tych dwunogow bez ciał. Wszystkie one leżą jednak w znacznej

odległości stąd. Od najbliższego dzieli nas jakieś dwadzieścia mil, używając waszych miar. Jutro mogę czekać na ciebie przy pierwszym z nich.

Odwrócił głowę w kierunku Liseth i przemówił do niej: – Ten twój pogromca ptaków może mnie znaleźć z powietrza, a następnie wskazać drogę Sir Jamesowi.

–Nie będzie to łatwe dla Greywings, żeby cię odszukać, wrócić do Sir Jamesa i wskazywać mu drogę. Czy nie mógłbyś spotkać się z nim tutaj i poprowadzić go sam?

–Nie, a to z dwóch powodów – powiedział wilk. – Po pierwsze, dlaczego miałbym wędrować czter- dzieści mil lub nawet więcej, jeśli nie muszę tego robić? Po drugie zaś, jeśli spotkamy się tu, podróż zajmie nam tyle czasu, że wątpię, czy zdążylibyśmy obejrzeć jednego dnia wszystkie trzy miejsca. Z pewnością musiałby wracać do domu już w ciemnościach. – Uśmiechnął się na swój specyficzny sposób. – Nie radziłbym tego – ciągnął – szczególnie jeśli mnóstwo tam Pustych Ludzi. – Zwró- cił się z powrotem do Jima: – Czy masz jakieś inne propozycje, rycerzu?

–Prawdę mówiąc mam. Czekaj przy pierwszym miejs- cu, jak mówiłeś, a ja wraz z Greywings znajdę cię.

–Znajdziesz mnie? – zadrwił wilk. – Zajęłoby ci to tydzień, jeśli nie więcej.

–Nie sądzę. Zapominasz, że jestem magiem i mam swoje sposoby podróżowania wraz z Greywings. Myślę, że nie poświęcę na to dużo czasu.

–Bardzo dobrze. Będę czekać, dopóki słońce nie znajdzie się w najwyższym punkcie. Jeśli nie zjawisz się, ruszę za swoimi sprawami. Nie mam ochoty przez cały dzień wylegiwać się na słońcu.

–A więc ustalone – rzekł Jim. Spojrzał w niebo, gdzie słońce zaczęło już przybierać czerwoną barwę. – Powin- niśmy wracać do zamku, pani. Mam nadzieję, że tak wspaniała pogoda utrzyma się do jutra.

–Nie ma obawy – rzeki Snorrl. – Jeśli będziesz mnie potrzebować, Liseth, zawsze możesz na mnie liczyć.

–Proszę cię o jedno, Snorrlu – zwróciła się do niego dziewczyna. – Opiekuj się dobrze Sir Jamesem.

Wilk spojrzał na rycerza.

–Zrobię to dla ciebie, Liseth. Obiecuję, że ze mną będzie bezpieczny.

Wypowiedziawszy te słowa, niemal w magiczny sposób zniknął z miejsca, gdzie stał jeszcze przed momentem. Liseth i Jim podeszli do koni, dosiedli ich i skierowali się do zamku.

–Sir Jamesie, jak zamierzasz towarzyszyć Greywings i znaleźć Snorrla? – zapytała nieśmiało dziewczyna.

–Posłużę się magią. Jeśli mi wybaczysz, wolałbym teraz o tym nie mówić.

Rozejrzał się po mroczniejącym już lesie i dodał: – W takich warunkach nigdy nie wiadomo, czy ktoś nas nie podsłuchuje.

–Rozumiem, co masz na myśli.

W milczeniu przebyli resztę drogi dzielącej ich od zamku.

Jim czuł się nieco winny, okazując dziewczynie tak mało zaufania, lecz przypomniał sobie jak często ci średniowieczni ludzie potrafili opacznie zrozumieć lub przeinaczyć za- słyszane słowa.

Właściwie nie było konieczności ukrywania magicznych działań, których musiał dokonać. Wolał jednak nie ryzy- kować, ponieważ przeprowadzenie ich przy świadkach mogło pociągnąć za sobą łańcuch dociekań i zdarzeń, których później mógł pożałować.

Wraz z innymi spożył wieczorny posiłek, dwukrotnie zajrzał do Briana, lecz ten spał. Stwierdził jednak, że przyjaciel przed snem wypił dość dużo piwa, co bardzo go ucieszyło. Wreszcie, o dość wczesnej porze, rozwinął swój materac obok łoża Briana i udał się na spoczynek, by móc obudzić się przed świtem. Pomyślał także o Dafyddzie i zostawił mu na podłodze nieco miejsca, ponieważ łucznik postanowił zostawić całe łóżko rannemu.

Obudził się rzeczywiście przed nastaniem dnia. Obywanie się bez budzika sprawiało, że potrafił sam zbudzić się o każdej porze. Musiał teraz ubrać się, najeść oraz napić, przygotować prowiant i opuścić zamek przed wschodem słońca.

Wolałby wyjść pieszo, ale z pewnością wzbudziłoby to powszechne zainteresowanie. Rycerze nie ruszali się nigdzie poza siedzibę na własnych nogach, jeśli tylko mogli skorzystać z końskiego grzbietu. Przypominali w tym kowbojów z zachodnich równin, tych samych, którzy wyszkolili wierzchowce tak by nie odeszły z miejsca, gdzie rzuciło się na ziemię wodze.

Oddaliwszy się około pół mili od zamku, zsiadł z rumaka i przywiązał go na długim sznurze pod skałą. Miała zaledwie dwadzieścia stóp wysokości, ale była niemal zupełnie pionowa. Znajdowała się w niej niewielka nisza, w której zwierzę mogło schronić się przed napastnikiem. Było to wszystko, co mógł dla niego zrobić. Właśnie dlatego, z niemałym poczuciem winy, skorzystał z wierzchowca ze stajni de Merów, pozostawiając tam swojego, którego życie było dla niego zbyt cenne.

Pogładził konia po szyi przepraszająco i odtroczył od siodła pakunek z jedzeniem i piciem. Oddalił się, aż rumak zniknął mu z oczu za drzewami. Doświadczenie nauczyło go, by nie zmieniać się w smoka w ich obecności. Koń nie rozumiał, że to znany mu człowiek przemienia się w smoka.

Obchodziło go tylko to, że nagle miał przed sobą potwora z potężną paszczą i pazurami, na widok którego wpadał w panikę.

Kiedy Jim był pewien, że zwierzę już go nie zobaczy, odłożył pakunek z prowiantem, rozebrał się i zrolował ubranie, do którego dołączył buty. Po chwili zastanowienia dołożył jeszcze miecz w pochwie. Wszystko przewiązał pasem, zarzucił go na szyję, z mieczem wiszącym na plecach i zapiął na ostatnią dziurkę. Następnie na wewnę- trznej stronie czoła napisał w myślach: JA -» SMOK Jak zwykle nie odczuł wyraźnie przemiany, tylko pas na szyi uniósł się, ponieważ w obecnej postaci była ona nieporównywalnie grubsza. Spoglądając w dół na ręce i nogi, ujrzał teraz smocze przednie i tylne łapy, potężniejsze i silniejsze od ludzkich. Czuł też na plecach ciężar skrzydeł wraz z ogromnymi mięśniami koniecznymi do korzystania z nich. Pakunek zdawał się spoczywać solidnie między trójkątnymi kostnymi występami na grzbiecie.

Pod drzwiami pokoju Liseth zostawił kartkę, gdzie dużymi, drukowanymi literami napisał najprościej jak umiał, by poleciła Greywings wskazać mu drogę do Snorrla i wyjaśnił, że będzie znajdować się w powietrzu pod postacią smoka.

Rozwinął skrzydła, z przyjemnością delektując się siłą drzemiącą w potężnych mięśniach. Sprężyście wybił się w powietrze i zamachał skrzydłami.

Zwyczajem smoków, zakodowanym w ich instynkcie, który odkrył już dawno temu, było wzbicie się na wysokość co najmniej tysiąca stóp i dopiero tam poszukiwanie prądów wznoszących, czyli pionowego słupa rozgrzanego powietrza.

Korzystając z niego mógł swobodnie szybować, krążąc na maksymalnie rozpiętych skrzydłach, bez konieczności po- ruszania nimi i marnowania energii. Nawet mając tak ogromne skrzydła i niewiarygodnie rozbudowane, porusza- jące nimi mięśnie, latanie nie było prostym zajęciem.

Osiągnął wreszcie zamierzone tysiąc stóp i rozejrzał się za Greywings. Na niebie przybierającym różową barwę nie było jednak ani śladu sokoła.

Oglądanie się do tyłu okazało się niezwykle trudnym zadaniem, więc zrezygnował z niego. Zamek znajdował się teraz dość daleko za nim. Wciąż nie znalazł prądu wznoszą- cego, więc nie mógł przejść do szybowania, gdyż nie byłby w stanie utrzymać wysokości. Znowu, zdecydowanie zama- chał skrzydłami i wspiął się o kolejnych pięćset stóp.

Zdawało mu się, że w oddali dostrzegł jakiś czarny punkcik, którym mogła być Greywings. Ponownie usiłował szybować.

Zaczął już podejrzewać, że może mieć poważne problemy z wysokością lotu. Teraz, o świcie, prądy dopiero tworzyły się, słońce zaczynało ogrzewać ochłodzoną nocą ziemię. Na dole rósł gęsty las, a więc powstawały znacznie trudniej.

Utracił uzyskaną z takim wysiłkiem wysokość. Ponownie, tym razem już ze złością, zaczął machać skrzydłami, aż wzniósł się na około osiemset stóp. Przeszedł do swobod- nego lotu, natrafiając na warstwę cieplną, jednak zbyt małą dla tak potężnego lotnika jak on. W tym momencie usłyszał krzyk sokoła i nagle coś uderzyło go w tył łba.

Potrząsnął głową, zapewne bardziej na zasadzie odruchu niż z bólu. Jego smocza czaszka była tak twarda, że ledwie poczuł uderzenie, które człowieka mogło pozbawić przytom- ności. Zorientował się, że sokół zanurkował i uderzył go łapami, mając na szczęście zamknięte szpony.

Niepotrzebna mu była Liseth, by domyślić się, co oznaczał wrzask ptaka. Przetłumaczony, mógł znaczyć mniej więcej: "Przestań tak chaotycznie machać skrzydłami i zacznij latać jak należy!" Pomyślał, że jeśli Greywings będzie dalej nurkować na niego, jest w stanie temu zaradzić.

Gdyby odwrócił się grzbietem do ziemi, mógłby pochwycić ptaka w przednie łapy lub delikatnie w paszczę, nie robiąc mu oczywiście krzywdy, lecz przestrzegając przed tak niewłaściwym zachowaniem. Sokół nie rozumiał, że smoki mają zupełnie inny sposób latania niż on. Tak rozmyślając, natrafił na prąd powietrza i z uczuciem ulgi zaczął zataczać kręgi, wznosząc się coraz wyżej.

Rozejrzał się za sokołem, oczekując jego kolejnego ataku, lecz odprężył się, dostrzegłszy go krążącego w tym samym słupie powietrza, o jakieś sto stóp powyżej. Smoki i sokoły nabierały więc wysokości w ten sam sposób. Nawet Grey- wings nie była w stanie bez przerwy poruszać skrzydłami, chociaż potrafiła spaść na ofiarę z prędkością dwustu mil na godzinę. Obserwując ją, zobaczył, że w pewnym momen- cie opuściła słup powietrza i skierowała się na zachód, a wschodzące słońce znajdowało się za jej ogonem. Po chwili znalazła sąsiedni prąd i ponownie zaczęła krążyć.

Jim podążył jej śladem. Rozpoczęli więc poszukiwania wilka i teraz działali zespołowo.

Zrozumiał, że sokół, podobnie jak on, nie wie, gdzie może znajdować się Snorrl. Powinni kierować się w stronę Wzgórz Cheviot, a właściwie ponad nie i tam wypatrywać wilka.

Jim na wszelki wypadek zlustrował teren pod nimi smoczym, teleskopowym wzrokiem. Nie dostrzegł jednak miejsca, jakie opisał Snorrlowi, ani jego samego. Wiedział, że ptak ma wzrok lepszy od smoka, a więc to zapewne on pierwszy dostrzeże czworonoga.

Skupił więc uwagę przede wszystkim na podążaniu za Greywings.

Rozdział 14 s, 'pędzili kilka godzin szybując między sąsiednimi prąda- mi wznoszącymi, tylko od czasu do czasu wprowadzając w ruch skrzydła. Sokół wyraźnie lubił zajmować stanowisko obserwacyjne na wysokości ponad tysiąca pięciuset stóp, Jim również starał się utrzymywać na tym pułapie. Doszedł jednak do wniosku, że Greywings czuje się lepiej, jeśli leci co najmniej sto stóp powyżej niego.

Ułatwił jej więc zadanie, zniżając lot do wysokości tysiąca stóp i pozwalając, aby zajęła stanowisko ponad nim. Ze swego pułapu z pewnością mogła ogarnąć wzrokiem więk- szy obszar. Jim zaś wisiał w powietrzu, starając się przypo- mnieć sobie co wie o zaletach i wadach ptasiego wzroku.

Zapamiętał, że Greywings nie rozróżnia kolorów, w prze- ciwieństwie do smoków, bo sam postrzegał świat podobnie jak człowiek, z całą paletą barw. Wiedział, że większość zwierząt widzi otoczenie tylko w odcieniach szarości i do- piero niedawno, w dwudziestowiecznym świecie odkryto, iż wilki, a może także psy rozróżniają co najmniej dwie barwy. Jedną z nich była czerwień, lecz druga umknęła jego pamięci.

Nagle przypomniał sobie fakt, w który kiedyś trudno mu było uwierzyć. Słyszał bowiem, że sokoły, także wędrowne i zapewne wszystkie inne ptasie drapieżniki, nie zauważały przedmiotów pozostających w bezruchu. Jeśli rzeczywiście tak było, Greywings mogła nie spostrzec Snorrla, który prawdopodobnie leżał, drzemiąc znudzony oczekiwaniem.

Zaniepokojony, sam zaczął uważniej przeczesywać wzro- kiem okolicę.

Niemniej, albo Snorrl akurat się poruszył, albo pamięć spłatała Jimowi figla, gdyż Greywings zaczęła opadać spiralnie, a Smoczy Rycerz podążył za nią. Dostrzegł, że zbliżają się do otoczonego lasem miejsca, wznoszącego się nieco ponad okolicą.

Okalały je strome skały, lecz pomiędzy nimi znajdowało się płaska polana. Tylko jedna strona była odsłonięta, podczas gdy z trzech pozostałych piętrzyły się pionowe skały wysokości około stu stóp. Poniżej nich płynął stru- mień.

Od razu widać było, że miejsce to nie nadaje się do jego celów. Jim wiedział jednak, iż jeśli od razu zacznie kręcić nosem, wilk może stracić ochotę na pokazanie mu pozo- stałych miejsc. Wreszcie wylądował zaledwie z pięćdziesiąt stóp od leżącego Snorrla. Sokół zdecydował się pozostać w powietrzu.

Wilk poderwał się na nogi i stanął bokiem do Jima, z jedną nogą lekko uniesioną, dotykając nią ziemi jedynie końcami pazurów. Przyjął niemal identyczną pozę, jaką Jim widział kiedyś u wilka na fotografii u swego przyjaciela psychologa i znawcy wilczej natury. Stanowiła klasyczną postawę gotowości do walki lub ucieczki, a zwierzę mogło się momentalnie zdecydować na jedno lub drugie.

Smoczy Rycerz pospiesznie napisał w myślach czar i przemienił się w nagiego mężczyznę z tobołkiem i mieczem wiszącymi na szyi.

Snorrl stał w swojej pozie jeszcze przez chwilę, po czym niezdecydowanie, z rezerwą

zbliżył się do Jima, wciąż wyraźnie gotowy do ucieczki.

–Wszystko w porządku, Snorrlu! – zawołał Smoczy Rycerz. – To tylko ja, Sir James. Musiałem przemienić się w smoka, by móc latać i wraz z Greywings odszukać cię.

Kątem oka dostrzegł, że sokół usiadł na konarze poblis- kiego drzewa. Nie czuł się tam jednak najlepiej i w każdej chwili był gotów zerwać się do lotu.

Snorrl nie odezwał się, choć podszedł nieco bliżej. Jim, świadom jego ostrożnej natury, stał spokojnie, pozwalając wilkowi przyzwyczaić się do nowego widoku. Wreszcie zwierzę znalazło się na tyle blisko, że wyciągnąwszy szyję powąchało jego nagie udo. Kilkakrotnie powtórzyło tę czynność, po czym odprężyło się. Wciąż jednak wyraźnie nie dopisywał mu humor.

–Nigdy nie próbuj w ten sposób zaskoczyć northum- briańskiego wilka! – warknął. – Możesz mieć z tego powodu poważne kłopoty!

Jim zrezygnował z wygłoszenia uwagi, że gdyby pozostał w swym smoczym ciele, to raczej Snorrl mógł mieć poważne problemy, gdyby doszło do konfrontacji sił.

–Nie próbowałem cię zaskoczyć – zapewnił. – Po prostu przyleciałem, otwarcie wylądowałem i przemieniłem się z powrotem w człowieka. – Uczynił wysiłek, by poprawić wilkowi humor. – Z pewnością nie myślisz, żeby groziło ci jakiekolwiek niebezpieczeństwo ze strony nagiego człowieka.

–Nie jesteś nagi, jeśli masz przy sobie miecz – odparł Snorrl.

Jim już miał zamiar polemizować z wilkiem, gdy zdał sobie sprawę, że ten ma rację. W średniowieczu określenie "nagi człowiek" odnosiło się do kogoś ubranego, ale pozbawionego wszelkiej broni. Uznał, że lepiej porzucić ten temat, gdyż Snorrl wyraźnie starał się wyjść z godnością z nieprzyjemnej dla siebie sytuacji, ponieważ przed chwilą widząc smoka okazał przed nim wyraźny lęk.

–A więc jesteś smokiem? – zapytał czworonóg, jakby czytał w myślach Jima.

–Nie, nie jest tak. Jestem zwykłym człowiekiem. Sir Jamesem. Ale jestem także magiem i potrafię przemienić się w smoka. Czy nigdy wcześniej nie widziałeś podobnego stwora?

–W okolicy nie ma żadnego, o którym bym słyszał, a wiedziałbym na pewno, gdyby jakiś smok tutaj żył. W zimie jest dla nich u nas nieco za zimno, a wnioskuję, że nie lubią chłodu, choć w potrzebie potrafią i to znieść. Chyba przez te ich wielkie cielska. Muszą wypromieniowywać z siebie ciepło jak krowy, gdy znajdą się w zamkniętym pomieszczeniu, takim choćby jak niewielka grota. Jak mówię, w okolicy nie ma żadnego, lecz wiedziałem czyją postać przyjąłeś.

–Powinieneś więc wiedzieć także, że smoki nie polują na wilki. Żywią się tylko trawożercami i nie czynią krzywdy innym drapieżcom.

–Northumbriański wilk nie ryzykuje. Ten, który to robi, jest prędzej czy później martwym wilkiem. – Po chwili milczenia ciągnął: – Ważne, że tu jesteś. Oto pierwsze z miejsc, o których ci mówiłem. Czy nadaje się do twoich zamiarów?

Jim poczuł się zobowiązany do choćby pobieżnego zlustrowania otoczenia. Wdział więc nogawice i kaftan oraz umocował miecz u pasa, po czym przemierzył polanę otoczoną skałami, na które z całą pewnością nie dałoby się wspiąć. Przyjrzał się lasowi, z pewnością na tyle gęstemu, by ukryć wojowników, aż wreszcie zbliżył się do niemal pionowego uskoku nieopodal strumienia. W końcu wrócił do Snorrla, który czekał nie ruszając się z miejsca,

gdzie wcześniej rozmawiali.

–To niemal dokładnie to, czego mi trzeba – rzekł Jim. – Ale musisz wiedzieć, że chcę zgromadzić Pustych Ludzi między niedostępnymi skałami i odciąć im wszystkie drogi ucieczki swoimi ludźmi. A to oznacza, że ze wszyst- kich stron teren muszą otaczać skały lub gęsty las. Niestety jest tu ten uskok i Pusty Człowiek po zrzuceniu zbroi i staniu się niewidzialnym może w jakiś sposób tamtędy uciec. Mój cały plan opiera się na założeniu, że żaden z nich nie umknie. Wtedy zabijemy ich wszystkich i już więcej nie wrócą do życia.

–Życzę powodzenia – powiedział ochryple wilk. – A wiec uskok psuje wszystko?

–Z pewnością jest poważnym utrudnieniem, ale nie wyrokujmy jeszcze. Chciałbym przyjrzeć się pozostałym dwóm miejscom i przekonać się, czy któreś z nich nie będzie lepsze.

–Proszę bardzo. Dla mnie to wszystko jedno – oświad- czył Snorrl odchodząc.

Ruszył kłusem i zniknął wśród drzew.

Jim pospiesznie zdjął ubranie, zwinął je i przymocował do pasa. Ponownie umieścił pakunek na szyi i przemienił się w smoka. Kiedy tylko zmienił postać, Greywings wzbiła się w powietrze i szybko zaczęła się wznosić, jakby ta przemiana przestraszyła ją. Wybił się do góry i podążył za nią.

Jednak tym razem to nie sokół prowadził, lecz było odwrotnie. Mógł bowiem obserwować pomykającego wilka i trzymać się ponad nim, przelatując tylko z jednego prądu do drugiego. Wędrowali tak na zachód, gdzie teren obniżał się, aż wreszcie Snorrl dotarł do drugiego miejsca. Jim ponownie wylądował i przybrał ludzką postać.

Po odzianiu się, ponieważ pomimo świecącego słońca w powietrzu czuło się chłód, Jim przystąpił do badania okolicy. Miejsce było niemal idealne. Polana nieco większa niż poprzednia, bez wątpienia pomieściłaby dwa tysiące mężczyzn, nawet w zbrojach i w części konno. Ściany, absolutnie niedostępne, wznosiły się z dwóch stron, a u ich podnóża piętrzyły się głazy. Nigdzie w dół nie opadał możliwy do sforsowania uskok.

Zamiast niego zieleniąca się polana była otoczona drzewa- mi. W jednym jej końcu, u podnóża klifu, wznosił się nawet występ skalny, który mógłby posłużyć za scenę dla szkockie- go wysłannika i przywódców Pustych Ludzi. Jedyną niedogo- dnością był strumień spadający po jednym ze stoków i tworzący pod nim niewielki staw, z którego wypływał następnie, niknąc między drzewami. W wyniku tego, dość szeroki pas ziemi po obu jego stronach był podmokły i stanowiłby trudny teren do toczenia walki. Łatwo było poślizgnąwszy się upaść, a to mogło się skończyć utratą życia.

Kolejnym zastrzeżeniem był fakt, iż drzewa otaczające polanę rosły znacznie rzadziej niż w poprzednim miejscu.

Oczekujący wojownicy musieliby więc skoncentrować się głębiej, by być niewidocznymi dla stojących na otwartej przestrzeni, szczególnie w pełnym świetle dnia.

–No więc? – zapytał Snorrl, kiedy Jim wrócił do niego po oględzinach.

–Bardzo niewiele brakuje temu miejscu do ide- ału – odparł Jim, pozwalając swemu głosowi zabrzmieć entuzjastycznie, choć wątpił czy wilk zwraca uwagę na intonację ludzkiego głosu. – Szkoda, że drzewa na skraju lasu rosną tak rzadko i wolałbym, żeby nie było tu tego strumienia, ale poza tym jest wprost idealne.

–Czy chcesz więc zobaczyć jeszcze jakieś? – zapytał Snorrl.

–Tak. Powiedziałeś przecież, że jest jeszcze jedno, prawda?

–Rzeczywiście, i znajduje się niedaleko stąd. Możesz tam przejść na swych nogach.

–Dziękuję, ale wolę polecieć.

Jeszcze raz zabezpieczył ubranie i przybrał postać smoka.

Uniósł się w powietrze, podczas gdy wilk już zniknął w lesie. Po chwili bez trudu znalazł go. Kiedy spojrzał w górę, z ulgą dostrzegł krążącą wysoko Greywings.

Snorrl miał rację mówiąc, że do kolejnego miejsca jest bardzo blisko. Musiało być oddalone o mniej niż milę. Jim wylądował z głośnym łoskotem pośrodku niemal idealnie owalnej polany, która w późniejszych miesiącach zapewne była porośnięta gęstą murawą, lecz teraz gołą ziemię porastały tylko nieliczne kępy roślinności.

Zachwycony rozejrzał się wokoło. Miejsce to było jak wymarzone, jakby zostało stworzone specjalnie na jego życzenie.

Zmienił się w człowieka, ubrał i ruszył na obchód.

Nigdzie nie było żadnego strumienia, a pionowe stoki otaczały polanę w połowie, a może nawet w dwóch trzecich obwodu. W pozostałej części grunt lekko wznosił się i porastał go gęsty las.

Jeszcze raz obszedł polanę, z każdą minutą czując się coraz bardziej usatysfakcjonowany.

–To ci się podoba – odgadł Snorrl.

Jim zastanawiał się, skąd wilk to wiedział. Stworzenie, nieczułe na tak wyraźną wskazówkę jak intonacja głosu, potrafiło jednak odgadnąć co teraz czuje.

Utkwił w nim spojrzenie, lecz zrezygnował z bezpośred- niego pytania. Pomyślał, że kiedy wróci do domu i będzie miał okazję porozmawiać z Araghem, opowie mu to zdarzenie i może ten wyjaśni mu zagadkę. Ale znając go, wątpił, czy będzie skłonny do zdradzenia tej tajemnicy.

–Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być lepiej – oświa- dczył. – Las gęsty, nie ma strumienia, a grunt jest twardy.

Właściwie nie ma tu nic, do czego można by mieć za- strzeżenia. Może z wyjątkiem…

Nagle uświadomił sobie, że krąg otwartej przestrzeni jest zdecydowanie za mały, by pomieścić dwa tysiące ludzi, nie mówiąc już o mających ich atakować. Niemal zaśmiał się na głos z takiej ironii losu. Obecna sytuacja przypominała przypadek sióstr przyrodnich Kopciuszka z bajki, które pomimo usilnych starań nie mogły włożyć pantofelka. Jim stanął teraz przed podobnym problemem.

–Obawiam się, że polana jest zbyt mała – rzekł do Snorrla. – Nie będzie tu miejsca dla wszystkich Pustych Ludzi, nie mówiąc już o nas.

–Nie sądziłem, że łatwo da się spełnić twoje oczekiwa- nia i miałem rację – warknął wilk. – Czego więc oczekujesz ode mnie? Mam znaleźć jeszcze jakieś miejsca, które chciałbyś obejrzeć?

–Wydawało mi się, że powiedziałeś, iż te trzy są najlepsze.

–To prawda.

–A więc już zdecydowałem. Skorzystamy z drugiego, tego ze strumieniem. Powinienem wiedzieć, że nie mam co liczyć na znalezienie ideału.

–Mogłem się już o tym przekonać. To normalne pośród was, dwunogich istot, może

tylko z rzadkimi wyjątkami, takimi jak Liseth. Nic nigdy was nie satysfakcjonuje.

–Ależ ja jestem usatysfakcjonowany – zaprzeczył Jim. – Podoba mi się to drugie miejsce i jeśli tylko nadąży się sposobność, wykorzystam je.

–To dobrze.

Wilk na chwilę usiadł i poskrobał się tylną nogą po lewym boku, po czym wstał i otrzepał futro.

–Może zdradzisz mi teraz w jaki sposób planujesz osiągnąć cel? Co chcesz zrobić?

–Wiele, zanim jeszcze naprawdę zaczniemy. Najpierw musimy pojmać wysłannika przyjeżdżającego ze Szkocji.

Czy chciałbyś uczestniczyć w całym tym przedsięwzięciu?

Snorrl posłał mu spojrzenie pełne obawy i jednocześnie ciekawości.

–Dlaczego miałbym narażać się na jakiekolwiek niebez- pieczeństwo, nic z tego nie mając? – zapytał.

–Bo spodobałoby ci się to.

Jim znał Aragha od niemal dwóch lat i walcząc u jego boku poznał nieco naturę wilków.

–Ach, tak – odparł Snorrl po chwili zastanowie- nia. – Może, gdyby naprawdę odpowiadałoby mi to.

–Chyba tak. Powiedz mi coś. Czy my ludzie mamy określony zapach?

–Wszystkie istoty mają, a ludzie jeszcze intensywniejszy niż inni. Zapachy są całkiem interesujące, choć ludzie zupełnie tego nie doceniają i nie potrafią ich rozpoznawać.

Wiem tylko, że żadnemu nie odpowiada zapach zgniłego mięsa.

–To prawda – przyznał Jim.

Przypomniał sobie jednocześnie, że w smoczym ciele nie odczuwał podobnego obrzydzenia, szczególnie kończąc jedzenie padłej krowy znalezionej na polu. Smoki, co odkrył będąc jednym z nich, były padlinożercami jak sępy.

–A więc ludzie wydzielają zapachy. A Puści Ludzie też? – zapytał.

–Oczywiście, że tak! Chyba właśnie dlatego obawiają się mnie, bo wiem gdzie są, nawet gdy zrzucą ubranie.

–Wnioskuję także, że każdy z nich, jak ludzie, pachnie zupełnie inaczej.

–Tak, że węchem odróżniam jednego od drugiego?

Oczywiście. Przecież wy ludzie nie wyglądacie zupełnie tak samo, prawda? Zapewne oni też, jeśli tylko dałoby się ich zobaczyć. Dlatego też pachną różnie.

–To dobrze! – ucieszył się Jim. – Więc idealnie nadajesz się do mojego planu. Widzisz, zamierzamy po- chwycić tego posłańca ze Szkocji, a wraz z nim przejąć złoto przeznaczone na zapłatę Pustym Ludziom za po- prowadzenie ataku na Anglie.

Złoto! Srebro! – parsknął wilk. – Nie rozumiem, co widzicie w tych zimnych kawałkach.

–Trudno to wyjaśnić. W każdym razie chodzi o to, że zjawi się tu wraz ze złotem. Chcemy go pojmać, a ja osobiście przekażę złoto Pustym Ludziom. Rzecz w tym, by mieć pewność, że żaden z nich nie przyjdzie dwukrotnie po swoją zapłatę. Jeśli staniesz przy moim boku, będziesz w stanie powiedzieć, po zapachu, że ten już tu był. Czy mam rację?

–Nie widzę żadnych przeszkód – oświadczył Sno- rrl. – Oczywiście. Jeśli nawet nie rozpoznam go po jego zapachu, to wyczuję, że ma już przy sobie złoto.

Jim popatrzył na niego zdziwiony.

–Przecież złoto nie ma zapachu…

–Nie, ale pozostanie na nim zapach twoich rąk. Dając je, pozostawisz przecież swoją woń, która tak szybko nie zniknie.

–Jesteś więc w stanie wyczuć nawet tak nikły za- pach? – zapytał z niedowierzaniem Smoczy Rycerz.

–Tak, jeśli jest świeży. Ale już po jakichś trzech godzinach nie rozpoznam go. W tej jednak sytuacji nie powinienem mieć problemu, bo nie sądzę, aby rozdawanie złota trwało aż tak długo. Ponadto, zapewne zapamiętam większość ich zapachów, poznam więc po tym, jeśli któryś będzie chciał cię oszukać.

–Wspaniale. Możesz więc leżeć obok mnie, kiedy będę wręczać złoto. Spodobałoby ci się to, prawda?

–Obchodziliby mnie najdalej jak się da – rzekł wilk, a jego żółte oczy rozbłysły. – Tak, to mi się podoba.

–A czy spodobałoby ci się także, gdybym za pomocą magii dwukrotnie zwiększył twoje rozmiary?

Snorrl spojrzał bystro na Jima.

–Możesz to zrobić?

–Oczywiście.

Wilk otworzył paszczę, a z obserwcji Aragha Jim wiedział, że jest to odpowiednik ludzkiego śmiechu, choć zupełnie bezdźwięczny.

–A więc to już ustalone! – stwierdził Snorrl. – Możesz liczyć na mnie podczas rozdawania złota… i zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebować.

Rozdział 15 K.iedy Jim znalazł się z powrotem w zamku, wyruszył na poszukiwania Liseth, ponieważ nadeszła już najwyższa pora na zmianę opatrunku Briana.

Znalazł ją wreszcie w kuchni, z wysoko podwiniętymi rękawami, nadzorującą czynności wyglądające na pranie.

Było już południe, więc nalegała, by zjadł coś przed zajęciem się rannym.

–Południe? – zdziwił się Jim. – Ależ zdawało mi się, że moja wyprawa zajęła zaledwie godzinę, a wstałem przecież przed świtem.

–Zdawało ci się, ale nie myśl, że tak szybko zapomnę, iż nie zabrałeś mnie ze sobą. Wiem, że bardzo bym ci pomogła.

–Nie przeczę – odparł łagodnie. – Musiałem jednak w cztery oczy omówić ze Snorrlem pewne sprawy związane z magią. We właściwym czasie i ty dowiesz się o nich.

Muszę cię jednak prosić o wybaczenie, ponieważ teraz jest za wcześnie na wyjaśnienia.

–No cóż – zawahała się Liseth, odwijając jednocześnie rękawy i odwracając się od potężnego kotła, mieszczącego z pół tony rozmaitych ubrań. – Jeśli rzeczywiście tak to wygląda, wybaczam… ale zapamiętam sobie, że obiecałeś mi powiedzieć. I oczekuję, że zrobisz to, zanim wyjawisz swe plany komukolwiek innemu, jeśli naprawdę mam ci zapomnieć to zaniedbanie!

–Mogę tylko obiecać, że postaram się powiedzieć ci jako pierwszej – zapewnił.

–Oczekuję, że jako rycerz spełnisz tę obietnicę. Mam więc pomóc ci w zmianie opatrunku Sir Briana?

–Tak, jeśli mogłabyś. Chciałbym, abyś sprawdziła czy nowy jest starannie wygotowany i

czy nikt nie dotykał go brudnymi rękami.

–Pozwoliłam zajmować się tym tylko czwórce służą- cych wyznaczonych do opieki nad Sir Brianem, i to dopiero gdy starannie umyli ręce wodą i mydłem, tak by były czyste, jak w chwili, kiedy się narodzili. Powiesili przygo- towane skrawki materiału przy piecu, tu, w kuchni. Czy mamy je zabrać ze sobą?

–Poczekaj, najpierw sam muszę umyć ręce.

–Ja mogę je zanieść – zadeklarowała się Liseth. – Czy zechcesz najpierw sprawdzić moje ręce, panie?

Uniosła i pokazała najpierw jedną, a później drugą stronę. Reczywiście były czyste, a pod paznokciami nie pozostał nawet ślad brudu.

–Nigdy nie widziałem dłoni… – zaczął Jim, gorącz- kowo poszukując w pamięci odpowiedniego komplementu, pasującego do warunków tego świata. – równie czystych, od czasu, gdy zająłem się magią!

–Och, dziękuję – odparła rozpromieniona dziewczyna, a jej policzki zarumieniły się. – Jestem przecież córką swoich rodziców i muszę wszystko wykonywać najlepiej jak się tylko da. Czy chcesz więc iść już na górę?

–Tak, gdy skończymy, zjem coś.

–Och! Zapomniałam, panie! – wykrzyknęła Liseth.

–Tak nie można. Sir Brian nie znajduje się w tak poważnym stanie, żeby nie mógł poczekać, aż zaspokoisz głód, a jestem pewna, że nic dzisiaj jeszcze nie jadłeś.

Usiądź proszę przy wysokim stole i zaraz zostanie ci przyniesiony posiłek.

Dziewczyna szybkim krokiem oddaliła się, a Jim po- zwolił jej odejść, nie widząc powodu dla którego miałby przyznawać, że jadł przed wyjściem. Usiadł przy stole i stwierdził, że rzeczywiście czuje się głodny. Podczas oględzin wybranych przez Snorrla miejsc, zupełnie zapom- niał o zabranym ze sobą prowiancie. Postanowił, że w jakiś sposób musi go ukryć albo skutecznie pozbyć się. Praw- dopodobnie najprostszym sposobem było zjedzenie za- branego chleba i mięsa oraz opróżnienie butelki z winem, niekoniecznie do własnego gardła, ponieważ bez tego i tak pił go za wiele.

Przyniesiono posiłek. Chleb był taki sam, ale mięso inne, i oczywiście wino. Zmiótł wszystko z talerza, ale ograniczył wino tylko do ilości koniecznej do posiłku. Zauważył jednak, że i tak wypił go znacznie więcej, niż zwykł był jeszcze rok temu. Uznał to za przyzwyczajenie. Jeśli tak, nie powinno go to dziwić. Woda nie była w średniowieczu bezpiecznym napojem. Współczuł także Brianowi, zmuszo- nemu pić piwo. Z pewnością chroniło ono od śmierci z pragnienia, ale nic więcej pochlebnego nie dało się powiedzieć na jego temat. Ważone było inaczej w każdym miejscu i zawierało wszelkie możliwe dodatki, poczynając od rozmarynu, a kończąc na cebuli. Zawsze jednak był to rzadki płyn, właściwie bez wyraźnego smaku, lecz z pew- nością można go było pić bezpieczniej niż wodę.

Jednocześnie zaniepokoiła go myśl, związana ze spoży- wanym przezeń na co dzień winem. Jego niekorzystny wpływ na wątrobę mógł ją zniszczyć po kilku latach.

Szczególnie zaś, jeśli pozostaliby tu z Angie do końca życia, a przecież w tej chwili nie mógł mieć żadnych nadziei na powrót.

Zwykłym sposobem przywoływania w zamku był krzyk.

Uważał, jednak, że wzywanie Liseth podniesionym głosem nie będzie dostatecznie

uprzejme, gdyż jemu nie przystoi to, co ojcu czy braciom. Wybrał więc inny sposób.

–Hej! – zawołał.

Zjawił się służący, który z pewnością nie został jeszcze zmuszony do umycia rąk i zmiany noszonych na sobie przez kilka lat łachmanów.

–Panie? – rzekł, kłaniając się.

–Powiedz swojej pani, że skończyłem już jeść.

–Natychmiast, panie – szepnął sługa i biegiem po- mknął w stronę kuchni.

W chwilę później zjawiła się Liseth, trzymając w obu rękach bezładną kupę czystych tkanin. Jim już chciał zaproponować jej pomoc, ale spojrzał na dłonie i zrezyg- nował z tego.

–Możemy więc iść, Sir Jamesie? – zapytała.

Fakt, iż zwróciła się do niego używając rycerskiego tytułu, a nie podkreślającego jego wyższą pozycję słowa "panie" świadczył, że w zamierzonych działaniach trak- towała go jak równego sobie partnera. A to oznaczało, że oczekuje jego pełnego uczestnictwa.

–Oczywiście.

Doszli do schodów i po wspinaczce na czwartą kondyg- nację oraz przejściu korytarzem znaleźli się w komnacie Briana. Kiedy weszli, rycerz nie spał, a cała czwórka opiekunów podtykała mu piwo. Rozsierdzony Brian pił je, a jednocześnie przeklinał służących -jak przypuszczał Jim z powodu nieumiejętnego podtrzymywania go i bolesnego naciskania na ranę. Jako rycerzowi, rannemu nie wypadało jednak bezpośrednio skarżyć się na ból i dlatego wyszukiwał inne powody, by rugać opiekunów.

–Cholera! Nie musicie mnie tak trzymać! – wrzeszczał na obu mężczyzn, z których jeden podpierał od tyłu jego tułów, a drugi podtrzymywał głowę. – Nie musisz trzymać mnie za głowę, jakby miała się urwać! Sam jestem w stanie ją utrzymać. Wy głupie, niezdarne durnie…

Zamilkł nagle na widok Jima i Liseth.

–Ach, panie, pani – odezwał się tak przymilnym głosem, że ta przemiana wydała się wprost komi- czna. – Witam was. Obejrzyj mnie, Jamesie, a zobaczysz, że jestem już na poły wyleczony!

–To właśnie z pomocą Liseth zamierzałem uczy- nić – oświadczył Jim.

–Puśćcie mnie, wy barany! – warknął Brian do wciąż trzymających go służących. – Nie widzicie, że Sir James zjawił się, żeby mnie zbadać? Zróbcie mu miejsce! Odsuńcie się!

Cała czwórka posłusznie położyła go i stłoczyła się pod ścianą.

Ponownie zwrócił się do przybyłych: – No, Jamesie, możesz mnie zbadać! – rzekł szeroko rozrzucając ramiona.

–Za chwilę. Najpierw muszę umyć ręce.

Liseth posłała spojrzenie służącym i to wystarczyło, aby natychmiast przygotowywali misę, wodę i mydło.

–Rozumiesz, że to część mojej magii – wyjaśnił Jim podwijając rękawy, kiedy postawiono przed nim misę pełną wody.

Ranny z powątpiewaniem zmarszczył brwi.

–Nigdy nie widziałem, żeby Carolinus kiedykolwiek mył ręce.

–I nie dziwię się temu! – rzucił zdecydowanie Smoczy Rycerz. – Szanowany, wspaniały Mag klasy AAA+, taki jak Carolinus, myłby ręce w obecności kogoś nie mającego pojęcia o

magii? To wprost nie do pomyślenia!

–Oczywiście, masz rację – przyznał pokornie mistrz kopii. – Wybacz mi, Jamesie. Nie pomyślałem o tym.

–Ależ nic się nie stało – zapewnił go Jim. Podejrzli- wie spojrzał na wodę w misce. – Czy ta woda była gotowana?

–O tak, panie – odrzekła jedna ze służących, jedno- cześnie kłoniając się niezdarnie. – Zaledwie wczoraj.

–Wczoraj! – wykrzyknął podniesionym głosem Jim. – To niedopuszczalne! Potrzebuję świeżo zagoto- waną wodę.

–Lucy Jardine! – rzuciła Liseth jednej z kobiet. – Na- tychmiast na dół do kuchni. Przynieś miskę wody z kotła, w którym gotuje się woda, a nie ma w nim żadnego prania!

–Tak, pani – szepnęła służąca i wybiegła.

–Ta niemoc sprawiła, że nie jestem zbyt gościnny i nie zaproponowałem wam nic do picia – rzekł ranny. – Oba- wiam się jednak, że to magiczne piwo nie będzie wam zbytnio smakowało…

–Ach! Bardzo mi przykro z tego powodu – zwróciła się do niego Liseth.

–Ależ nie mów tak, pani. To mnie przykro, że jestem tak uciążliwym gościem.

Ta wzajemna wymiana uprzejmości trwała dobrych kilka minut. Kiedyś wprawiłoby to Jima w osłupienie, ale obecnie wiedział już, że ludzie ci lubowali się w tego rodzaju rozmowach. Wreszcie powróciła Lucy Jardine, niosąc parującą wodę. Z wyrazu twarzy widać było, że naczynie parzy jej dłonie.

–Postaw! – polecił pospiesznie. – Lucy Jardine, jeśli kiedykolwiek będziesz miała przynieść misę z gorącą wodą, weź dwie szmatki, oczywiście czyste i przez nie złap za brzegi.

–Dziękuję, panie – rzekła Lucy, pospiesznie chowając dłonie za plecami. – Ale pani powiedziała, że miska ma r być z gotującą się wodą. Na szczęście znalazłam taką w kuchni.

–Zapamiętaj sobie jednak na przyszłość to, co ci powiedziałem – rzekł Jim. – Podejdź tu i pokaż palce.

Zbliżyła się nieśmiało i wysunęła zza siebie przynajmniej częściowo umyte dłonie, co pozwoliło dostrzec na palcach pęcherze i zaczerwienienie w miejscach zetknięcia z gorącym metalem.

–Idź z powrotem do kuchni i niech ktoś grubo posmaruje ci te oparzenia tłuszczem, a później owinie każdy palec z osobna paskiem suchego, świeżo wygotowa- nego materiału. Przyślij też kogoś, na swoje miejsce, do opieki nad Sir Brianem – polecił jej.

–Jeśli pozwolisz, panie, mogę wrócić sama i spełniać wszystkie moje obowiązki. Te drobne oparzenia na palcach to nic.

Jim zauważył, że służąca zachowuje się zupełnie tak samo jak Brian, z zasady bagatelizując wszelkie obrażenia.

–Dobrze – zgodził się. – Możesz wrócić sama, ale palce masz mieć opatrzone tak jak ci mówiłem. Idź do kuchni.

Służąca spełniła polecenie, a kiedy zniknęła, ostrożnie, jednym palcem, spróbował przyniesioną wodę. Była wciąż gorąca, lecz ostygła już na tyle, że bezpiecznie mógł włożyć do niej dłonie. Wziął od jednego ze służących kostkę miękkiego, tłustego mydła,

rozsmarował je, po czym spłu- kał. Następnie odwrócił się do Liseth i biorąc od niej jeden ze skrawków materiału, aby się wytrzeć, zwrócił uwagę, że dziewczyna przez cały czas ściska w rękach cały ich stos.

Tkaniny nie stanowiły ciężkiego brzemienia, ale z pewnością niewygodnie się je trzymało.

Osuszył dłonie, a szmatkę rzucił na łoże Briana.

–Resztę też tu możesz położyć, pani.

Liseth pozbyła się ciężaru z westchnieniem ulgi.

–Hej, wy dwaj – zwrócił się do służących – przesuńcie łóżko z Sir Brianem na środek komnaty, żebyśmy mogli podejść do niego z obu stron.

Bez słowa wykonali polecenie.

Jim obszedł łoże i stanął przy nim naprzeciw dziewczyny.

–Pozwól, pani, że pokażę ci teraz jak przygotować te materiały.

Były one różnej wielkości i gatunku, lecz przeważnie z wełny czesankowej. Skurczyły się oczywiście podczas gotowania, ale Liseth widocznie przewidziała to i przygotała znacznie większe kawałki. To, co z nich zostało, oboje poskładali w kwadraty lub długie pasy. Te ostatnie miały stanowić opatrunek przykładany bezpośrednio do rany.

Jim odłożył na bok dwa najcieńsze, lecz mocne kawałki, zapewne lniane. Rozłożył je i zaczął na nich układać resztę tkanin, aby nie musiały być znów wygotowywane przed kolejną zmianą opatrunku.

Wcale nie był pewien, czy to wystarczy, aby zabezpieczyć materiały przeznaczone do bezpośredniego zetknięcia z ra- ną, ale wszystko robił na wyczucie, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem. Tylko od czasu do czasu korzystał z zasad dotyczących pierwszej pomocy, zapamiętanych z dawnego świata.

Pomyślał, że robi dla przyjaciela wszystko, co w jego mocy. Właściwie i dla siebie nie mógłby zrobić niczego więcej, jeśli, co było bardzo prawdopodobne, znalazłby się w takiej sytuacji jak Brian, a w pobliżu nie byłoby Angie.

Ranny i czworo służących przyglądali się z zainteresowa- niem wykonywanym przez niego czynnościom. Kiedy wszystkie kawałki tkanin zostały posegregowane i złożone na rozpostartej lnianej płachcie, Jim odchylił górną część pościeli, odsłaniając opatrunek.

–Obawiam się, że materiał przykleił się do rany i może boleć, kiedy będę go odrywać – rzekł do przyjaciela.

–Mój drogi Jamesie, coż z tego?

–Nic. Chciałem po prostu, żebyś wiedział.

–Rwij – rzucił beztrosko Brian, machając ręką.

Jim pociągnął. Opatrunek rzeczywiście mocno trzymał się ciała, sklejony zaschniętą krwią. Smoczy Rycerz zdecy- dowanie szarpnął tkaninę. Poza lekkim drgnieniem warg, rycerz nie dał po sobie poznać, że cierpi. Kiedy tylko rana została odkryta, zaczęła z niej płynąć krew. Jim słyszał niegdyś, że to dobry znak, ponieważ w ten sposób krew dodatkowo oczyszcza skaleczenie, nie dopuszczając do jego zainfekowania. Czekał więc przez moment, ścierając tylko ściekającą po boku krew, którą, już zaschniętą, zbroczony był cały zdjęty uprzednio opatrunek.

Jimowi zrobiło się niedobrze, gdy spojrzał na otwartą ranę i ten skrawek materiału.

Brzegi rany były nieco zaczerwienione, ale przyjrzawszy się im dokładniej, uznał, że nie doszło do zakażenia.

Kiedy podniósł głowę, stwierdził że nikt spośród obec- nych w komnacie nie podziela jego odczuć. Brian przyglądał się ranie niemal z dumą. Liseth śledziła czynności wykony- wane przez Jima lśniącym wzrokiem pełnym zainteresowa- nia, a służący tłoczyli się blisko łoża, ciekawi wyglądu rany i opatrunku. Smoczy Rycerz podał go Liseth, a ta przeka- zała stojącemu najbliżej służącemu.

–Przyglądaj się uważnie – rzekł Jim do dziewczyny władczym tonem. – To właściwe, magiczne leczenie w przy- padku wszystkich tego typu ran, być może będziesz musiała kiedyś powtórzyć te czynności sama, jeśli przyjdzie mi opuścić zamek na kilka dni.

–Wyjeżdżasz, Jamesie? – zapytał z zainteresowaniem Brian. – Mam jednak nadzieję, że nie na długo. Myślę, iż do tego czasu wstanę już i będę mógł jechać z tobą.

–Przykro mi, Brianie, ale wybieram się z sekretną misją i najlepiej będzie, jeśli zostaniesz tu i w razie konieczności zajmiesz się obroną zamku.

–Niech to licho porwie! Po co, jeśli mogą zrobić to sami de Merowie?

–Zamierzam zabrać część z nich ze sobą – wyjaśnił Jim. – Liczę szczególnie na Sir Herraca, jeśli oczywiście zgodzi się jechać. A to spowoduje, że pozostaniesz na zamku jedynym doświadczonym rycerzem.

–To prawda – przyznał mistrz kopii, lecz widać było, że nie jest zachwycony taką perspektywą.

–Nie powiedziałeś mi nic o swoim wyjeździe – rzekła Liseth, spoglądając na Jima ponad łożem.

–Nie jest to odpowiedni czas i miejsce po temu – oś- wiadczył Smoczy Rycerz, czyniąc lekki ruch głową w stronę służących.

Zrobił to w poczuciu winy, ponieważ w tym wypadku była to jedynie wymówka. Ale sztuczka zadziałała zarówno w odniesieniu do Briana, jak i Liseth.

–Ależ jasne – przyznała dziewczyna. – To dlatego chcesz nauczyć mnie jak zajmować się Sir Brianem?

–Tak, pani. Oczywiście jeśli będziesz tak dobra.

–Och, to mój obowiązek! – Na potwierdzenie tych słów poruszyła się tak, że klucze wiszące u jej pasa zadźwięczały. – Więc to dlatego zabrałeś mnie ze sobą?

Nie po to, bym teraz ci pomagała, ale żebym nauczyła się jak to robić podczas twojej nieobecności? Nie zdradziłeś mi jednak czarów potrzebnych do przygotowania ma- gicznego piwa.

–Jest jeszcze coś, na co do tej pory nie miałem czasu, ale znajdę przed wyjazdem.

Pomyślał jednocześnie, że będzie musiał ułożyć jakąś oryginalną zbitkę słów, mającą sprawić wrażenie czaru.

–Może nauczysz mnie jeszcze innych magicznych czynności – rzekła Liseth z nadzieją w głosie.

–Większość jest łatwa do opanowania, jak używanie mydła i wody do częstego mycia rąk. Obiecuję, że o wszys- tkim opowiem ci przed wyjazdem. Teraz jednak musimy zająć się przygotowaniem nowego opatrunku.

Wybrał jeden z długich pasków materiału i polecił Liseth ująć go za drugi koniec.

–Któreś z nas mogłoby zrobić to samo obiema rękoma, ale szansę ułożenia opatrunku prosto będą większe, kiedy ty położysz swój koniec w tej samej chwili, kiedy ja zrobię to z moim. Jesteś gotowa?

–Tak, panie.

Skupiła całą uwagę na czekającym ją zadaniu. Oboje przesunęli tkaninę nad ranę.

–Tak dobrze. Policzę do trzech i wtedy oboje położymy materiał. Gotowa? Jeden, dwa, trzy!

Ułożyli opatrunek na zranionym miejscu, po czym Jim pokazał Liseth jak zabezpieczyć go przed przesuwaniem się bandaży owiniętych wokół klatki piersiowej Briana. Kiedy skończyli, z powrotem szczelnie okrył przyjaciela.

–Teraz spakujemy wszystkie pozostałe, wygotowane kawałki w ten największy – zwrócił się do Liseth. – Położy- my to zawiniątko na skraju stołu, jeśli znajdzie się dla niego miejsce. Nie, widzę, że nie. W takim razie niech leży w nogach łóżka. Uważaj, Brianie, żeby nie zrzucić go na podłogę.

–Oczywiście, będę uważać – zapewnił rycerz.

–Jest niezwykle ważne, by nikt poza nami dwojgiem nie dotykał tych materiałów. A kiedy ja wyjadę, tylko ty, Liseth będziesz mogła to robić.

–Rozumiem – stwierdziła dziewczyna. Zwróciła się w stronę służących i zapytała: – Wszyscy słyszeliście?

Potwierdzili zgodnym chórem.

–Teraz, pani, musimy udać się z powrotem na dół – oświadczył Jim.

–Czy nie mógłbyś zostać jeszcze przez chwilę i poroz- mawiać ze mną? – w głosie rannego było tyle prośby, że Smoczy Rycerz niemal się poddał.

–Chciałbym bardzo, Brianie, i jeśli przed wyjazdem znajdę czas, to porozmawiamy. Teraz jednak muszę zebrać w Wielkiej Sieni na wspólną naradę Dafydda, MacGreggora i wszystkich de Merów.

W przepraszającym geście, Jim położył dłoń na ramieniu przyjaciela, a ten przykrył ją swoją.

–Będę cierpliwy, Jamesie. Obiecuję.

Ta pełna ckliwości scena sprawiła, że Jim na chwilę utracił zimną krew, lecz zdołał przywrócić surowy wyraz twarzy i skinął tylko głową.

–Wiem, że będziesz. – Cofnął rękę i zwrócił się do Liseth. – Czy możemy już iść, pani?

–Jak sobie życzysz, panie.

Wyszli. Na schodach dziewczyna zasypała go rozmaitymi pytaniami, na które tylko po części odpowiedział. Pierw- szym było, czy zgadza się, by ona także wzięła udział w naradzie.

Jim nie widział powodu, dla którego miałby ją odsunąć od całej sprawy, choć z drugiej strony obawiał się jej komentarzy i pytań. Uznał wreszcie, że postara się napo- mknąć Herracowi, by powstrzymał córkę od zabierania głosu podczas omawiania najważniejszych zagadnień. Jeśli jej braci można było określić mianem ciekawskich, to ona biła ich pod tym względem o głowę, i to wszystkich razem wziętych. Zawsze chciała znać przyczyny i intencje wszyst- kiego.

Aby uchronić się przed tą dociekliwością, skupił się na sprawie opieki nad Brianem.

Wytłumaczył, że świeże materiały opatrunkowe powinny być przygotowywane codziennie na wypadek, gdyby coś zdarzyło się z pozo- stałymi z dnia poprzedniego. Powiedział, że właściwie powinna każdego dnia korzystać ze świeżych, pod warunk- niem oczywiście, iż sama będzie przynosić je na górę.

Między wierszami dał jej do zrozumienia, że to także jest część magicznego leczenia, a Liseth zaakceptowała to bez słowa.

Wszystkie te instrukcje dziewczyna przyjmowała z wyraź- ną radością, dumna z wagi powierzonego jej zadania, gorliwie zapewniając, że będzie postępować dokładnie według zaleceń. Umiejętnie powróciła jednak to tematu mającej nastąpić narady.

–Ojciec wraz z braćmi wybrali się na objazd naszych ziem – poinformowała. – Nie sądzę jednak, aby zbytnio oddalili się od zamku. Czy mam wysłać służących, żeby sprowadzili ich?

–Jeśli byłabyś tak dobra… Każ im przekazać, że naszą rozmowę traktuję jako niezwykle pilną, a im szybciej się odbędzie, tym lepiej. To powinno wystarczyć.

–Nie będzie z tym żadnych trudności – zapewniła Liseth. – Sama pojadę z wiadomością, bo wiem gdzie ich szukać. Jeśli zaś chodzi o twojego przyjaciela łucznika, to jest w zamku albo gdzieś nieopodal, ponieważ robi te specjalne strzały przeciw Pustym Ludziom. Widziałam jakie spustoszenie siały wczoraj, podczas bitwy.

–Przypomniałaś mi, że muszę także jak najszybciej porozmawiać z Małymi Ludźmi. Zrobię to jednak już po naradzie.

–Doprawdy? W takim razie znów będziemy potrzebo- wać Snorrla. Mogę wysłać Greywings, aby go odszukała, ale będzie w bardzo złym humorze, jeśli zostanie zmuszony do odbycia długiej drogi do miejsca, w którym tak niedaw- no przebywał.

–Przeproszę go za to, kiedy tylko się spotkamy – za- pewnił Jim.

–Nie czyń tego – rzekła poważnie Liseth. – Snorrl nie jest podobny do ludzi. Przeprosiny nic dla niego nie znaczą. On sam nigdy nie przeprasza i kiedy postąpi tak ktoś inny, uzna to za przejaw słabości.

–Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

Uświadomił sobie, że sam powinien o tym wiedzieć.

Przecież Aragh zachowywał się tak samo. Zaczął rozmyślać, czy w innych przypadkach mógł także błędnie oceniać Snorrla.

Rozdział 16 •4* 'ądzę – zaczął Jim trzy godziny później, kiedy wszyscy zebrali się wreszcie wokół wysokiego stołu – że mam plan, który pozwoli rozwiązać sprawę szkockiego najazdu, złota i Pustych Ludzi. A szczególnie, pozbycia się tych ostatnich na zawsze.

Urwał, by zwilżyć suche wargi. Od dawna siedział już przy stole i czekał, podczas gdy reszta schodziła się pojedynczo.

Jako pierwszy zjawił się Dafydd, a ostatnim był Sir Herrac, który, co dziwne, wrócił na zamek później niż będący z nim synowie. Jimowi, samotnie siedzącemu w Wielkiej Sieni, służący wciąż proponowali jedzenie i picie. Zdołał uniknąć posiłków, lecz w rezultacie wypił dość wina, by teraz jego działanie przeszkadzało mu w wyraźnym mówieniu.

Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, ponieważ jego oświadczenie wystarczyło, by wywołać wśród słuchaczy niezwykłe zamieszanie, zdziwienie i ogromną ciekawość.

–Czy dobrze zrozumiałem twoje słowa, panie – odezwał się Herrac, a jego potężny głos

momentalnie uciszył mówią- cych jeden przez drugiego synów. – Czy rzeczywiście znalazłeś sposób na pozbycie się Pustych Ludzi raz na zawsze?

–Sądzę, że istnieją na to duże szansę – przyznał Jim. – Będzie to wymagać jednak zebrania znacznych sił znad granicy i innej jeszcze pomocy, po którą wybiorę się jutro ze Snorrlem, jeśli do tego czasu uda się go znaleźć i sprowadzić w pobliże zamku.

–Na Boga, zdradź nam tę tajemnicę! – Nie wytrzymał gospodarz, nadając swemu głosowi więcej uczucia, niż nawet gdy wspominał zmarłą żonę.

–Mów, panie! – zawtórowała mu Liseth, a jej oczy zalśniły jeszcze bardziej niż zwykle.

Pozwolono jej zasiąść do narady wraz z ojcem i braćmi, Dafyddem i MacGreggorem, o którym Jim zupełnie zapom- niał podczas rozmowy z dziewczyną.

–Dość tego, córko! – zganił ją ojciec. – Pamiętaj, że znajdujesz się tu pod warunkiem, że będziesz tylko słuchać, a wolno ci się odezwać jedynie za moim przyzwoleniem.

–Tak, ojcze – szepnęła Liseth.

Były to słowa najczęściej wymawiane przez każdego z młodych de Merów w obecności seniora.

Teraz, panie, liczę, że odpowiesz na moje pytanie – Her- rac ponownie zwrócił się do Jima.

–Oczywiście. Plan jest niezwykle prosty. Z pomocą Snorrla udało mi się znaleźć miejsce, z którego Puści Ludzie, gdy znajdą się już tam, nie będą w stanie uciec, jeśli przy tym zostaną umiejętnie zaatakowani. Zamierzam sprawić, żeby każdy z nich musiał osobiście odebrać przeznaczone dla siebie złoto, bo wtedy będę miał pewność, że zjawią się wszyscy.

–Potrzeba będzie jednak znacznych sił, by zabić ich wszystkich – stwierdził gospodarz. – Nie wiem, na ilu przyjaciół mogę liczyć w tej walce.

–Pomyślałem o tym – uspokoił go Smoczy Ry- cerz. – Proponuję, żeby oddziały Małych Ludzi, które walczą pieszo, pikami, jako pierwsze zaatakowały Pustych Ludzi, kiedy ci nie będą się jeszcze niczego spodziewać.

Następnie ustąpią miejsca wojownikom z pogranicza.

–Małych Ludzi! – ryknął Herrac ze zdziwieniem, a Lachlan i synowie zawtórowali mu.

Olbrzym opanował się jednak i uspokoił pozostałych.

–Mów dalej, Sir Jamesie – rzekł ponuro. – Powiadasz oddziały Małych Ludzi…

–Tak. Chciałbym, żeby i oni wzięli udział w tej bitwie.

Nie tylko dlatego, że Puści Ludzie to ich odwieczni wrogowie, jeszcze od czasów starożytnych. Chodzi także o to, iż posiadają oni pewne zalety i umiejętności, których brakuje nam. To daje pewność, że bitwy tej nie przeżyje żaden Pusty Człowiek i nigdy już nie wrócą do życia.

Oswobodziny się wreszcie od nich.

Wyraźnie strapiony Herrac podrapał się masywnymi palcami po policzku.

–Nie wszyscy mieszkańcy pogranicza ufają Małym Ludziom i lubią ich – stwierdził. – Chociaż, mówiąc S7Lzqt7L, nie znam nikogo, kto osobiście miałby z nimi jakiekolwiek zatargi. Rzecz tylko w opowieściach o nich…

Jeśli zaś chodzi o ich stosunek do nas, to nie jestem w stanie nic powiedzieć na ten temat. Sam musisz dowiedzieć się tego, zakładając jednak, że jest to w ogóle możliwe. A w

jaki sposób planujesz zebrać wszystkich bez wyjątku Pustych Ludzi w jednym miejscu i zablokować im drogi ucieczki?

–To także wydaje się proste, choć wymaga zastosowa- nia dość niezwykłych metod oraz pewnej ilości ma- gii – rzekł Jim.

Zwrócił się do Lachlana MacGreggora: – Zdaje mi się, że mówiłeś coś o wysłanniku króla szkockiego?

–Nie coś, tylko że ma się zjawić – zaprotestował Szkot. – Co się tyczy złota, to ma ono stanowić pierwszą część zapłaty dla wszystkich Pustych Ludzi. To dość pokaźna suma i król powierza ją swemu najwierniejszemu sługusowi. Tak więc MacDougall, bo to on będzie wysłan- nikiem, bez wątpienia zjawi się osobiście, jak już mówiłem wcześniej, tylko z niewielką strażą i jucznymi końmi do transportu złota.

–Czy widziałeś kiedyś tego MacDougalla?-zapytał Jim.

–Czy widziałem go? Człowieku, ja go dobrze znam.

Widywałem go wystarczająco często na dworze i w innych miejscach. Są tacy, którzy cenią go wysoko, lecz według mnie to tchórz na usługach Francuzów. Jakie znaczenie ma fakt, że go znam? – Lachlan utkwił w Jimie spojrzenie, po czym zachichotał. – Nie mam zamiaru cię obrazić, ale jesteś nieco zbyt wysoki i szeroki w ramionach, żeby być do niego podobny. A twoja twarz w niczym nie przypomina jego. Nawet, gdybyście byli podobni jak bliźnięta, nie będziesz potrafił odegrać jego ruchów i zachowania.

–Wiem o tym – przyznał Smoczy Rycerz – ale wierz mi, że posługując się magią można wiele zdziałać.

Słysząc te słowa, wszyscy, włącznie z Lachlanem, zamarli.

Cisza, jaka zapadła, bardzo odpowiadała Jimowi.

–Sądzę – zaczął, zwracając się do Szkota – że masz przynajmniej plan pochwycenia MacDougalla i przejęcia złota, który chciałbyś zaproponować Sir Herracowi.

–Tak, to prawda – przyznał z wahaniem Lachlan i poruszył się niepewnie na ławie. Opuścił wzrok na stół, po czym podniósł go na Jima. – Ale to zupełnie inna sprawa i nie ma nic wspólnego z magią.

–Rozumiem – stwierdził Smoczy Rycerz. – Hep!

Wino, które tak nierozważnie pił czekając na resztę, teraz dało znać o sobie.

–Chyba nie upiłeś się tak wcześnie? – zdziwił się MacGreggor, przyglądając mu się badawczo.

–Nie… hep! – odparł Jim, czkając ponownie. – To część klątwy, którą wiele lat temu rzucił na mnie inny mag.

Nie jestem w stanie w pełni pozbyć się jej skutków, ale ta czkawka minie. Nie zwracaj po prostu na to uwagi.

–Słyszałem kiedyś o człowieku – odezwał się Dafydd, przychodząc przyjacielowi z pomocą – który zmarł z po- wodu czkawki, a nie była ona wywołana żadnymi czarami.

–Właśnie – stwierdził Smoczy Rycerz. Co pewien czas czkawka dawała o sobie znać, ale starał się to zbagatelizo- wać. – Na szczęście rzadko mnie prześladuje. Wracając jednak do tematu, rozmawialiśmy o planie pochwycenia MacDougalla…

–Tak – przyznał Lachlan, używając nagle wyjątkowo trudnego do zrozumienia akcentu. – Ale myślę, że nie obejdzie się bez rozlewu krwi, co zapewne i ty zamierzyłeś.

–Pozwolisz, że sam to ocenię – rzekł twardo Jim.

Nauczył się już podczas pobytu w tym świecie, że czasami rozsądnie jest wykorzystać posiadaną władzę i przewagę wynikającą z zajmowanej pozycji.

–Jako jedyny przy tym stole znam magię – cią- gnął. – I tylko ja będę w stanie ocenić na ile będzie ją można wykorzystać przy realizacji twoich planów. Więc usłyszmy, co dokładnie zamierzasz.

–No cóż – zaczął Szkot, tym razem rezygnując z akcentu. – To dość proste. Znam trasę jego przejazdu i wiem kiedy ma opuścić dwór, co właściwie nastąpiło już półtora dnia temu. Miejsce, które upatrzyłem na zasadzkę, to odcinek drogi, nad którym z obu stron wznoszą się porośnięte drzewami zbocza. Nie będzie przy nim więcej niż pół tuzina ludzi. Więcej zbrojnych zwracałoby na siebie zbyt wiele uwagi. Dotrze do tego miejsca jutro po połu- dniu. – Opróżnił kubek i napełnił go ponownie. – Przy tym stole mamy wystarczającą ilość ludzi do walki, choć żałuję, że nie będzie z nami Sir Briana, który, jak sądzę, jest wspaniałym rycerzem i z jego pomocą łatwo poradzilibyśmy sobie z eskortą. MacDougall nie jest mistrzem w po- sługiwaniu się bronią, stosunkowo najlepiej włada angiels- kim mieczem i tarczą. Nie odznacza się też, jak sądzę, zbytnią odwagą. Jeśli wytniemy znaczną część jego ludzi, korzystając z zaskoczenia, podda się razem z ocala- łymi. – Zamilkł i zamyślił się na moment. – Co więcej, korzystne jest, że w ataku weźmiemy udział tylko my, ponieważ im mniej ludzi zna ten plan, tym lepiej.

Ponownie zapadła cisza. Przerwał ją wreszcie gospodarz.

–Jest pięciu moich synów, ja, Sir James, ty, Lachlanie, i łucznik. Być może masz rację, że wystarczy nas do pojmania MacDougalla. Nie będę jednak ryzykować życiem moich dzieci, nawet dla wszystkiego złota, które będzie wiózł. Rozumiesz?

–Ależ nie ma żadnego ryzyka – zapewnił go energicz- nie Szkot. – Daję ci na to moje słowo! Jadący z nim będą doświadczonymi wojownikami, ale tak ich zaskoczymy, że spadną z siodeł, zanim zrozumieją, co się dzieje. Stary przyjacielu, jeśli uznasz, że bezpieczniej będzie zabrać ze sobą zbrojnych z zamku, nie mam nic przeciwko temu. Nie chciałbym, podobnie jak ty, widzieć kogoś z twojej rodziny rannego lub zabitego.

–Nie, pojedziemy sami – oświadczył stanowczo Her- rac, spoglądając na pełne zapału twarze synów. – Nie możemy jednak zostawić zamku bez dowódcy. Gilesie, ty musisz zostać.

–Ojcze! – wykrzyknął młody de Mer. – Przecież jestem jedynym rycerzem pośród nas wszystkich.

–Właśnie z tego powodu wybrałem ciebie. Przecież Sir Brian jest ranny i nie rusza się z łóżka…

–Wybacz mi, ojcze – rzekł Giles, ośmielając się przerwać Herracowi, co, jak zauważył Jim, zdarzyło się po raz pierwszy od ich przyjazdu. – Sądzę, że Sir Brian w razie konieczności będzie w stanie wstać z łoża. Właśnie rozmawiałem z nim dzisiaj, kiedy zamierza to zrobić.

Sądził, że jutro, a w najgorszym wypadku pojutrze. Zapew- ne nieco przesadza, ale jeśli zamek zostałby zaatakowany i konieczna stałaby się jego obrona, jest w stanie nią pokierować, nawet ranny.

Na dłuższą chwilę zapanowało milczenie.

–Może masz rację. Z tego co widzę, w razie konieczność- ci rzeczywiście wstanie i będzie walczyć z mieczem w dłoni, nawet jeśli miałby wykrwawić się na śmierć. – Westchnął ciężko. – Dobrze, Gilesie – powiedział wreszcie. – Zga- dzam się, żebyś jechał z nami. Przecież wszyscy sąsiedzi powinni stanąć u naszego boku w walce z Pustymi Ludźmi, a nie napadać na siebie nawzajem.

–Dziękuję, ojcze – rzekł zadowolony Giles.

–Właściwie i ja mogłabym się przydać, jeśli… – ode- zwała się nagle dziewczyna.

–Liseth, nie pojedziesz pod żadnym pozorem! Zro- zumiałaś? – zdenerwował się stary.

–Tak, ojcze – szepnęła. – Jeśli tak każesz…

–Tak właśnie każę. Zastanów się. Jeśli pojechałabyś, kto zająłby się Sir Brianem?

Liseth zagryzła wargę.

–Nie ma nikogo innego. To prawda, ojcze – przyznała.

–Jak długo… hep – zapytał Jim Lachlana – potrwa dotarcie do tego miejsca, gdzie planujesz zasadzkę na MacDougalla?

–Mniej niż sześć godzin – odparł Szkot. – Możemy wyjechać rano. Do popołudnia zdążymy zająć dogodne pozycje. Nawet jeśli zjawi się jeszcze jutro, a nie następnego dnia, będziemy gotowi.

–A więc uważam, że to ustalone – zabrał głos Smoczy Rycerz. – Wyruszamy jutro o świcie.

–Ustalone, jeśli chodzi o mnie i moją rodzinę – rzekł gospodarz. – Skoro Lachlan już zadeklarował swój udział, pozostał jeszcze…

–Oczywiście, że będę z wami – przerwał mu łagodny głos Dafydda.

–Radzę więc, byśmy spożyli już wieczerzę i wcześnie udali się na spoczynek – zdecydował Herrac. – Wstanie- my przed wschodem słońca, ponieważ zanim wyruszymy, muszą zostać poczynione pewne przygotowania. I tak, jak mówi Lachlan, mamy dość czasu.

–Dobrze… hep! – Jim wstał gwałtownie, chwiejąc się lekko. – W takim razie proszę cię, pani, byś jeszcze raz znalazła mi wolną komnatę, gdzie będę mógł poczynić własne przygotowania. Będą one związane z magią i zajmą nieco czasu. Pani, tym razem niech nie będzie to twój pokój.

Z pewnością służący mogą uprzątnąć jakąś inną komnatę.

–Jak sobie życzysz, panie – rzekła Liseth, także wstając. – Chodźmy więc.

–Jak tylko uporasz się z tym, wróć na wiecze- rzę! – dobiegł go basowy głos Herraca. – Jesteś najwyższy rangą pośród nas, panie. Pragnę więc dopilnować, byś najadł się do syta, napił i odpowiednio wypoczął.

–Zaraz będę z powrotem – zapewnił Jim.

Podążył za Liseth do kuchni, skąd dziewczyna zabrała kilku służących, po czym wszyscy udali się po schodach na piętro, na którym mieścił się jej pokój. Dziewczyna za- prowadziła ich do komnaty wypełnionej głównie różnego rodzaju meblami, pokrytymi grubą warstwą kurzu i brudu.

Z zadziwiającą sprawnością rozdzieliła pracę pomiędzy służących.

–Jeśli tylko chcesz, możesz wrócić już do stołu, panie – rzekła. – Zostanę tu i dopilnuję, żeby wszystko zostało wykonane jak należy. W komnacie będziesz miał łóżko, nocnik,

kubek i dzban wina, stół oraz krzesło. Za dwie godziny pomieszczenie będzie gotowe.

–Dziękuję. W takim razie idę na dół.

Jim, zbiegając po spiralnych, kamiennych schodach, uświadomił sobie nagle, że czkawka zniknęła. Spokojnie wrócił więc do Wielkiej Sieni, by wraz z resztą zasiąść do posiłku. Był jednak niezwykle ostrożny, jeśli chodzi o wino.

Kiedy Lachlan chciał napełnić mu kubek, jeszcze raz powołał się na magię, unikając w ten sposób picia.

–Zbyt wiele wina może niekorzystnie wpłynąć na skuteczność czarów – wyjaśnił.

Jak zwykle nikt w takiej sytuacji nie protestował. Jim zrezygnowawszy z napitku, z przyjemnością najadł się jednak do syta. Kiedy do stołu wróciła Liseth, poprosił, by do dzbana wina w jego sypialni dołączono drugi, z piwem.

Najszybciej jak tylko mógł, wrócił na górę i stwierdził, że jeszcze niedawno brudna i zaniedbana komnata zmieniła się nie do poznania. Teraz było tu bardzo czysto, oczywiście jak na czternastowieczne warunki. Oświetlał ją zawieszony na ścianie kaganek, a pod nim, na podłodze, stało naczynie z zapasem paliwa. Jak obiecała Liseth, w pomieszczeniu ustawiono łóżko oraz krzesło, stół, zaś na nim dzbany z piwem i winem.

Doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie wspominać, że i tak nie skorzysta z łóżka. Teraz, będąc sam w komnacie, jak zwykle rozwinął swój materac i rozłożył go na podłodze.

Wiedział, że na nim i tak dobrze się wyśpi, a wyjątkowo zależało mu na wypoczynku. Zamknął drzwi, by nikt, nawet Liseth czy Herrac, nie mógł dostać się do środka bez pukania.

Szybko położył się i zasnął, zanim jeszcze zgasł kaganek.

Była to jedna z tych nocy, które trwają jakby ułamek sekundy. Usnął niemal momentalnie i obudził się natych- miast, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

–Chwileczkę! – zawołał.

Pospiesznie wstał, zwinął posłanie, nalał do kubka nieco piwa i z obrzydzeniem wypił je. Najważniejsze, że było mokre, a tego bardzo było mu trzeba. Pocierając nieco zaspane oczy podszedł do drzwi i otworzył je. W progu stała Liseth. Wpuścił ją więc do środka.

–Ojciec już budzi moich braci, panie – poinfor- mowała. – Sama postanowiłam cię obudzić. Jeśli mogę w czymś pomóc podczas przygotowań…

–To bardzo ładnie z twojej strony – rzekł Jim.

Jego umysł był jeszcze zbyt otępiały, by mógł zdobyć się na dłuższą wypowiedź. W tym czasie dziewczyna spojrzała ciekawie na łóżko, widoczne już dzięki wpadającemu do środka blademu światłu.

–Wcale nie spałeś, panie? – zapytała ze zdziwieniem, podczas gdy Jim wcisnął sobie pod ramię zrolowany materac.

–Miałem pewne obowiązki – wyjaśnił powa- żnie. – Jestem pewny, że rozumiesz, pani.

–Och, tak! – zapewniła Liseth.

Jim poczuł nagle dziejące się w nim sensacje, których wcześniej, otępiały snem, nie odczuwał. Spojrzał na dziew- czynę, która także przyglądała mu się badawczo.

–Czy mogłabyś zostawić mnie samego jeszcze na kilka minut? To będzie tylko chwila. I niech nikt mi nie prze- szkadza.

–Nikt nawet się tu nie zbliży, panie! – rzekła z prze- konaniem Liseth. – Możesz mi

wierzyć.

–Och, wierzę ci!

Wyszła zamykając za sobą drzwi.

Jim pozostawiony sam, pospiesznie zaczął rozwiązywać rzemień podtrzymujący nogawice i sięgnął po nocnik. To była długa noc, a on ani razu nie budził się ze snu. Opróżnił pęcherz z uczuciem ogromnej ulgi, po czym odstawił nocnik, ponownie zawiązał rzemienie i otworzył drzwi.

–Przepraszam, że to trwało tak długo – rzekł do czekającej na zewnątrz dziewczyny.

–Długo? Przecież to była tylko chwila.

–Ach, gdy ma się do czynienia z magią, czas zdaje się płynąć zupełnie inaczej – wyjaśnił już zupełnie rozbudzo- ny. – Słyszałaś o ludziach uprowadzonych przez wróżki czy Naturalnych, którzy myśleli, że nie było ich zaledwie przez kilka dni, a w rzeczywistości upłynęły całe lata?

–Tak, moja niańka opowiadała mi takie historie.

Szczególnie pamiętam tę o Kopciuszku i jej pantofelku.

Książę kazał jej nikczemnej macosze i siostrom przyrodnim tańczyć na swym weselu w rozgrzanych do czerwoności butach. Śmiałam się i śmiałam!

–Hm… tak.

Zbiegli na dół, po czym przez sień przeszli do stajni, która mieściła się w przybudówce oddalonej nieco od wieży. Jim przypomniał sobie, że w pokoju Briana zostawił broń, zbroję i resztę rzeczy potrzebnych do wyprawy.

Zaczął zastanawiać się nad jakimś pretekstem, by wrócić po nie, kiedy ujrzał wszystko złożone przed boksem swojego konia bojowego – Gruchota.

–Ależ moje rzeczy nie musiały być tu przynoszone z komnaty Sir Briana!

–Ośmieliłam się, panie, kazać służącym, aby to zro- bili – przyznała Liseth. – Czy źle zrobiłam?

–Nie, nie! Zrobiłaś wspaniale. Wybrałaś wszystko to, czego będę potrzebować i nic poza tym. Jestem twoim ogromnym dłużnikiem.

–Ogromnym dłużnikiem? – powtórzyła dziewczyna ze zdziwieniem. – Ależ nie, panie. Przecież to są rzeczy należące do ciebie. Nic mojego, ani pochodzącego z zamku de Mer, nie zostało tu dołożone.

–Ach, wybacz ten niewłaściwy dobór słów, pani. My, magowie, czasami mówimy nieco inaczej niż zwykli ludzie.

Chciałem powiedzieć, że jestem ci wielce wdzięczny.

W tej chwili ujrzał, że stajenny prowadzi jego konia, już osiodłanego, z kopią ustawioną pionowo w specjalnie przeznaczonej dla niej kieszeni z prawej strony siodła.

–Jeśli pozwolisz, pomogę ci wdziać zbroję, panie – zadeklarowała się Liseth.

Spoglądając na nią, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jej oblicze jest niezwykle poważne. Dotarło do niego, że może uważać go za atrakcyjnego, jak kiedyś podobał się Danielle o'the Wold, choć wtedy znajdował się w smoczym ciele. W obu przypadkach powód był podobny: chodziło 0 otaczającą go magiczną aurę. Danielle wierzyła, że jest zaczarowanym księciem. Tak przynajmniej twierdziła, chy- ba, że w ten sposób przez cały czas starała się wzbudzić zazdrość w swym przyszłym mężu – Dafyddzie.

Magia i wszystko co z nią związane, zdawało się być niezwykle atrakcyjne dla tych ludzi, jak loterie w świecie, w którym się wychował. W obu przypadkach motorem były niemożliwe do zrealizowania marzenia, które spełnić się mogły jedynie dzięki jakiejś niezwykłej sile. Bez wątpienia szansa osiągnięcia sukcesu poprzez magię, jak i w przypadku loterii, była jedna na milion. Niemniej jednak wystar- czyła nawet tak minimalna szansa powodzenia, by ludzie pasjonowali się tym.

Jim pospiesznie zaczął wdziewać pancerz, jedząc jedno- cześnie podawane na tacy mięso oraz chleb i popijając winem. W ubieraniu pomagała mu Liseth. Zdwoił wysiłki, gdy ujrzał już gotowych, siedzących na koniach de Merów 1 niemal także już odzianego Lachlana, któremu jeszcze do końca nie wywietrzał wypity wczoraj alkohol. Szkot, z niewiadomego powodu, rzucał na niego i dziewczynę spojrzenia pełne wściekłości.

Rozdział 17 j im stwierdził w duchu, że jadąc na północ, ze wschodzą- cym słońcem po prawej ręce, tworzyli wspaniale prezen- tujący się oddział. Kiedyś czytał w książce poświęconej zwyczajom panującym na angielsko-szkockiej granicy, że ludzie mieszkający tu, potrafili zaledwie w ciągu dwudziestu minut w środku nocy, wyrwani ze snu, uzbroić się i znaleźć w siodle, by odeprzeć atak na swój zamek.

Smoczy Rycerz znajdował się na przedzie oddziału, a pozostali jechali dwójkami lub trójkami, gdy było na to miejsce, a gęsiego w wąskich przejściach. Nieco za nim znajdował się Sir Herrac, wyglądający jeszcze potężniej w pełnej zbroi i siedzący na ogromnym koniu bojowym, zdolnym nieść takiego jeźdźca, a dodatkowo jeszcze własny pancerz.

Jim nie zamierzał zająć miejsca lidera, ale ustąpiono mu je i nie wypadało odmówić.

Jak zwykle, także i tutaj znalazła zastosowanie niemal śmieszna czternastowieczna zasada, że posiadający wyższą rangę powinien przewodzić, przynajmniej oficjalnie. Szczególnie zaś, gdy dotyczyło to dowodzenia podczas walki.

Za Herracem jechali Lachlan i Sir Giles. Jak uważał Jim, obu należało się miejsce na czele kawalkady znacznie bardziej niż jemu. Biorąc pod uwagę doświadczenie, powi- nien go także poprzedzać Dafydd, ale to oczywiście było nie do pomyślenia, aby łucznik, bez względu na okoliczno- ści, jechał przed pasowanymi rycerzami.

Kłopot w tym, że na etapie planowania akcji wszyscy, włącznie z tak doświadczonym i znającym okolicę rycerzem jak Sir Herrac, traktowali Jima jak dowódcę. A jedyną tego przyczyną był fakt, że gdy tylko znalazł się w tym świecie, był na tyle nierozsądny, by obwołać się baronem, myśląc, iż pomoże mu to w przystosowaniu się do tutejszych warunków życia. Okazało się jednak, że przysporzył sobie znacznie mniej korzyści niż kłopotów.

Jechał teraz z pogodną twarzą, ale umysł pracował mu na zwiększonych obrotach. Całą jego wiedzę na temat zasadzek można było zmieścić w naparstku i nic tam nie zobaczyć nawet pod mikroskopem. Szczególnie zaś wiedzę 0 zasadzkach przy użyciu czternastowiecznej broni i rycerzy.

Zaklął w myślach, ponieważ przed wyruszeniem powinien skontaktować się ze Snorrlem i zawiadomić go o planowa- nej pułapce. Powinien także znaleźć czas, aby spotkać się z Małymi Ludźmi i w jakiś sposób namówić ich do wzięcia udziału w ostatecznej rozprawie z Pustymi Ludźmi. Dla ludzi jadących z nim typowe było, że nie zastanawiali się zbytnio nad konsekwencjami swych działań. Ale on?

Nawet Herrac zdecydował się na przejęcie złota należą- cego do króla Szkocji, nie wiedząc nawet czy sąsiedzi z pogranicza zgodzą się wziąć udział w walce, do której wstępem miała być ta kradzież.

Jim chciał porozmawiać z Lachlanem MacGreggorem 1 dowiedzieć się od niego jak pierwotnie planował zor- ganizować zasadzkę. Nie było jednak sposobu na opusz- czenie zajmowanego w szyku miejsca i podjechanie do Szkota, zaś wezwanie go do siebie uznał za niegrzeczne.

Musiał cierpliwie poczekać na postój lub dotarcie do celu.

Po drodze nie zatrzymali się ani razu, więc Jim musiał wstrzymać się, aż dotarli do miejsca upatrzonego przez Lachlana.

Rozlokowali się w pewnym oddaleniu od szlaku, na małej polance pośród niezbyt gęsto rosnących sosen. Było tam wystarczająco dużo miejsca dla ludzi i koni. Rozsiodłali je więc, a sami posilili się chlebem i mięsem, popijając winem.

–Więc już widzicie, co wybrałem – rzekł Lachlan, kiedy skończyli jedzenie. – Przyjemne miejsce, prawda?

Jim musiał potwierdzić trafność wyboru.

Interesujący ich szlak, który jego towarzysze nazywali drogą, był tylko ścieżką wydeptaną w trawie. Z trudnością przejechałby nim wóz. Był akurat na tyle szeroki, by zmieściło się na nim dwóch jeźdźców jadących obok siebie.

Zbliżając się tu, Jim zwrócił uwagę, że teren, przez który biegł szlak, wznosił się nieco. W wybranym przez nich punkcie przebiegał jednak w zagłębieniu, a z obu stron wznosiły się zbocza porośnięte drzewami, które dominowały w otaczającym ich krajobrazie.

Stok nie wznosił się zbyt stromo. Rozlokowali się około dwudziestu jardów od szlaku, będąc jakieś cztery stopy powyżej niego. Zbocze pokrywała gruba warstwa sos- nowego igliwia, które skutecznie tłumiło stąpanie konia, zaś kroki człowieka były na nim prawie bezgłośne.

Nie rozpalali ognia, ponieważ dzień był wystarczająco ciepły, a poza tym nie chcieli zdradzać niepotrzebnie swej obecności. Słońce wisiało wysoko i grzało na tyle mocno, że nawet Jimowi zrobiło się ciepło w bieliźnie i zbroi. Jego towarzysze, Brian i Dafydd nieczuli na zimno podczas podróży do zamku de Mer, zdawali się nie odczuwać także gorąca. Wiedząc widocznie, że nie mają żadnego wpływu na temperaturę otoczenia, a skutki jej działania nie zawsze dają się złagodzić poprzez odpowiednio dobrany strój, postanowili w ogóle nie zwracać na nią uwagi. Zupełnie tak, jak postępowali starożytni Grecy z prześladującymi ich bólami głowy.

–Nic nie wskazuje, żeby ktoś się zbliżał – rzekł Herrac. – Sądzę więc, że na razie nie ma się ich co spodziewać, bo pewnie są od nas oddaleni o kilka godzin jazdy. Jeśli nie ujrzymy ich do czasu, gdy słońce zbliży się do horyzontu, zjawią się tu zapewne dopiero jutro. Co o tym sądzisz, Lachlanie?

–Masz zupełną rację – oświadczył Szkot. – Kiedy zbliżać się będą ciemności i chłód, z pewnością przerwą podróż i rozbiją obóz. MacDougall zawsze lubił wygody.

Jeszcze przed zachodem słońca każe rozpalić ogień oraz podać sobie jedzenie i wino.

–Tak też myślałem – zauważył Sir Herrac. – Mamy więc czas na dokładne ustalenie planu działania. Jakie są twoje rozkazy, panie?

"Wiedziałem, że tak będzie", pomyślał zrezygnowany Jim. Był dowódcą, czy tego chciał czy nie. Pozostawała mu tylko nadzieja, że jego towarzysze mają wystarczająco bogate doświadczenie, by wskazać popełniane przez niego błędy. Nagle przyszedł mu do głowy fortel niezwykle przydatny w tej sytuacji.

Jako liderowi, wolno mu było prosić o radę pozostałych uczestników walki. Zazwyczaj grupa doradców ograniczała się do najznamienitszych postaci, ale skoro stanowili tak nieliczną grupę, właściwie każdy mógł wyrazić swoją opinię.

–Muszę wiedzieć nieco więcej o całym przedsięwzięciu, zanim zdecyduję co robić – oświadczył. – Lachlanie, może ty zdradzisz, co chodzi ci po głowie.

–I tak bym powiedział – rzekł Szkot, siedzący obok Jima. Wszyscy zasiedli bowiem kręgiem na igliwiu. – Będą jechać dwójkami, a na czele znajdzie się MacDougall, zapewne prowadząc jucznego konia. Dalej zaś sześciu albo ośmiu ludzi, z jednym lub dwoma wierzchowcami w środku, niosącymi na grzbietach złoto. Na sygnał wszyscy zaataku- jemy ich pieszo…

Zwrócił się w stronę Herraca.

–Widziałeś jak robiłem to w czasie potyczek, w których wspólnie braliśmy udział – ciągnął. – Rzecz w tym, żeby przemknąć pod brzuchem konia, uderzając weń równo- cześnie sztyletem i wybiegając z drugiej strony. Wierz- chowiec staje wówczas dęba, a jeździec zazwyczaj spada na ziemię i łatwo go zabić. MacDougall nic nie będzie w stanie zrobić, jeśli poradzimy sobie z jego ludźmi. Jeden z nas powinien jednak zagrodzić mu drogę, żeby nie mógł spiąć konia i uciec wraz ze złotem, podczas gdy my pieszo nie będziemy mieli szans go dogonić.

–Cóż… – zaczął Jim, lecz nagle przerwał mu stary de Mer.

–Czy sugerujesz więc, że my także mamy zsiąść z koni i atakować pieszo? – zapytał wzburzony, a jego basowy głos zadudnił złowieszczo.

–Znacznie łatwiej poradzimy sobie w ten spo- sób – zapewnił go Szkot.

–Myślałem, że wiesz, co znaczy być rycerzem! – obu- rzył się Herrac. – Kiedy składałem rycerskie śluby, nie po to przysięgałem nie porzucać swego rumaka i nie wypusz- czać z ręki kopii, żeby teraz walczyć pieszo jak zwykły zbrojny! Nie przystoi mi też skakać pod końskimi brzucha- mi i ciąć je jak jakiś nagi Heilandman! Kiedy walczę, robię to jak mężczyzna, konno, z tarczą i mieczem, jeśli nie ma miejsca dla kopii. I tak będą bić się także moi synowie.

–Staliście się tak głupi jak Anglicy! – zawołał Lach- lan. – I wy zwiecie się Northumbrianami!

Przez chwilę istniało zagrożenie poważnej scysji między dwoma naprawdę najważniejszymi członkami wyprawy.

Jim przemówił więc pospiesznie, by załagodzić spór.

–Nigdy nie lekceważę słów ludzi o tak ogromnym doświadczeniu. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy walczyli na różne sposoby. Jeśli Lachlan twierdzi, że taką metodę uważa za najskuteczniejszą, niechże atakuje właśnie tak… – Spojrzał po twarzach siedzących. – Chciałbym usłyszeć także opinię innych? – poprosił.

–Jeden już wyraził swoje zdanie – zauważył Her- rac. – Lachlanie, czy to pewne, że ten MacDougall jest niegroźny?

–Jeśli masz na myśli, czy będzie walczyć, gdy zabijemy jego ludzi, to mogę cię zapewnić, że nie – odezwał się Szkot z niemal niezrozumiałym akcentem. – Jeśli zaś chodzi ci o zdradzieckie wbicie przez niego noża pod żebro, to z pewnością stać go na to. Nie ma obawy.

De Mer spojrzał na najmłodszego syna.

–Christopherze – rzekł do niego – ty zagrodzisz swym koniem drogę MacDougallowi. Zapamiętaj, tylko zagrodzisz mu drogę. Nawet nie próbuj zbliżyć się do niego!

Twarz chłopaka pozostała niewzruszona.

–Christopherze – zwrócił się do niego także Mac- Greggor – pomimo młodego wieku, przy twoim wzroście, w zbroi i z kopią, bez problemu zatrzymasz MacDougalla.

Potężnie wyglądający szesnastolatek w obecności ojca był pokorny jak baranek.

–Tak, panie – rzekł. – Zrozumiałem, ojcze.

–Uważaj jednak, żeby tylko spokojnie siedzieć na koniu! – poradził mu Szkot. – Jeśli bowiem uczynisz ruch w jego kierunku, może dojść do wniosku, że nie ma wyjścia i postanowi walczyć o swe życie. A wtedy będziesz miał za przeciwnika doświadczonego i zdecydowanego na wszystko rycerza. Nie stawiałbym wtedy na ciebie. Siedź więc tylko bez ruchu, z uniesioną kopią i opuszczoną przyłbicą. Wtedy będzie mu się zdawać, że jesteś jednym z przywróconych do życia rycerzy Okrągłego Stołu.

Na twarzy Christophera, zazwyczaj niezwykle poważnej, zagościł ledwie dostrzegalny uśmiech.

–Wygląda na to, że Lachlan jako jedyny będzie walczyć pieszo – zauważył Herrac. – Ja i moi synowie nie zsiądziemy z koni. Czy ma to jakiś wpływ na twój plan, panie?

Jim zdecydował się na mały sprawdzian.

–Mam więc rozumieć – zwrócił się srogo do de Mera – że nawet jeśli rozkazałbym wam walczyć pieszo, ty i twoi synowie nie posłuchalibyście mnie?

–Sir Jamesie – rzekł Herrac, patrząc mu twardo w oczy. – Jestem rycerzem i mam swój rycerski honor, a honor moich synów jest dla mnie równie ważny. Nie będziemy walczyć pieszo.

"A więc tak to wygląda" podsumował w myślach Jim.

Wciąż uczył się żyć w tym średniowiecznym świecie. Herrac był wyraźnie zdeterminowany, wypowiadając te słowa.

Oznaczało to, że gotów był bronić swych przekonań do upadłego.

–Nie wypada łucznikowi mówić w tak znamienitym towarzystwie – głos Dafydda przerwał przedłużającą się ciszę – ale nie mogę nie wspomnieć, że skryty za tak gęstymi drzewami jak te, mógłbym zapewne zabić wszyst- kich sześciu strażników, zanim wy zdążycie kiwnąć palcem.

Stwierdzenie to spowodowało kolejną chwilę ciszy. Jim zdał sobie sprawę, że albo zacznie rządzić silną ręką, albo cała ta wyprawa może zakończyć się fiaskiem.

–Bardzo dobrze – rzekł pospiesznie. – Oto moje rozkazy. Lachlanie, ty zaatakujesz jak chciałeś, z nożem w dłoni przemkniesz pod brzuchami koni i wyskoczysz z drugiej strony. Nie będą to jednak wierzchowce, na których jadą strażnicy, ale te dźwigające na grzbietach złoto. Jeśli przetniesz popręgi i choćby część złota spadnie na ziemię, nasi przeciwnicy nie będą już tak chętni do ucieczki. W tym czasie ty, Sir Herracu i twoi synowie, konno

zaatakujecie jeźdźców, tak jak sobie tego życzysz.

Ale jeśli Christopher ma zagrodzić drogę, będzie nas tylko sześciu, a ich co najmniej tylu samo. Nie wątpię, że poradzicie sobie z nimi. Mnie jednak zależy na samym zwycięstwie, a nie na odniesieniu go przy pomocy jak najmniejszej liczby ludzi. – Zamilkł na moment, by odetchnąć głębiej. – Dlatego ty, Dafyddzie – ciągnął – zajmiesz pozycję wśród drzew i zanim ruszymy, oczyś- cisz tyle siodeł, ile zdołasz. Sir Herracu, ruszysz natych- miast po wystrzeleniu przez niego strzał. Ty, Lachlanie, zaatakujesz w tej samej chwili i wykorzystasz zamieszanie, by zająć się końmi objuczonymi złotem. Czy wszystko jasne?

Uznał, że nie warto już pytać o stosowność takich posunięć, lecz stanowczo postawić na swoim. Poskut- kowało, ponieważ nikt nie protestował. Lachlan i Herrac skinęli tylko, a Dafydd uśmiechnął się.

–No cóż, pozostaje nam więc tylko czekać – stwierdził Szkot, sięgając po bukłak z winem. Czuję się już tak, jakby złoto znajdowało się w naszych rękach.

Nalał trunku do wszystkich kubków.

Jak się okazało, de Mer był prawdziwym prorokiem.

MacDougall i jego ludzie zjawili się dopiero rankiem następnego dnia.

Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że ktoś się zbliża, był błysk złota w oddali, dostrzeżony przez młodych de Merów, czyhających za pierwszymi drzewami. Nie pochodził on jednak od złota wiezionego jako zapłata dla Pustych Ludzi, lecz od złotych wyłogów płaszcza narzuco- nego na zbroję lidera kawalkady. Błysk ten, oraz widok zbroi przywódcy jadącego oddziału, którego Lachlan roz- poznał jako MacDougalla, świadczyły, że oto nadchodzi czas walki.

Napastnicy pozostali na miejscach, skryci za drzewami, dopóki jeźdźcy nie zbliżyli się na około czterdzieści jardów do początku pochyłości szlaku. Wtedy Jim zwrócił się do swych towarzyszy: – Christopherze, lepiej zbliż się już teraz do drogi, ale nie pokazuj się, aż nie zaatakujemy. Kiedy ruszymy, zajedź drogę MacDougallowi. Sir Herracu i Sir Gilesie, wy i pozostali jeźdźcy powinniście zająć pozycje nieco z tyłu, ponieważ do ataku potrzeba więcej miejsca, żeby nabrać rozpędu. Sami zdecydujcie czy wolicie podjechać bliżej i przyspieszyć na otwartej przestrzeni, czy lawirować między drzewami.

–Lachlanie – przemówił do Szkota.

Ten w międzyczasie rozebrał się, pozostając tylko w spód- nicy, którą także zamierzał zrzucić. Pozbył się miecza oraz tarczy i stał teraz tylko ze sztyletem w dłoni.

MacGreggor spojrzał na niego.

–Lachlanie – powtórzył Jim – powinieneś przyczaić się tuż przy szlaku, ponieważ ukryjesz się łatwiej niż my.

Możesz schować się za pniem drzewa, żeby skoczyć tylko i już być przy koniach niosących złoto, bez względu na to, czy otaczać je będą strażnicy, czy też nie.

–No cóż… – zaczął Szkot z niezwykłym dla siebie niezdecydowaniem.

–Jeśli wybaczysz, Sir Jamesie – przemówił Her- rac. – Tak dobrze znam Lachlana, że wydaje mi się, iż lepiej będzie, jeśli zamiast ustawić się blisko szlaku, zajmie pozycję jak najdalej od niego.

–Tak! – wsparł go pospiesznie sam zainteresowa- ny. – Nie obawiaj się, że przeszkodzi mi to w wykonaniu wyznaczonego zadania. Muszę jednak czekać nieco dalej.

Jim zdziwił się, ale skoro nikt nie zamierzał wyjaśnić mu sprawy, wyczuł, że jest po temu jakiś powód, którego teraz nie należy ujawniać. Postanowił więc nie protestować.

–Bardzo dobrze, Lachlanie – oświadczył. Sam wybierz właściwą pozycję. Wierzę, że i tak ci się uda. W takim jednak wypadku, ponieważ zamierzałem pozostać z tobą, dołączę do was, Sir Herracu i Sir Gilesie, oczywiście jeśli nie macie nic przeciwko temu?

–Będziemy zaszczyceni, panie – oświadczył Giles tak szybko, że ojciec nie zdążył nawet otworzyć ust.

–Rzeczywiście – warknął Herrac, rzucając jednocześ- nie synowi spojrzenie pełne nagany.

Kawalkada zbliżała się szybko. Jim, przemykając konno wśród drzew wraz z de Merami, usłyszał nagle za sobą jakiś dźwięk. W pierwszej chwili nie uwierzył własnym uszom, więc wsłuchał się uważniej. Dźwięk powtórzył się i tym razem był już pewny.

Kogoś męczyła czkawka.

Spojrzał na Herraca, lecz twarz potężnego rycerza była jak wykuta z kamienia, a jego wzrok spoczywał na szlaku.

Nie dawał po sobie poznać, że cokolwiek słyszy. Jim pomyślał, że właściwie nie są potrzebne jakiekolwiek wyjaśnienia. Z pewnością słyszał czkawkę, a jedyną osobą, która mogła wydawać te dźwięki był Lachlan. Zapewne świadomość zbliżającej się walki wywoływała u Szkota taką właśnie reakcję. Jim od razu odrzucił możliwość, by powodował ją strach. MacGreggor nie należał po prostu do ludzi, którzy bali się w sytuacji takiej jak ta. Zapewne była to więc reakcja na podniecenie i niecierpliwe oczeki- wanie ataku. Niemniej stanowiła ciekawe zjawisko.

Przypomniał sobie, że w zamku, gdy złapał go atak czkawki po wypiciu nadmiernej ilości wina, Lachlan oka- zywał duże zdziwienie. Teraz Jim zorientował się, że Szkot był zaskoczony, ponieważ znalazł kogoś z taką samą dolegliwością jak jego. Miał przy tym może nadzieję, że Smoczy Rycerz poda mu jakiś skuteczny sposób na po- zbycie się jej.

W każdym razie istniało małe prawdopodobieństwo, że nadjeżdżający usłyszą te odgłosy, a jeśli nawet, nie był to dźwięk sygnalizujący niebezpieczeństwo. Nie spowodowałby więc u nich zwiększenia czujności.

MacDougall był już blisko. Przedstawiał sobą wspaniały widok, siedząc wyprostowany na rumaku z przepięknym rzędem. Wyprzedzał o trzy długości konia mężczyznę, który sprawiał wrażenie parobka. Jechał na małym, wło- chatym koniku z szerokimi kopytami, prowadząc na lince znacznie szlachetniej wyglądającego wierzchowca, obłado- wanego bagażami. Nieco dalej, dwójkami, jechała eskorta w niepełnych zbrojach. Było ich ośmiu. Bez wątpienia strzegli złota, które, jak przewidział Lachlan, wypełniało dwie bogato zdobione skrzynie, przytroczone do grzbietów koni prowadzonych dokładnie w środku kawalkady.

Jim nie dawał sygnału do ataku, ufając, że Dafydd sam wybierze najlepszy moment. Choć wydawało mu się, że jest wyjątkowo skoncentrowany, z zaskoczeniem zauważył, że niemal równocześnie czterech ostatnich jeźdźców nagle spadło z siodeł lub nienaturalnie się w nich przekrzywiło.

Z piersi wszystkich wystawały tylko lotki precyzyjnie posłanych strzał.

To był właściwy sygnał.

Nagle rozległ się za nim dziki wrzask i zza drzew wypadł zupełnie nagi Lachlan, mijając Herraca i jego synów, którzy właśnie przynaglali konie do galopu. Wierzchowce ruszyły i obraz pola walki zamazał się jak podczas każdej z bitew, w której Jim brał udział.

Jego Gruchot dosyć ślamazarnie usiłował wyjść spośród drzew i kiedy wreszcie znalazł się na otwartej przestrzeni, de Merowie już walczyli. Gdy Jim wypadł na szlak, dostrzegł Herraca dosłownie miażdżącego jednego ze straż- ników, podczas gdy Giles z zapałem wywijał mieczem i był już bliski pokonania następnego.

Na pierwszy rzut oka wszystko działo się po ich myśli, lecz Jim dostrzegł, iż jeden z młodych de Merów leży na ziemi, a dwaj pozostali spychani są przez stawiających silny opór wojowników.

Przewaga była jak zawsze po stronie doświadczenia. Jim nie miał wątpliwości, że ojciec, taki jak Herrac, pilnował, aby synowie codziennie odbywali ćwiczenia, szczególnie walcząc pomiędzy sobą. Żaden jednak trening nie mógł nauczyć nawet połowy tego, co prawdziwe starcie. Jim przekonał się o tym na własnej skórze.

Brian wciąż mu powtarzał, że w walce czternastowieczną bronią jest najwyżej przeciętny. O umiejętności posługiwania się kopią nie warto było nawet wspominać, ale z innymi rodzajami broni jakoś sobie radził. Zdecydowanie najlepiej posługiwał się mieczem i tarczą.

Po wielu niepowodzeniach, nauczył się wreszcie sztuczki polegającej na pochyleniu tarczy tak, by miecz przeciwnika ześlizgiwał się po niej. To, wraz z wrodzoną umiejętnością posługiwania się mieczem, który służył bardziej do uderza- nia, a nie cięcia, sprawiło, iż Brian poradził mu kiedyś, by w niebezpieczeństwie korzystał właśnie z tej broni.

Nie zawsze było to jednak możliwe, tak jak w przypadku pojedynku z Sir Hughem de Bois de Malencontri, poprzed- nim właścicielem zamku Jima. Smoczy Rycerz zwyciężył wtedy walcząc ciężkim, dwuręcznym mieczem. Wykorzystał jednak przewagę wynikającą z ociężałości przeciwnika i swej nadzwyczajnej siły w nogach oraz skoczności.

Lachlan zdołał przeciąć popręgi koni niosących skrzynie, tak, że obie wylądowały na ziemi i zaraz zaczął tańczyć wokół parobka MacDougalla, który gdzieś spośród dobyt- ku wyciągnął topór na krótkim trzonku.

Jeden z młodych De Merów, starszy jedynie od Chris- 1 tophera, został prawie zrzucony z siodła przez swego przeciwnika i gwałtownie potrzebował pomocy. Żaden z braci, ani ojciec nie był w stanie mu jej w tym momencie udzielić.

W żyłach Jima zawrzała krew. Błyskawicznie wbił ostrogi w boki Gruchota i skoczył na ratunek znajdującemu się w opałach młodzieńcowi.

Rozdział 18 Z, ibrojny, który był już bliski pokonania Williama de Mera, został uderzony przez Jima mieczem z taką siłą, że niemal zleciał z siodła. Impet ciosu był ogromny z uwagi na szybkość, z jaką poruszał się Gruchot. Koń, z natury duży i ciężki, w tym momencie wpadł w szał. Jim nigdy wcześniej nie poganiał go ostrogami. Rumak zarżał i rzucił się na znacznie mniejszego wierzchowca strażnika, kopiąc go przednimi nogami, jakby rzeczywiście był szkolonym koniem bojowym.

Jim nie miał jednak czasu, by zwracać na to uwagę, ponieważ musiał skoncentrować się na walce. Przeciwnik Williama zdołał jednak utrzymać się w siodle, ale zaatako- wany nieoczekiwanie przez Jima, stojącego w strzemionach i mającego znacznie większego

wierzchowca, nagle znalazł się w opałach. Został zmuszony do porzucenia młodzieńca, który korzystając z tego oddalił się, kurczowo trzymając konia.

Gdyby Jim nie dał się tak ponieść emocjom – później stwierdził, że udzielił mu się entuzjazm Lachlana, rzuc- cającego się do walki z opancerzonymi przeciwni- karni – zapewne nie poszłoby mu tak dobrze. Był jednak święcie przekonany o swej przewadze nad zbrojnym, po prostu zmiótł go z konia, niemal jak Herrac.

Nagle niewielkie pole walki zastygło w bezruchu. Żywi zatrzymali się, sapiąc ciężko, a pokonani leżeli nieporuszeni.

Nikt nie drgnął, zanim olbrzymi rycerz nie zeskoczył z siodła jak dwudziestolatek i podbiegł do syna, który podczas bitwy został powalony na ziemię.

–Alan! – zawołał przerażony. Padł na kolana przy młodzieńcu i wziął jego głowę na kolana. – Alanie…

Drżącymi rękoma zaczął zdejmować mu hełm. A gdy wreszcie udało mu się to, oczom obserwujących go towa- rzyszy ukazało się białe jak ściana oblicze młodego de Mera z zamkniętymi oczami.

Jim poczuł ogarniające go bezsilność i pustkę. Alan był najstarszym synem. Dla Herraca śmierć pierworodnego byłaby szczególnie ciężkim ciosem. Przecież przez tyle lat sposobił go, by kiedyś zastąpił ojca w rządzeniu zamkiem i należącymi do rodu ziemiami.

Smoczy Rycerz zeskoczył z konia, przecisnął się między pozostałymi synami oraz Lachlanem i klęknął z drugiej strony Alana. Przytrzymał przez moment dłoń ponad ustami leżącego, po czym uśmiechnął się do Herraca, który tulił głowę syna i chwiał się na boki, jak mająca się przewrócić wieża.

–Oddycha – rzekł Jim.

Olbrzym zalał się łzami.

Kiedyś widok takiego człowieka płaczącego zaskoczyłby Jima, lecz dawno już przekonał się, że w czternastym wieku przedstawiciele obu płci płakali tak łatwo jak dzieci.

A z pewnością Herrac miał po temu powody, na wieść, że jego syn żyje.

–Pomóżcie mi! – polecił Smoczy Rycerz pozostałym braciom. – Ostrożnie zdejmijmy z niego zbroję. Zobaczę, co da się zrobić.

Słysząc, że mag gotów jest udzielić pomocy leżącemu, de Merowie wyrwali się z otępienia, z jakim przypatrywali się bratu. Stłoczyli się wokół Alana i delikatnie zaczęli go rozbierać.

Jim ostrożnie badał ciało Alana, szukając jakiejś rany, lecz niczego takiego nie znalazł. Ujął go za przegub, starając się wyczuć puls. Wreszcie udało mu się. Był regularny, lecz słaby.

Zmarszczył czoło, ale szybko wypogodził je, ponieważ na ten widok w oczach Herraca odmalował się nagły przestrach.

–Wygląda, że nie odniósł żadnej rany – oświad- czył. – Jedynym niebezpieczeństwem może być wstrząs…

Uniósł głowę i spojrzał na braci Alana, którzy byli najbliżej niego podczas walki.

–Czy któryś z was widział co stało się Alanowi? Czy w czasie pojedynki został trafiony?

–Otrzymał tylko jeden cios – rzekł Hector. – Nie wyglądało mi to na silne uderzenie, Sir Jamesie, lecz Alan natychmiast spadł z konia.

–Hmmm… – zadumał się Jim.

Zbadał czaszkę leżącego, dokładnie macając we włosach.

–To wstrząs – uznał wreszcie.

Przyszło mu na myśl, że utrata świadomości może być spowodowana jakąć wadą wrodzoną. To jednak wykraczało poza jego wiedzę medyczną, która była doprawdy niewielka.

Postanowił głośno nie wyrażać swych obaw, ponieważ mogło to tylko przestraszyć de Merów.

–Przynieście mi wody i wina – polecił.

Rozkaz został momentalnie wykonany. Przesunął dłonią po twarzy Alana, szepcząc jednocześnie coś niezrozumiale, pragnąc sprawić wrażenie, że w jego działania zaangażowa- na jest magia. Następnie wyjął miękką szmatkę z kieszeni przyszytej przez Angie do wewnętrznej strony koszuli, zanurzył ją w winie, uznając, że ono będzie najlepsze, i delikatnie przetarł twarz chłopaka.

Przez chwilę nie działo się nic, lecz nagle powieki Alana zadrżały i otworzył oczy.

–Co… Co się dzieje? – szepnął młodzian wyraźnie zmieszany. – Ojcze, panie, gdzie jestem?

–Leżysz chłopcze na ziemi, na plecach – powiedział głośno Lachlan. – Zostałeś strącony przez jednego z ludzi MacDougalla. Przypominasz sobie?

–Tak… tak… pamiętam.

Alan rozejrzał się wokół, aż wreszcie zatrzymał wzrok na ojcu. Herrac wyciągnął rękę i ścisnął dłoń najstarszego syna.

–Alanie! Nic ci nie jest?

–Ależ nie, ojcze. Nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

Wybacz mi, że rozmawiam z tobą leżąc…

Gwałtowanie usiadł i nagle chwycił się obiema rękoma za głowę.

–Co ci jest?! – krzyknął olbrzym.

–To ból głowy, ojcze… – wydusił Alan. – To tylko ból głowy, którego się nie spodziewałem.

Jim oparł rękę na ramieniu młodzieńca i delikatnie położył go z powrotem.

–Poleż jeszcze spokojnie – poradził. – Niech ktoś przyniesie kubrak czy coś podobnego od któregoś z zabitych lub pojmanych. – Ze zdziwieniem stwierdził, że jego głos brzmi wyjątkowo ostro. Tak, to pobyt w tym świecie zmienił go już. – I jeszcze jakieś okrycia, żeby ogrzać Alana, gdy będzie leżeć. Poczekamy i zobaczymy, czy ten ból ustąpi.

–To nic, Sir Jamesie – zapewnił go poszkodowa- ny. – Nie powinienem nawet o tym wspominać. Pozwólcie mi…

–Zostań tam gdzie jesteś! – polecił ojciec. – Masz słuchać Sir Jamesa!

–Tak, ojcze – szepnął młodzieniec, opierając głowę na tobołku podsuniętym mu przez któregoś z braci.

Pozostali zajęci byli rozbieraniem zabitych wojowników i parobka, który żył jeszcze, lecz jedno z ramion miał niemal w całości odrąbane. Jego topór tkwił zaś w drzewie o jakieś dziesięć stóp od szlaku, wbity tam wprawną ręką, zapewne MacGreggora.

–Sir Herracu – przemówił Jim wstając – może zechcesz zostać przy Alanie, podczas

gdy my zajmiemy się innymi ważnymi sprawami? Lachlanie, sądzę, że powinniś- my porozmawiać z tym MacDougallem.

–Tak, powinniśmy – przyznał Szkot, uśmiechając się złowieszczo pod nosem i badając ostrość czubka sztyletu.

–Powiedziałem porozmawiać! – warknął Smoczy Rycerz. – Choć ze mną. Ty także, Gilesie.

Zostawiwszy Sir Herraca z Alanem i pozostałymi synami, Jim skierował kroki w stronę MacDougalla, który wciąż siedział na koniu przed nieruchomą, zdającą się być wykutą w kamieniu, postacią młodego Christophera. Szesnastolatek dotrzymał słowa. Nie wykonał nawet najdrobniejszego ruchu i Jim musiał przyznać, że blokując drogę wyglądał rzeczywiście groźnie.

Podeszli do mężczyzny w wyszywanym złotą nicią płasz- czu. Ten odwrócił głowę i z uwagą spoglądał na nich.

–No i co, Ewen? – rzucił Lachlan tonem pełnym satysfakcji. – Zdaje się, że składasz nam wizytę!

–Panie, jakakolwiek jest twoja ranga… – zaczaj Jim.

–Zwą go jednym z Viscountów – wtrącił MacGreggor.

–Szlachetny MacDougallu – ciągnął Smoczy Ry- cerz – nazywam się Sir James Eckert, Baron de Bois de Malencontri. Jesteś moim więźniem. Zsiądź z konia.

–I to szybko, Ewen – polecił Lachlan, ponownie dotykając ostrza sztyletu. – Radzę ci się pospieszyć.

MacDougall zsiadł z rumaka ociągając się. Stojąc na ziemi, nie wyglądał już tak okazale, ponieważ był niższy o dobre cztery cale od Jima i co najmniej o dwa od MacGreggora. Na jego szczupłej twarzy z wyraźnie zazna- czonymi kośćmi policzkowymi malowała się jednak pogarda.

–Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach na każdej drodze znajdą się jacyś rzezimieszkowie – mruknął i ręką sięgnął pod płaszcz.

Ostrze sztyletu Lachlana momentalnie znalazło się przy jego gardle.

–Wyjmuję tylko chusteczkę – rzekł miękko Mac- Dougall, wolno wydobywając elegancki skrawek materiału, pasujący raczej kobiecie. Rozszedł się od niego silny zapach perfum. – Z jakiegoś powodu czuję tu strasznie nie- przyjemny zapach.

–Rób tak dalej, a wkrótce nie będziesz miał nosa, żeby cokolwiek wąchać – zagroził MacGreggor. – Czy nie zwróciłeś uwagi na imię człowieka, który cię pojmał? To Sir James Eckert – Smoczy Rycerz.

Jim zupełnie nie spodziewał się skutku, jaki wywołały te słowa. Opanowanie jeńca zniknęło momentalnie.

–Smoczy… Smoczy Rycerz? – wyjąkał MacDou- gall. – Ten… ten czarnoksiężnik?

–Mag! – wybuchnął Jim, nagle porwany gnie- wem. – Jeśli jeszcze raz ktoś nazwie mnie czarnoksięż- nikiem, to pożałuje tego do końca życia!

–Tak, tak, Sir Jamesie! – wyjąkał drżącym głosem więzień. Jego twarz przybrała niemal taką barwę, jak nieprzytomnego Alana. – Oczywiście, szlachetny panie.

Ależ będę twoim jeńcem. Jak sobie tylko życzysz.

Jim intensywnie myślał. Obrzucił spojrzeniem de Merów tłoczących się wokół wciąż

leżącego Alana. MacDougall był od nich na tyle oddalony, że nie byłby w stanie ich rozpoznać, a jeśli miał ujść z życiem, im mniej wiedział i widział, tym lepiej dla niego. Smoczy Rycerz przeniósł wzrok na MacGreggora.

–Lachlanie, czy mógłbyś się zająć naszym szlachetnym jeńcem? Opuszczamy to miejsce, gdy tylko będziemy gotowi.

Nie widzę tego parobka. Czy któryś ze zbrojnych jeszcze żyje, a nie może jechać konno?

–Już nie! – rzekł Szkot z dzikim uśmiechem. – Wszys- tkim poderżnąłem gardła. Przy odrobienie szczęścia, kiedy zostaną znalezieni, uznają ich za ofiary złodziei bydła.

Jim powstrzymał dreszcz obrzydzenia. Było to okrucień- stwo zupełnie obce jego dwudziestowiecznej naturze, lecz tu praktykowane niemal powszechnie. Cennych więźniów, za których można było wziąć okup, zabierano ze sobą.

Tych, którzy nie przedstawiali sobą żadnej wartości, mor- dowano po prostu, skoro ich pilnowanie nie opłacało się i byli tylko źródłem kłopotów.

–A więc dobrze – stwierdził Jim. – Zajmij się nim.

Ja pójdę do pilnującego go do tej pory rycerza. Trzymaj naszego więźnia z daleka od reszty. Zrozumiałeś?

Umyślnie określił Christophera jako rycerza, aby nie zawstydzać MacDougalla. MacGreggor nie był jednak zadowolony z takiego traktowania.

–Czyżbym urodził się dopiero wczoraj? – oburzył się. – Oczywiście, że to jasne!

–To dobrze.

Jim pozostawił za sobą obu Szkotów i podszedł do najmłodszego z de Merów, który wciąż pozostawał w ideal- nym bezruchu. Smoczy Rycerz położył dłoń na opan- cerzonym kolanie chłopaka.

–Dobrze sobie poradziłeś, Christopherze – pochwalił go szeptem.

–Nie poruszyłem się, panie – rozległ się spod przyłbicy basowy głos de Mera. – Tak jak kazał ojciec.

–Nie podnoś głosu – upomniał go Jim. – Nie ma powodu, by nasz więzień w złoconym płaszczu miał dowie- dzieć się kto oprócz mnie i Lachlana brał udział w napadzie.

Jesteś już wolny. Przejedź bokiem i dołącz do ojca i braci.

Powiedz, żeby przysłał któregoś z was w zbroi i z opusz- czoną przyłbicą, gdy Alan będzie gotów do drogi.

Uznał jednak, że ta instrukq'a nie wystarczy, więc dodał: – Ma być naprawdę gotowy do drogi, a nie tylko tak uważać. Ten ból powinien znacznie zmniejszyć się, zanim spróbuje wstać, a gdy tylko powróci, natychmiast ma się z powrotem położyć. Kiedy będzie mógł, niech dosiądzie konia, ale jechać powinien tylko stępa. Wy macie mu towarzyszyć w drodze do zamku. Następnie trzeba go niezwłocznie położyć do łóżka i niech w nim pozostanie.

Oto moje rozkazy, jako maga. Czy będziesz w stanie powtórzyć je ojcu, słowo w słowo?

–Słowo w słowo, panie – zapewnił młodzieniec, tym razem już ciszej.

Jim nie miał powodu, by w to wątpić. W tych czasach, gdy pismo nie było rozpowszechnione, może tylko poza łaciną, znaną biegle duchowieństwu i klasie wyższej, niemal wszystkie wiadomości przekazywano ustnie, a kurier musiał być osobą na tyle zaufaną i obdarzoną dobrą pamięcią, aby powtórzyć tekst bez żadnych zmian. Konieczność

taka zmuszała znaczną większość ludzi do wyrobienia w sobie zdolności dokładnego zapamiętywania. Tak więc Jim nie obawiał się zbytnio, że wiadomość dotrze do Sir Herraca w zmienionej postaci.

–Bardzo dobrze – stwierdził. – Co więcej, przekaż ojcu, że wraz z Lachlanem i naszym jeńcem podążymy za wami, lecz w takiej odległości, byście nie zostali rozpoznani przez MacDougalla. Nie warto sprowadzać kłopotów na zamek de Mer. Właściwie prawdopodobnie nie wrócimy tam, lecz rozbijemy się po drodze co najmniej na jedną noc, jeśli nie dłużej. Damy znać Sir Herracowi, gdy nadejdzie pora. W międzyczasie powinien zorientować się, czy miesz- kańcy pogranicza będą gotowi stanąć do walki u boku Małych Ludzi. Sam zajmę się zaś namówieniem tych ostat- nich, żeby w bitwie z Pustymi Ludźmi zechcieli nas wspierać.

–To także przekażę ojcu najdokładniej jak umiem – za- pewnił Christopher.

–Dobrze. Teraz skryj się za drzewami i wracaj do swoich, a ja pójdę po Gruchota. Następnie wraz z Mac- Dougallem wsiądziemy na konie, a gdy Lachlan się ubierze, zrobi to także. Dopiero wtedy zdecyduję, co dalej.

Minęło co najmniej pół godziny, zanim Alan był w stanie utrzymać się w siodle. W tym czasie synowie Herraca załadowali skrzynie ze złotem na wierzchowce należące do zabitych zbrojnych, ponieważ niosące je dotychczas spło- szyły się podczas walki i przepadły w lesie.

Lachlan oddalił się zaś i po niedługim czasie powrócił ubrany i w pełni uzbrojony, po czym dosiadł swego rumaka, co wcześniej uczynili Jim i MacDougall. Więzień tak bał się Smoczego Rycerza, że nawet nie próbował nawiązać z nim rozmowy.

Jimowi bardzo to odpowiadało, zadumał się bowiem głęboko. Rozważał jak postąpić dalej. Przede wszystkim musiał znów zobaczyć się ze Snorrlem, a także spotkać z Małymi Ludźmi, co zorganizować mu mogła jedynie Liseth. Chciał poprosić ich o pomoc i zjednoczenie się z ludnością pogranicza. Podejrzewał, że Lachlan nie będzie zachwycony perspektywą samotnego pilnowania jeńca, gdy on zniknie na kilka dni. MacGreggor gotów byłby wtedy wbić sztylet pod żebro więźnia i tym samym oszczędzić sobie wszelkich kłopotów.

Nie były to problemy łatwe do rozwiązania. Szkot zgadzał się wypełniać jego rozkazy jedynie w części, a już na pewno nie podporządkowałby się synom Herraca, czy nawet jemu samemu.

Dla Jima oczywiste było tylko jedno: nie mogli wrócić do zamku. Musiał obmyślić sposób zakomunikowania tego Lachlanowi. Na szczęście pozostało mu jeszcze nieco czasu.

Zamierzał bowiem przed ostatecznym odłączeniem się, podążać część drogi za de Merami. Mógł więc poinformo- wać Szkota o zmianie kierunku w ostatniej chwili. I tak można się było spodziewać, że Lachlan nie będzie zachwyco- ny perspektywą spędzenia kilku dni pod gołym niebem.

Teraz jednak wszyscy trzej, wraz z MacDougallem, zjechali ze szlaku nieco w bok, by puścić przodem de Merów, po czym podążyli ich śladem.

Jim uznał, że MacGreggor jest na tyle rozsądny, aby nie zdradzić, kto jeszcze brał udział w zabiciu strażników i przejęciu złota. Rzeczywiście Szkot zachował milczenie, gdy Herrac z synami minął ich i oddalił się na tyle, by pozostać nierozpoznanym dla MacDougalla.

Dopiero wtedy także ruszyli. Od zamku dzieliło ich około sześć godzin jazdy. Droga powrotna trwała jednak dłużej, ponieważ to Alan nadawał tempo, stosując się ściśle do polecenia Jima, a więc jadąc tylko stępa.

Dlatego też było już późne popołudnie, gdy Jim uznał, że nadszedł czas na odłączenie się od reszty oddziału.

Drzewa, przerzedzające się już wyraźnie, rzucały długie cienie w kierunku wciąż niewidocznego brzegu morza, nad którym stał zamek de Mer. Smoczy Rycerz wciąż jeszcze nie wymyślił żadnego argumentu, na tyle przekonywujące- go, by Lachlan zaakceptował jego zamierzenia. Nie mógł już jednak dłużej zwlekać.

–Lachlanie – zwrócił się więc do towarzysza – teraz przywiązany naszego więźnia do drzewa, żeby mieć pew- ność, że nie oswobodzi się przez kilkanaście minut, a sami oddalimy się nieco i porozmawiamy.

Szkot roześmiał się szyderczo, spojrzał na MacDougalla i mrugnął okiem. Miało to być zapewne zapowiedzią wymyślnych tortur czekających więźnia, których MacGreggor nie mógł się wprost doczekać. Groźba ta nie wywarła jednak widocznego wrażenia na jeńcu, bo pozostał niewzruszony.

Przez całą drogę nie wypowiedział nawet słowa. Milczał także, gdy zboczyli ze szlaku, znaleźli drzewo około metrowej średnicy i zsiedli z koni.

Lachlan zajął się skrępowaniem jego rąk z tyłu, za pniem. Choć więźniowi nawet nie drgnęła powieka, Jim był pewien, że MacGreggor wiąże go z całej siły zaciskając rzemienie, lecz nie chciał mu zwracać uwagi.

–To powinno cię powstrzymać, Ewen – stwierdził MacGreggor, gdy cofnął się o krok, podziwiając własne dzieło.

–Wiesz, zawsze mówiłeś bez szkockiego akcentu. Za- stanawiam się kiedy utraciłeś tę umiejętność – przemówił MacDougall.

–Och! Mylisz się. Zawsze mówię ze szkockim akcen- tem, ponieważ jestem Szkotem. Ty zaś w duchu jesteś pół Francuzem, a pół Anglikiem.

Jeniec puścił tę uwagę mimo uszu. Jim wraz z Lachlanem oddalił się na tyle, że więzień nie mógł ich słyszeć, lecz nadal pozostawał w zasięgu wzroku. Odprowadzili także wszystkie trzy konie, na wypadek gdyby MacDougall zdołał się oswobodzić i próbował ucieczki.

–Słucham, o co chodzi? – zapytał Szkot, tym razem bez cienia akcentu.

–Sądzę, że bardziej nie należy się już zbliżać do zamku de Mer – oświadczył Jim.

–Bardziej? Nie rozumiem, o czym mówisz.

–Nie chcemy przecież, żeby rozpoznał zamek i jego właścicieli, prawda?

–Ale przecież mamy proste wyjście. Jeśli to jedyny problem, to mogę mu zaraz poderżnąć gardło i sprawa załatwiona. Myślałem jednak, że masz jakiś cel w wiezieniu go aż tak daleko.

–Owszem – przyznał Jim. – Pamiętasz? Miałem posługując się magią przybrać jego wygląd.

–Co cię więc przed tym powstrzymuje? – zdziwił się Lachlan. – Zamień się w niego i już nie będzie nam potrzebny!

–Obawiam się, że tego nie można zrobić tak szybko.

Jim poczuł pewien niepokój. Był o dobre dwa cale wyższy od Szkota i jakieś dziesięć, piętnaście funtów cięższy. Nie był jednak pewien swej przewagi nad MacGreggorem. Jego barki były bowiem wprost nienaturalnie szerokie, a w posługiwaniu się bronią mógł stanowić dla Jima niedościgniony wzór. Tę sprawę należało więc rozwiązać drogą dyplomatyczną.

–Powinieneś zrozumieć, że nie wystarczy, bym tylko wyglądał jak on – starał się tłumaczyć Smoczy Ry- cerz. – Muszę także mówić i zachowywać się jak on. Tak samo poruszać się, stać i siedzieć w ten sam sposób.

Przecież któryś z Pustych Ludzi mógł go już widzieć i zorientują się, że coś nie jest w porządku.

–Nawet jeśli będziesz się ruszać i mówić inaczej niż powinieneś, co z tego? – upierał się Szkot. – Jeśli wyglądasz tak jak on, to nim jesteś. Któż może mieć co do tego jakieś zastrzeżenia?

–Wydaje mi się, że nie doceniasz Pustych Ludzi, Lachlanie.

–Wcale nie! – warknął wzburzony MacGreggor.

–Wybacz. Nie chciałem cię obrazić. Rzecz w tym, że jako mag dostrzegam pewne rzeczy niezauważalne dla zwykłych ludzi. A przecież Puści Ludzie są duchami.

Możliwość przybrania innej postaci przez znanego ci człowieka może nie przyjść ci do głowy, jeśli nie zauważysz różnic. Ale w ich przypadku nie jest to takie pewne. Widzę tylko jedno rozwiązanie. Muszę go obserwować przynaj- mniej przez jeden dzień, i starać się zapamiętać wszystkie szczegóły jego zachowania.

–Może tak – zaczął niepewnie Szkot, po czym jego oblicze rozjaśniło się – a może nie. Pomyśl, że to ja mogę ci powiedzieć jak się zachowuje, chodzi, siedzi i mówi. Przecież widywałem go przez wiele lat i na dworze, i w wielu innych miejscach. Wszystkiego, czego potrzebujesz, możesz dowie- dzieć się ode mnie. Sam Ewen jest nam zupełnie zbyteczny.

–Przykro mi, ale nie – rzekł stanowczo Jim. – Bardzo się cieszę, że jesteś gotów przekazać całą swą wiedzę o nim, sądzę, że i tak mi się przyda. Niemniej będę mu się przyglądać przez jakiś czas. A to oznacza, że zatrzymamy się z nim gdzieś w lasach. Chciałem cię tylko zapytać, czy znasz jakieś schronienie w pobliżu, gdzie moglibyśmy pozostać przez dzień lub nieco dłużej?

Lachlan na chwilę spuścił wzrok, milcząc. Wreszcie jednak podniósł głowę i przemówił: – Tak, oczywiście. Znam takie miejsce. Dobrze, może- my spędzić dzień na odludziu. Wiem, gdzie znajduje się pusta chata, ale to dość daleko i by do niej dotrzeć konieczna jest wspinaczka. Przynajmniej nie zmokniemy tam i będziemy mogli rozpalić ogień, żeby się ogrzać.

Wracajmy więc, rozwiążmy Ewena i siadajmy na konie.

Droga do celu zajęła im ponad godzinę. Do tego czasu słońce sięgnęło już niemal horyzontu. Rzeczywiście koniecz- na była wspinaczka, i to trudniejsza, niż Jim się tego spodziewał. Musieli zsiąść z koni i niemal ciągnąć je pod górę. Dotarli wreszcie na położoną wysoko łąkę. W za- głębieniu terenu stała niewielka chata, z trzech stron osłonięta przed podmuchami wiatru.

–Proszę – rzekł Lachlan, z zadowoleniem zacierając dłonie, kiedy jechali przez łąkę w stronę chałupy. – Prze- konamy się, co to warte.

"i Rozdział 19 W, eszli do środka chaty, okazała się niezwykle prymi- tywnym

schronieniem. Cztery ściany i dach z dziurą ponad miejscem na gołej ziemi przeznaczonym na ognisko. Kró- lowały tu brud i nieprzyjemne wonie, choć nie było to czymś wyjątkowym w tym świecie, gdzie podobne warunki panowały nawet w niektórych zamkach. Smród nie był zresztą tak straszny, ponieważ wywietrzał nieco przez zimę, pod nieobecność ludzi. Stanowiła go mieszanka odorów pochodzących od ciała ludzkiego, niewyprawionej skóry i tuzina innych, nieokreślonych zapachów. Brud zaś to tylko nawarstwione pokłady kurzu, co wyraźnie ucieszyło Jima. Na podłodze mogłyby się bowiem znajdować o wiele bardziej odrażające substancje.

Przywiązali konie do specjalnie w tym celu wbitych na zewnątrz palików i wnieśli rzeczy do środka. Lachlan od razu wyszukał w nich długą linę i. związał nią nogi MacDougalla.

Wysłannik króla wciąż nie otwierał ust. Zdawało się, że opanował już strach, poznawszy osobę, która go pojmała.

Wciąż jednak był szczególnie ostrożny i starał się mówić jak najmniej. Odpowiadał tylka na bezpośrednie pytania, i to wypowiedziane podniesionym głosem.

Rozpalili ogień. Ciąg na szczęście był na tyle dobry, że większa część dymu uciekała przez otwór w dachu. Z za- łzawionymi oczami usadowili się jak najbliżej ogniska i zabrali do jedzenia chleba i mięsiwa. Na polecenie Jima, podzielili się zapasami z MacDougallem, choć Lachlan protestował twierdząc, że to czyste marnotrawstwo.

Po spożyciu posiłku Jim podjął starania, by nawiązać rozmowę z jeńcem.

–Panie – zaczął, pocierając oczy, z których płynęły łzy. – Mała pogawędka przyda się nam obu. Wiem, dokąd jechałeś i dla kogo przeznaczone było transportowane złoto. Wiem wszystko o twoich planach. Nie zostaną one wprowadzone w życie. Legną w popiołach, jak dom, który zajął się ogniem. Dalszy twój los zależy od gotowości do rozmowy i współpracy.

Czekał, lecz MacDougall uporczywie milczał.

–No! – zdenerwował się. – Będziesz mówił, czy nie?

–Och, marnujesz tylko swój czas! – stwierdził Lach- lan. – On jest na tyle głupi, że nie pojmuje nawet, co do niego mówisz. Wciąż wierzy, że robi coś wielkiego, a duma nie pozwala mu otworzyć ust.

–Jesteś pewien? – zapytał Jim, przyglądając się jedno- cześnie więźniowi.

–Poczekaj i zobacz!

MacGreggor otworzył drzwi chaty i wyszedł na zewnątrz, nie bacząc na to, że nie wzeszedł jeszcze księżyc i panował nieprzenikniony mrok. Jim sądził, że poszedł po prostu załatwić potrzebę fizjologiczną. Nadal starał się nawiązać rozmowę z MacDougallem, lecz jego wysiłki spełzły na niczym. Widać było, że jeniec obawia się go, ale to nie wystarczało, aby zgodził się na współpracę. W tym czasie wrócił już Szkot i Jim zwrócił się do niego: – Lachlanie, muszę pomówić z tobą w cztery oczy. Czy możesz upewnić się, że jeśli spuścimy go z oczu, nie będzie żadnych problemów?

–Mogę – odparł MacGreggor.

Korzystając z popręgów siodła MacDougalla, przywiązał go do łóżka, będącego po prostu zbitą z desek ramą, do której rzucono nieco trawy.

–To wystarczy na kilka minut – stwierdził.

–Dobrze – rzekł Jim i obaj wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Księżyc zaczął już przeświecać między drzewami rosnący- mi na wzgórzu ponad łąką. Dawał mało światła, ponieważ wiele brakowało mu do pełni. Jego blask był jednak większy niż tylko gwiazd. Jim odszedł kilka kroków od ich tymcza- sowego schronienia i odwrócił się do Lachlana.

–Jak go zmusić do rozmowy? – zapytał. – Muszę obserwować jak mówi, chodzi, macha rękoma. Jaki jest.

W ten sposób niczego się nie dowiem.

–Mógłbym ci to sam powiedzieć! – rzekł MacGreggor z niesmakiem. – W tej chacie nigdy nie poczynisz takich obserwacji. Musiałbyś znaleźć się z nim w miejscu pełnym ludzi. Nie ma tu takiego, może tylko za wyjątkiem zamku de Mer. Co więcej, by rzeczywiście był sobą, musi uzyskać pewną swobodę, powinien być pilnowany tylko przez strażników stojących przy drzwiach.

–Ale tym sposobem zamieszamy de Merów w napad!

A szczególnie tego staram się uniknąć!

–Nie masz wyboru – stwierdził Lachlan. – Jeśli chcesz tego, o czym mówiłeś, to jedyny sposób. Niech odgrywa dumnego więźnia, a wtedy będziesz mógł zobaczyć jak się zachowuje, włącznie z jego zalotami do Liseth, która jest jedyną kobietą w tym towarzystwie.

Jim milczał, lecz w duchu musiał przyznać, że Szkot ma rację. – - Mogłem to zaproponować już na początku, gdybym wiedział dokładnie, o co ci chodzi – ciągnął tam- ten. – Tutaj nigdy nie będzie zachowywał się naturalnie.

Przede wszystkim ta chatka nie jest miejscem odpowiednim dla niego. I nie ma tu towarzystwa, przed którym mógłby się puszyć. Musi znaleźć się na zamku de Mer i do tego wiedzieć gdzie jest. Później łatwo się to załatwi, korzystając z pomocy sztyletu.

Jim skrzywił się. Nie tak chciał zakończyć tę sprawę.

–Wciąż nie… – zaczął.

–Bądź rozsądny, człowieku! – perswadował MacG- reggor. – Masz przed sobą pałacowego fircyka, a tacy wymagają szczególnych warunków. To wynika z ich natury.

Czy nie możesz tego zrozumieć?

Nie pierwszy już raz Jim stawał w obliczu tego typu problemu. Wciąż natrafiał na kolejne dowody, że nie do końca zna tych ludzi. Do poznania ich natury nie wystar- czały spędzone tu dwa lata. Musiał zdać się po prostu na Lachlana i mieć nadzieję, że w jakiś sposób zdoła uratować życie MacDougallowi, a jednocześnie uchronić de Merów przed zemstą.

–A więc dobrze – oświadczył wreszcie. – Jutro wracamy na zamek.

–Teraz mówisz z sensem – podsumował Szkot i skie- rował się do chaty, a Jim powędrował za nim.

MacDougall nie usiłował nawet się oswobodzić, co wywołało pogardliwy uśmiech Lachlana.

–Zawsze był tchórzem – stwierdził. – Bał się, że jeśli wejdziemy i znajdziemy go z poluzowanymi pętami, któryś z nas zdenerwuje się i poderżnie mu gardło. Mniejsza o to.

Trzeba się przespać. Powinniśmy jednak czuwać na zmianę.

Wolisz spać jako pierwszy, czy też stanąć na straży?

–Przypilnuję go – oświadczył Jim.

Przede wszystkim nie miał zamiaru położyć się na tym, zapewne rojącym się od robactwa, posłaniu. Pragnął jeszcze uporządkować krążące mu po głowie pomysły i zastanowić się nad dokładnym opracowaniem planu działania. Miał ogólną koncepcję jak postępować, poczynając od przy- brania postaci MacDougalla, a kończąc na zgromadzeniu Pustych Ludzi w miejscu wybranym wraz ze Snorrlem.

Wciąż jednak pozostawały szczegóły, a tu aż roiło się od niewiadomych.

Usiadł więc przy ogniu, w bezpiecznej jednak odległości od niego, gdzie dało się znieść dym i gorąco, podczas gdy MacGreggor rzucił się na prymitywne łóżko i niemal w tej samej chwili zasnął.

Dwukrotnie tej nocy Jim miał okazję zdrzemnąć się nieco, gdy Szkot przejmował wartę. Do snu zawijał się w swój płaszcz, jak zwykle tłumacząc magią niemożność położenia się na łóżku. Kiedy jednak nadszedł ranek, w swych przemyśleniach nie posunął się nawet o krok.

Gdy tylko wzeszło słońce, zjedli resztki zapasów, przecięli więzy MacDougalla i przed wyruszeniem w drogę dali mu nieco czasu na odzyskanie czucia w zdrętwiałych rękach.

Do zamku de Mer dotarli około południa. Powitała ich cała rodzina gospodarzy i od razu zostali posadzeni przy wysokim stole, gdzie nakarmiono ich i napojono. Na rozkaz Herraca i prośbę Jima posiłek otrzymał także Ewen MacDougall. Pomimo wina, smacznego jedzenia i stosun- kowo wygodnych ław, więzień, po spędzeniu całej nocy na gołej ziemi, dopiero po upływie godziny zaczął zachowywać się swobodniej, jak zwykły gość podczas wizyty w czyimś zamku.

Rozmawiał z de Merami, szczególnie zaś z Liseth, którą wyraźnie brał za młodszą, mniej inteligentną i doświad- czoną, niż była w rzeczywistości. Właściwie wdzięczył się do niej tak wyraźnie, że bracia zaczęli spoglądać na niego spode łba. Obserwując to Jim, posłał Herracowi wymowne spojrzenie, które ten widocznie dobrze odczytał, ponieważ przemówił do synów, uprzedzając wszelkie ewentualne kłopoty: – Nie zapominajcie, dzieci, że choć szlachetny MacDou- gall jest naszym więźniem, nie przestaje być także gościem na naszym zamku, więc winniśmy zachowywać się w stosun- ku do niego uprzejmie. Jestem pewien, że tak właśnie będzie.

Synowie jak zwykle bez zastrzeżeń słuchali ojca, więc jego ostatnie słowa zabrzmiały

dla nich jak rozkaz.

Wkrótce potem Jim, już syty, oświadczył, że musi porozmawiać z Liseth na temat Briana i odwiedzić go, po czym poprosił gospodarza, aby wybaczył mu odejście od stołu wraz z jego córką.

Olbrzym nie miał oczywiście nic przeciwko temu, więc dziewczyna poderwała się natychmiast ze swojego miejsca.

Wyszli, odprowadzeni pełnym zawodu wzrokiem Lachlana, skierowanym oczywiście na Liseth, a nie na Jima.

–Rzeczywiście, chcę wiedzieć jak czuje się Brian – ode- zwał się Smoczy Rycerz, gdy rozpoczęli wspinaczkę po schodach. – Pragnę jednak także omówić z tobą inne sprawy. Najpierw jednak Brian. Jak się czuł od mojego wyjazdu? Czy codziennie zmieniałaś mu opatrunek? Jak wygląda rana?

–Zmienialiśmy opatrunek każdego ranka, tak jak pokazałeś, panie. Rana zabliźnia się w niemal cudownym tempie, bez wątpienia dzięki twojej magii, Sir Jamesie.

Kiedy zdejmowany jest stary opatrunek, już prawie nie krwawi, co także jest niezwykłe. Wokół niej nie ma także ani śladu żadnego zaczerwienienia, przed którym tak mnie przestrzegałeś. Co więcej, Sir Brian bardzo się ożywił. Żąda wina, a do jedzenia czegoś innego niż zupa, którą go karmimy. Gdy znajdziemy się na górze, sam zdecydujesz czy należy go wysłuchać.

–Dziękuję za ostrzeżenie – rzekł ponuro Jim.

Można się było spodziewać, że Brian z dnia na dzień będzie coraz bardziej niesfornym pacjentem.

–Załatwię to – ciągnął. – Może nawet dam się przekonać i pozwolę mu na nieco wina, chleba i mięsa.

Najpierw jednak sam muszę przyjrzeć się ranie i dopiero później osądzę co robić.

–Pod zamkowym murem znaleziono młodą ce- bulę – rzekła Liseth. – Moglibyśmy dodać ją do jadła Sir Briana. To przecież pierwsze tegoroczne warzywo.

Kiedy mówiła to, Jimowi aż ślina napłynęła do ust.

Poczuł podziw dla dziewczyny, która wypowiedziała te słowa z takim spokojem. Nie tylko ona, ale także znalazca warzywa musiał wykazać się żelazną dyspcypliną, oddając tak przecież cenne znalezisko. Szczególnie, że zeszłoroczne zapasy dawno się już skończyły.

Żyjąc w dwudziestym wieku nie zdawał sobie sprawy jak w średniowieczu tęskniono za świeżymi warzywami, których nie jedzono przez dziewięć miesięcy w roku. Kiedy wreszcie były dostępne, sezon na nie trwał tak krótko.

Doszedł do wniosku, że na zamku zwracano szczególną uwagę na ogród warzywny. Służący, którzy jako pierwsi znaleźli tę cebulę, zapewne nie zjedli jej od razu, tylko ze strachu przed konsekwencjami. Wiedział co ich czeka, jeśli wieść o tym dotrze do pana i pani zamku.

Ileż jednak było poświęcenia w postępowaniu Liseth, którą zapewne jako pierwszą powiadomiono o znalezisku, by proponować je tylko Sir Brianowi. Z drugiej jednak strony, choć była kobietą, reprezentowała honor rodziny, który nakazywał dbać szczególnie o gościa, i to rannego.

Herrac wychowywał córkę ostro niemal na równi z synami.

Brianowi, jako choremu, świeże warzywa były najbardziej potrzebne, lecz przecież bardzo łatwo można znaleźć wymówkę, by mu ich nie dać.

–Cha! – wykrzyknął ranny, kiedy Jim wraz z Liseth wszedł do jego komnaty. – Wróciłeś, Jamesie! Chodź, niech cię ucałuję!

Smoczy Rycerz zniósł to ze spokojem. Chociaż Brian był jego bliskim przyjacielem, jego zapach nie był przyjemniej- szy niż innych czternastowiecznych Brytyjczyków, co po- głębiał dodatkowo fakt, że leżał w łóżku już od kilku dni.

Niełatwo też było znieść kłucie jego twardego zarostu.

–Opowiedz mi wszystko, co się wydarzyło! – poprosił ranny.

Jim zaczął relację, jednocześnie odkrywając przyjaciela i ostrożnie odchylając opatrunek, który niemal wcale nie przyklejał się już do rany. Kiedy zdjął bandaże, krew pojawiła się jedynie w kilku punktach. Wokół cięcia rzeczywiście nie było śladów zaczerwienienia.

W duchu i on się zdziwił. Rzeczywiście, rana zabliźniała się w piorunującym tempie. Działo się tak pomimo niefor- tunnego jej położenia, każdy ruch bowiem powodował napinanie się i marszczenie skóry, co z pewnością nie wpływało korzystnie na gojenie. Przez te kilka dni, stan rany poprawił się ogromnie, szczególnie biorąc pod uwagę trudne, czternastowieczne warunki.

Przemknęła mu myśl, że może w tym świecie ludzie po prostu szybciej powracają do zdrowia. Chociaż Liseth także była zdziwiona tempem poprawy stanu zdrowia rannego. Do głowy przyszło mu inne, bardziej logiczne wytłumaczenie. Tutaj, w czternastym wieku, wszyscy, którym udało się dorosnąć, byli najsilniejszymi przed- stawicielami pokolenia. Prawdopodobnie na każdego z nich przypadało czworo lub pięcioro noworodków, dzieci i na- stolatków, które nie dożyły dwudziestu lat. Wiedział także, iż cechy dziedziczne i zdolność szybkiego przystosowania nawet do najtrudniejszych warunków, pomagały tym ludziom walczyć z różnorodnymi pasożytami i bakteriami.

W jego zamku służący mogli bez problemu napić się wody prosto ze studni. Gdy sam spróbował tego kiedyś, przez kilka dni przeżywał trudne do zniesienia katusze. Dlatego Angie zawsze pilnowała, by używali wyłącznie przegotowa- nej wody, i to nie tylko bezpośrednio do picia, ale także do gotowania posiłków.

Teraz jednak chodziło o osobę żyjącą w tych warunkach od urodzenia, a i sam Brian zdawał sobie sprawę, że jego stan poprawia się niemal z minuty na minutę.

–Co na to powiesz, Jamesie? – pytał podnie- cony. – Już jestem właściwie zdrów, prawda? Nie ma powodu, dla którego miałbym nie wstać i nie dołączyć do reszty. Jeśli chcesz, jeszcze przez dzień lub dwa mogę zrezygnować zjazdy konnej, ale właściwie to niekonieczne.

Jeśli musiałbym, wskoczyłbym na siodło nawet w tej chwili.

–Nie mam co do tego wątpliwości – zapewnił go Jim, przerywając opowieść o pojmaniu MacDougalla. – Wsiad- łbyś na konia nawet z odrąbanymi rękoma. Nie oznacza to jednak, że pozwolę ci na to. Potrzebuję cię w pełni sił nie później niż za dwa tygodnie od dziś. A to oznacza, że nie chcę, byś narobił sobie kłopotów, choćby z powodu otarcia rany przez ubranie, nie mówiąc już o jej rozerwaniu w czasie jezdy konnej.

–Ależ przestań, Jamesie… – zaczął ranny.

–Nie, nie ma mowy, Brianie! – przerwał mu Jim. – Będziesz mi potrzebny za dwa tygodnie… a może i wcześniej! Nawet, jeśli będziesz w stanie udzielić mi tylko rad. Uwierz mi na słowo, jako rycerzowi i magowi. Musisz słuchać mnie jeszcze przez jakiś czas!

Brian opadł na łoże.

–Jamesie – rzekł z rezygnacją w głosie – nie zdajesz sobie sprawy jak to jest leżeć tu, wciąż otoczony tymi sługami… – urwał nagle i zwrócił się do Liseth. – Wybacz, pani, ale nie miałem zamiaru obrazić ani ciebie, ani ich.

Rzecz w tym, że muszę wstać, bo już dłużej nie wytrzymam!

Jim zdał sobie sprawę, że przyjaciel mówi to najzupełniej poważnie.

–Posłuchaj mnie, Brianie – zwrócił się do niego. – Jeśli poleżysz ze świeżym opatrunkiem jeszcze do wieczerzy, przyjdziemy i zaniesiemy cię…

–Nie potrzeba mnie nosić! – wykrzyknął ranny.

–Powiedziałem przeniesiemy cię! – Jim także podniósł glos. – Pozwól mi skończyć. Przeniesiemy cię na dół, żebyś wraz z nami zasiadł do posiłku. Później, może będziesz mógł się nieco przespacerować. Ale tylko aseku- rowany przez nas po obu stronach, na wypadek gdybyś okazał się słabszy niż przypuszczasz.

–Ja? – wykrzyknął Brian. – Słaby? Po tak długim leżeniu? Ależ to niemożliwe. Nie ma prawa zdarzyć się nic podobnego!

–Takie są jednak moje warunki – oświadczył Smoczy Rycerz. – Zgadzasz się na nie?

Wstrzymał oddech czekając. Jeśli przyjaciel nacisnąłby jeszcze nieco, niewykluczone, że zlitowałby się nad nim i ustąpił, a to mogło spowodować więcej szkody niż pożytku.

–Dobrze, Jamesie, ale przysięgam, że wolałbym przejść tortury niż pozostać do popołudnia w tym łożu, otoczony zgrają służących!

–Wspaniale! – ucieszył się Jim, wydając z siebie westchnienie ulgi.

–Jeśli zaś chodzi o nieco wina… – zaczął mistrz kopii.

–Tak, tak, pozwolę ci się go napić – uległ Smoczy Rycerz. – Ale teraz tylko trochę, poza tym do posiłku.

Musisz być jednak ostrożny i nie przesadzać. Rozumiesz?

–Dzięki niech będą Panu i Świętemu Stefanowi! – ucieszył się Brian. – Poślij zaraz po nie jednego z tych baranów, choć nie wiem czy wytrzymam pragnienie do jego powrotu.

–Ty! – rzuciła Liseth, wskazując jednego ze służą- cych. – Dzban…

–Pół dzbana – szybko interweniował Jim.

–Pół dzbana wina dla Sir Briana! – poleciła dziewczyna.

Wskazany sługa pędem wybiegł z komnaty.

Oboje pozostali na tyle długo, by obserwować Briana, jak pociągnął pierwszy, głęboki łyk jakże upragnionego wina. Następnie Jim przeprosił przyjaciela, że muszą go już opuścić i oboje pospieszyli na dół.

–Chciałbym cię prosić o pomoc w pewnej nader delikatnej sprawie, więc wysłuchaj mnie uważnie, ponieważ od tego może zależeć cała nasza przyszłość – zwrócił się na schodach do dziewczyny.

–Tak, panie! – rzekła z entuzjazmem w głosie.

Spoglądając na jej rozpromienioną, młodą twarz, zauwa- żył, że jest ona w nastroju krańcowo różnym niż nieszczęś- liwy Brian, przykuty do łóżka. Bardzo możliwe, że zjawienie

się tu trójki przyjaciół było długo wyczekiwaną odmianą w monotonnym życiu de Merów.

Szczególnie odnosiło się to do Liseth, która pomimo rzeczowości i powagi, łatwo wpadała w ekstazę, gdy tylko miała po temu okazję.

–Potrzebuję twojej pomocy z naszym jeńcem… Ewenem MacDougallem… – wyjąkał z wahaniem.

–Tak, panie.

–Nie pamiętam teraz, czy byłaś z nami, kiedy tłuma- czyłem, że korzystając z magii planuję zająć jego miejsce, przybierając jego postać? Zamierzam bowiem jako Mac-Dougall udać się do Pustych Ludzi i skłonić wszystkich do zgromadzenia się w jednym miejscu, abyśmy wspólnymi siłami mogli doszczętnie zniszczyć ich raz na zawsze.

–Och, wiem o tym, panie. Co mogę dla ciebie uczynić, jeśli chodzi o jeńca?

–Rzecz w tym, że poprzez magię stanę się podobny do niego jak dwie krople wody. Musze się jednak nauczyć zachowywać dokładnie tak jak on. Powinienem więc obser-wować go w różnych sytuacjach i nastrojach, a szczególnie gdy obcuje z innymi. Rzecz w tym, że on interesuje się tobą…

–Tak uważasz? – zapytała niewinnie Liseth.

–Ależ oczywiście. Nie tylko przypadła mu do gustu twoja uroda i młody wiek, ale także mądrość i umiejętność zarządzania całym zamkiem.

–Naprawdę tak myślisz?

–Tak. Wiem, że tak jest. Chodzi mi o to, byś starała się wywrzeć na nim jak największe wrażenie. Będzie wówczas usiłował zdobyć twe względy. Postaraj się proszę, aby kosztowało go to wiele wysiłku. Zmuś go, by starał się…

Nie zdołał znaleźć żadnego właściwego w tym miejscu synonimu określenia "uwodzenie", więc nie dokończył zdania.

–Wydaje mi się, że rozumiem – powiedziała Li- seth. – Chcesz, żebym postarała się zrobić na nim wrażenie, by starał się o moje względy i ukazał swoje prawdziwe oblicze.

–Właśnie! Dokładnie o to mi chodzi. Mam nadzieję, że napuszy swoje piórka jak paw, żeby tylko zwrócić twoją uwagę. W ten sposób odniesiemy podwójną korzyść, ponieważ kiedy przybiorę już jego postać, postaram się odegrać go przed tobą, a ty ocenisz czy robię to dobrze, a jeśli nie, to co muszę zmienić. Powinnaś tylko uwodzić go…

–Panie!

Rozdział 20 j im osłupiały utkwił wzrok w Liseth, która nagle zmieniła się nie do poznania.

Wyprostowała się, a jej twarz pobladła i nabrała władczego wyrazu. Głos przybrał na sile i zabrzmiał tak potężnie jakby należał do jej ojca. Jim skurczył się, oczekując, że krzykiem, niosącym się na cały zamek, wezwie na pomoc braci. Za chwilę mógłby się spodziewać całej ich czwórki, nacierającej na niego jednocześnie, w obronie czci swej siostry.

Nie pasowani jeszcze na rycerzy de Merowie mogli nie być najlepsi w walce i ustępować doświadczonym zbrojnym, towarzyszącym MacDougallowi, ale i Jim nie był dobrym wojownikiem, na co niejednokrotnie już zwracał uwagę Brian. Toczenie pojedynku jednocześnie z czterema przeciw- nikami, których łączna waga przekraczała zapewne siedem- set funtów, nie była tym, o czym marzy rozsądny człowiek.

Oczywiście wielu rycerzy, takich choćby jak Brian, nie można było zaliczyć do tego grona, lecz Jim zdecydowanie uważał się za rozsądnego.

–Liseth! – wyjąkał wreszcie, wykonując jednocześnie uspokajający gest ręką. – Co…

–Panie! – Jej wygląd nie zmienił się nawet o jotę. – Czy dobrze cię zrozumiałam? Czy chcesz, żebym tylko zwróciła na niego uwagę? Nic więcej?

–Oczywiście, że nic więcej – zapewnił ją Jim. – Ależ inna myśl nie pojawiła się nawet w mojej głowie…

–Panie – zaczęła Liseth – musisz zrozumieć, że dbam o swój honor! I honor mojej rodziny! Jestem panną i dziewicą! Nie mogę sobie wyobrazić, by rycerz mógł…

–Ależ ja nic zdrożnego nie miałem na myśli! – za- protestował Smoczy Rycerz. – Mówiłem tylko, byś starała się zabawiać go wyłącznie w obecności innych. Jeśli w po- mieszczeniu będziecie tylko wy dwoje, możesz go zupełnie ignorować. Najlepiej trzymaj się wtedy z daleka od niego!

Chcę tylko przyjrzeć się jego zachowaniu w towarzystwie.

Przecież muszę go dokładnie poznać!

Zwykły wyraz twarzy dziewczyny powrócił tak szybko, że Jim ledwie mógł uwierzyć, iż ma przed sobą tę samą osobę, która jeszcze przed momentem krzyczała, aż dzwo- niło w uszach.

–Wybacz mi, jeśli źle cię zrozumiałam – rzekła, spuszczając wzrok. – Jestem młodą, słabą i prostą dziew- czyną. Nie zawsze udaje mi się zrozumieć skomplikowaną mowę maga takiego jak ty, a przy tym mężczyzny w takim wieku, że mógłby być moim ojcem.

Jim przełknął ten wątpliwy komplement, bo pewien był, że różnica ich wieku nie przekracza ośmiu lat, a może nawet jeszcze mniej. Uznał jednak, że w obecnej chwili lepiej nie poruszać tej kwestii. Najważniejsze, że udało się ją ugłaskać i mogli już normalnie rozmawiać.

–Ależ nic się nie stało – rzekł pojednawczym to- nem. – Jesteś niezwykle mądra jak na swój wiek. Sądzę, że zawdzięczasz to rodzicom i tej ogromnej odpowiedzial- ności, którą ponosisz sprawując pieczę nad całym zamkiem.

Proponuję ci takie zadanie, ponieważ wiem, że potrafisz trzymać na dystans mężczyzn. Pozwolisz Ewenowi Mac- Dougallowi tylko na to, co uznasz za stosowne. Jestem pewien, że poradzisz sobie z tym bez problemu.

–Myślę, że tak – przyznała dziewczyna. – Część tego co powiedziałeś jest prawdą. Będąc jedyną kobietą na zamku, nauczyłam się radzić sobie z mężczyznami. A więc dobrze, zrobię to, o co prosisz. Pragnę jednak, byś pozo- stawił mi w tej kwestii wolną rękę i zaufał, bez względu na moje zachowanie wobec MacDougalla. Wiedz, że przez cały czas będę miała na uwadze wyłącznie twój interes.

Chwilami może ci się wydawać, że robię coś innego niż oczekiwałeś, ale bądź cierpliwy. Przekonasz się, że wybrałam możliwie najlepszy sposób.

–Wierzę ci w zupełności. Cieszy mnie, że będziesz postępować według własnego uznania – powiedział, czując zimny powiew przeciągu na zwilżonym potem czole.

Pospiesznie zmienił temat rozmowy.

–Mam jeszcze inną sprawę.

–Tak, panie?

–Jutro lub pojutrze muszę ponownie zobaczyć się ze Snorrlem – oświadczył. – Chcę, by wskazał mi drogę do Małych Ludzi. Nie mogę już odwlekać zwrócenia się do nich z prośbą o pomoc w bitwie z Pustymi Ludźmi.

Nawiasem mówiąc, nie wiesz czy twój ojciec rozesłał wici do przyjaciół mieszkających nad granicą?

–Sądzę, że już to zrobił. Właściwie jestem tego pewna.

Powinieneś jednak zapytać o to jego samego.

–Tak też zrobię. Dziękuję ci. Jeśli więc byłabyś tak dobra i przy pierwszej sposobności wysłała Greywings na poszukiwanie wilka…

–Już to zrobiłam, gdy tylko wróciłeś na zamek – oświadczyła Liseth. – Wiedziałam, że będziesz chciał się z nim spotkać. Greywings znajdzie go dzisiaj, ale zapewne na spotkanie zjawi się dopiero jutro. Rano razem pojedzie- my do niego. Jeśli wstanę wcześniej niż ty, panie, zapukam do drzwi twojej komnaty. Zrób to samo, jeśli obudzisz się pierwszy.

–Nie wiem, gdzie znajduje się twoja komnata – zawa- hał się Jim.

–Ależ wiesz. Korzystałeś z niej, kiedy chciałeś zająć się magią.

–Ach, oczywiście – przyznał z zakłopotaniem Smoczy Rycerz. – Jeśli obudzę się wcześniej, z pewnością zapukam do twoich drzwi.

Postanowił jednak, że nie zrobi tego. Istniało duże prawdopodobieństwo, że może to zostać źle zrozumiane, jeśli nie przez samą Liseth, to z pewnością przez członków jej rodziny. Nie warto więc było ryzykować.

Zupełnie zapomniał, zanim dziewczyna nie przypomniała mu tego przed chwilą, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety pochodzący z wyższych warstw społecznych ogromnie cenili swój honor. Nie miał wątpliwości, że Giles oddałby życie w jego obronie, gdyby zaszła taka konieczność. Pozostali synowie Herraca zostali wychowani w podobnym duchu.

"Słowo", oznaczające słowo honoru, odgrywało w tym świecie wprost niewiarygodną rolę. Lekceważyli je tylko ludzie pozbawieni honoru i czasami ci, pochodzący z sa- mych szczytów drabiny społecznej. Jeśli jednak wydało się to, konsekwencją była pogarda i potępienie ze strony tych, którzy brzydzili się splamieniem honoru.

–No cóż – zaczął Jim rozpromieniony – jeśli mogę liczyć na twoją pomoc w odnalezieniu Snorrla, to z pew- nością uda się nam także szybko znaleźć Małych Ludzi, omówić z nimi wszystkie istotne sprawy i szybko wrócić na zamek. A więc ustalone. – Urwał na chwilę, łapiąc oddech, gdy nagle przypomniał sobie coś. – Ze słów Lach- lana – ciągnął – wywnioskowałem, że MacDougall miał spotkać się z reprezentantami Pustych Ludzi za pięć dni.

Minie jeszcze zapewne z tydzień, zanim uda mi się zgroma- dzić ich wszystkich pod pretekstem odbioru zapłaty. Jest jednak jeszcze wiele do zrobienia, ponieważ przedstawiciele Małych Ludzi powinni spotkać się z reprezentacją miesz- kańców pogranicza, nad którymi dowództwo obejmie twój ojciec. Może okazać się, że będę musiał być obecny na spotkaniu Northumbrian, żeby… ułatwić omówienie wszys- tkich niezbędnych kwestii. Porozmawiam o tym z twoim ojcem. Wiesz może, gdzie jest teraz?

–Sądzę, że wciąż jest w Wielkiej Sieni – odparła dziewczyna. – Jeśli sobie życzysz, pójdę przodem i po- proszę go na bok, byście mogli pomówić w spokoju.

–Naprawdę? Byłbym ci bardzo wdzięczny.

W tym czasie zeszli już ze schodów.

–Poczekaj tu – poradziła i podążyła przez kuchnię do sieni.

Jim czekał, niespokojnie przestępując z nogi na nogę i rozmyślając o Małych Ludziach, Snorrlu, Northum- bianach, Pustych Ludziach i możliwej reakcji ze strony de Merów za niewłaściwe zachowanie w stosunku do Liseth.

Nad uchem zabrzęczała mu wiosenna mucha, która bez wątpienia wleciała przez okno, ponieważ z wyjątkiem tego w komnacie Briana, wszystkie inne były tylko niczym nie zabezpieczonymi otworami. Krążyła niezdecydowanie, za- pewne w poszukiwaniu kuchni, która znajdowała się nieopodal.

Wreszcie w przejściu pojawiła się budząca respekt postać Herraca.

–Panie – odezwał się gospodarz – wybacz, że sam wcześniej nie poprosiłem cię o rozmowę, lecz pomyślałem, że lepiej będzie zachować pozory wobec MacDougalla.

Jeśli raczysz udać się ze mną, przejdziemy do komnaty, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Poprowadził Jima bocznym korytarzem, wzdłuż pobie- lonej kamiennej ściany wieży. Panował tu niemal półmrok, gdyż przez wąskie okna do środka dostawało się niewiele dziennego światła. Wreszcie okna skończyły się i tylko w perspektywie majaczyło niewyraźne światło. Na szczęście nie szli długo i zanim dotarli do końca korytarza, Herrac skręcił do komnaty, gdzie w jednej ze ścian znajdowało się kilka wąskich otworów okiennych, zapewniających do- stateczne oświetlenie.

Nie było tu łoża, lecz stało kilka ław z oparciami, które Jim w myślach nazwał krzesłami oraz zabudowany stół, który właściwie można by porównać do biurka. Gospodarz opadł na jedno z krzeseł i wskazał Jimowi miejsce obok.

–Posłałem po wino. Czy powiedzieć ci co zdarzyło się od naszego rozstania i czego dowiedziałem się od tego czasu, czy też masz coś pilniejszego do omówienia? – zagaił rozmowę Herrac.

–Tylko jedną sprawę – oświadczył, uznając, że ojciec zawczasu powinien poznać powody niezwykłego postę- powania córki. – Poprosiłem Liseth, by pomogła mi w doprowadzeniu naszego więźnia do ujawnienia swej prawdziwej natury. Chodzi mi o to, że gdy przy pomocy magii przybiorę jego postać, chciałbym umieć także na- śladować zachowanie. Nie proszę o nic, co wykracza poza zakres dobrych obyczajów i mogłoby przynieść jej jakąkolwiek ujmę.

–Oczywiście – przyznał Herrac. – Zgadzam się na to. Jesteś rycerzem i nie podejrzewałbym nawet, że mógłbyś proponować mojej córce cokolwiek niewłaściwego. Powiedz mi, a czy ona się zgodziła?

–Tak, niedawno, kiedy opuściliśmy komnatę, w której leży Sir Brian. Aha, przy okazji. Pozwoliłem mu dzisiaj zjeść z nami wieczerzę. Jeśli zaś chodzi o Liseth i Mac- Dougalla, uznałem, że ciebie także należy o tym poinfor- mować i zapytać o zgodę.

–Prawdę mówiąc, kiedy przed chwilą odwołała mnie od stołu w Wielkiej Sieni, powiedziała mi wszystko i zapytała o pozwolenie. Nie wątpię, że poprzestanie tylko na uprzej- mości i miłym traktowaniu gościa. – Urwał na moment, po czym kontynuował: – Poza tym, jak sam mogłeś się zorientować, nie sposób jej niemal niczego odmówić.

Jim jak dotąd zauważył jedynie, że dzieci Herraca natychmiast i bez słowa godziły się z

jego wolą, więc takie stwierdzenie zdziwiło go nieco.

–To zaskakujące – ciągnął olbrzym – ale chłopcy byli zawsze posłuszniejsi. Moja droga Margaret znacznie lepiej radziła sobie z Liseth niż ja.

Urwał. Utkwił wzrok w jakimś punkcie w oddali.

Jim już miał się odezwać, ale widząc jego zachowanie powstrzymał się.

–Moja Margaret, była za młoda, żeby umrzeć… – ode- zwał się Herrac dziwnie cichym głosem. – … Żeby umrzeć tak nagle, bez żadnego ostrzeżenia. To przyszło w nocy, gdy oboje spaliśmy. Obudziłem się, ponieważ we śnie nagle poczułem ten ból, który spadł na nią. Poczułem go jak wojownik stojący obok towarzysza, który przyjmuje cios.

Obudziłem się więc natychmiast. "Co ci jest?", zapytałem.

"Trzymaj mnie", jęknęła zmienionym głosem. Objąłem ją więc i przycisnąłem do siebie, jakby broniąc przed lwem, niedźwiedziem, czy samym szatanem. A ona tuliła się do mnie kurczowo… – Głos nabierał mocy, a równocześnie on sam wydawał się rosnąć i potężnieć. Jego wzrok znowu zatrzymał się na czymś odległym, a Jim poczuł ogromne napięcie. – Wtedy nadeszła fala jeszcze silniejszego bólu… – Herrac nie mówił już teraz do Jima, tylko do siebie. – I ten odczułem tak silnie jak ona. Paraliżujący ból, niemożliwy do opisania, przeszył mnie, tak jak ją.

"Margaret!", krzyknąłem. Ale ona już odeszła. A ja trzymałem ją w ramionach…

Łzy płynęły mu po policzkach, a głos stał się ochrypły, aż wreszcie zamarł mu w gardle. Był teraz jednak tak potężny, że Jim czuł się przy nim jak karzeł. W jego spojrzeniu pojawił się obłęd.

–Byłem na pogrzebie, ale wciąż widziałem Margaret żywą i nie przyjmowałem do wiadomości jej śmierci. Przez wiele miesięcy… – ciągnął. Nagle rzucił przez zęby wściekłym tonem: -…Nikt nie ośmielił się wejść mi w drogę.

Wszyscy bali się mnie i rzeczywiście byłem wtedy gotów zabić!

Potężna pięść Herraca opadła na blat stołu, aż Jim podskoczył, ponieważ siła uderzenia była tak ogromna, że zgruchotałaby człowiekowi kości.

–Zabić! Zabić! Chciałem zabić śmierć, tego podstęp- nego złodzieja. Gdybym tylko mógł ją znaleźć, zabiłbym bez wahania. Zmieżdżyłbym ją pod butem jak robaka…

Nagle osunął się z siedzenia, padł na kolana i zaczął się modlić z opuszczoną głową.

–Panie Boże, zabrałeś ją do siebie. Opiekuj się nią, dopóki do niej nie dołączę. I przebacz jej wszelkie nie- świadomie grzechy, ponieważ z pewnością nie popełniła żadnego z własnej woli. Daj mi cierpliwość i siłę, abym zdołał zrealizować wszystko, czego ona mogłaby chcieć.

Żeby nasi synowie stali się prawdziwymi mężczyznami, córka była bezpieczna, a wszystkie sprawy znajdowały się w takim porządku, bym mógł już opuścić ten świat…

Jego głos zawisł na moment.

–Amen – zakończył.

Powoli z powrotem siadł na krześle i rozejrzał się wokół, jakby widział to miejsce po raz pierwszy.

Wreszcie skierował wzrok na Jima.

–Służący nie ośmielali się zbliżyć do mnie w tym cza- sie – rzekł, tym razem już nieco spokojniejszym tonem. – Tylko dzieci przynosiły mi jedzenie i prowadziły na noc do łóżka.

Liseth zajmowała się mną najtroskliwiej.

Z czasem wróciłem do normalnego życia, choć czasami, tak jak teraz, przychodzi to na mnie i znów ogarnia mnie wściekła niemoc.

Jego spojrzenie było już w pełni normalne.

–Wybacz mi, Sir Jamesie, ale naprawdę czasami nie jestem w stanie się pohamować. Powiedź mi, masz żonę, prawda?

–Tak.

–A więc wiesz co znaczy kochać, i to tak, jak nie potrafią opisać tego nawet bardowie?

–Tak – przyznał Jim, znalazłszy się nagle myślami wiele mil od zamku de Mer.

Herrac przesunął dłonią po twarzy, ścierając z niej ostatnie ślady łez.

–Przyszliśmy tu jednak, by omówić ważne sprawy.

Moja córka przekazała mi wszystko, co wiedziała. Także twoje słowa. Tak, wysłałem już, jak sobie życzyłeś, wiado- mości do swych sąsiadów.

Jim chrząknął.

–Cieszę się, że Liseth powiedziała ci wszystko, więc od razu możemy przejść do sedna sprawy – powie- dział. – Ciekaw jestem jak nasze plany zostały odebrane przez ludzi z pogranicza, szczególnie zaś perspektywa bitwy z Pustymi Ludźmi i połączenia sił z Małymi Ludźmi.

–Wybadałem wielu sąsiadów – przyznał Her- rac. – Musisz wiedzieć, że czasami dochodzi między nami do małych nieporozumień, ale jesteśmy gotowi zjednoczyć siły przeciw wspólnemu wrogowi, takiemu jak Puści Ludzie.

Wszyscy bez wyjątku zadeklarowali udział w bitwie, jeśli tylko uda się do niej doprowadzić. W kwestii dotyczącej Małych Ludzi, spotkałem się z pytaniem, na które, wybacz, nie potrafiłem udzielić odpowiedzi. Po co tak naprawdę są nam potrzebni? Wielu mnie o to pytało. Odpowiadałem im tylko, że ty, jako mag, uważasz za niezbędny udział Małych Ludzi, ale nie wytłumaczyłeś mi dlaczego, więc widać chodzi o coś związanego z magią, czego nie mogą pojąć tacy jak my zwykli śmiertelnicy.

Jim przypomniał sobie, że cała rodzina de Merów jest silkie, więc zwrot "zwykli śmiertelnicy" brzmiał nieco nie na miejscu. Nie skomentował tego jednak i pospieszył z odpowiedzią.

–Mądrze rzekłeś, panie. Rzeczywiście istnieją powody związane z magią, których nie mogę zdradzić. Są one jednak niezwykle ważne, bo gwarantują, że wszyscy Puści Ludzie zginą i nigdy już nie będą stanowić problemu ani dla was, ani dla Małych Ludzi…

–Gdzie jest wino, które kazałem przynieść? – rzucił zdenerwowany gospodarz, zerkając na drzwi. Zmitygował się jednak po chwili i spojrzał na Jima.

–Wybacz mi, panie. Słucham cię, mów dalej.

–No cóż – ciągnął Smoczy Rycerz. – Właśnie zamierzałem powiedzieć, że bez względu na powody, obecność Małych Ludzi jest nam niezbędna. Wspominam o tym, ponieważ kiedy jutro udam się na rozmowę z nimi, spodziewam się dokładnie tego samego pytania. Będą chcieli wiedzieć po co im jakakolwiek pomoc. Odpowiem im, tak samo jak ty to zrobiłeś, iż konieczne jest, by Notrhumbrianie i Mali Ludzie wspólnie wzięli udział w ostatecznej bitwie ze wspólnymi wrogami. Oprócz powo- dów, których nie mogę zdradzić, istnieje jeszcze kwestia, iż podczas gdy wy cierpicie za sprawą Pustych Ludzi od setek lat,

Mali Ludzie walczą z nimi znacznie dłużej, a więc należy im się udział w ostatecznej rozgrywce. Jako wojownik musisz zdawać sobie z tego sprawę i wierzę, że twoi sąsiedzi dojdą do podobnego wniosku.

–Bez wątpienia są to mocne argumenty – przyznał Herrac, drapiąc się po gładko ogolonym policzku, co jak zauważył Jim robił zawsze, gdy intensywnie myślał. Rzecz w tym, że moi przyjaciele mają udać się w nieznane miejsce i walczyć u boku tych, których zawsze wystrzegali się opierając się tylko na twoim słowie. Jak już mówiłem, wszyscy są gotowi zniszczyć raz na zawsze Pustych Ludzi, ale wykazują dużą ostrożność, wiedząc o całej sprawie tak niewiele.

–Jeśli udasz się wraz ze mną na spotkanie z Małymi Ludźmi i usłyszysz ich odpowiedź, czy sądzisz, że wówczas łatwiej przekonasz swoich sąsiadów? – zapytał Jim. – Dzięki temu będziesz mógł przekazać im wszystko, co usłyszysz. Czy wtedy nabiorą większego zaufania do mnie i naszego planu? Sądzę, że twoich słów nie będą kwes- tionować, jeśli opowiesz im o przejęciu złota wiezionego przez MacDougalla i zamiarze inwazji Szkotów na Nort- humbrię i Anglię.

–To wiele zmienia – przyznał olbrzym. – Ale czy znajdziesz czas na wizytę u Małych Ludzi i spotkanie z moimi rodakami?

–Sądzę, że jakoś znajdziemy czas. Mówię my, ponieważ już wcześniej zamierzałem poprosić ciebie i Liseth o towa- rzyszenie mi w spotkaniu z Małymi Ludźmi.

–Z ochotą wezmę udział we wszystkim, co może doprowadzić sprawę do szybszego zakończenia – rzekł gospodarz. – Sądzę…

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł pospiesznie spocony służący. W rękach trzymał drewnianą płytkę, na której stały dzbany i kubki. Podszedł do biurka i ustawił na nim naczynia.

–Gdzie, do kroćset, byłeś przez tyle czasu? – ryknął na niego Herrac.

Parobek skulił się ze strachu.

–Panie… – wykrztusił – taca, na której zawsze noszę dzbany i kubki, gdzieś się zawieruszyła. A znalezienie tej, zajęło mi trochę czasu.

–Dobrze, że w ogóle przyniosłeś to wino! Wynoś się! – warknął olbrzym i służący zniknął momentalnie, starannie zamykając za sobą drzwi.

Herrac napełnił kubki winem.

–Na czym to ja skończyłem? – zapytał. – Aha, tak.

Jestem gotów zrobić wszystko, co tylko może pomóc naszej sprawie. Przyznaję, iż widzę sens w udaniu się na spotkanie z Małymi Ludźmi i sądzę, że powinniśmy zabrać ze sobą także Lachlana.

–Nie mam nic przeciwko temu – zgodził się Jim, po czym wypił nieco wina. podczas gdy jego rozmówca jednym haustem opróżnił pół kubka.

–Jeśli zaś chodzi o moją obecność na tym spotkaniu, to nie wiem, czy Mali Ludzie będą ją akceptować. Znany jestem powszechnie jako osoba im nieprzyjazna, choć nie uważam się za ich wroga.

–Ależ oni nie są tacy straszni – rzekł Jim. – Poza tym Liseth i Snorrl są ich przyjaciółmi. Umówiłem się z twoją córką, że wezwie wilka, z którym spotkamy się jutro rano. Wraz z nim od razu pojedziemy do Małych Ludzi i przekonamy się, co zdołamy z nimi uzgodnić.

Herrac zmarszczył brwi.

–Chcesz rozmawiać z Małymi Ludźmi przed spot- kaniem z moimi rodakami? – zdziwił się.

–Zebranie ich zajęłoby ci kilka dni, prawda? – za- pytał Jim.

–No tak, ale…

–Wybacz, ale sądzę, że przekonanie Małych Ludzi może okazać się znacznie trudniejszym zadaniem, skoro są tak niepodobni do nas. Stale chodzi o czas. Jeśli dogadamy się jutro z Małymi Ludźmi, zaoszczędzimy tym samym kilka dni. A czas jest dla nas niezwykle cenny z wielu powodów, głównie zaś dlatego, że Puści Ludzie spodziewają się przybycia szkockiego posłańca w najbliższych dniach.

Będą także zapewne chcieli, by spotkał się najpierw z ich przedstawicielami, zanim przystąpi do rozdziału pieniędzy.

Dopiero wtedy zbierzemy ich w wyznaczonym już miejsai.

–A więc dobrze – zgodził się Herrac. Opróżnił swój kubek i ciągnął dalej: – Niech będzie tak, jak mówisz.

Liczy się cel, a nie środki. Odsunął kubek i wstał. – Pro- ponuję wracać do stołu. Liseth z pewnością zainteresowała już tego MacDougalla swoją osobą. A ja, podobnie jak ty, chcę przyjrzeć się jego zachowaniu.

W jego głosie zabrzmiała groźna nutka, świadcząca, że jeniec może mieć poważne kłopoty, jeśli w stosunkach z Liseth przekroczy granice uprzejmości. Jim uznał, że dziewczyna nie ma się czego obawiać, jeśli ktoś taki troszczy się o jej bezpieczeństwo.

Rozdział 21 K.iedy Jim i Herrac zbliżali się do Wielkiej Sieni, dochodzący z niej tumult zagłuszył kuchenne hałasy. Były to dość osobliwe odgłosy. Do Jima dobiegł bowiem dźwięk jakiegoś strunowego instrumentu muzycznego, głośne tu- panie i od czasu do czasu pokrzykiwania przypominające okrzyki wojenne.

Jim popatrzył pytająco na Herraca.

–To tańczą moi synowie-wyjaśnił gospodarz. – Zape- wne MacDougall namówił ich do tego i nie mam wątpliwości, że ten zwariowany Szkot, Lachlan, także w tym uczestniczy.

Weszli do sieni i zbliżyli się do wysokiego stołu. Siedziały przy nim jedynie trzy osoby. Jedną z nich była Liseth, nieporuszona jak sopel lodu, tkwiąca w odległym końcu.

Naprzeciw niej zajmował miejsce Dafydd, a znacznie bliżej, po tej samej stronie co dziewczyna, rozparł się MacDougall.

Siedział niedbale, a na jego obliczu malowała się pogarda połączona z zainteresowaniem. Tak jakby obserwował skaczące pchły. Obok niskiego stołu, gdzie było nieco miejsca, przykucnął Christopher, grający na lutni, przy wtórze której tańczył Lachlan.

Jim popatrzył na niego z niemałym zdziwieniem. Widywał już szkockie tańce na targach, festiwalach i przy innych okazjach. Ale w zdecydowanej większości tańczyły młode dziewczyny. Patrząc na nie był zaskoczony. Zdawały się unosić ponad ziemią, w skomplikowany sposób wymachu- jąc nogami, podczas gdy jedna ręka spoczywała na biodrze, a druga była wzniesiona ponad głowę.

Lachlan tańczył podobnie. Zdjął buty i pomimo, że wyraźnie słyszało się tupanie w drewnianą podłogę, także zdawał się wisieć w powietrzu. Wokół niego stali młodzi de Merowie, podrygując od czasu do czasu, jakby i oni mieli ochotę przyłączyć się do zabawy.

Herrac zajął swoje zwykłe miejsce w połowie długości stołu. W ten sposób znalazł się blisko MacDougalla i przyglądał się widowisku ze zrezygnowaną miną.

Po chwili Lachlan zatrzymał się i pchnął jednego z de Merów, aby kontynuował taniec, bo Christopher nie przerywał gry. Jimowi wydało się, że następca Lachlana radzi sobie całkiem dobrze, lecz jego bracia gruchnęli śmiechem. Twarz chłopca poczerwieniała, lecz nie prze- stawał, czasami pokrzykując tylko, podobnie jak wcześniej czynił to MacGreggor.

Jim, siadając między Herracem a Dafyddem, obrzucił spojrzeniem Liseth i MacDougalla. Jeniec przysunął się do dziewczyny i przemówił do niej ściszonym głosem. Smoczy Rycerz siedział jednak na tyle blisko, że dobiegło do niego każde słowo.

–Jeśli namówiłbym twojego wspaniałego młodszego brata, by zagrał nam spokojniejszą i dostojniejszą melo- dię – szepnął MacDougall – czy raczyłabyś zatańczyć ze mną kilka taktów?

Liseth nie odwróciła nawet głowy w jego stronę.

–Już powiedziałam ci, panie, że nie interesuje mnie rozmowa ani nic innego związanego z twoją osobą, co wykracza poza moje obowiązki pani zamku – oświadczyła tonem pełnym niechęci.

Więzień westchnął ciężko i odsunął się od Liseth, lecz, jak zauważył Jim, już nie tak daleko jak siedział poprzednio.

Skoro szkocki wysłannik nie robił nic, co mogło zainte- resować Smoczego Rycerza, ten postanowił, że przy okazji może załatwić inną sprawę. Nachylił się w stronę łucznika i szepnął mu do ucha na tyle cicho, żeby nikt inny nie słyszał: – Dafyddzie, czy mógłbyś odejść ze mną na moment?

Chciałbym z tobą pomówić.

Walijczyk skinął głową i bezszelestnie podniósł się. Obaj opuścili Wielką Sień, minęli kuchnię i weszli w korytarz prowadzący do komnaty, w której wcześniej Jim rozmawiał z Herracem. Kiedy był pewien, że nikt ich nie podsłucha, zatrzymał się i zwrócił do Dafydda.

–Kto wymyślił te tańce? – zapytał ciekawie, zanim przeszedł do głównego tematu.

–Szlachetny MacDougall zapytał, tak mimochodem, czy w zamku jest lutnia lub inny podobny instru- ment – wyjaśnił łucznik beznamiętnym tonem, z którego nie można było odgadnąć jego stosunku do jeńca i tej sprawy. – Zaproponował, że zaśpiewa kilka pieśni, jeśli ktoś będzie mu przygrywać. Christopher, najmłodszy z…

–Tak, znam przecież Christophera.

–A więc on miał lutnię – ciągnął Dafydd. – Nie tylko miał, ale i umiał na niej grać. Przyniósł więc in- strument, nastroił i MacDougall rzeczywiście zaśpiewał.

Śpiewał jakoś przez nos, tak dziwnie, że nie mogłem zrozumieć połowy słów. Powiedział, że to pieśni miłosne, choć mnie przypominały lamenty.

–Rozumiem.

–Później, po skończeniu, prosił, aby ktoś z pozostałych także zagrał i zaśpiewał. Okazało się, że jedynym grajkiem jest Christopher, a żaden z obecnych nie umie śpiewać.

Wtedy z miejsca poderwał się Lachlan i oświadczył, że choć nie śpiewa, może jednak zatańczyć do właściwej muzyki.

Christopher znał odpowiednią, a zaraz potem zjawiłeś się ty.

–Rozumiem – powtórzył Jim. – A wiec to tak.

Byłem po prostu ciekaw. Niemniej nie to było powodem poproszenia cię o rozmowę na osobności, Dafyddzie. Są znacznie poważniejsze sprawy.

–Doprawdy, Jamesie?

–Tak. Znasz mój plan mający na celu zebranie wszys- tkich Pustych Ludzi i zaatakowanie ich wspólnymi siłami mieszkańców pogranicza i Małych Ludzi. Zamierzam także, jak wiesz, przybrać postać MacDougalla.

Urwał na moment, a łucznik skinął głową.

–No cóż – ciągnął – wszystko to musi zostać zrobione niezwykle sprawnie. Nie mogę pozwolić sobie na zahamowanie przygotowań na którymkolwiek z etapów.

To, co zaplanowałem na przykład na jutro, nie może zostać przełożone na później, ponieważ nie zdążę załatwić innych spraw.

–Jeśli nie zrobi się czegoś jutro, na pewno będzie to możliwe innego dnia – stwierdził Dafydd. – Wybacz mi, Jamesie, ale zauważyłem już wiele razy, że i tak dobrze sobie radzisz w takich sytuacjach. Zbytnio troszczysz się o czas, stale podkreślając jego brak. Znacznie lepiej nie przejmować się takimi sprawami. Jeśli nie spełni się coś, czego oczekujemy od jutra, to w tym samym czasie zdarzy się coś innego. Mamy tylko jedno życie i toczy się ono swą własną drogą.

Jim poczuł nagle kompletną bezsilność. Znów napotkał niemożliwą do przebycia barierę w postaci zupełnie innego sposobu myślenia tych ludzi. Tak wiele czynników, na które nie mieli żadnego wpływu, mogło zmienić ich plany, że podchodzili do nich z ogromną rezerwą, uważając za szczęśliwy traf, iż na przykład w ogóle znaleźli się w miejscu, do którego wyruszyli, a do tego jeszcze bez żadnych opóźnień. Starali się więc jak najmniej planować, żyjąc z dnia na dzień. Byli czegoś pewni dopiero wówczas, gdy już się to zdarzyło.

–Zapewne masz rację, Dafyddzie – przyznał – ale bardzo mi zależy na zniszczeniu Pustych Ludzi. Pragnę także, by Northumbrianie i Mali Ludzie stanęli po raz pierwszy ramię przy ramieniu i wreszcie nabrali do siebie zaufania. Nie uważasz, że byłoby to wspaniałe?

–Rzeczywiście, jeśli tylko to się uda.

–Widzisz, w tym właśnie rzecz. To prawdopodobne i według mnie szansę wzrastają, jeśli wszystko będzie robione we właściwym czasie. Jutro ma się tu zjawić Snorrl, który zaprowadzi nas do Małych Ludzi. Razem z nami pojedzie Liseth oraz Herrac, by pertraktować z Małymi Ludźmi w imieniu swych rodaków, oczywiście jeśli wilk zgodzi się poprowadzić nas wszystkich. Wierzę jednak w niego. Liseth mówiła mi, że nigdy jej niczego nie odmówił. Chciałbym, byś ty także nam towarzyszył.

–Zawsze z przyjemnością udam się tam, gdzie mi każesz. Jeśli pozostawisz mi jednak wolną rękę, chętnie będę ci towarzyszył. Ale do czego jestem ci potrzebny?

Jim przez chwilę myślał, aż w końcu rzekł: – Podczas poprzedniego spotkania z Małymi Ludźmi wywarłeś na nich szczególne wrażenie, dlatego pomyślałem, iż mając cię u boku, dowiedziemy szlachetności zamiarów.

Jeśli jednak z jakiegoś powodu nie chcesz spełnić takiej roli, zrozumiem to.

–Ależ zgadzam się – oświadczył łucznik z rozdrażnie- niem w głosie. – Jakże możesz nawet przypuszczać cokol- wiek innego? Przecież mamy na myśli szczytny cel, a poza tym jesteśmy towarzyszami od czasów bitwy pod Twierdzą Loathly i pozostaniemy nimi do końca życia. Czyż nie?

–Oczywiście, że tak! Nie chciałem po prostu wykorzys- tywać łączącej nas przyjaźni…

–Miedzy nami, Jamesie, nie ma mowy o niczym takim.

Nigdy nawet nie myśl o tym, gdy będziesz się z czymś do mnie zwracać.

–Dobrze, z przyjemnością! – ucieszył się Jim, czując, że popełnił gafę, lecz nie był pewien w którym momen- cie. – Chodzi tylko o to, że musiałem cię zapytać… do diabła, Dafyddzie, robię wszystko, co w mojej mocy. Takie to poplątane… Musimy przecież utrzymywać nasze plany w tajemnicy przed Brianem, ponieważ inaczej będzie nale- gać, by czynnie uczestniczyć w ich realizacji.

–I tak będzie z nami – stwierdził Walijczyk. – Albo za nami, jeśli odkryje, że wyjechaliśmy. Przed wyjazdem powinniśmy mu powiedzieć, że musi zostać, jeśli chcemy uniknąć tego, by do nas dołączył za wszelką cenę.

–Myślałem, aby to zrobić – przyznał Smoczy Ry- cerz. – Postanowiłem już właściwie, że udając się na pole walki zabierzemy go ze sobą, jeśli tylko będzie w stanie jechać konno. Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś po- wracał do zdrowia w tak błyskawicznym tempie. Niewy- kluczone, że gdy przyjdzie czas rozprawy z Pustymi Ludźmi będzie czuć się na tyle dobrze, by pozostawienie go uznać za bezsensowne.

–Rzeczywiście, całkowicie się z tobą zgadzam. Bardzo dobrze, a więc to ja mam znaleźć cię rano, czy ty odszukasz mnie?

–Ty budzisz się znacznie wcześniej niż ja. Nie masz też problemów ze wstawaniem o określonej porze. Bądź więc tak dobry i zbudź mnie, gdy tylko niebo zacznie się różowić. Następnie poczekamy w mojej komnacie, aż przyjdzie Liseth lub…

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

–A może lepiej najpierw pójdziemy i obudzimy Herraca.

–A więc wszystko ustalone – rzekł Dafydd, po czym uśmiechnął się szeroko do Jima. – Nie martw się, panie.

Jutro wszystko się powiedzie. A jeśli nawet nie, to z pew- nością bez naszej winy. Czego jeszcze można się spodziewać?

–Zapewne masz rację.

–Oczywiście, że mam. Co zamierzasz teraz robić?

Zostajemy tu, pójdziemy gdzieś, czy wracamy do stołu?

Jim otrząsnął się z zamyślenia.

–Wracamy do stołu – zdecydował. – Muszę przy- glądać się zachowaniu tego cholernego MacDougalla, abym potrafił naśladować jego sposób bycia.

Ruszył w stronę kuchni, a łucznik podążył za nim.

–Widzę, że zaczynasz przeklinać w iście angielskim stylu – zauważył Dafydd. – Myślę, panie, że to dobrze.

Częste przekleństwa, takie jakich używa Sir Brian, po- zwalają się wyładować. A ty masz obecnie wiele zmartwień na głowie.

–Ty sam rzadko przeklinasz – zauważył Jim, spog- lądając na przyjaciela, gdy wchodzili już do sieni.

–Tak, ale to dlatego, że pochodzę z Walii, więc podobnie jak Mali Ludzie, o czym sam wspomniałeś, mam inne potrzeby i sposoby ich zaspokajania.

Ponownie zajęli miejsca przy wysokim stole, powitani przez Herraca, który siedział

samotnie i popijał. Przysunął im kubki i napełnił je. Obok niskiego stołu tańczył teraz jeden z jego synów, a przynajmniej usiłował, słuchając wskazówek Lachlana, któremu żaden z młodzieńców nie mógł dorównać.

Jim ukradkiem obserwował Ewena MacDougalla. Liseth wciąż pozostawała nieprzystępna, co wyraźnie go zdziwiło.

Nie o takie przecież zachowanie ją prosił. Na szczęście w porę przypomniał sobie, że Angie czasami zachowywała się podobnie. Ostrzegła go także zawczasu, iż powinien jej zaufać, nawet jeśli będzie postępować w sposób pozornie niezrozumiały. Zapewne takie zachowanie Liseth miało doprowadzić jeńca do wściekłości.

I rzeczywiście, obserwując go, Jim musiał przyznać, że ta strategia przynosi korzyści. Nim minęło popołudnie, Mac- Dougall coraz wyraźniej zabiegał o względy dziewczyny.

Liseth udawała zaś, iż stopniowo ulega jego usilnym staraniom. Wreszcie zgodziła się z nim zatańczyć, lecz okazało się, że Christopher zna tylko jedną, nadającą się do dworskiego tańca melodię. Zagrał ją jednak, a Mac- Dougall z kurtuazją poprowadził Liseth, demonstrując poszczególne kroki. Jim nie był pewien, czy pani zamku de Mer rzeczywiście potrzebowała tych pokazów, lecz po- słusznie stosowała się do zaleceń partnera.

Kiedy jednak melodia dobiegła końca, znowu przybrała wyraz obojętności. Zajęła ponownie miejsce na skraju stołu i nie przestała zachowywać się w ten sposób aż do wieczerzy i udania się na spoczynek.

Jim opuścił Wielką Sień wkrótce po jej wyjściu. Następ- nego dnia miał wstać bardzo wcześnie. Choć w znacznym stopniu przyzwyczaił się już do czternastowiecznego po- rządku dnia, wiedział, że szczególnie po wypiciu takiej ilości wina, jakiej nie mógł uniknąć bez obrazy gospodarza, będzie czuł się okropnie, gdy zimnym rankiem zjawi się u niego Dafydd.

Rozdział 22 N, ikt z grupy jeźdźców nie cierpiał następnego ranka na kaca, gdy Snorrl wiódł ich na tereny zamieszkałe przez Małych Ludzi. Jim i Herrac mieli na sobie pełne zbroje, a w tuleje przy siodłach zatknięte kopie. Za nimi jechał Dafydd ze swym długim łukiem przewieszonym przez ramię i kołczanem pełnym strzał na biodrze. Liseth znaj- dowała się obok ojca, po przeciwnej stronie niż Jim, a gdy droga zwężała się, pozostawała nieco z tyłu. Całą grupę prowadził oczywiście Snorrl.

Wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Nawet Liseth miała szeroki miecz przypięty do pasa, lecz skrywała go obszerna suknia i narzucony na nią płaszcz. Było rzeczą wprost nie do pomyślenia, by kobieta nosiła taką broń. Jim był jednak pewien, że wzięła go za zgodą ojca, a jeśli tak, to bez wątpienia umiała także należycie się nim posługiwać. Co więcej, zapewne gdzieś ukrywała również sztylet. Nie tylko Szkoci, tacy jak Lachlan, nosili w pończosze skean du, czyli "czarny nóż". Był to krótki, lecz dość szeroki przy rękojeści sztylet, zwężający się ku ostremu jak igła końcowi. Broń niezwykle skuteczna w bezpośrednim starciu, a co więcej łatwa do ukrycia.

Myśl o Liseth i sztylecie ukrytym w jej pończosze lub bucie przypomniała Jimowi, że wyłonił się nowy problem.

Poprzedniego wieczora podczas wieczerzy zgodnie z obie- tnicą Jima do towarzystwa dołączył Brian. Jim wraz z Liseth, pomimo protestów, rannego, sprowadzili go ze schodów. Smoczy Rycerz nie odstępował przyjaciela nawet na krok, ponieważ zauważył, że ten od

czasu do czasu ciężko wspiera się na jego ramieniu. Potwierdziło to jego przypuszczenia, że tych kilka dni spędzonych w łożu sprawi, iż rycerz będzie niezbyt pewnie czuł się na nogach. Krew w jego organizmie powinna już do tej pory zostać uzupeł- niona, więc chodziło tylko o właściwe zabliźnienie się rany.

Bez większych problemów wspólnymi siłami pokonali schody i Brian został gorąco powitany przez wszystkich w Wielkiej Sieni. Uczynił to nawet MacDougall, choć on jako jedyny, z wyraźną wyższością i rezerwą. Czy to z tego powodu, czy też na skutek różnic charakterów, Brian i MacDougall wyraźnie nie przypadli sobie do gustu.

Więzień rozprawiał o zwyczajach panujących na dworze, a mistrz kopii słuchał, nie przerywając mu. Nie wytrzymał dopiero, gdy rozmowa zeszła na turnieje rycerskie. Wtedy to rekonwalescent opowiedział nieco o swoim udziale w tego rodzaju walkach, nadmieniając niedbale, że w tym i tamtym udało mu się zwyciężyć. Miał nawet zaszczyt skrzyżować kopie z Sir Walterem Manny oraz Sir Johnem Chandosem.

Zakończył pytaniem skierowanym do jeńca, czy spotkał się kiedykolwiek w szrankach z tymi znamienitymi rycerzami lub kimś równie ogromnej sławy.

Brian z satysfakcją kontynuował temat, w którym Mac- Dougall wyraźnie mu ustępował. Szkot uczestniczył w tur- niejach, lecz nie w tak wielu jak Neville-Smythe, dla którego stanowiły one źródło utrzymania. Działo się tak, ponieważ zwycięzca zdobywał zazwyczaj konia, zbroję i broń przeciwnika, chyba że pokonany zdecydował się je odkupić. To dzięki tego rodzaju dochodom, Brian był w stanie utrzymać jakoś należący do niego zamek Smythe.

Co więcej, skoro turnieje, w których brał udział Mac- Dougall, odbywały się w Szkocji, nie był w stanie wymienić tak znanych rycerzy jak Manny czy Chandos. W ten sposób po raz pierwszy od znalezienia się na zamku de Mer utarto mu nosa.

Prowadząc tę rozmowę, Brian zachowywał niewzruszone oblicze. Jeniec także nie dawał po sobie poznać, że czuje się urażony. Nikt z obecnych nie gratulował rannemu zwycięs- twa w tej słownej utarczce. Wszyscy jednak doskonale zdawali sobie sprawę jaka gra toczy się między obydwoma rycerzami.

Jim wiedział z doświadczenia, że może się to źle skończyć.

Taka wymiana zdań między dwoma średniowiecznymi wojownikami poprzedzała zazwyczaj zbrojne starcie. Dla- tego niechętnie opuszczał towarzystwo, pozostawiając przyjaciela tylko z Liseth i jej braćmi, bowiem Lachlan sprawiał wrażenie nie zainteresowanego sprawą, a żaden z synów Herraca nie posiadał odpowiedniego autorytetu i wieku, by zapobiec rękoczynom, jeśli miałoby do nich dojść.

Dla Jima stanowiło to kolejny kłopot. Brian przecież nie nadawał się do pojedynku z przeciwnikiem znajdującym się w pełni sił. Takie starcie mogło zakończyć się nie tylko ciężką raną, ale nawet i śmiercią. Choćby z pozoru miało to wyglądać tylko na sprawdzian sił. Jego rana nie była jeszcze na tyle zaleczona, by jej stan nie pogorszył się podczas wysiłku takiego jak walka.

Nic jednak nie można było na to poradzić. Jim uznał, że nie ma wpływu na to, co może nastąpić. Takie stwierdzenie nie odpędziło dręczących go wątpliwości. Pomyślał, o ile szczęśliwszy jest Dafydd, dla którego w tym momencie sprawa byłaby zakończona. Dla niego problem wciąż pozostawał problemem.

Czarne myśli nie opuszczały go, dopóki nie przejechali zwężenia między stokami podobnymi do tych, które mijali udając się wraz z Małymi Ludźmi na miejsce potyczki z oddziałem duchów.

Nagle znaleźli się na łagodnym wzniesieniu, opadającym w stronę niewielkiej, lecz dość długiej doliny. Dalej roz- szerzała się ona, a na końcu widać było budynki i pola uprawne. O jakieś pięćdziesiąt jardów przed nimi znajdował się zaś jeden z schiltronów Małych Ludzi, rozciągnięty w szeregu z wzniesionymi włóczniami. Jim wciąż nie mógł oprzeć się porownanywaniu ich do falangi, lecz postanowił używać innego określenia.

Kilka kroków przed szykiem stał żołnierz, którego Jim rozpoznał po gęstej brodzie jako Ardaca, syna Lutela. Był to ten sam dowódca, z którym mieli już do czynienia walcząc z Pustymi Ludźmi. Ardac utkwił wzrok w Jimie, nie zwracając uwagi na resztę przybyłych.

–Magu – odezwał się, kiedy kawalkada zatrzymała się przed nim – nie mówię, że jesteście niemile widziani, lecz przybywacie na nasze ziemie częściej, niż byśmy sobie tego życzyli.

–Sprowadza nas tu absolutna konieczność – rzekł Smoczy Rycerz. – Pragniemy omówić z wami plany wielkiego przedsięwzięcia, które wy zapewne powitacie z większą radością niż my.

Skierował konia nieco w bok, by Mali Ludzie mogli widzieć wszystkich przybyłych.

–Czy znasz tu wszystkich? – zapytał ich dowó- dcę. – Pamiętasz Dafydda ap Hywela, który walczył z nami…

–Pamiętamy Dafydda ap Hywela z wielu jeszcze innych powodów. Mów jednak dalej.

–Znacie oczywiście Snorrla, Liseth i zapewne także Herraca… Sir Herraca de Mer, ojca Liseth de Mer.

–Znamy ich wszystkich – przyznał Ardac. Jego oczy zabłysły przez moment, spotykając się ze spojrzeniem Herraca. – Wciąż jednak nie wiemy dlaczego znowu znaleźliście się na naszej ziemi.

–Już powiedziałem, że mamy sprawę wielkiej wagi, która powinna zostać omówiona z tobą i innymi dowódcami, choć ich nie znamy. Czy możemy się do nich udać, czy też mamy zsiąść z koni i tu poczekać? A może teraz tylko umówimy się na spotkanie i na nim dopiero powiemy z czym przybywamy?

–Zobaczymy.

Ardac odwrócił się, zbliżył do swych ludzi i przemówił do jednego z żołnierzy. Ten, nie wypuszczając z rąk dzidy ani tarczy, opuścił szyk i biegiem ruszył w stronę odległych domostw.

–Możecie poczekać – poinformował przyby- szów. – Zsiądźcie z koni i jeśli chcecie, rozgoście się na trawie. My będziemy wam towarzyszyć.

Odwrócił się do swoich i krzyknął pojedyncze słowo. Jim nie zrozumiał go i nie wiedział, czy zostało tak dziwnie wypowiedziane, czy też pochodzi z nieznanego mu języka.

Wojownicy odłożyli broń i siedli na ziemi ze skrzyżowa- nymi nogami. Goście zeskoczyli w tym czasie z koni i rozlokowali się na trawie. Jako ostatni, przysiadł na niej Ardac, w odległości zaledwie kilka stóp od Jima.

–Doszły nas wieści, że jeden z waszych towarzyszy został poważnie ranny podczas walki z Pustymi Lu- dźmi – oświadczył Mały Człowiek. – Jak się teraz czuje?

–Bardzo szybko wraca do zdrowia. Właściwie to dość kłopotliwa, ale niegroźna rana. Koniec miecza przeciął mu skórę na żebrach, na boku.

–Cieszę się, że to słyszę. Spośród naszych rannych tylko jeden zmarł, a reszta czuje się już dobrze.

–Miło mi to słyszeć – oświadczył Jim, starając się usilnie, aby rozmowa prowadzona była w przyjacielskim tonie. – Muszę przyznać, że wasz sposób prowadzenia walki z Pustymi Ludźmi zrobił na mnie duże wrażenie. Nie sądzę, by ktokolwiek inny był w stanie poradzić sobie z nimi tak dobrze jak wy.

Z gardła Herraca, stojącego za plecami Jima, wydobyło się stłumione westchnienie, lecz olbrzym niemal natychmiast zamilkł. Spojrzenie Ardaca spoczęło na nim i po raz pierwszy na jego obliczu pojawił się uśmiech.

–Chciałeś powiedzieć, że ludzie tacy jak ty poradziliby sobie jeszcze lepiej, Sir Herracu de Mer? – zapytał. – Nie będę się spierał na ten temat. To rzecz względna. Niech każdy z nas pozostanie przy swoim własnym zdaniu.

Zgadzasz się na to?

–Tak, Ardacu, synu Lutela – przystał de Mer.

Ton jego głosu pozostawał neutralny, podobnie jak Małego Człowieka. On także uśmiechnął się lekko. Widząc to Ardac wyciągnął dłoń. Herrac bez słowa podał mu swoją i przez chwilę ściskał rękę dwukrotnie mniejszą od własnej.

–Jeśli twoje zamiary są szlachetne, Sir Herracu, jesteś mile widziany na naszej ziemi, nawet jeśli przybędziesz sam – oświadczył dowódca oddziału włóczników.

–Dziękuję ci. To miłe z twojej strony.

–To nie ma nic wspólnego w wyszukaną kurtuazją.

Mamy przyjaciół i wrogów. Ciebie zaliczyłem do tych pierwszych. To wszystko. Nie ma to więc nic wspólnego z uprzejmością.

–Rozumiem – rzekł olbrzym, wyraźnie przekonany szczerością usłyszanych słów.

Snorrl położył się na boku, nie uczestnicząc w rozmowie.

Leżał tak z zamkniętymi oczami, sprawiając wrażenie, że śpi. Czekali. Zapadło milczenie, a wiszące coraz wyżej słońce zaczęło mocno przypiekać. Jim poczuł ogarniającą go senność, lecz gdy przypomniał sobie powagę sytuacji, od razu odechciało mu się spać.

Ardac nazwał ich swymi przyjaciółmi. Niemniej, znaj- dujący się przed nimi oddział, wyraźnie zagradzał dostęp do dalszej części doliny. Zostali zaakceptowani na ziemi Małych Ludzi, lecz nie uzyskali wstępu do ich domów.

Po zdającym się trwać niewiarygodnie długo oczekiwaniu, choć w rzeczywistości było to zaledwie pół godziny, Jim dostrzegł w oddali jakiś ruch. Ktoś zbliżał się do nich, aż wreszcie okazało się, że są to cztery grupy Małych Ludzi.

Każda z nich niosła na barkach fotele, na których siedzieli siwobrodzi starcy, odziani w białe togi.

Pomimo dźwiganego ciężaru, tragarze biegli, a czynili to tak równo, że siedzący niemal tego nie odczuwali. Jim, nawet obserwując ich z bliskiej odległości, nie mógł zro- zumieć, jak to się dzieje. Tragarze zrównali się wreszcie z oddziałem i postawili lektyki na ziemi.

Smoczy Rycerz doszedł do wniosku, że sprawa nie przedstawia się zbyt obiecująco. Przybyli starcy przyglądali się im niezbyt przyjaźnie. Po pewnym czasie, jeden z nich uniósł

rękę. Znak ten spowodował, że zostali przeniesieni o jakieś czterdzieści jardów do tyłu, już za szpaler wojow- ników. Byli teraz na tyle daleko, że mogli swobodnie rozmawiać między sobą, nie będąc przez nikogo słyszani.

Za nimi podążył też Ardac i gdy fotele znalazły się znów na ziemi, rozpoczęła się narada.

Po kilku minutach do oczekujących podszedł dowódca schiltronu.

–Teraz cię wysłuchamy – zwrócił się do Jima.

Ten wziął głęboki oddech.

–Planujemy, aby mieszkańcy pogranicza i Mali Ludzie wspólnie zaatakowali Pustych Ludzi zgromadzonych w jed- nym miejscu i wszystkich ich zabili, by żaden nigdy już więcej nie powrócił do życia.

–Wiemy o waszych planach.

Jim przyjrzał się badawczo Ardacowi.

–Skąd? – zapytał.

–Bo ja im powiedziałem – rozległ się ochrypły głos Snorrla. Wciąż leżał na boku, otworzywszy tylko jedno oko. – Tego, czego ty mi nie powiedziałeś, dowiedziałem się podsłuchując podczas waszej wyprawy na tych Szkotów, których wszystkich zabiliście, za wyjątkiem jednego, wzię- tego do niewoli. Słyszałem także rozmowy, gdy ty, Lachlan MacGreggor i ten jeniec byliście w małej chatce.

–Jeśli wiedzieliście o wszystkim przed naszym przyby- ciem – zwrócił się Jim do Małego Człowieka -po co było sprowadzać waszych…

Urwał, ponieważ nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa na określenie przybyłych starców. Wskazał na nich jedynie.

–… żeby spotkali się z nami?

–Nie wiemy wszystkiego. Pragniemy dowiedzieć się dlaczego chcesz, byśmy zaangażowali się w tę sprawę wraz z wysokimi ludźmi. Wiemy, że na granicy jest ich wystarcza- jąco dużo, aby sami mogli zwyciężyć w tej bitwie. Nas także jest dosyć, by rozprawić się z Pustymi Ludźmi w wybranym przez ciebie miejscu. Urwał na moment, po czym kontynuo- wał. – Widzę, że zmarszczyłeś czoło – rzekł.

Jim natychmiast się rozchmurzył. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rzeczywiście miał zatroskaną minę.

–Widziałeś tylko mój oddział – ciągnął Ardac. – Nie możesz więc ocenić, ilu nas jest, skoro spośród wszystkich dowódców znasz tylko mnie. Jest jednak wiele oddziałów takich jak ten. Zastałeś nas tu tylko dlatego, że poznaliśmy się już wcześniej. Dlaczego więc chcesz połączyć siły Małych Ludzi i Northumbrian przeciw Pustym Ludziom, jeśli nie jest to konieczne?

–Sądzę – zaczął Jim wolno – że ważne jest, byście wspólnie zaangażowali się w tę sprawę jako równorzędni partnerzy. I wy i oni cierpicie za przyczyną Pustych Ludzi.

Ważniejsze jest jednak, że kiedyś, w przyszłości, takie połączenie sił przeciw wspólnemu wrogowi może okazać się niezbędne zarówno dla was, jak i dla nich. Jeśli tym razem wspólnie podejmiecie walkę, połączenie sił w przy- padku kolejnego zagrożenia będzie znacznie łatwiejsze.

Jim zamilkł, Ardac także myślał, wyraźnie rozważając sens jego słów. Nie miał jednak zamiaru przekazać ich czekającym w pewnym oddaleniu siwobrodym starcom.

–Nie proszę was, byście zbliżyli się do ludzi znad granicy! – wyznał Smoczy Rycerz szczerze. – Ani ich o zbliżenie z wami. Chcę po prostu, byście po raz pierwszy stanęli do walki po tej samej stronie. Chcę, żebyście uwierzyli, że taki sojusz jest możliwy. Nie potrafię dowieść wam dlaczego to takie ważne. Możecie tylko uwierzyć moim słowom albo nie.

–Masz rację. Możemy liczyć tylko na twoje słowa.

Niespodziewanie odwrócił się i odszedł do starców, z którymi rozmawiał przez pewien czas.

Jim obserwował ich. Był zły, że ci seniorzy nie pertraktują z nim bezpośrednio, lecz posługują się Ardacem jako pośrednikiem. W tym momencie z prawej strony dobiegł go cichy szept Dafydda: – Ci z białymi brodami nie są tymi, za których ich masz, Sir Jamesie. To nie przywódcy, tylko mędrcy, których Ardac się radzi. Korzystając z ich wiedzy i doświadczenia, samodzie- lnie podejmuje decyzje w imieniu wszystkich Małych Ludzi.

–Wszystkich Małych Ludzi? – powtórzył Jim równie cicho, nie poruszając nawet głową, by nikt nie dostrzegł, że rozmawiają. – Powiedział przecież, że jest dowódcą jednego z wielu schiltronów. Odniosłem wrażenie, że to jeden z wielu równych rangą.

–Rzeczywiście tak jest. Ale jak ci mówiłem, oni nie są tacy jak…

Zawahał się przez moment.

–…my. Oni są zupełnie inni i u nich panują inne porządki. Jeśli Ardac zdecyduje się wziąć udział w bitwie z Pustymi Ludźmi, wszyscy pozostali dowódcy oddziałów także będą walczyć. On także bez wahania walczyłby, gdyby ktoś inny o tym zadecydował. Tacy jak on, są prawdziwymi przywódcami. Chociaż to ludzie, którzy nie mają dowódców w takim sensie, jak my rozumiemy to słowo. Ale przez stulecia nauczyli się myśleć podobnie i ufają sobie w znacznie większym stopniu niż…

Ponownie na chwilę zawiesił głos.

–…my – dokończył.

–Rozumiem – szepnął Jim.

Ledwie skończyli, kiedy Ardac ruszył z powrotem w ich kierunku.

–Sądzę, że będziemy walczyć z wami przeciw Pustym Ludziom – oświadczył. – Pozostała jeszcze do wyjaśnienia tylko jedna kwestia. Kto będzie dowódcą w tej bitwie?

–Nie… nie jestem jeszcze pewien – rzekł Smoczy Ry- cerz. – To znaczy nie zostało to jeszcze ustalone. Zapewne ja zostanę okrzyknięty wodzem, lecz doświadczeni wojownicy, tacy jak ty czy Herrac będą mieli wiele do powiedzenia…

–A więc nie możemy wziąć w tym udziału.

–Nie możecie? Dlaczego? – zapytał zaskoczony Jim.

–Ponieważ Mali Ludzie muszą być poprowadzeni przez kogoś tej samej krwi. Jeśli jeden z nas nie znajdzie się pośród głównych dowódców, nawet pomimo zaproszenia nie zjawimy się się na radzie wojennej.

–Ale przecież to żądanie niemożliwe do spełnienia. Nie ma sposobu… – zaczął Smoczy Rycerz.

Urwał, ponieważ chciał powiedzieć, że Northumbrianie pod żadnym pozorem nie zgodzą się, by tak ważną funkcję pełnił któryś spośród Małych Ludzi.

–Musi tak być – oświadczył Ardac. – Mali Ludzi zawsze walczyli pod własnym dowództwem. Jeśli mamy stanąć do walki razem z ludźmi znad granicy, to również musi tak

być. Oznacza to, że jeden z nas musi znaleźć się pośród dowódców i tamci muszą uznać go za swojego.

–A więc rodacy Herraca muszą wierzyć waszemu dowódcy tak, jak ufają sobie wzajemnie? – zapytał Jim, wreszcie rozumiejąc o co chodzi.

–Tak.

–Jak mówiłem, to niemożliwe. Nie istnieje nikt, kto mógłby spełnić taki warunek.

W czasie gdy to mówił, Herrac, Liseth i Dafydd przysu- nęli się bliżej do nich. Miał nadzieję, że któreś z nich odezwie się i pomoże w rozwiązaniu problemu. Wiedział jednak, że trudno na to liczyć. Pozostawało mu tylko nalegać, by Mali Ludzie ustąpili i zdecydowali się mimo wszystko na udział w bitwie. Już otwierał usta, by to powiedzieć, gdy ubiegł go czyjś miękki głos.

–Może Mali Ludzie zgodzą się, bym ja reprezentował ich pośród dowódców z pogranicza?

Był to głos Dafydda. Jim siedział w milczeniu. Zupełnie zapomniał, że Mali Ludzie podczas poprzedniego spotkania oddali mu honor. Mimo tego nie wierzył teraz, że przyjmą go jako jednego ze swoich.

Ardac także milczał przez chwilę, po czym bez słowa odwrócił się na pięcie i ponownie podszedł do doradców.

–Co teraz? – zapytał sfrustrowany Jim raczej samego siebie, niż kogokolwiek z obecnych.

Reakcja Małego Człowieka utwierdziła go tylko w prze- konaniu, że nie ma szans na zaakceptowanie Dafydda.

A nawet gdyby się na niego zgodzili, to jak przyjęliby go rycerze znad granicy? Nie znieśliby przecież, że w naradzie wojennej bierze udział ktoś z pospólstwa.

Ardac powrócił.

–Magu – przemówił, gdy zatrzymał się naprzeciw Jima – przyjmujemy Dafydda ap Hywela jako naszego przywódcę spośród dużych ludzi. Ale tylko pod warunkiem, że będzie nosił należny mu tytuł Księcia Gór Obmywanych Falami Morza.

–Księcia! – wykrzyknęli jednocześnie Jim i Herrac.

Wszyscy spojrzeli na łucznika, który wstał, zdjął z ramie- nia broń i wsparł się na niej marszcząc brwi.

–Moi dziadowie porzucili ten tytuł już dawno temu – oświadczył cedząc słowa. – Nie wiem czy mam prawo przybrać go ponownie.

–Albo tak, albo będziecie walczyć sami, szlachetny magu – rzekł dowódca schiltronu.

Zapanowała długa cisza. Wreszcie Dafydd westchnął ciężko i wyprostował się.

–Dobrze, uczynię to tylko ze względu na bitwę i tylko do czasu jej zakończenia – powiedział. – Przyjmuję tytuł Księcia Gór Obmywanych Falami Morza, który należny mi jest z dziada pradziada. Później chcę, żeby nikt nie tylko nie zwracał się tak do mnie, ale także zapomniał, że kiedykolwiek go nosiłem. Taka jest moja wola!

–Zgoda – rzucił bez wahania Jim.

Spojrzał na Herraca, który wciąż przypatrywał się Walij- czykowi. Olbrzym wstał, a Jim poszedł w jego ślady.

–A więc nie jest to żaden zmyślony tytuł? – zapytał de Mer.

–Nie, nie jest! – przyznał Dafydd.

Uniósł wzrok i spojrzał Herracowi prosto w oczy. Choć ten był wciąż nieco wyższy od niego, lecz przez tę chwilę wydali się sobie równi.

–Kiedy opuścimy to miejsce, będę Księciem Gór Obmywanych Falami Morza i pozostanę nim aż do końca bitwy. Wszyscy muszą się na to zgodzić. Mali Ludzie?

Spojrzał na Ardaca.

–Zgadzamy się – rzekł ten.

–I ja się zgadzam – oświadczył Jim. Spojrzał na Herraca i zapytał go: – Co z tobą i twoimi krajanami?

–Nie mogę w ich imieniu niczego zagwarantować, zanim nie pomówię z nimi i nie usłyszę ich zgody. Osobiście zgadzam się jednak w imię sprawy, dla której wspólnie walczymy.

Zwrócił się do Dafydda.

–… I w imię tego co widziałem i słyszałem o tobie, szlachetny panie.

–Nie mów do mnie w ten sposób, chyba że będzie to konieczne – powiedział Walijczyk. – Pamiętaj, Sir Herracu, że pomimo tytułów pozostaje się tym samym człowiekiem.

To mówiąc wyciągnął w jego stronę rękę – gest, na jaki nie pozwoliłby sobie żaden łucznik w stosunku do rycerza.

Herrac bez wahania uścisnął ją na moment.

–A więc ustalone – odezwał się Ardac. – Kiedy mamy się spotkać, by omówić plan bitwy?

–Dajcie mi półtora, do dwóch tygodni – rzekł Jim. – Istnieją sprawy, które muszą zostać załatwione wcześniej. Dobrze będzie jednak, jeśli do tego czasu pozostaniemy w kontakcie.

–Jeden z nas będzie przebywać niedaleko zamku de Mer przez cały ten czas – oświadczył Mały Czło- wiek. – Jeśli zaś wyślecie do nas Greywings, porozumiemy się z nią. Jak twoja córka, Sir Herracu, potrafimy roz- mawiać z ptakami i innymi stworzeniami.

–Mówi szczerą prawdę – włączył się do rozmowy Snorrl. – To dlatego my, wolne istoty, przyjaźnimy się z nimi od tylu stuleci.

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na wilka, który stał przecią- gając się i ziewając, jakby dopiero co obudził się z drzemki.

–Nadszedł już czas, bym odprowadził was do tych zamkniętych ścian, które wy nazywacie zamkiem – rzekł.

Rozdział 23 Ł.siążę Gór Obmywanych Falami Morza – rzekł Herrac do siebie, lecz na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli.

–Czy masz jakiś problem związany z tym tytu- łem? – zapytał Jim.

–Brzmi on nieco niezręcznie i jest dość długi – stwier- dził olbrzym, przenosząc wzrok z Dafydda na Smoczego Rycerza. – Ale przede wszystkim, zdaje się pochodzić z jakiejś starej opowieści. Zastanawiam się, czy moi rodacy potraktują go poważnie, szczególnie gdy ujrzą Dafydda, wyglądającego na zwykłego łucznika, nawet jeśli przebie- rzemy go w wyszukany strój pożyczony od naszego jeńca.

–Niech jego wygląd pozostanie niezmieniony – zde- cydował Jim. – Możesz powiedzieć ludziom z pogranicza, że jest księciem w przebraniu i zdradzasz im jego tytuł pod warunkiem, że nikomu go nie powtórzą, ponieważ nie powinno się wydać, iż znajduje się w tej części kraju.

–Tak, sądzę, że tak powinienem zrobić – przyznał de Mer. – Ale wciąż… ten tytuł. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tak dziwacznych imion.

–Może uda mi się rozwiązać ten problem – za- proponował Walijczyk. – Książę Gór Obmywanych Fala- mi Morza to przekład tego tytułu na język, którym dzisiaj mówimy. Właściwie brzmi on…

Wypowiedział potok miękko brzmiących sylab, które dla Jima nie układały się w nic znajomego, a nawet możliwego do powtórzenia.

–Wolałbyś nazywać mnie tak? – zapytał z uśmiechem.

Wszyscy, włącznie z Liseth spróbowali powtórzyć jego słowa. Nikomu jednak się to nie udało.

–Sir James zrobiłby to najlepiej – zauważył Da- fydd. – Może w taki sposób zwracalibyście się więc do mnie?

–Jak to powiedziałeś, panie? – zapytał Herrac i od- wrócił się w siodle w stronę Jima. – Czy mógłbyś powtórzyć?

–Merlon – wydukał Smoczy Rycerz.

Miał świadomość, że w jego słowie brakuje kilku sylab i tej specyficznej dźwięczności, ale tylko to był jednak w stanie wymówić, podobnie zresztą jak pozostali.

–Merlon – powtórzył de Mer. – No coż, to lepsze niż Książę Gór Obmywanych Falami Morza i bardziej spodoba się moim rodakom.

Nagle jego oblicze rozjaśniło się.

–Właściwie, za twoim pozwoleniem, szlachetny pa- nie – rzekł, spoglądając na łucznika – możemy ulepszyć tę nazwę, przystosowując ją do uszu ludzi znad granicy.

Czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli będziemy je wymawiać Marrrloni – Przedłużył "r", nadając mu szkockie brzmienie. – Będzie wtedy dla nas brzmiała normalnie – uzasadnił.

–Nieważne jak będziecie mnie nazywać – oświadczył Walijczyk z uśmiechem. – W tym gronie wciąż jestem Dafyddem ap Hywelem, mistrzem łuku. Niech więc będę dla innych księciem Merlonem, choć ja z kolei nie potrafię wymówić tego imienia tak jak ty, Sir Herracu. Nie ma to dla mnie żadnej różnicy. Przybieram ten tytuł tylko na pewien czas i wkrótce wszyscy o nim zapomnimy.

–Dobrze! – ucieszył się olbrzym.

Kiedy wrócili do zamku, Jim z ulgą stwierdził, że nie doszło do otwartego konfliktu pomiędzy Brianem a Mac- Dougallem. Ale rekonwalescent, raz opuściwszy łoże, nie chciał już do niego wracać. Jednak pamiętając o obietnicy zmniejszenia ilości wypijanego wina, po spożyciu jego dziennej racji, popijał tylko piwo.

Gdy przyjechali, siedział przy wysokim stole w towarzys- twie MacDougalla. Obaj okazali się na tyle rozsądni, by uniknąć bezpośredniej konfrontacji, a teraz nawet zgodnie ze sobą rozmawiali. Jim odciągnął Herraca i Dafydda na stronę, gdzie przez chwilę mogli pomówić bez świadków.

–Chciałbym spotkać się z ludźmi znad granicy naj- szybciej jak to możliwe – oświadczył. – Decyzję, czy jednocześnie powinni poznać Dafydda, pozostawiam two- jemu uznaniu, Sir Herracu.

–Spotkanie takie nie jest trudne do zorganizowa- nia – rzekł de Mer. – Właściwie

umawiałem je już na dzisiejszy wieczór, tutaj, w zamku. Nie będzie to jednak jawna narada. Przyjadą niepostrzeżenie i będziemy roz- mawiać gdzie indziej, nie w Wielkiej Sieni. Poza tym…

Posłał spojrzenie Dafyddowi, po czym kontynuował: -…

Wybacz, książę, ale uważam, że nie nadszedł jeszcze czas, byś spotkał się z moimi krajanami. Może inaczej. Nie widzę po prostu w tym sensu, lecz jeśli Sir James uważa inaczej, jestem gotów ustąpić. On, jako sławny rycerz i mag, zostanie przez nich zaakceptowany bez słowa sprzeciwu. Proponuję, abyśmy najpierw opowiedzieli im o księciu i Małych Ludziach, którzy mają nas wesprzeć.

–Godzę się na wszelkie propozycje – powiedział Walijczyk. – Jeśli będę potrzebny, jestem przez cały czas na zamku. Jak wynika ze słów Sir Jamesa, do bitwy z Pustymi Ludźmi pozostało nam około dwóch tygodni.

Czyż nie tak?

–Tak, to prawda – przyznał Jim. – Sądzę, że powiemy o tobie dzisiaj tylko wówczas, jeśli zaistnieje ku temu właściwa atmosfera, po czym, gdy nie będzie sprzeciwów, wezwiemy cię. Po dzisiejszej naradzie znów będę zmuszony was opuścić. Nadchodzi bowiem czas, bym przemienił się w MacDougalla i spotkał z przywódcami Pustych Ludzi.

Jutro wyjeżdżam zabierając ze sobą złoto i uważam, że to niezły pomysł, abyś ty, Dafyddzie, towarzyszył mi zamiast jakichś zbrojnych. Im mniej nas będzie, tym mniej podejrzli- wi będą Puści Ludzie, z którymi się spotkamy.

–Na to także z chęcią się zgadzam – oświadczył łucznik.

Zakończyli dysputę i powrócili do stołu. Pozostali przy nim przez całe popołudnie, aż do wieczerzy. Kiedy posiłek dobiegł końca, Brian wyraźnie wyglądał na zmęczonego, więc protestując tylko dla zasady, pozwolił Jimowi i Liseth odprowadzić się do komnaty. Smoczy Rycerz miał dzięki temu okazję pomówić z przyjacielem na osobności.

–Czy zdołasz utrzymać pokój z MacDougallem, kiedy mnie nie będzie? – zapytał.

–Jeśli on będzie zachowywać się przyzwoicie, ja na pewno nie wywołam kłótni – zapewnił rekonwale- scent. – Tylko gdy zacznie jako pierwszy, odpowiem mu w należyty sposób.

–Nie bądź niemądry, Brianie. Rana wciąż nie pozwala ci na wdzianie zbroi i wyjaśnienie spraw po męsku. Poza tym, on jest więźniem i nie ma prawa brać udziału w jakichkolwiek pojedynkach.

–A więc wszystko zależy od niego – rzekł mistrz kopii, nie obiecując niczego. – Mówiąc między nami, nie sądzę, by szukał kłopotów. Miał już czas, by poznać moje umiejętności i wątpię, czy wytrzymałby w walce ze mną dłużej niż minutę, bez względu, czy w pojedynku na kopie, czy też pieszo. Sądzę, że on także zdaje sobie z tego sprawę.

–Bez wątpienia masz rację, Brianie.

Gdy skręcili ze schodów w korytarz, ranny zachwiał się, po czym uśmiechnął, chcąc ukryć zmieszanie.

–To przez to piwo – wyjaśnił. – Uderza prosto do głowy.

–To nie piwo, ale wypite przez ciebie dzisiaj wino i ciągłe osłabienie. Pamiętaj, że MacDougall wie o tym i może chcieć wykorzystać przewagę. Na miłość boską, Brianie, staraj się za wszelką cenę uniknąć konfliktu z nim.

Ranny westchnął ciężko, kiedy weszli do komnaty i skie- rowali się w stronę łóżka. Usiadł na nim z ulgą i ponownie westchnął.

–Zrobię, co będę mógł, Jamesie. Zawsze robię wszyst- ko, co w mojej mocy.

Położył się, zamknął oczy i spał już, zanim jeszcze Jim z Liseth wyszli. Skierowali się z powrotem do stołu, lecz Smoczy Rycerz postanowił, że nie zabawi tam długo, jeśli ma należycie wypocząć przed czekającą go następnego dnia wyprawą. Poprosił już Dafydda, by ten obudził go rano. Łucznik był nieocenionym budzikiem, nastawianym na czas wyrażany na średniowieczną modłę: świt, zmrok, wschód księżyca oraz na godziny obrzędów religijnych.

Zanim jednak dotarli do sieni, na końcu schodów natknęli się na Herraca, który poprowadził Jima do jednej z komnat mieszczących się w wieży.

Jak na tak z pozoru prostą budowlę, składała się ona z mnóstwa pomieszczeń różnych rozmiarów i kształtów.

Gospodarz powiódł go do izby, której istnienia Jim nawet nie podejrzewał. Była to komnata na tyle duża, by zgroma- dzić tu dwadzieścia do trzydziestu osób. Smoczy Rycerz ujrzał jednak, w świetle pochodni, zaledwie ośmiu mężczyzn siedzących za długim stołem.

Herrac posadził go u szczytu stołu i przedstawił zgroma- dzonym: – Panowie, oto baron James Eckert de Bois de Malen- contri.

–Jestem zaszczycony, że mogę poznać was wszyst- kich – rzekł Jim.

Mężczyźni skinęli głowami i mruknęli coś pod nosami.

Stół był zastawiony jedzeniem oraz piciem i wszyscy mieli akurat pełne usta.

Zasiedli do stołu, Jim miał okazję przyjrzeć się przyby- szom. Wszyscy mieli miecze, a to oznaczało, iż nie przybyli z sąsiedzką wizytą. Poza tym stanowili dosyć oryginalną grupę. Każdy z nich był bowiem ubrany inaczej. Niektórzy mieli na sobie szkockie spódnice, inni spodnie sięgające zaledwie za kolano i ozdobione kraciastymi wzorami.

Jeszcze inni byli odziani jak angielscy rycerze po zdjęciu pancerza – w nogawice i kaftany różnego kroju. Wszyscy mieli nakrycia głowy, lecz nie sposób było znaleźć dwóch takich samych. Do tego także Jim zdążył się już przy- zwyczaić. Czternasty wiek był okresem rozkwitu mody na kapelusze. Sądził, że modeli były setki, ponieważ rzadko spotykało się podobne.

Herrac zaczął przedstawiać mu gości.

–Rycerz po twojej lewej, panie – zaczął – to Sir John the Graeme, który jest w stanie przyprowadzić ze sobą dwustu konnych. Za nim znajduje się Sir William of Berwick, który ma stu dwudziestu jeźdźców, jeśli zdecyduje się walczyć razem z nami. Dalej…

Jim zapominał imiona przywódców Northumbrian nie- mal w chwili, gdy je usłyszał. Większość z nich związana była z miejscem zamieszkania, ale część pochodziła od nazw klanów. Przeszukując pamięć, Jim przypomniał sobie, iż z faktu, że ktoś taki jak Sir John the Graeme nosi imię rodowe i takąż spódniczkę, nie wynika wcale, że reprezen- tuje całą rozległą rodzinę, lecz zapewne tylko niewielką jej część. Mógł on też przewodzić grupie złożonej z przed- stawicieli wielu klanów. Ludzie z pogranicza stanowili bowiem zlepek różnych rodów, takich jak Scottowie, Elliotowie, czy Kerrowie… W tym czasie prezentacja została zakończona, a przybysze przełknęli ostatnie kęsy i z zain- teresowaniem przypatrywali się Smoczemu Rycerzowi.

–Ballady opiewają twoje czyny jako maga, Sir Jame- sie – przemówił Sir John the Graeme, przerywając ciszę.

Jak na razie rodacy Herraca akceptowali go więc bez zastrzeżeń.

Jim zauważył, że nie zwrócono się do niego per "panie", co świadczyło, że angielski tytuł szlachecki nie znaczy wiele w tych stronach. Słyszał, że ludzie znad granicy traktują swoje ziemie jak oddzielny kraj i nie zapominają, że kiedyś Northumbland był niezawisłym królestwem -Northumbrią.

–To prawda, Sir Johnie – przyznał. – Nie jestem może najlepszym z magów, lecz posiadam pewne umiejęt- ności w tej dziedzinie.

–Może byłbyś tak dobry i przedstawił nam dowód swych magicznych zdolności – zaproponował Graeme z dziwnym akcentem.

–Sir Johnie! Mój syn Sir Giles był z nim i widział, co potrafi zdziałać magią – odezwał się Herrac. – Sir Gilesa nie ma wśród nas, ale znajduje się gdzieś na zamku i za chwilę może się tu zjawić. Czy chcesz poddawać w wątp- liwość jego słowa?

–Słowa Sir Gilesa? Ależ skąd. Rzecz tylko w tym, że nie chodzi o zwykłą sprawę, lecz w jej' imię wielu może zostać rannych lub zginąć. Jest więc chyba zrozumiałe, że chcę mieć pewność.

–To trudna sytuaqa… – zaczął wyraźnie zakłopotany Herrac, lecz Jim wstał, kładąc mu rękę na ramieniu.

–Sir Johnie – przemówił Smoczy Rycerz, patrząc rozmówcy prosto w oczy. – Z przyjemnością dowiodę swych magicznych zdolności. – Pomyślał jednak o nad- wątlonym koncie i zacisnął kciuki, by udało mu się w inny sposób wybrnąć z opresji. – Ty jednak musisz najpierw wykazać się umiejętnościami szermierza, jakimi powinien odznaczać się każdy rycerz, wstając teraz i nacierając na rycerza siedzącego obok ciebie.

Przybysze zareagowali natychmiast. Mężczyzna siedzący najbliżej Sir Johna, którego imienia Jim nie mógł sobie przypomnieć, bez wahania poderwał się na równe nogi.

–No, no, uspokój się, Willie – rzekł Graeme łagodnie.

Sam pozostał na miejscu i spojrzał na Jima.

–Dałeś mi cenną lekcję, Sir Jamesie – zauważył równie łagodnie. – Ty nie widziałeś mnie w bitwie, a ja ciebie czyniącego magię: W obu przypadkach nie jest to łatwe do zaprezentowania. Masz rację i proszę cię o wybaczenie.

Powinniśmy zaufać sobie wzajemnie i zawierzyć słowom naszego szlachetnego gospodarza i jego syna, Sir Gilesa.

Zwrócił się do wciąż stojącego rycerza.

–Usiądź spokojnie, Willie. Wiesz przecież, że nie podniósłbym na ciebie miecza, a ty zapewne na mnie.

Sir William of Berwick, bo takie nosił imię, ponownie zasiadł przy stole.

–No cóż, Sir Johnie – przemówił Herrac po- nuro – jeśli jesteś już usatysfakcjonowany…

–Chciałem się tylko upewnić… – bronił się Graeme, wymachując rękoma niemal tak potężnymi jak gospoda- rza. – Kontynuujmy zatem. Może Sir James będzie tak dobry i zapozna nas ze swymi planami.

Jim wciąż stał. Zastanowił się, czy nie usiąść, lecz wreszcie zrezygnował z tego.

–Sądzę, że już słyszeliście o nich od Sir Her- raca – zaczął. – Niemniej powtórzę je

teraz, jeśli sobie tego życzycie. Zamierzam zgromadzić Pustych Ludzi w pew- nym miejscu, którego położenie mogę zresztą wskazać.

Kiedy to nastąpi, zbliżymy się, ukryci za drzewami i ode- tniemy drogę ucieczki.

Urwał, przyglądając się reakcjom słuchaczy. Wszyscy słuchali z uwagą, lecz można było dostrzec pewną rezerwę.

–Zgromadzę ich pod pretekstem wypłaty należności za udział w napaści na północną Anglię w sojuszu ze Szkocją.

Mają zostać weń zaangażowani nie tyle z powodu siły, lecz by wzbudzić lęk pośród Anglików, jako że są przecież duchami. Później przedstawię wam propozycje dokładnego rozmieszczenia sił. Nie będę mógł kierować natarciem, ponieważ znajdę się wówczas na kamiennym występie, wręczając każdemu z nich przeznaczone dla niego złoto.

Znowu zamilkł na moment i stwierdził, że wyraz twarzy nadal świadczy o nurtujących ich wątpliwościach.

–Krótko mówiąc, złoto jest sposobem skłonienia na- szych wrogów do zgromadzenia się. Ustanowię zasadę, iż żaden Pusty Człowiek nie otrzyma zapłaty, jeśli nie odbierze jej osobiście, a wielusetletnie doświadczenie wskazuje, że żaden z nich nie ufa drugiemu na tyle, by powierzyć mu swoje złoto. Kiedy dam sygnał, ruszycie. Pamiętajcie, że naszym celem będzie takie działanie, by ani jeden z nich nie ocalał. Jeśli bowiem któryś przeżyje, cały nasz trud pójdzie na marne.

–Miejsce, o którym mówisz, będzie więc krwawą areną – zauważył jeden z rycerzy, którego imienia Jim nie zapamiętał.

–Zapewne tak – przyznał Smoczy Rycerz. – Jest to jednak niezbędne, by raz na zawsze skończyć z Pustymi Ludźmi. Przez stulecia wasze rody straciły znacznie więcej bliskich, niż może ich zginąć podczas tej jednej bitwy.

–To prawda – zgodził się Sir John, w zamyśleniu patrząc na dłonie oparte o blat stołu. – Lecz jeśli brać pod uwagę liczbę dwóch tysięcy Pustych Ludzi, o jakiej wspo- minał nam Sir Herrac…

–A czy któryś z was potrafi dokładniej wyliczyć, ilu ich jest? – zapytał Jim.

Nikt się nie odezwał.

–Jak mówiłem, jeśli będziemy mieć do czynienia z taką liczbą Pustych Ludzi- kontynuował Graeme, jakby nikt mu nie przerywał. – oznacza to, że musimy zebrać siły reprezen- towane przez nas wszystkich i postarać się jeszcze je wzmocnić, aby mieć gwarancje, że będzie to walka zwycięska i ostateczna.

–Masz rację – przyznał Jim. – Dlatego też roz- mawiałem z Małymi Ludźmi i uzyskałem ich zapewnienie, że wezmą w niej udział po naszej stronie.

Wszyscy przybysze poruszyli się niespokojnie, starając się ukryć zaskoczenie, lecz i tak było ono bardzo widoczne.

–Nie powiedziałem im o tym – rzekł cicho de Mer do Jima, lecz i tak reszta zgromadzonych usłyszała go.

–Czy któryś z was może mi podać choć jeden powód, dla którego nie mielibyśmy stanąć do walki ramię przy ramieniu z Małymi Ludźmi? – zapytał odważnie Smoczy Rycerz. – Oni także cierpią z powodu Pustych Ludzi i to znacznie dłużej niż wy. Dzielnie bili się z nimi, broniąc swych ziem. Mają więc prawo brać udział w decydującej rozprawie. I jeszcze jedno.

Dzięki swojemu kunsztowi wojennemu i specyficznym metodom walki pomogą, w doprowadzeniu jej do szybkiego końca.

–Nie są śmiertelnikami, ani chrześcijanami – zauważył Sir John. – Nie są tacy jak my. Skąd mamy wiedzieć, że to nie dzieci szatana i nie sprzymierzyli się z Pustymi Ludźmi przeciwko nam? Po raz kolejny może się okazać, że potencjalni sprzymierzeńcy w decydującym momencie staną po stronie naszych wrogów.

–Zapewniam cię, że to prawi ludzie i nic takiego nie może się zdarzyć – oświadczył Jim.

–Wybacz mi, ale znów twoje słowa są wszystkim, na czym możemy polegać podejmując tak poważną decyzję.

–Mogę dostarczyć ci pewniejszych dowodów. Mali Ludzie odmówili bowiem udziału, jeśli jednym z dowódców nie będzie ktoś spośród nich. Okazało się jednak, że wreszcie znaleźli odpowiednią osobę. Chodzi o kogoś znajdującego się obecnie na zamku i ukrytego pod prze- braniem zwykłego łucznika, lecz tak naprawdę noszącego niezwykle wysoki tytuł, który zdradził mi i Sir Herracowi w tajemnicy. Z pewnych powodów Mali Ludzie gotowi są zaakceptować go jako swego przywódcę. I to tylko jego, jeśli mają stanąć po naszej stronie. Jeśli sobie życzycie, możecie go teraz poznać.

Wszyscy, włącznie z de Merem, wyglądali na zasko- czonych.

–Wybacz mi, przyjacielu – zwrócił się Jim do Her- raca – że nie wspominałem ci o tym wcześniej. Wejdzie tu oczywiście tylko za pozwoleniem twoim i naszych gości.

Prosiłem go jednak, by nie oddalał się nigdzie i mógł do nas przybyć, gdy zajdzie taka konieczność. Myślę, że taki moment właśnie nadszedł.

Spojrzał po twarzach zgromadzonych. Wszyscy milczeli, aż wreszcie jeden skinął głową, a po nim następny. Wreszcie wszyscy wyrazili zgodę, a jako ostatni John Graeme.

Jim rzucił jeszcze okiem na Herraca, wstał, podszedł do drzwi i otworzył je.

–Szlachetny panie, czy byłbyś łaskawy wejść?

Kątem oka dostrzegł, że siedzący z zaciekawieniem wyciągnęli szyje. Taki zwrot w ustach Jima oznaczał bowiem, iż mogą spodziewać się rzeczywiście ważnej osobis- tości.

Do komnaty wszedł Dafydd. Nie miał przy sobie łuku ' ani kołczanu, ale jak powiedział wcześniej Herrac, nie można się było pomylić i bez względu na strój od razu wiadomo było, że jest łucznikiem. Świadczyły o tym jego ruchy i postawa. Gdy Jim zamknął za nim drzwi, Dafydd podszedł do szczytu stołu i popatrzył na siedzących z wyraź- ną wyższością.

Smoczy Rycerz zatrzymał się przy swoim miejscu i zwrócił do przyjaciela: – Ze szczególnych powodów chciałbym prosić Waszą Wysokość o osobiście przedstawienie się, skoro nikt inny nie może tego właściwie uczynić.

–Z przyjemnością – odparł Walijczyk. – Panowie, jestem Książę…

I ponownie wypowiedział potok sylab zupełnie nie- zrozumiały dla słuchaczy.

–Sir Herracu? Skoro pomiędzy nami znany jest pod innym imieniem, mającym uchronić go przed zdemas- kowaniem, czy mógłbyś je wymówić? – poprosił Jim. – Zabrzmi ono zapewne bardziej znajomo dla uszu naszych gości.

–Oto Książę Merlon – rzekł de Mer, wymawiając to imię ze szkockim akcentem.

Rycerze w milczeniu przypatrywali się Dafyddowi.

–Wybacz mi, szlachetny panie – przemówił jeden z nich – ale czyż nie jesteś Walijczykiem? Można to poznać po twojej wymowie.

–Rzeczywiście – przyznał Dafydd z uśmiechem i kiedy popatrzył na pytającego wyniosłym spojrzeniem, rzeczywiś- cie wyglądał na księcia. – Ale skoro ukrywam się jako walijski łucznik, to jakże inaczej mam mówić?

Jim zerknął na gospodarza i przemówił: – Za twoim pozwoleniem, Sir Herracu, i twoim, Wasza Wysokość, wyjaśnię tym rycerzem, jak się tu znalazłeś.

–Niech tak będzie – zgodził się łucznik.

Smoczy Rycerz z naganą w głosie zwrócił się do rycerzy: – Gdzież są wasze dobre obyczaje, panowie. Nikt z was nie wstał, a Jego Wysokość wciąż przecież stoi.

Herrac poderwał się jako pierwszy. W jego ślady po- spiesznie poszła cała reszta.

–Siadajcie. Ależ siadajcie – rzekł Dafydd wskazując ręką. – A jeśli któryś będzie tak dobry i mnie także zrobi miejsce, ja także usiądę.

Rycerze powoli z powrotem usadowili się na ławach. Jim odstąpił swoje miejsce przyjacielowi, który rozsiadł się wygodnie, tak jakby to zrobił prawdziwy książę. Zmusiło to pozostałych do ścieśnienia się, co stanowiło dla nich szczególną niewygodę, gdyż spędzając wiele czasu na koniu, także przy stole zwykli siedzieć z rozsuniętymi kolanami.

Dafydd nie zwrócił na to jednak najmniejszej uwagi i swoim zachowaniem pobił na głowę Ewena MacDougalla, puszą- cego się przy stole w Wielkiej Sieni.

–Za pozwoleniem Waszej Wysokości – przemówił Jim, także siadając – wytłumaczę wam jak to się stało, że książę znalazł się tu, akurat w chwili gdy jest nam tak bardzo potrzebny.

–Mów dalej – polecił Walijczyk, niedbale skinąwszy głową.

–Panowie, Książę Merlon usłyszał o naszych kłopotach z Pustymi Ludźmi, a ponieważ jego poddani poradzili sobie już kiedyś z podobnym problemem, przybył, aby nam pomóc. Nie muszę prosić was chyba, byście zachowali w tajemnicy wieść o jego obecności. Dzięki niemu z pew- nością poradzimy sobie z tym wrogiem. Mali Ludzie rozpoznali go natychmiast, ponieważ jak wiecie, mają niezwykle długą pamięć. Powitali go z otwartymi ramionami i obwołali swoim przywódcą, który ma ich reprezentować pośród nas.

Kilku rycerzy zaczęło mówić jednocześnie. Wszyscy zamilkli jednak wreszcie, z wyjątkiem tego, który już poprzednio poddawał w wątpliwość, czy Mali Ludzie są zwykłymi śmiertelnikami.

–Za twoim pozwoleniem, szlachetny panie – przemó- wił – chcielibyśmy się dowiedzieć z jakiego królestwa do nas przybywasz.

Jim wyręczył Dafydda w odpowiedzi.

–Znajduje się ono rzeczywiście niedaleko Walii i dla- tego Jego Wysokość zdecydował się na udawanie walijs- kiego łucznika. – Na szczęście w tym momencie przyszła mu do głowy zbawcza myśl. – Królestwo to jest bardzo stare i od dawna znajduje się pod powierzchnią morza.

Pomimo tego, jego poddani w magiczny sposób mogą żyć w wodzie i nikt nie wie o ich istnieniu. Czy mam rację, Wasza Wysokość?

–Tak – przyznał bez wahania Dafydd.

–Ściana magii odgradza to królestwo od reszty świata, tak że zdaje się, iż nic tam nie ma. Ja jednak, jako mag, jestem w stanie przenikać przez to zabezpieczenie i dostać się pod wodę tam, gdzie żyje książę ze swym ludem.

Poprosiłem go o pomoc, a on wysłuchał mnie i zjawił się na zamku Sir Herraca, którego zna od dawna.

Teraz najbardziej zdziwioną minę miał de Mer. Widząc to Jim posłał mu wymowne spojrzenie. Wszyscy wiedzieli, że de Merowie są silkie i potrafią poruszać się pod wodą.

Mogli więc docierać nawet do królestwa takiego jak opisane przez Jima.

–Przodkowie poddanych księcia znali Małych Ludzi wieleset lat wcześniej niż zamieszkały tu wasze rodziny.

Byli bliskimi przyjaciółmi, gdy jeszcze królestwo Jego Wysokości znajdowało się na lądzie. To dlatego Mali Ludzie od razu go rozpoznali i zaproponowali, by był ich przywódcą, jeśli mają walczyć razem z nami. W innym wypadku nie byli skłonni do udzielenia zbrojnej pomocy.

Jim zamilkł na chwilę, by jego słowa lepiej dotarły do słuchaczy. – Właściwie na początku odmawiali, dopóki nie zgodził się kierować nimi – ciągnął. – Możecie być pewni, że przywiedzie ze sobą kilku z nich na naradę przed atakiem, ale i tak sam będzie podejmował najważniejsze decyzje. Widzicie, on wie, że Mali Ludzie są zwykłymi śmiertelnikami. Posiadają pewien, niewielki zasób wiedzy magicznej, a więc są magami, takimi jak ja, ale świadczy to, że są ludźmi, bo tylko człowiek może posługiwać się magią. Wszyscy Naturalni i stwory Ciemnych Mocy mają pewną siłę, lecz nie są w stanie panować nad nią. Podobnie jest z sokołem, który nie ma przecież wpływu na swą zdolność dokładnego widzenia z dużych odległości.

Gdy Jim zakończył tyradę, zapanowała długa cisza.

Wreszcie jednak Sir John Graeme zdecydował się przemó- wić bezpośrednio do Dafydda: – Szlachetny panie, to prawdziwy zaszczyt uczestniczyć w bitwie u twojego boku.

Rozdział 24 j im i Dafydd jechali przez Wzgórza Cheviot, prowadząc jucznego konia obładowanego skrzynią ze zlotem. Ich przewodnikiem był Snorrl, lecz dosyć specyficznie wywią- zywał się z tego zadania, ponieważ tylko od czasu do czasu pojawiał się w zasięgu ich wzroku, po czym znów znikał między drzewami.

Jim zadumał się głęboko nad względnością tego świata.

Gdy problem, który spędzał mu sen z powiek został rozwiązany, zdawał się być błahostką. Kiedy jeden kłopot znika, na jego miejscu pojawia się jednak nowy. Zdołał uzyskać zgodę przywódców Northumbrian na współdzia- łanie z Małymi Ludźmi, a jednocześnie akceptację osoby Księcia Merlona i jego przywództwa nad Małymi Ludźmi.

Oznaczało to, że szeregowi wojownicy także podporządkują się tym ustaleniom.

Szybko podjęto decyzję o spotkaniu na Wzgórzach Cheviot w miejscu i czasie wyznaczonym przez Jima. Do tego momentu zostało jeszcze ponad tydzień. Przywódcy mieli się ponownie spotkać na naradzie w przeddzień bitwy.

Następnego ranka po tym spotkaniu wszyscy winni zjawić się wraz ze swymi ludźmi w lasach nieopodal miejsca zasadzki, jednak na tyle daleko od niego, by ich nie odkryto.

Podczas gdy Jim, jako szkocki wysłannik, rozpocznie już rozdawanie zapłaty, wspólnie mieli zakraść się bliżej i odciąć drogę ucieczki Pustym Ludziom.

Teraz, kiedy było po wszystkim, Jimowi wydało się, że namówienie Northumbrian do walki nie było takim trud- nym zadaniem. Wiedział jednak, że w rzeczywistości było inaczej, bo niełatwo znaleźć płaszczyznę porozumienia z dumnymi mieszkańcami pogranicza.

Obecnie miał na głowie kolejne zmartwienie – jak rozegrać sprawę z przy- wódcami Pustych Ludzi, gdy stanie z nimi twarzą w twarz, choć w tym wypadku określenie takie nie było w pełni adekwatne do sytuacji.

–Jesteśmy już blisko miejsca, gdzie znajdują się Puści Ludzie, z którymi chciałeś rozmawiać – przemówił Snorrl, niespodziewanie wyłaniając się z lasu i biegnąc obok Jima. – Są tam już od kilku dni, więc dla twojego nosa nie będzie to z pewnością przyjemne miejsce.

–Chyba się mylisz. Przecież to tylko duchy – zdziwił się Dafydd, jadący obok Smoczego Rycerza.

–Oni nie są zwykłymi duchami, mistrzu łuku – zapew- nił go wilk. – Niemal w niczym nie różnią się od was, poza jednym – są niewidzialni. I zachowują się podobnie jak ludzie, a nawet chyba jeszcze gorzej, ponieważ nie szanują niczego, nawet siebie. – Otworzył pysk w wilczym śmie- chu. – Tylko przede mną czują respekt.

–Dlaczego? – zapytał zaintrygowany Walijczyk.

–Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi. Sprawia mi tylko przyjemność, że boją się mnie, jak ludzie duchów!

–W każdym bądź razie mówisz, że będziemy musieli znosić nieprzyjemne zapachy? – zapytał Jim.

–Bardzo nieprzyjemne – poprawił go wilk. – Myślę, że na czas tego spotkania nie powiększysz magicznie moich rozmiarów?

–Nie, dopiero przed decydującą bitwą. Sądzę, że zrobisz na nich większe wrażenie, jeśli nie będą wiedzieć jak możesz wyglądać.

Snorrl zaśmiał się.

–Chyba masz rację – przyznał.

Nagle uniósł łeb i głęboko wciągnął powietrze.

–Postawili wartownika, by ostrzegł ich o waszym przyjeździe. Siedzi na drzewie nieco dalej. Podjedźcie jeszcze kawałek, a sami go zobaczycie. Zostawiam was teraz i spotkamy się znowu, gdy opuścicie ich obóz. Pamiętajcie tylko, żeby odjeżdżać w tym samym kierunku, chociaż i tak was znajdę.

W tym momencie zniknął, jak uwielbiały to czynić wszystkie wilki.

Słysząc, że niedaleko czai się strażnik, Jim uznał, że nie może już dłużej zwlekać z sięgnięciem do resztek swego magicznego konta. Miał na sobie to spośród ubrań Mac-Dougalla, które pasowało na niego i jechał na jego koniu.

Niestety, tamten był znacznie niższy i Jim został zmuszony do wdziania własnej zbroi dodatkowo okrywszy się płasz- czem Szkota. Doszedł do wniosku, że powinno to wystar- czyć do wprowadzenia w błąd Pustych Ludzi.

Na wewnętrznej stronie czoła napisał w myślach: JA, WYGLĄD -› EWENA MACDOUGALLA Nagle poczuł, że pancerz jest na niego wyraźnie za duży.

Zupełnie zapomniał jak dosłownie działają czary. Miał teraz nie tylko twarz MacDougalla, ale także jego posturę.

Na szczęście, patrząc na niego nie dostrzegało się niedo- pasowania zbroi. Spod płaszcza widać było właściwie tylko napierśnik, a ten leżał akurat zupełnie dobrze. Jim wes- tchnął. Nic dziwnego, że Wydział Kontroli nadał mu klasę D, pomimo tego, że był uczniem

jednego z trzech największych na świecie magów. Pomyślał z żalem, że zapewne nigdy nie osiągnie nawet o stopień wyższej rangi.

Odpędził od siebie te myśli, bo teraz wraz z Dafyddem zbliżali się już do obozu Pustych Ludzi.

Nigdzie nie dostrzegli śladu wartownika, lecz poczuli, że są blisko obozu, zanim dojechali do niego. Zatrzymali się pośrodku polany na widok unoszących się w powietrzu zbroi i ubrań.

–Nie wierzyłem wilkowi, kiedy mówił, że oni jedzą i piją, kiedy są odziani – szepnął Dafydd. – Ale teraz widzę, że miał rację.

A więc nawet jego czternastowieczny, zahartowany nos wyczuł panujący tu trudny do opisania smród. Jego źródłem była zapewne mieszanina ludzkich odchodów i gnijącego jadła. Jim miał nadzieję, że to jedzenie, a nie szczątki jakiegoś nieszczęśnika, którego napotkali na swej drodze.

Rozejrzał się jednak, ale nie dostrzegł nigdzie żadnego trupa.

Puści Ludzie stali pośrodku polanki, Bez słowa zbliżył się do nich na odległość około sześciu stóp. Większość na wpół odzianych postaci zaczęła tłoczyć się obok jucznego konia ze skrzynią na grzbiecie.

–Zostawcie ładunek w spokoju! – warknął. – Jeśli teraz go tkniecie, nie otrzymacie nic więcej!

Potok przekleństw rozległ się spod zamkniętej przyłbicy kompletnej zbroi, stojącej na czele. Padł jakiś rozkaz i gorliwcy cofnęli się, choć z wyraźną niechęcią.

–A więc to ty jesteś MacDougall – przemówiła postać w zbroi. – Ja zwę się Lord Eshan. Obaj jesteśmy lordmi, prawda?

–Można tak powiedzieć – przyznał beznamiętnie Jim.

Wykorzystał jeden z przećwiczonych gestów Szkota i sięg- nąwszy po chusteczkę, zamachał nią delikatnie wokół nosa. – Strasznie tu śmierdzi!

–I tak nas polubisz, MacDougall – rzekł Pusty Człowiek. – Zsiadajcie teraz obaj z koni. Porozmawiamy.

Zbroja odwróciła się i dobył się z niej głos: – To znaczy, że reszta słucha i nie odzywa się. Tylko ja będę mówić! Teraz odsunąć się, przynieść nam wino i trzy kubki!

Jim i Dafydd, zeskoczywszy z wierzchowców, siedli po turecku naprzeciw postaci w zbroi, która także przyjęła podobną pozycję. Po chwili zjawiła się koszula, właściwie nocna koszula, z bukłakiem, oblepionym końskim włosiem i niedbale zeszytym, wiszącym kilka cali poza brzegiem rękawa. Obok drugiego rękawa wisiały zaś trzymane za uszka trzy kubki.

Niewidzialne dłonie na końcach rękawów postawiły je przed nimi i napełniły winem z bukłaka. Pusty Człowiek w zbroi uniósł kubek do przyłbicy, otworzył ją i wlał wino do środka. Kiedy odstawił naczynie, było już puste, więc ponownie nalał sobie trunku, zupełnie nie dbając o gości.

W tym czasie Jim i Dafydd unieśli kubki do ust.

W nozdrza Jima buchnął taki sam odór, jaki panował w całym obozie. Naczynie zaś było brudne i zniszczone.

Uznał, że wielokrotnie ginące duchy nie roznoszą chorób zakaźnych, choć ich źródłem mogło stać się gnijące jedzenie.

Z obrzydzeniem przyłożył naczynie do ust, lecz nie wypił z niego ani łyka. Odstawił kubek i zauważył, że Dafydd zachował się podobnie jak on, nie mogąc zdobyć się na skosztowanie tego trunku.

Jim ponownie zamachał chusteczką wokół nosa.

–Mam nadzieję, że słyszałeś już, czego oczekuje od was król Szkocji. Ja przybywam bezpośrednio od niego jako specjalny wysłannik. Zależy nam oczywiście, aby obie strony wywiązały się ze swych zobowiązań, wy z waszych…

Przerwał na chwilę z wyraźną pogardą.

–… a my z naszych. Zapłata będzie dostarczana w częściach. Kiedy wedrzecie się w głąb Anglii i wywołacie tam możliwie największą panikę, uznamy, że wywiązaliście się z niego. My tak rozumiemy tę umowę, a wy?

–Niech i tak będzie! – rzekł niecierpliwie duch zakuty w żelazo. – A teraz otwieraj tę skrzynię ze złotem.

–Jeszcze chwileczkę – wstrzymał go Jim. – Zgadzasz się z ochotą, lecz nie wysłuchałeś mnie do końca. Ostatnia rata zostanie wypłacona, dopiero gdy waszym śladem ruszy cała szkocka armia. Czy to zrozumiałe?

–Tak. Niech no zobaczę teraz, jak wygląda to wasze złoto.

–Nie tak szybko – uspokoił Pustego Człowieka Jim.

Za jego plecami Dafydd wstał i podniósł ręce w górę.

Opuszczając je pozwolił, by przewieszony przez ramię łuk zsunął się z niego, po czym niedbale schwycił go w dłonie, naciągając.

Uczynił to wszystko jakby mimochodem. Wreszcie za- marł w bezruchu, trzymając broń w lewym ręku, a prawą wspierając na biodrze obok kołczanu.

–Ten człowiek jest łucznikiem pożyczonym z pobliskie- go zamku – wyjaśnił fałszywy MacDougall. – Nie jest zły, ale nigdy nie rozstaje się ze swoim hikiem i strzałami.

Uwierzylibyście w to? Mógłby przebić strzałą któregoś z was, zanim zdążycie się nawet poruszyć. A przy takiej odległości, wyobraźcie sobie, że te cholerne angielskie łuki mają taką siłę, iż pocisk przebija pancerz jak zwykłe ubranie.

–Grozisz mi? – warknął Lord Eshan.

–Ja? Grożę ci? Oczywiście, że nie. Chcę tylko nawiązać grzeczną rozmowę, jak czynią to najwyżsi rangą, ponieważ pospólstwa nie stać na to.

–Sądzę, że czas zobaczyć złoto – nalegał opancerzony duch.

Tym razem w jego żądaniu nie było już tej stanowczości, co przed chwilą. Stał zwrócony w stronę Dafydda, który wyjął z kołczanu strzałę i przesuwał jej wyżłobienie po cięciwie.

–Może nie widzisz wszystkich, lecz jest nas tu dwu- dziestu – ciągnął. – Jeden łucznik, kimkolwiek by był, nie jest w stanie trafić nas wszystkich, zanim posiekamy cię na kawałki!

–Ależ nie! Nie, nie – zaprzeczył Jim. – Nawet gdybyśmy o tym pomyśleli, Dafydd byłby zainteresowany jedynie twoją osobą.

–Nie zastraszysz mnie – parsknął Lord Eshan. – Za- bij mnie, a za czterdzieści osiem godzin znów będę żywy!

–Ale w tym czasie ktoś inny może odebrać ci przywódz- two – zauważył Smoczy Rycerz, leniwie rozglądając się wokół. – Czy nie jest to prawdopodobne?

–Nie, wcale! – warknął Pusty Człowiek, lecz i tym razem w jego głosie brakowało

przekonania. – W porząd- ku, powiedz wszystko, co masz do powiedzenia, a później przejdziemy do interesów.

–No cóż – zaczął Jim z wahaniem – może rzeczywiś- cie powinniśmy zacząć od otwarcia tej skrzyni.

Puści Ludzie nie czekali już na pozwolenie Lorda Eshana.

Rzucili się w kierunku jucznego konia. Jim usłyszał ciężkie uderzenie i brzęk monet, gdy puściła lina utrzymująca skrzynię i ta spadła na ziemię.

–Hej, do diabła, po co to zrobiliście? – zdenerwował się Smoczy Rycerz. – Ta skrzynia będzie nam jeszcze potrzebna, żeby przywieźć resztę złota.

–Jest prawie pusta! – rozległ się krzyk jednego z duchów. – Eshan, na dnie jest tylko garstka monet! Nie starczy nawet dla nas, nie mówiąc o reszcie!

–Co ty mówisz?

Przywódca Pustych Ludzi poderwał się na nogi, a Jim pospiesznie uczynił to samo.

–Lepiej szybko nam to wyjaśnij, Eshan! – rozległ się ten sam głos. – To ty namówiłeś nas do tego. A teraz mamy tyle pieniędzy, ile moglibyśmy zebrać od kilku podróżnych!

–Na kości Świętego Piotra – rzekł niespiesznie Jim. – Ależ szybko wyciągacie mylne wnioski. Mieli rację ci, którzy mówili, iż zupełnie nie można wam ufać. Niemniej nasz król postanowił wam zawierzyć. Mam jeszcze dużo do powiedzenia, więc lepiej mnie posłuchajcie.

–W porządku, wszyscy wycofać się – polecił Lord Eshan. – Chcemy złota, prawda? A więc dobrze, wy- słuchamy cię. Wszyscy do tyłu! Posłuchamy go, a jeśli to co powie, nie będzie nam odpowiadać, dobrze wiecie, co robić!

–A tak na wypadek, gdyby któryś z was chciał postąpić nierozważnie – przemówił fałszywy MacDougall, odpę- dzając muchę, która usiadła mu na kolanie – powinniście wiedzieć, że jeszcze jeden z nas skrywa się w lesie i obserwuje teraz wszystko, co tu się dzieje. Jeśli któryś spośród waszej bandy będzie próbować niepostrzeżenie podkraść się do mojego łucznika lub do mnie, natychmiast nas o tym ostrzeże.

Spod przyłbicy rozległ się potok przekleństw.

–…Kłamiesz! – wykrzyknął. – Znamy te lasy. Obser- wowaliśmy was, zanim tu dojechaliście. Byliście tylko we dwóch.

–Wiedz, że bardzo się mylisz – powiedział Jim, podnosząc głos – nieprawdaż? Przyjacielu, jesteś tam?

–Jestem – rozległ się ochrypły głos, który zdawał się dobiegać z miejsca tuż obok nich.

Wśród grupy Pustych Ludzi zapanowało zamieszanie, a któryś z nich wyszeptał z przestrachem: -…To głos wilka.

–Macie tam wilka? – zapytał Eshan.

" – No i kto miał rację? – rzekł Jim z tryumfem w gło- sie. – Ale wracajmy do sprawy wypłaty reszty złota. Teraz jesteście gotowi mnie wysłuchać?

–Przecież czekam na to od chwili, kiedy usiedli- śmy – oburzył się przywódca Pustych Ludzi. – Tak, jesteśmy gotowi, więc mów szybko.

–Jeśli chodzi o pośpiech – przemówił fałszywy Mac- Dougall, wolno cedząc słowa i ponownie sięgając po chusteczkę – to mnie spieszy się jeszcze bardziej, żeby zakończyć wreszcie tę rozmowę i uciec od tego smrodu. No więc, to bardzo proste. Wybrałem miejsce

zaznaczone na mapie, którą wam dam…

Sięgnął po skrawek białego płótna, na którym węglem wykreślona była mapa Wzgórz Cheviot, i rozłożył go na ziemi.

–Skoro znacie tak dobrze okoliczne lasy, jestem pewien, że nie będziecie mieli problemu ze znalezieniem tego miejsca.

Dla pewności znajduje się tam kij z wiszącym na nim skrawkiem białego materiału. Rozumiecie?

Spojrzał na Eshana.

–Tak, tak! Mów dalej.

–Dobrze. Na dodatek opiszę wam to miejsce: z dwóch stron otaczają je skały i jest tam występ, z którego obaj będziemy mogli nadzorować wręczanie pieniędzy każdemu Pustemu Człowiekowi. Mówiąc szczerze, nie do końca wam ufamy. Dlatego każdy z was musi sam odebrać swą należność. – Jim urwał, by nadać swym słowom większe znaczenie. Po chwili ciągnął: – A więc ja, ty, ten łucznik i jeszcze ktoś zajmiemy miejsce na występie, a każdy Pusty Człowiek będzie po kolei podchodził po zapłatę. Wypłacimy jedną czwartą całej należnej mu kwoty. Pozostałe trzy czwarte otrzymacie, jak mówiłem, gdy szkocka armia wedrze się waszym śladem w głąb Anglii, oczywiście jeśli spiszecie się jak należy. Czy zgadzacie się na te warunki?

–Tak, do diabła! Mów dalej! – warknął Lord Eshan.

–Każdy z was, który chce otrzymać pieniądze, ma stawić się we wskazanym miejscu za dziesięć dni, od dzisiaj.

Postaram się zjawić tam późnym rankiem, ale niewy- kluczone, że będę dopiero w południe. Każdy Pusty Człowiek, który chce uczestniczyć w podziale złota, musi być już jednak na miejscu. Jeśli któryś zjawi się później, nie dostanie nic.

–Niech pochłonie cię piekło! – zaklął Pusty Czło- wiek. – Te warunki nie odpowiadają nam! My, przywódcy, odbierzemy złoto i sami je rozdamy. My też ci nie ufamy.

Jim wzruszył ramionami i uczynił ruch, jakby chciał wstać.

–No coż, a więc nie ma o czym mówić… – zaczął.

–Ależ siadaj! – zatrzymał go Eshan. – Siadaj mówię!

Może zgodzimy się na twoje warunki. Tak będzie nawet lepiej. Wszyscy chłopcy będą chcieli mieć pewność, że dostaną równe udziały, a przy jawnym podziale nie będzie z tym problemu. Może to dobry plan. W porządku.

Dziesięć dni od dzisiejszego, w miejscu, o którym wspo- mniałeś. Tylko przywieź tyle złota, ile trzeba, bo będzie tam każdy Pusty Człowiek!

Mówiąc to sięgnął po sztylet wiszący u pasa i wbił jego koniec w punkt zaznaczony na mapie. Obejrzał się i rzucił groźnie w kierunku towarzyszy zgromadzonych za jego plecami: – Macie coś do powiedzenia?

Zapanowało milczenie.

–A więc ustalone. Dziesięć dni. Lepiej będzie dla ciebie, żebyśmy znaleźli ten znak, a ty byś zjawił się ze złotem. I żadnych sztuczek!

–Sztuczki… – prychnął Jim lekceważąco, zatykając chusteczkę za pas i wstając. – Pozostawiamy wam takie dziecinne zabawy.

¦ Odwrócił się na pięcie i podszedł do jucznego konia.

Przy nim leżała otwarta skrzynia, opróżniona już do czysta.

–Ta skrzynia ma z powrotem znaleźć się na grzbiecie konia – rzucił w stronę Eshana. – Bo inaczej nie będziemy mieli w czym przywieźć złota, kiedy nadejdzie na to pora, a wtedy wy na tym stracicie.

–Naprawić to! – warknął przywódca Pustych Ludzi.

Kilka częściowo odzianych duchów zabrało się do pracy i po chwili skrzynia znalazła się na swoim miejscu.

–Wspaniale! – powiedział fałszywy MacDougall wsiadając na konia, podczas gdy Dafydd ponownie prze- wiesił łuk przez ramię, schował strzałę do kołczanu, wskoczył na rumaka i ujął uzdę jucznego konia. – Teraz, jako dowód naszego zaufania, oto zapłata dla was, przy- wódców… skoro panowie zawsze powinni dostawać więcej niż pospólstwo.

Jim sięgnął pod siodło, skąd wyjął pakunek, wyglądający na ciężki, i cisnął go w kierunku Pustych Ludzi. Ten zatoczył w powietrzu łuk i spadł na ziemię z głośnym brzękiem.

Duchy rzuciły się nań jak wygłodniałe psy na kawałek mięsa. Jim i Dafydd zawrócili konie i zniknęli w cieniu drzew.

Smoczy Rycerz pospiesznie powrócił do swojej postaci.

Jeszcze na dobre nie oddalili się od polany, gdy spomię- dzy drzew wyłonił się Snorrl.

–Z powrotem do miejsca, które nazywacie zam- kiem? – zapytał.

–Tak.

Spotkanie z przywódcami Pustych Ludzi można było uznać za udane, lecz Jima nie opuszczały nie dające się określić złe przeczucia.

–Z powrotem do zamku najkrótszą trasą i jak najszyb- ciej się da.

Droga na spotkanie zajęła im cztery godziny, zaś powrót trzy i pół. Choć więc wyruszyli wcześnie rano, zawitali na zamek dopiero po południu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że rozpoczęto przygotowania do bitwy.

W kuźniach rozpalono ogień i osadzano groty włóczni, ostrzono miecze oraz sprawdzano i prostowano pogięte pancerze. Wszystkie te prace prowadzono w drewnianych zabudowaniach otaczających dziedziniec. Ogień wolno było palić tylko w piecach i kuchni na parterze wieży. Uznawano go za największego wroga średniowiecznych domostw, zarówno wiejskiej chaty, jak i zamku.

Brian oczywiście znajdował się także na zewnątrz i nad- zorował odświeżanie swojej zbroi, siedząc na stołku przed jedną z kuźni. Gdy zauważył przyjaciół wjeżdżających przez bramę, zawołał zrywając się na nogi: – Jamesie! Dafyddzie!

Szybko ruszył w ich stronę, lecz nagle zatoczył się lekko.

–Zostań na miejscu! – krzyknął Jim. – Podjedziemy do ciebie.

Skierowali konie w jego stronę i zeskoczyli obok przyja- ciela. Zaraz przybiegli stajenni i odprowadzili wierzchowce, podczas gdy Brian po kolei uścisnął ich wylewnie.

–Czy ten widok nie napełnia twojego serca radością, Jamesie? – zapytał. – Kiedy wreszcie ruszamy?

–Za dziesięć dni – odpowiedział Jim.

–Za dziesięć dni? Świetnie, do tego czasu będę już zdrowy jak ryba i silny jak tur! Och, jakże cieszę się na tę wieść, Jamesie!

W duchu Jim pomyślał, że mimo niezwykle szybkiego tempa powrotu do zdrowia, Brian

nie będzie w stanie brać udziału w decydującej bitwie. Miał jednak nieco czasu na wymyślenie jakiegoś sposobu, by odwieść go od tego zamiaru.

–A co z Pustymi Ludźmi? – zapytał głośno pod- niecony rekonwalescent, lecz po chwili zmitygował się i dokończył niemal szeptem: – Czy połknęli haczyk?

–Tak – przyznał Smoczy Rycerz równie cicho.

Uczynił tak nie dlatego, że bał się podsłuchania przez czającego się gdzieś ducha, lecz ponieważ wokół nich było i tak zbyt wiele nadstawionych uszu. A raz zdradzona tajemnica mogła w rezultacie dotrzeć do samych Pustych Ludzi.

–Ach! A więc wejdźmy do środka na kubek wina! – zaproponował mistrz kopii, obejmując przyjaciół ramionami i prowadząc ich ku Wielkiej Sieni.

Jim i Dafydd szli po obu jego stronach, zdając się nie zauważać, że od czasu do czasu wspiera się na nich.

Przy wysokim stole było pusto. Gdy zasiedli, Jim zapytał Briana o szkockiego jeńca: – Gdzie on się podziewa?

–Na szczycie wieży lub na murach obronnych… z Li- seth – oświadczył mistrz kopii.

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym naciskiem, krzywiąc się, jakby próbował skwaśniałego wina. Smoczy Rycerz już otwierał usta, by zapytać skąd taka reakcja, lecz w tej chwili ranny krzyknął na służących, ponieważ na stole nie było wina. Stały tam kubki, lecz wszystkie dzbany były puste.

Złe przeczucia ogarnęły Jima ze zdwojoną siłą. Nie zdradził przyjacielowi planu związanego z Liseth i Mac- Dougallem, lecz nie pojmował powodu, dla którego Brian miałby widzieć coś niewłaściwego w ich przebywaniu ze sobą. Przecież gdy widział oboje po raz ostatni, dziewczyna zaledwie tolerowała obecność szkockiego wysłannika.

Sposobność, by zapytać o to minęła jednak bezpowrotnie, z zachowania Briana Jim wnioskował, że i tak nie chciałby mówić otwarcie na ten temat w obecności Dafydda. Znów nie rozumiał powodu takiego postępowania. Doszedł do wniosku, że może to ciągłe napięcie, powoduje dopat- rywanie się ukrytego znaczenia w gestach, na które za- zwyczaj nie zwróciłby najmniejszej uwagi. Być może tak właśnie było. Ale coś podpowiadało mu, że takie wy- tłumaczenie jest zbyt proste.

Nieco później, kiedy dołączyło do nich dwóch młodych de Merów, wypytując Dafydda o bitwy, w których brał udział, Jim poczuł że ktoś ciągnie go za rękaw i stwierdził, że to Brian daje mu wyraźne znaki, iż chce pomówić z nim na osobności.

Rozdział 25 j im zaniepokojony podążył za Brianem. Nie znajdował żadnego powodu świadczącego o konieczności rozmowy na osobności. Złe przeczucie, gnębiące go od chwili opusz- czenia obozu Pustych Ludzi, teraz się jeszcze spotęgowało.

Mistrz kopii poprowadził go przez drzwi wiodące na wieżę i dalej korytarzem, w stronę komnaty, w której odbywała się narada z przywódcami Northumbrian. Nie doszli jednak do niej. Brian zatrzymał się w korytarzu o kilkanaście kroków od wejścia, tak aby nie docierały do nich głosy z Wielkiej Sieni, a i oni nie byli przez nikogo słyszani.

–Jamesie – zaczął rekonwalescent grobowym to- nem – jestem załatwiony!

Choć zwrot ten zabrzmiał bardzo dwudziestowiecznie, Jim wiedział, że w tym świecie jego wymowa była szczegól- nie poważna. Można było bowiem przypuszczać, że osobiste plany Briana legły w gruzach i sytuacja wygląda wprost katastrofalnie. Odbijało się to

wyraźnie na twarzy rycerza, z której emanowało nieszczęście.

–Brianie! – wykrzyknął Jim, poruszony tym wido- kiem. – Co się stało?

Ten położył dłoń na jego ramieniu i przemówił: – Jamesie… jestem zakochany.

–Ależ tak – uspokoił się Smoczy Rycerz. – Przecież Lady Geronde Isabel de Chaney jest osobą wartą miłości.

Jakiż to problem?

–Ale ja już jej nie kocham…

–A więc któż to taki? – zapytał Jim. W jego mózgu błysnęło nagłe podejrzenie. – Chyba nie…

–Tak – przyznał mistrz kopii, nie czekając nawet na dokończenie pytania. – Ten anioł na ziemi. Liseth de Mer.

–Brianie, nie mówisz chyba poważnie!

–Przysięgam na swą duszę – oświadczył, kładąc rękę na sercu, a właściwie tam, gdzie wydawało mu się, że jest jego miejsce, ale widać anatomia nie była jego mocną stroną.

Jimowi na moment odebrało mowę. Nigdy nie widział przyjaciela w takim stanie. Właściwie jak dotąd, w tym świecie nie miał jeszcze do czynienia z poważną rozmową 0 miłości. Oczywiście, często zdarzały się żartobliwe dysputy na ten temat i wokół słyszało się miłosne pieśni bardów, ale ogólnie nie traktowano miłości poważnie, a przykład Herraca stanowił zapewne wyjątek. Teraz jednak miał przed sobą Briana, gotowego niemal zemdleć z powodu miłosnego uniesienia.

–Ale… – zdołał wykrztusić Jim, ponieważ w głowie nagle poczuł zupełną pustkę – jesteś przecież zaręczony z Lady de Chaney.

Rycerz spuścił wzrok.

–Tak – westchnął ciężko.

–Tak? – powtórzył Jim. – Brianie, znamy się już od niemal dwóch lat. Jesteś moim najlepszym przyjacielem 1 wiele razem przeszliśmy, lecz muszę przyznać, że nigdy nie zauważyłem, byś kochał Geronde Isabel de Chaney.

Mistrz kopii westchnął ciężko.

–To prawda – przyznał. – Kiedyś mi się wydawało, ze ją miłuję. Gdybyśmy nie przyjechali tutaj, ciągle bym w to wierzył. Jest to bowiem piękna dama, której byłem wierny przez wszystkie te miesiące i lata, odkąd jej ojciec zaginął w Ziemi Świętej. Ale Liseth de Mer różni się od niej jak gwiazda od pochodni.

Jim powoli zaczął porządkować myśli.

–Kiedy zakochałeś się w Liseth? – zapytał.

–Od pierwszego wejrzenia.

–Ale mówisz mi o tym dopiero teraz. Dlaczego?

Brian na chwilę spuścił wzrok.

–Nie przyznawałem się do tego przed samym sobą – wyznał, spoglądając Jimowi prosto w oczy – zanim nie zobaczyłem jak życzliwie odnosi się do tego modnisia ze szkockiego dworu. Och, wiem, że to tylko jej gra. Sama mi o tym powiedziała, kiedy wreszcie odważyłem się wyznać jej swoje uczucie. Ale niemniej…

–A jak ona zareagowała na takie wyznanie?

–Zaśmiała się – jęknął. – Zaśmiała.

–Zapewne próbowała zachować się uprzejmie, starając obrócić to w żart – pocieszył go Jim.

–Nie mam wątpliwości, że miała właśnie taką intencję, ponieważ odznacza się tak ogromną mnogością cnót, że jest aniołem. A przecież wiedziała, że zdaję sobie sprawę, iż nie odwzajemnia mojej miłości.

–Wiedziałeś o tym? – zdziwił się Jim. – A jednak zdecydowałeś się powiedzieć o swoich uczuciach?

–Musiałem. W przeciwnym wypadku spłonąłbym!

Albo bym oszalał i przebił mieczem tego MacDougalla, choć rozumiem, że nie jest prawdziwym konkurentem.

–No cóż… – zawahał się Smoczy Rycerz. – Ale skąd wiedziałeś, że twoja miłość nie jest przez nią odwzajem- niana?

–A jakże mogłoby być inaczej? – zapytał Brian. – Pochodzi przecież z honorowej rodziny i ma swoją cześć. Podobnie jak ja. A jak już wspomniałeś, oddałem swoje serce Lady Geronde Isabel de Chaney.

Związałem się z nią słowem honoru. Moim przeznaczeniem jest więc, bym kiedyś został jej mężem, lecz teraz uczynię to przekonany, że nie ona jest osobą, którą naprawdę kocham.

Zapanowała cisza. Jim pospiesznie myślał, co powinien w takiej sytuacji powiedzieć. Brian zaś nie był już w stanie mówić.

–Mężczyźni czasami nie żenią się z kobietami, którym dali słowo…

–Ale nie tacy, którzy cenią swój honor! – zaprzeczył rycerz, prostując się. – Nie! Moja obietnica wiąże mnie jak okowy. Jestem rycerzem oraz chrześcijaninem, a dane słowo nigdy nie zostanie cofnięte!

–No a co z uczuciami Lady de Chaney, jeśli dowie się o twojej miłości do Liseth?

–Och, oczywiście, że się dowie, ponieważ moim obo- wiązkiem jest poinformowanie jej o tym.

–Brianie! – wykrzyknął Jim.

W teatralnym geście zamknął oczy i pięściami ścisnął skronie. Odruch ten, o dziwo, pozwolił mu na pozbieranie myśli i ukierunkowanie dalszej części rozmowy. Uznał, że za wszelką cenę musi wybić przyjacielowi z głowy ten zamiar.

–Czy pomyślałeś jak nieszczęśliwą uczynisz Lady de Chaney, jeśli powiesz jej, że bierzesz ją za żonę jedynie z poczucia obowiązku, a nie kierowany uczu- ciem? – zapytał.

–To prawda, że uczynię ją nieszczęśliwą, ale muszę dbać o swój honor. To dlatego wezmę ją za żonę i nigdy więcej nie zobaczę już Liseth.

–Posłuchaj, Brianie… – zaczął Jim, lecz urwał, ponie- waż właściwie nie wiedział, co powiedzieć.

–Tak, Jamesie? – Brian popatrzył na niego z zainte- resowaniem.

–Powiedz, jakiego koloru są włosy Lady Li- seth? – zapytał, siląc się na spokojny ton.

–Blond. Zapewne sam to zauważyłeś – odparł mistrz kopii nieco zaskoczony.

–Rzeczywiście. Chciałem się tylko upewnić. A jakie włosy ma Lady Geronde Isabel de Chaney?

–Ależ także blond. Po co te pytania, Jamesie?

–Za chwileczkę… – uspokoił go Smoczy Ry- cerz. – Odpowiedz mi najpierw, czy Lady de Chaney jest wysoka czy niska… jak na kobietę?

–Niska, ale…

–A Lady Liseth de Mer? Wysoka czy niska?

–Także niska – przyznał Brian. – Doprawdy, Jame- sie, nie rozumiem intencji tych pytań.

–Zaraz zrozumiesz – rzekł ponuro Jim. – Czyż nie jest prawdą, że kochasz Geronde Isabel de Chaney już od kilku lat, a nie możesz ożenić się, ponieważ jej ojciec, który jako jedyny, winien udzielić zgody i pobłogosławić wasz związek, zaginął w Ziemi Świętej?

–Przecież sam mówiłem ci o tym wielokrotnie. Oczy- wiście, że to prawda.

–Bardzo dobrze. A teraz zastanów się. Obiecaj, że przemyślisz dokładnie to, co ci powiem.

–Obiecuję, Jamesie. Wiem, że wszystko co mi powiesz, będąc najlepszym przyjacielem i najmądrzejszym doradcą, dyktuje ci chęć uczynienia mnie szczęśliwym. Przemyślę to więc, jak tylko będę mógł najdokładniej.

–Kilka lat temu zakochałeś się w Lady Geronde Isabel de Chaney, która jest ładna, niska ima blond włosy. Przez niemal cztery lata nie możecie się pobrać, chociaż oboje bardzo tego pragniecie. Teraz, w tym oto zamku, spotykasz inną młodą damę, która jest niska, ma blond włosy i którą uważasz za piękną. Czy to prawda?

–Każde słowo – przyznał Brian. – Ale niech mnie diabli, jeśli wiem do czego zmierzasz!

–Właśnie do tego. I właśnie to chcę, byś przemyślał poważnie, najlepiej na spokojnie, przez kilka najbliższych dni. Czy to możliwe, że skoro podobają ci się niskie kobiety o blond włosach, zakochujesz się w damie miesz- kającej w sąsiedztwie, lecz nie możesz się z nią ożenić?

Teraz, cztery lata później, czekając na jej ojca, napotykasz inną damę, niską blondynkę, lecz tym razem nic nie stoi na przeszkodzie zawarcia z nią małżeństwa. Czy jest więc możliwe, Sir Brianie Neville-Smythe, że znajdując się w pewnego rodzaju depresji, przerzuciłeś uczucia z Lady de Chaney na Lady Liseth de Mer, ponieważ ją możesz pojąć za żonę?

Brian popatrzył na niego twardo.

–Proszę bardzo, Jamesie – rzekł gwałtownie. – Po- myślę o tym… teraz!

Stojąc, w zamyśleniu przewracał oczami. Minuty mijały i Jim zaczął się już denerwować.

Wreszcie Brian drgnął i przemówił: – Nie, Jamesie. Przemyślałem to bardzo poważnie.

Rzecz w tym, że nigdy tak naprawdę nie kochałem Lady Isabel de Chaney. To było tylko złudzenie trwające trzy lata, zapewne dlatego, że mieszkała niedaleko i często się widywaliśmy. To Lady Liseth de Mer kocham wielką, prawdziwą i czystą miłością.

–Brianie… – zaczął Jim podirytowany, lecz przyjaciel nie dał mu dojść do słowa.

–A więc, Jamesie, co mam robić? – zapytał.

Smoczy Rycerz westchnął ciężko.

–Brianie, nie wiem. To znaczy… teraz nie jestem w stanie ci nic poradzić. Daj mi czas, aż rozwiążemy sprawę z Pustymi Ludźmi, dobrze? Wtedy o tym pomyślę.

A do tego czasu nikomu nic nie mów. I nie strać głowy na tyle, żeby zrobić jakąś krzywdę MacDougallowi.

–Obiecuję, Jamesie. Daję ci moje słowo. Jeśli tylko sam nie wywoła kłótni, nic mu nie

grozi, nawet jeśli będzie łaził za Liseth.

–Dobrze. Wracajmy zatem do stołu.

Pod ich nieobecność Liseth powróciła wraz z jeńcem do Wielkiej Sieni i teraz oboje siedzieli w końcu stołu, roz- mawiając szeptem, tak że nic nie było słychać.

Podsłuchanie ich było zupełnie niemożliwe, bo dwóch młodych de Merów, Christopher i Alan, wciąż zasypywało Dafydda pytaniami, a zadawali je tak głośno, że zagłuszali wszystkie inne rozmowy. Jim z Brianem usiedli obok łucznika, niemal w przeciwnym końcu stołu niż dziewczyna i więzień.

Mistrz kopii dotrzymał słowa, nawet nie spoglądał na tę parę, lecz zwrócił uwagę na rozmowę toczoną przez męż- czyzn i sam zaczął w niej uczestniczyć.

Usiadłszy, Jim zagłębił się w czarnych myślach. Przed nim były niełatwe zadania, ponieważ musiał wdrożyć Małych Ludzi i Northumbrian do bezpośredniej współ- pracy. Od czasu do czasu rzucał spojrzenia Liseth oraz jej towarzyszowi i zauważył, że dziewczyna dobrze się bawi.

Właściwie zbyt dobrze.

Cóż by to było za nieszczęście, gdyby Liseth zakochała się w MacDougallu. A jeszcze gorzej, gdyby powiedziała o tym Brianowi, bo wtedy najprawdopodobniej doszłoby między nimi do otwartego konfliktu, który mógł zakończyć się tylko pojedynkiem. Jim nie wątpił, że normalnie przy- jaciel wyszedłby z niego obronną ręką, lecz w takim stanie, w jakim się obecnie znajdował, wyniku starcia nie sposób było przewidzieć.

Od szesnastego roku życia Brian utrzymywał siebie i zamek z jedynego zajęcia dozwolonego rycerzowi -walki.

Co więcej, odznaczał się szczególnymi predyspozycjami w tej dziedzinie. Jego refleks był tak szybki jak Jima, który, mając dodatkowo bardzo silne nogi, brylował na boisku do siatkówki.

Dzięki ustawicznemu treningowi, mistrz kopii uzyskał tak twarde mięśnie, że sprawniejszych Jim nie widział w całym życiu. A ponadto MacDougall był niższy od Briana i ważył mniej od niego. Gdyby więc między tymi dwoma rycerzami doszło do walki na miecze, Anglik poszatkowałby przeciwnika na plasterki, nawet jeśli była to broń preferowana przez tamtego.

W tej chwili do sieni wszedł Herrac, więc Jim zerwał się od stołu, by odciągnąć gospodarza na bok, jak przed kilkoma minutami uczynił to z nim mistrz kopii. Chciał bowiem przedstawić de Merowi wyniki spotkania z przy- wódcami Pustych Ludzi.

Udali się do komnaty, w której rozmawiali poprzednio.

Była ona bez wątpienia prywatnym pokojem pana zamku.

Herrac w milczeniu słuchał wszystkiego, co Jim miał mu do powiedzenia. Siedział bez ruchu, a jego oblicze nie wyrażało żadnych uczuć. Gdy jednak Smoczy Rycerz skończył, westchnął ciężko.

–Dziesięć dni to niewiele czasu. A jest go jeszcze mniej, jeśli trzeba dopilnować, by Mali Ludzie stanęli u naszego boku. Obie strony zgodziły się już na to, ale od słów do czynów daleka droga. Trzeba, na przykład, już teraz ustalić jak rozlokować ich na placu boju i jakie zadania powierzyć poszczególnym oddziałom. – Zawahał się, po czym konty- nuował: – Mali Ludzie walczą pieszo z włóczniami w dłoniach, tak jak Szkoci z nizin, my zaś najlepiej

czujemy się na końskich grzbietach. Ale wśród drzew nie będziemy mogli nabrać pędu koniecznego do konnego ataku.

–A może jednak. Sądzę, że jest to możliwe. Popatrz tylko.

Jim sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mapę podobną do tej, jaką wręczył przywódcy Pustych Ludzi. Ta jednak przedstawiała otwartą przestrzeń ograniczoną lasem i pionowymi skałami, mającą być polem bitwy.

–Popatrz – zachęcił gospodarza, rozwijając ją na stole. – Chcę zaproponować, by Mali Ludzie wykonali pierwsze natarcie. Puści Ludzie z początku nie powiążą tego z moją obecnością i nie zorientują się, że ich zdradzi- łem, wciągając w pułapkę bez wyjścia.

Dał Herracowi chwilę, by ten mógł przemyśleć to, co usłyszał. Gospodarz skinął wreszcie głową.

–Zanim duchy pojmą, co się dzieje, Mali Ludzie odrzucą ich od skraju lasu. Gdy Puści Ludzie otrząsną się z pierwszego zaskoczenia, schiltrony powinny prze- puścić do przodu ludzi znad granicy, na koniach lub pieszo.

Znów zamilkł.

–Mów dalej – zachęcił go Herrac.

–Dzięki temu Northumbrianie na koniach zmierzą się z Pustymi Ludźmi na ich niewidzialnych wierzchowcach, a Mali Ludzie zajmą się pieszymi wrogami. Wspólnie powinni sformować pierścień zamykający duchom drogę ucieczki, a gdy większość Pustych Ludzi zginie już, twoi rodacy wycofają się, by zrobić miejsce oddziałom Małych Ludzi. Te przyprą duchy do skał i wytną je wszystkie w pień. Co sądzisz o takim planie?

–Jest tylko jeden problem – przyznał de Mer. – Trud- no będzie wycofać Northumbrian, jeśli już rzucą się do walki.

–Sądzę, że i tak będą mieli ręce pełne roboty z tymi spośród Pustych Ludzi, którzy przemkną przez wewnętrzny pierścień i będą starali się umknąć. Twoi rodacy powinni więc utworzyć drugą linię, abyśmy byli pewni, że żaden nie wydostanie się na wolność.

Jim skończył i czekał. Herrac zadumał się nad mapą, wodząc po niej palcem.

–To może być niezły pomysł… ale nic nie jest pewne w wojennych planach – rzekł w końcu. – Możemy jednak wstępnie przyjąć, że tak właśnie rozegramy tę bitwę.

Uniósł głowę i spojrzał Jimowi prosto w oczy.

–Zdajesz sobie sprawę, że Northumbrianie spodziewają się, iż za udział w walce dostaną złoto, które przywieziesz dla Pustych Ludzi. Czy Mali Ludzie także chcą otrzymać zapłatę?

–Zapytałem o to Dafydda, gdy wracaliśmy ze spot- kania z Pustymi Ludźmi – rzekł Smoczy Rycerz. – Po- wiedział, że nie wydaje mu się to prawdopodobne, ponieważ Mali Ludzie wcale nie posługują się złotem. Chcą tylko pozbyć się wroga ze swoich ziem, by ich żony i dzieci nie czuły się zagrożone, a oni sami mogli żyć w pokoju. Ich stosunek do złota jest zupełnie inny niż nasz.

–Boże, jakże miło słyszeć, że są tacy, którzy nie poświęcą wszystkiego dla złota – powiedział de Mer, znów wzdychając. – Upewnij się jednak co do tego. Lecz jeśli jest tak jak mówisz, mamy z głowy jeden z poważniej- szych problemów.

–Zrobię to – zapewnił Jim. – Jutro ponownie wybieram się do Małych Ludzi, by powiadomić ich o ter- minie bitwy i zaprosić na naradę w dzień ją poprzedzający.

Czy ty w tym czasie będziesz mógł skontaktować się z rodakami i zadbać, by już zaczęto rekrutować konieczną liczbę wojowników?

–Zrobię jak mówisz.

–Dobrze. Co więcej, gdy tylko wrócę, udam się z tobą, aby osobiście porozmawiać z Northumbrianami. Razem z nami powinien być też Dafydd. Może się bowiem zdarzyć, że konieczne będzie korzystanie z jego książęcego auto- rytetu. Musimy oswoić ich z myślą, że w naradzie wojennej weźmie także udział kilku Małych Ludzi.

–Nie wiem jak moi krajanie zareagują na ich obe- cność – zawahał się de Mer.

–Musisz ich przekonać, że nie powinni się sprzeciwiać.

Powinni zaakceptować przynajmniej ich przywódców. Aha, gdy mowa o dowództwie, chciałbym byś ty dowodził swymi rodakami.

Herrac ponownie się zawahał.

–Unikałem podjęcia się tej funkcji, choć wiem, że wielu chciałoby widzieć mnie jako wodza – oświad- czył. – Przywódca, świadomie czy nie, przysparza sobie wrogów. A ja nie chciałem nigdy dawać synom powodów do zmartwień po mojej śmierci. Zawsze odstępowałem ten zaszczyt Sir Johnowi the Graeme.

–Tym razem to musisz być ty – powiedział twardo Jim. – Pomiętasz moje spotkanie z Sir Johnem. Będzie starać się za wszelką cenę postępować po swojemu, choćby tylko po to, by wobec mnie demonstrować swą niezależność.

Ty zaś rozumiesz co należy robić i będziesz realizował nasze wspólne ustalenia.

–Cóż… – Herrac wciąż nie podejmował ostatecznej decyzji – Dobrze. Zaproponuję, że ja będę dowódcą.

Ale musi spotkać się to z ogólnym poparciem i nie może wywołać gniewu Sir Johna. Dysponuje on znacznymi siłami i nie chcę, by synowie znaleźli w nim wroga.

Co więcej, jeśli przeprowadzi odpowiednie pokątne zabiegi, wielu może nas opuścić, a potrzebujemy przecież wszy- stkich.

–Wywarł na mnie wrażenie mądrego człowieka – rzekł Smoczy Rycerz. – Takiego, który nie zawahałby się przed użyciem siły, by osiągnąć to, czego pragnie, ale jednocześnie kogoś wiedzącego kiedy poddać się wiejącemu wiatrowi.

Wydaje mi się, że jeśli ogół okrzyknie cię przywódcą, ustąpi i nie będzie czynić żadnych trudności.

–Wspaniale go rozszyfrowałeś – przyznał gospodarz z lekkim uśmiechem. – Można by pomyśleć, że spędziłeś wśród nas całe życie.

–Wiesz, że tak nie jest, lecz muszę ci zdradzić, iż ludzie wszędzie zachowują się podobnie: jedni sięgają po władzę, a inni wolą, by nimi rządzono. W końcu jednak większość decyduje się pójść za przywódcą, któremu najbardziej ufa, a ty jesteś właśnie taką osobą.

–Może to i racja. Mam przynajmniej taką nadzieję.

Czy mogę wziąć tę mapę, by pokazać ją rodakom?

–Będzie bardzo dobrze, jeśli tak zrobisz. Właśnie z tą nadzieją własnoręcznie ją wykreśliłem. To chyba wszystko.

Możemy wracać.

Zbliżała się już pora wieczerzy i Herrac zajął swoje zwykłe miejsce w połowie długości

stołu. Jim zasiadł obok niego. W czasie ich nieobecności zjawili się tu także pozostali młodzi de Merowie oraz Lachlan. W tak dużym gronie zaraz zawrzały rozmowy i nawet Herrac brał w nich udział.

Tylko Jim siedział w milczeniu. Zrezygnował z obser- wowania Liseth i MacDougalla, a nawet Briana. W głowie kłębiły mu się myśli jak poradzić sobie z Małymi Ludźmi i co im powiedzieć.

łfi Rozdział 26 s, 'potkanie z Małymi Ludźmi przyniosło znacznie więcej kłopotów, niż Jim pierwotnie przypuszczał.

Wraz z Dafyddem, mając za przewodnika Snorrla, późnym rankiem dotarli do ich siedzib. Znów jednak zostali zatrzyma- ni u wjazdu do ich doliny, gdzie czekał na nich Ardac.

–…Ilu ludzi znad granicy ma być na tym spotkaniu, w którym mamy uczestniczyć? – zapytał syn Lutela.

–Kiedy spotkałem się z nimi po raz pierwszy, było ich ośmiu. Teraz ma być więcej. Nie jestem pewien, ale nie zdziwiłbym się, gdyby przybyło ich nawet osiemna- stu – odpowiedział Jim.

–W takim razie zjawi się osiemnastu dowódców na- szych schiltronów.

Smoczy Rycerz spodziewał się, że Mali Ludzie będą chcieli mieć na naradzie swoich reprezentantów, lecz nie w takiej liczbie.

–Nie jest to rozsądne – starał się tłumaczyć. – Może trzech, czterech spośród was. Powiedzmy nawet pięciu. Ale nie więcej, jeśli rzeczywiście chcecie wziąć udział w bitwie z Pustymi Ludźmi.

–A dlaczegóż nie może nas być tylu co ich? – upierał się Ardac. – My będziemy stanowić co najmniej połowę sił, a znając Northumbrian przewiduję, że nasza liczebna przewaga będzie znaczna. Jak już wcześniej mówiłem, moglibyśmy załatwić tę całą sprawę sami.

–Nie mielibyście jednak pewności, że definitywnie zniszczycie Pustych Ludzi, nie mówiąc już o tym, że bitwa ta nie wpłynęłaby na zbliżenie was do ludzi z pogranicza.

A ja, jako mag, wiem, że nadejdą czasy, kiedy wspólnie, ramię przy ramieniu, będziecie musieli walczyć na znacznie groźniejszej wojnie.

–Więc! – zwrócił się Ardac do pięciu siwobrodych starców, tym razem stojących o niecałe pięć stóp od niego.

Po chwili milczenia ponownie przemówił do Jima: – Gdy nas widzą, reagują tak jak na dzikie zwierzęta.

Opowiadają o nas tysiące niestworzonych historii. Winią nas za wiele spraw, z którymi nie mamy nic wspólnego lub są one po prostu zmyślone. Ale musimy wystąpić na naradzie w mniejszej liczbie niż oni.

–Sir James chce tylko przekazać opinię tamtych ludzi – wtrącił Dafydd, pomagając przyjacielowi.

–A czy my także nie jesteśmy ludźmi? – wybuchnął Ardac. – Przez całe tysiące lat na nikogo nie napadaliśmy.

To zawsze nas gnębiono ze wszystkich stron. Rzymianie przycisnęli nas żelaznym uściskiem. Potem Szkoci, Piktowie.

Wszyscy atakowali nas, by odebrać nam ziemie i to, co posiadaliśmy. A my wciąż tylko

się broniliśmy. – Urwał na moment, po czym ciągnął już spokojniej: -Aż wreszcie zrozumieliśmy, że nie zapanuje pokój, dopóki wrogowie nie zostaną odepchnięci dalej od naszych granic, więc ruszyliśmy i doszliśmy aż do…

Tu użył słów brzmiących jak wymawiana przez Dafydda nazwa Królestwa Gór Oblewanych Falami Morza. Jim nie mógł ukryć zdziwienia, że tak łatwo przeszło mu to przez gardło, podczas gdy on i Herrac bezskutecznie starali się odtworzyć ten potok sylab.

–… Tam znaleźliśmy innych ludzi, twoich roda- ków! – Te słowa skierował do Dafydda. – Nie atakowali nas i traktowali jak zwykłych ludzi, którymi przecież jesteśmy, może z wyjątkiem posiadania niewielkich zdolno- ści magicznych, które nieraz pomagały nam przetrwać.

Tym niemniej jesteśmy ludźmi! A oni jako jedyni potrak- towali nas w ten sposób. Żyliśmy więc w zgodzie, aż do czasu, gdy ich kraj zniknął pod wodami oceanu. Wtedy przeżyliśmy kolejną inwazję, tym razem Normanów, więc zebraliśmy się wszyscy na tym skrawku ziemi, którego każdą piędź gotowi jesteśmy okupić własnym życiem. Ale pamiętaj, że jesteśmy ludźmi! Ludźmi! Tak samo jak Northumbrianie. Oni muszą to wreszcie zrozumieć!

–Wierzę, że to nastąpi – przemówił łagodnie Walij- czyk – lecz potrzeba na to czasu, ponieważ w ludzkiej naturze leży, by w poważnych kwestiach nagle nie zmieniać zdania, lecz powoli, w miarę jak prawda stopniowo zostaje zrozumiana.

–Musimy o tym pomówić! – oświadczył stanowczym tonem Ardac.

Odwrócił się do pięciu starców i wspólnie odeszli nieco, na tyle, by nie było słychać ich rozmowy. Dyskutowali przez kilka minut. W tym czasie Jim oraz Dafydd stali na słońcu, którego promienie przypiekały i robiło im się coraz goręcej.

Wreszcie dowódca schiltronu powrócił, a za nim zbliżyli się także wiekowi mędrcy.

–Polegamy na twoim honorze – tu wypowiedział niemożliwy do powtórzenia tytuł Dafydda – że dopil- nujesz, byśmy mieli równe prawo głosu, gdy zjawię się wraz z trzema lub czterema towarzyszami. Ostrzegam cię jednak, że nie pozwolimy sobie na żadne pogardliwe uwagi czy aluzje pod naszym adresem. Obiecaj także, że powtórzysz to ludziom z pogranicza, zanim jeszcze dojdzie do spot- kania.

–Obiecuję na honor mojego imienia… – przemówił łucznik, wyrzucając z siebie ponownie potok miękkich sylab, po czym spojrzał na Jima. – Sir Jamesie?

–Macie także moją obietnicę – zapewnił Smoczy Rycerz. – Jestem gotów postawić na to całą swoją reputację. Northumbrianie będą was szanować, bo w prze- ciwnym wypadku ogłoszę zerwanie narady.

–I posłuchają cię, jeśli postawisz im taki waru- nek? – zapytał Ardac.

–Posłuchają – rzekł z przekonaniem Jim. Przez chwilę zrobiło mu się gorąco i poczuł wściekłość. – Jestem magiem i potrafię rozpędzić taką naradę, czy pozostali będą tego chcieć, czy też nie!

Zapanowała chwila ciszy, którą przerwał wreszcie dowód- ca oddziału Małych Ludzi: – A więc oddajemy się w wasze ręce. Przybędę wieczo- rem, przed bitwą, wraz z co najmniej trzema towarzyszami.

Przedstawiony przez ciebie plan batalii odpowiada nam.

Jeśli zostałby zmieniony, zapewne będziecie musieli radzić sobie sami, chyba że zmianę

i my zaakceptujemy. Pozo- stawiam to waszemu honorowi, Sir Jamesie Eckercie i…

Po raz ostatni wypowiedział pochodzący z odległych czasów tytuł przyjęty przez Dafydda.

W drodze powrotnej Jim nie był skory do rozmowy.

Z troską rozmyślał o ogromnych trudnościach, jakie zapew- ne czynić będą ludzie znad granicy. Z zadumy wyrwał go głos Walijczyka, który zdecydował się przerwać milczenie.

–Czy spróbujesz ich zrozumieć, Jamesie?

Jim poczuł wzruszenie. Łucznik bardzo rzadko zwracał się do niego rezygnując z tytułu "Sir". Zrozumiał jednak, że teraz przyjaciel zwraca się do niego jako książę, co daje mu prawo traktowania go jako równego sobie, a nawet niższego rangą. Wzruszenie nie ustąpiło jednak. Nie musiał pytać Dafydda, jakich "ich" miał na myśli.

–Uwierz mi, że tak. Naprawdę jestem w stanie spojrzeć na świat z punktu widzenia Małych Ludzi, przynajmniej na tyle, na ile może zrobić to ktoś nie będący jednym z nich.

Nie sposób jednak udawać, że łatwo jest mi ich zrozumieć, ponieważ nigdy nie doświadczyłem na własnej skórze tego, co oni przez setki lat. – Spojrzał na Dafydda, licząc na jego wyrozumiałość. – Ale z pewnością zasługują na równoprawną reprezentację – ciągnął. – W zupełności się z nimi zgadzam. Niestety, musimy jednak wybrać nie to, co podpowiada nam serce, lecz to, co konieczne jest do zapewnienia realizacji naszych planów. Zdradzę ci, że choć nie potrafię tego wytłumaczyć, jestem przekonany, iż Mali Ludzie i Northumbrianie zaczną w końcu ze sobą ściśle współpracować, aż staną się przyjaciółmi, a wtedy zatrą się pomiędzy nimi wszelkie różnice, poza oczywiście fizycznymi.

Kiedyś może już nie będzie Małych Ludzi, lecz po prostu nieco niżsi od innych. Nie będzie im to jednak w niczym przeszkadzać.

–Być może masz rację, Jamesie… Nie wiem. Mnie samego nic nie łączy już z tym królestwem, które zniknęło pod falami oceanu. Ci spośród nas, którzy zdołali opuścić ów kraj, już dawno temu stracili bezpośredni kontakt z rodakami. Ale wciąż czujemy ze sobą silną więź, podobnie zresztą jak z Małymi Ludźmi. W końcu, jeśli przetrwają, ich krew będzie płynąć w żyłach ludzi takich jak my, należących do tego samego gatunku i podobnych do reszty.

Jechali dalej, rozmyślając nad przeszłością i przyszłością.

Jim uznał, że to dobrze, iż obaj pofilozofowali nad dalszymi losami Małych Ludzi. Odbiegli od piętrzących się prob- lemów teraźniejszości.

Northumbrianie z pewnością nie będę skłonni podczas narady przyznać Małym Ludziom równego prawa głosu.

W jakiś sposób trzeba ich do tego zmusić. Zdesperowany Jim chciałby, żeby jego magiczne konto było nieograniczone, tak jak uważał kiedyś, gdy znalazł się we Francji, gdzie korzystał z magii przy każdej sposobności. Teraz jednak zmuszony był polegać jedynie na swojej wiedzy pochodzącej z dwudzieste- go wieku oraz na wrodzonej inteligenci i sprycie. Mógł także skorzystać z doświadczeń nabytych podczas dwuletniego pobytu w tym świecie. Należało połączyć wszystkie te umiejętności i postarać się przekonać ludzi z pogranicza.

Wciąż nie miał najmniejszego pojęcia jak to zrobić.

Jego obawy potwierdziły się następnego wieczora, gdy wybrał się do sąsiedniego

zamku, którego główną budowlę stanowiła także kamienna wieża. Odbywało się tam kolejne spotkanie z przywódcami Northumbrian. Tym razem w ko- mnacie zebrało się ich dwudziestu czterech. Zapewne wieść o planowanej bitwie rozeszła się i zjawili się nowi, gotowi wziąć w niej udział.

Było ich tak wielu, że tylko połowa zmieściła się na ławach przy ciężkim, dębowym stole. Pozostali musieli stać wokół niego. Dla Herraca, Jima i Dafydda znalazły się miejsca siedzące, lecz temu ostatniemu odstąpiono je niechętnie, mimo że przecież występował w roli księcia pochodzącego z odległego kraju. Widząc to, Walijczyk oświadczył, że woli stać i uprzejmie odstąpił miejsce Sir Johnowi the Graeme, który podziękował za ten gest dość chłodno.

Łucznik stanął więc za plecami Jima oraz de Mera. Wciąż przez ramię miał przewieszoną broń, a do biodra przytroczo- ny kołczan. Nie odłożył ich, ponieważ wszyscy pozostali mieli przy sobie miecze, mimo zasady, iż w odwiedzinach u sąsiada nie należy nosić przy sobie broni. Widocznie spotkanie to uznano za naradę wojenną, a nie sąsiedzką wizytę.

Narada rozpoczęła się od przedstawienia Jima i Dafydda tym spośród zebranych, którzy nie poznali ich jeszcze.

Imiona obecnych na poprzednim spotkaniu zupełnie zatarły się w pamięci Smoczego Rycerza, z wyjątkiem tylko niektórych, jak na przykład Williama z Berwick – pucu- łowatego, korpulentnego mężczyzny około czterdziestki z siwiejącymi i przerzedzającymi się już włosami.

Kiedy prezentacja dobiegła końca, głos zabrał Herrac.

Gdy tylko zaczął mówić, zaległa cisza. Wyjaśnił, co zdarzyło się od ich ostatniego spotkania. Powiedział o spotkaniach Jima z Pustymi Ludźmi oraz Małymi Ludźmi oraz zwrócił uwagę na ogromne wysiłki podjęte przez Smoczego Rycerza, do których nikt inny nie byłby zdolny. Następnie oddał głos Jimowi, by ten zrelacjonował dokładnie przebieg obu tych rozmów.

Smoczy Rycerz wstał więc, aby wszyscy nie tylko dobrze go słyszeli, ale także widzieli i ponownie przedstawił założenia planu, polegające na zebraniu wszystkich Pustych Ludzi w jednym miejscu pod pretekstem wypłacenia im pierwszej raty zapłaty pochodzącej ze Szkocji. Następnie zaś opowiedział o spotkaniu z Eshanem, przywódcą duchów.

Słuchali bez słowa, a kiedy skończył, rozległy się liczne pomruki aprobaty.

–Wspaniale rozegrane – przyznał Sir John, a jego głos rozległ się donośnie po całym pomieszczeniu. – Jak wynika ze słów Sir Herraca, już następnego dnia udaliście się na rozmowę z Małymi Ludźmi.

–To prawda – odpowiedział Jim. Właśnie miał pod- kreślić, że de Mer takie mu towarzyszył, lecz Gra- eme zapewne był o tym przekonany, operując liczbą mnogą. – Jak wiesz, Sir Johnie, a zapewne także niektórzy spośród zebranych tu rycerzy, Sir Herrac był tam wraz ze mną, podobnie jak jego wysokość książę Merlon.

Zamilkł na moment, lecz po reakcji zgromadzonych, nie był w stanie zorientować się jak przyjmują jego słowa.

Mówił więc dalej: – Rozmawialiśmy z Ardacem, synem Lutela oraz pięcio- ma mędrcami Małych Ludzi. Przedstawiłem im to, co zdołałem do tej pory zdziałać i zdradziłem termin

bitwy z Pustymi Ludźmi… Nie podjąłem jeszcze tylko decyzji co do terminu ostatecznej narady, lecz proponuję, by odbyła się wieczorem w przeddzień walki. Powiadomię ich o tym, jeśli zgodzicie się na moją propozycję. – Ponownie urwał, uznając, że nadszedł już czas na najgorsze. – Proponuję także, by narada odbyła się na zamku de Mer, który będzie najlepszym do tego miejscem, jako że sądzę, iż obierzecie Sir Herraca za swego przywódcę.

Przez chwilę panowała cisza, aż rozległo się kilka niepew- nych okrzyków zgody i wreszcie w komnacie zawrzało jak w ulu, ponieważ wszyscy gremialnie zaczęli wyrażać swe poparcie. Sir John, który już otwierał usta, opadł na ławę i tylko zmarszczył brwi.

–Sądzę – przemówił wreszcie – że musimy jeszcze uzyskać zgodę samego zainteresowanego. Czy więc jesteś gotów podjąć się tej funkcji, Sir Herracu?

Basowy głos de Mera zabrzmiał potężnie w Wielkiej Sieni: – Przyznaję, że nie lubię brać na siebie roli dowódcy.

Sądzę, że wszyscy obecni wiedzą o tym. Moimi głównymi obowiązkami jest rodzina i troska o ziemię oraz zamek.

Niemniej, w tym przypadku, kiedy wreszcie mamy szansę raz na zawsze pozbyć się Pustych Ludzi, zgadzam się!

Jego głos jeszcze długo odbijał się echem od ścian. Kiedy wreszcie zamarł, Jim poczuł na sobie lodowate spojrzenie Graeme'a.

–Miałeś przekazać nam jeszcze przebieg rozmowy z Małymi Ludźmi, Sir Jamesie – przemówił. – Czy możesz to uczynić?

–Wystawią oddziały równe liczebnie waszym, a może nawet będzie ich więcej. W pierwszej chwili zapytali, ilu spośród was będzie obecnych na naradzie. Odpowiedziałem, że około osiemnastu, lecz widzę, iż myliłem się. Będzie was jeszcze więcej. Ardac, syn Lutela, odparł na to, że w takiej sytuacji z ich strony wysłanych zostanie także osiemnastu dowódców oddziałów.

W komnacie zapanowała wrzawa, ponieważ jednocześnie zaczęło mówić kilku rycerzy, a w głosie każdego z nich wyraźnie słychać było gniew.

–Jakim prawem wyobrażają sobie, że zasiądziemy do narady z aż osiemnastoma spośród nich? – wykrzyknął William z Berwick, uderzając pięścią w stół. – Wystarczy jeden, a i to już za dużo, żeby przekazać im nasze ustalenia.

Przecież będą walczyć pod naszymi rozkazami.

Po tych słowach wszyscy zamilkli i Jim uznał, iż dobrze się stało, że nie siadał.

–Ależ nikt nie twierdził, że to my będziemy nimi dowodzić. Mają własnego przywódcę, którym jest książę Merlon… związany pradawnymi więzami krwi z Małymi Ludźmi.

–To głupota – oburzył się Sir John. – Dwaj dowo- dzący równocześnie spowodują, że bitwa zakończy się klęską. Przyznaję jednak, że trudno prosić Jego Wysokość, by służył pod rozkazami prostego, acz szlachetnego rycerza, takiego jak Sir Herrac.

–Z przyjemnością to uczynię – oświadczył swym spokojnym głosem Dafydd.

–Pytam się, po co to wszystko? – wykrzyknął William z Berwick, ponownie uderzając w stół. – Po co nam w ogóle ci Mali Ludzie? Naszym prawem jest zniszczyć Pustych Ludzi własnymi siłami. I zrobimy to z łatwością!

Nagle rozległ się głuchy trzask i wszyscy zamarli, ponie- waż w środku stołu utkwiła

jedna ze strzał Dafydda, której cały grot zagłębił się w grubych, dębowych deskach.

–Pozwól, że podejmę z tobą dyskusję na ten temat, Sir Williamie – przemówił łucznik łagodnie, lecz i zdecydowanie.

Northumbria to kraina, gdzie łuk nie był cenioną bronią. Polegano przede wszystkim na mieczach, a rycerze z pogardą patrzyli na pospólstwo posługujące się łukami.

Nie zdawano sobie nawet sprawy jak potężna jest to broń. Teraz rycerze mieli przed sobą najlepszy tego dowód.

Sir William usiadł w milczeniu, przenosząc wzrok ze strzały na Dafydda i z powrotem.

–Za pomocą tej strzały chciałbym zwrócić uwagę na pewną sprawę – ciągnął Walijczyk. – Przed chwilą napiąłem cięciwę tylko na tyle, by strzała wbiła się w drew- no. Spójrz teraz co stanie się, gdy napnę ją odrobinę mocniej.

Tak szybko, że graniczyło to z magią, sięgnął do kołczanu, przyłożył strzałę do łuku, naciągnął cięciwę…

Strzała przebiła stół, a jej grot oparł się na podłodze, zaś ponad blat wystawały jedynie lotki.

–Widzisz – rzekł niemal dobrotliwie – że mój łuk nie jest tak bezużyteczny, jak można by sądzić. Naprawdę…

może będziesz tak dobry, Sir Herracu, i wezwiesz swego syna Sir Gilesa, który wraz ze mną i Sir Jamesem był we Francji. Opowie wam historię o mieczu, którym obronił księcia Anglii przed całą zgrają rycerz będący na usługach złego maga. Czy możesz to zrobić, Sir Herracu?

De Mer odwrócił nieco głowę i podniósł głos na tyle, że dotarł on do służących czekających za drzwiami: – Hej! Przyprowadzić mi Sir Gilesa!

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i pojawił się w nich młody de Mer.

–Nie trzeba było mnie szukać, ojcze – powie- dział. – Oczekiwałem na zewnątrz wyników narady.

–Jego Wysokość życzy sobie, byś opowiedział o mieczu, którym obroniłeś księcia Edwarda.

–Dobrze, ojcze.

Płowowłosy rycerz popatrzył po twarzach zgromadzo- nych i podniósł głos, by wszyscy mogli go wyraźnie słyszeć: – Miecz, którym miałem zaszczyt walczyć w obronie młodego następcy tronu, otrzymałem od samego księcia Merlona. – Mówiąc to spojrzał na Dafydda. Szlachetny panie? – zwrócił się do niego. – Co chcesz, abym powiedział rycerzom?

–Wszystko. Opowiedz, w jaki sposób znalazł się w moich rękach, a także jak ci go przekazałem.

–Uczynię to z prawdziwą przyjemnością – oświadczył Sir Giles.

Był zapewne najniższym mężczyzną w całym towrzystwie.

Jego wąsy sterczały jednak dumnie, podobnie jak zazwyczaj ukrywany nos, który teraz uniósł się niczym dziób okrętu ruszającego do walki.

–Zdarzyło się to przed bitwą pod Nouaille-Poitiers.

Książę Edward nie był uzbrojony. Poprosił, by ktoś z nas oddał swój miecz, ponieważ jemu, jako przyszłej głowie państwa, nie uchodzi pokazywać się bez broni w dniu bitwy.

Posłał spojrzenie łucznikowi, który zachęcająco skinął głową.

–Szczerze mówiąc, żaden z nas nie był skory uczynić tego. Bo cóż to za rycerz, który u pasa nie ma miecza?

W komnacie rozległ się pomruk aprobaty. Jim był tym nawet nieco zdziwiony, lecz przypomniał sobie, że Nort- humbrianie dopiero niedawno znaleźli się pod panowaniem angielskiej korony, a poza tym jako rycerze traktowali broń jako największą świętość.

–Zawahaliśmy się więc – ciągnął Giles. – I dopiero książę Merlon, który występował wtedy jako zwykły łucz- nik, zwrócił się do księcia Edwarda, iż on może mu pomóc.

Odszedł i wyjął z bagaży wspaniały rycerski miecz w po- chwie zdobionej drogimi kamieniami. Podał go młodemu księciu, który wysunął broń do połowy i po chwili rzekł "Nie mogę go nosić". – W komnacie wszyscy aż wstrzy- mali oddech. Widząc to, Giles ciągnął: – Wtedy ogarnął mnie wstyd, że nie zaproponowałem swojej broni. Wystąpiłem więc do przodu i wręczyłem własny miecz szlachetnemu księciu Edwardowi, mówiąc: "Jeśli uczynisz mi ten honor, przyjmij miecz od zwykłego rycerza". Książę wziął go ode mnie, ja zaś przyjąłem miecz księcia Merlona. To nim zdołałem ocalić przyszłego króla Anglii przed wrogami.

Zamilkł.

–Dziękuję, Sir Gilesie – rzekł Dafydd. – Nie powie- działeś nam jednak, w jaki sposób ten miecz znalazł się w moich rękach.

–Och, wybacz mi. Powinienem wspomnieć, że Da…

Na szczęście w porę ugryzł się w język.

–…Że Jego Wysokość opowiedział nam historię zdobycia tej broni. Działo się to w czasie, gdy ukrywał się jako zwykły łucznik, podobnie jak teraz, na ziemiach zwanych kiedyś Walią, a obecnie należących do Anglii. Pewien angielski zarządca uwielbiał organizować turnieje, szczególnie dla zaprezentowania umiejętności swoich rycerzy i ich wyższości nad walijskimi. Pewnego dnia wymyślił dodatkową konku- rencję. Słyszał o łuczniku, którym w rzeczywistości był książę Merlon, odznaczającym się szczególnymi umiejętnościami w posługiwaniu się tą bronią. Kazał go sprowadzić na turniej i stanąć przeciw pięciu rycerzom w pełnych zbrojach i z ko- piami. Tamci ruszyli na niego konno, podczas gdy on stał, mając tylko łuk. Zanim jednak znalazł się w zasięgu ich kopii, zabił wszystkich, właściwie zanim jeszcze zdążyli się zbliżyć.

Giles zamilkł, czekając aż ucichną pomruki podziwu i niedowierzania.

–Uzyskał wtedy obietnicę, podobnie jak każdy uczest- nik turnieju, że jeśli zwycięży, będzie miał prawo do zabrania pancerzy i broni swych przeciwników. W rezultacie, wszedł w posiadanie zbroi zabitych rycerzy, lecz nie wziął niczego poza tym mieczem. Woził go ze sobą nikomu nie pokazując, aż dopiero we Francji zaproponował księciu. W rezultacie ja walczyłem nim w obronie naszego następcy tronu.

–Dziękuję ci, Sir Gilesie – rzekł Dafydd i powiódł wzrokiem po zgromadzonych w komnacie. – Zobaczyliście strzały wbite w stół i wysłuchaliście tej historii. Nie używacie łuków panowie, żaden rycerz nie korzysta z tej broni, chyba że do polowania lub dla zabawy. Lecz jest ona niezwykle groźna i nie uważam, by posługiwanie się łukiem w czymko- lwiek ubliżało mi, jako księciu. – Milczał przez moment, po czym ciągnął: – Nie chcecie także walczyć w schiltronach, pieszo, z pikami w dłoniach, tak jak Mali Ludzie, którzy do mistrzostwa opanowali taki sposób walki. Jednak przez wiele stuleci zdołali

obronić przed Pustymi Ludźmi swoje granice, co nie było rzeczą łatwą. Wy, którzy wielokrotnie mieliście do czynienia z tymi duchami, wiecie, że są to trudni przeciwnicy. Tak więc, w imię tych poświęceń, oni także mają prawo brać udział w ostatecznej rozgrywce z Pustymi Ludźmi. Zdobyli to prawo w niezliczonych potyczkach z nimi. Jestem dumny, że wybrali mnie swoim przywódcą, podobnie jak i z tego, iż naszymi wszystkimi oddziałami dowodzić będzie Sir Herrac. Ale wiedząc, że wielu spośród was nie odnosi się życzliwie do Małych Ludzi, poprosiłem ich, by zamiast osiemnastu, na naradzie zjawiło się czterech lub pięciu spośród nich. Zgodzili się na to. Przedstawiam wam to jako ich dowódca nie w formie prośby, lecz żądania.

W komnacie zaległa cisza jak makiem zasiał.

Rozdział 27 M.Uczenie przedłużało się. W pomieszczeniu dało się wyczuć wyraźne napięcie, potęgujące się z każdą chwilą.

Ciszę tę przeciął głos Herraca.

–Jako dowódca mieszkańców pogranicza przyjmuję propozycję księcia Merlona, by w naradzie w przeddzień bitwy uczestniczyło nie więcej niż pięciu Małych Ludzi.

Każdy, kto nie zgadza się z moim zdaniem, może teraz to powiedzieć i zrezygnować z dalszych przygotowań do walki. Nie chcę mieć pod swoimi rozkazami nikogo, kto nie będzie mnie słuchał z zapałem i nie poświęci się sprawie całym sercem.

Przez chwilę nic się nie działo, aż wreszcie napięcie zaczęło powoli opadać.

Nikt nie ruszył się z miejsca.

–Cieszy mnie, że tak wielu będzie z nami – rzekł, a jego głos odbił się od ścian potężnym echem. – Ta sprawa wymaga bowiem wspólnego wysiłku, naszego i Ma- łych Ludzi. Nie jest to łatwe zadanie.– Przerwał na moment, by nadać słowom większe znaczenie. – Roz- ważyłem już pewne taktyczne założenia bitwy – ciągnął. – Będę czynił to dalej i was zachęcam do szukania rozwiązań, które maksymalnie zmniejszą nasze straty. Jeśli wpadniecie na jakiś pomysł, przedstawicie go na naradzie w przeddzień walki, a wspólnie zdecydujemy, czy warto go wykorzystać.

Na dzisiaj, jeśli nie ma dalszych pytań, ogłaszam, że narada jest zakończona.

–Zgadzam się, że omówiliśmy już wszystko – powie- dział Sir John. – Nie ma więc co przedłużać spotkania.

Przejdźmy wszyscy do Wielkiej Sieni, gdzie, jak sądzę, nasz gospodarz przygotował wieczerzę. Wszystkim, którzy mają pilne sprawy na głowie i muszą nas już opuścić, mówię do zobaczenia i oczekuję ich ponownie przed bitwą.

Podniosła się ogólna wrzawa. Rycerze zaczęli wstawać ze swych miejsc i mieszać się ze stojącymi. Jako pierwszy z komnaty wyszedł Herrac, a za nim Jim, Dafydd oraz Sir John Graeme. Reszta podążyła całą grupą przez korytarz prowadzący do Wielkiej Sieni.

Narada, co było dość powszechne w średniowieczu, przerodziła się w pijatykę.

Jim, korzystając z wymówki, iż czekają go jeszcze dzisiaj ważne zadania, wcześnie opuścił towarzystwo, unikając nadmiaru alkoholu. Dafydd zdecydował się wyjść wraz z nim i co dziwne, de Mer także.

–Sądziłem, że nie wypada ci opuścić towarzystwa, Sir Herracu – rzekł Jim.

Znajdowali się już na końskich grzbietach, podążając z powrotem do zamku de Mer. Towarzyszył im Sir Giles i dla bezpieczeństwa, kilku zbrojnych, ponieważ czasy były

niepewne.

–Nikt nie będzie za mną tęsknić – stwierdził olb- rzym. – Co więcej, gdybym został, mógłbym spodziewać się prób wywierania nacisku, a to doprowadziłoby do podziału w naszym obozie.

–Postąpiłeś bardzo rozsądnie – przyznał Walijczyk.

–Moim zdaniem dowódca powinien krótko trzymać swych podwładnych – mówił olbrzym. – Pamiętajcie tylko, że skoro obaj jesteście moimi gośćmi, was ta zasada nie obowiązuje. Ale jeśli mam być dobrym przywódcą, przede wszystkim nie mogę pozwolić na bratanie się z podwładnymi.

–Zgadzam się z Dafyddem – przyznał Jim na tyle cicho, by być ledwie słyszanym poprzez stukot końskich kopyt o twardy grunt.

Noc była zimna, przy każdy oddechu z ust i końskich chrap ulatywała para. Na bezchmurnym niebie wisiało dwie trzecie tarczy księżyca, dzięki czemu widzieli przed sobą drogę i mogli zrezygnować z używania pochodni.

Jim czuł podziw dla Herraca. Ten rycerz był urodzonym dowódcą. Tylko skromność i więzi rodzinne powstrzymy- wały go uprzednio od podjęcia się tej funkcji. Zastanowił się, czy ten wybór sprawia de Merowi satysfakcję. To przypomniało mu, że należy powiedzieć jeszcze o jednym.

–Sir Herracu – przemówił – zabrałeś głos w samą porę, po tym jak Dafydd wspomniał o pięciu Małych Ludziach wybierających się na naradę. Żaden z nas nie chce jednak, byś brał na siebie całą odpowiedzialność za to…

–Teraz to moja sprawa – przerwał mu olb- rzym. – Czy ty nie uznałbyś tego za swój obowiązek, jeśli podjąłbyś się dowodzenia, Sir Jamesie?

Jim pomyślał nad odpowiedzią i z pewnymi oporami zgodził się z opinią de Mera.

–Sądzę, że tak – przyznał. – Tak, postąpiłbym w ten sam sposób. Lecz nie wydaje mi się, bym zdołał uczynić to tak skutecznie i szybko.

–Oni po prostu mnie znają – rzekł krótko Herrac.

Smoczy Rycerz nie miał co do tego wątpliwości. De Mer, potężnie zbudowany, silny i na dodatek będący silkie, stanowił zapewne żywą legendę dla swych rodaków. Zrezyg- nował jednak z formułowania takich wniosków na głos.

Uznał, że temat został wyczerpany.

Bezpiecznie dotarli do zamku. Jim wraz z Dafyddem udali się do Briana. Rekonwalescent leżał już w łożu, zmęczony całym dniem spędzonym na nogach. Był wyraźnie zirytowany własną słabością, uniemożliwiającą udanie się wraz z przyjaciółmi na naradę do pobliskiego zamku.

Wysłuchał więc z zainteresowaniem relacji z odbytego spotkania, przedstawionej przez Jima, Dafydda i Sir Gilesa, który także do nich dołączył. Pochwalił Sir Herraca za jego twardą postawę w sprawie dotyczącej udziału Małych Ludzi w mającej nastąpić naradzie i wyraził swój aplauz dla powtórzonej mu opinii de Mera na temat zachowania dystansu w stosunku do podwładnych.

–Ten szlachetny rycerz ma rację! – przyznał. – Nie wyobrażam sobie pragnącego osiągnąć sukces dowódcy, który nie stosuje się do tej zasady. Ci, których podwładni traktują jak równych sobie, są lubiani, lecz nie znajdują u nich posłuchu. Lepiej odsunąć się

od reszty i być nawet nielubianym, niż dobrowolnie pozbawić się koniecznego respektu.

–Tak też mu powiedziałem, choć używając nieco innych słów – rzekł łucznik.

–Dafydd jako pierwszy pochwalił jego decyzję, a ja w końcu także zgodziłem się z tym – powiedział Jim. – Sir Herrac to urodzony przywódca.

–My, jego synowie – odezwał się Sir Giles – wiemy o tym niemal od urodzenia. Nie macie nawet pojęcia jak bardzo ojciec starał się o naszą rodzinę. A szczególnie o mamę, którą, podobnie jak my wszyscy, ogromnie kochał.

Te ostatnie słowa wprowadziły wszystkich w smutny nastrój, czemu jednak natychmiast zaradził Brian, zmienia- jąc radykalnie temat rozmowy.

–Jamesie. musisz niezwłocznie powrócić do ćwiczeń, i to dość daleko od zamku, by niczyje niepowołane oczy nie dostrzegły, że jeszcze brakuje ci nieco sprawności w posługiwaniu się niektórymi rodzajami broni.

–Delikatnie to ująłeś, Brianie – zauważył Jim. – Wiesz, podobnie jak my wszyscy, że mizerny ze mnie wojownik. Moja walka z olbrzymem zakończyła się suk- cesem tylko dzięki wspaniałemu refleksowi smoka, w któ- rego ciele się znalazłem. Gdyby nie Gorbash, olbrzym zmiażdżyłby mnie w pół minuty.

–Będzie coraz lepiej, Jamesie, obiecuję ci! Musisz tylko dużo ćwiczyć pod moim okiem. Powinieneś jednak robić to gdzieś na uboczu. Pragnąłbym, aby nawet Sir Herrac, jeśli wybaczysz, Gilesie, nie wiedział o pewnych trudnościach we władaniu przez Jima mieczem i innymi rodzajami broni.

–Masz raqę – przyznał poważnie Smoczy Rycerz.

–Jutro więc wszyscy musimy oddalić się od za- mku – ciągnął rekonwalescent. – Wszyscy z wyjątkiem Dafydda, chyba że też chce nam towarzyszyć. Kiedy już nikt nie będzie nas w stanie widzieć ani słyszeć, Sir Giles poćwiczy z tobą nieco. Ja będę się wam przyglądał i udzielał ci wskazówek, ponieważ musi upłynąć jeszcze dzień lub dwa, zanim sam będę mógł wziąć miecz do ręki.

Jim pomyślał, że zapewne nastąpi to znacznie później, lecz wiedział, że w obecności samego zainteresowanego lepiej o tym nie wspominać. Zamiast tego zdecydował się uderzyć w inną nutę.

–To doprawdy nie jest konieczne, Brianie – rzekł. – Pa- miętasz jak zaplanowałem rozegranie bitwy? Wraz z Dafyd- dem będziemy znajdować się na występie skalnym, ponad placem boju. Nie będę więc musiał walczyć.

–A jak zamierzasz opuścić to stanowisko i prze- drzeć się przez szyki Pustych Ludzi, tak by nic ci się nie stało? – zapytał poirytowany mistrz kopii. – Czy wciąż jeszcze nie rozumiesz, na czym polega walka w tłumie, Jamesie? Wybacz, że mówię do ciebie w ten sposób, ale w ferworze walki i zamieszaniu, nawet swój może natrzeć na swego przez pomyłkę lub z nadgorliwości. Możesz także być zmuszony do zasłaniania się tarczą przed ciosami ludzi z pogranicza, zanim rozpoznają cię i przepuszczą przez swoje szeregi. Nie, musisz ćwiczyć, więc uczynimy tak, jak mówiłem.

I tak też zrobili.

Od następnego dnia, każdego ranka Jim opuszczał zamek w towarzystwie Briana, Gilesa, a często i Dafydda, który nie mając innego zajęcia decydował się jechać z nimi. Oddalali się od zamku o około pół godziny jazdy, do miejsca otoczonego drzewami, gdzie

było wy- starczająco dużo przestrzeni do wprawiania się w sztuce rycerskiej. Brian zmuszał tam Jima, a przy okazji i Gilesa, do wykonywania ćwiczeń w posługiwaniu się wszelkiego rodzaju bronią, począwszy od sztyletu, a kończąc na maczudze.

–Ale przecież nie będę miał ze sobą maczugi! – starał się protestować Jim.

–No to co? Jak ćwiczenia to ćwiczenia. – Nie dał się przekonać Brian.

Więc Smoczy Rycerz wymachiwał maczugą, aż zupełnie omdlały mu ramiona. Nie mogąc już więcej, poprosił o przerwę.

–Dafyddzie – rzekł, ponieważ tego dnia łucznik był akurat z nimi. Zdjął hełm i otarł płynące po twarzy strugi potu. – Co byś powiedział na zastąpienie mnie przez moment?

–Muszę przyznać, że obserwowałem cię z zaintereso- waniem – rzekł Walijczyk. – Nie ośmieliłbym się jednak prosić rycerza, by uczył mnie walki jak równego sobie.

Wiecie przecież dobrze, że jestem tylko zwykłym łucznikiem.

–Do diabła z tym! – wykrzyknął Brian, który wprost uwielbiał prowadzić takie szkolenie. – Jestem gotów zająć się tobą w każdej chwili. Masz ochotę?

–Jak najbardziej. Ale nawet jeśli pożyczę broń, to i tak potrzebna mi jeszcze zbroja.

–Moja będzie na ciebie od biedy pasować – zaofero- wał Jim. – Jesteś ode mnie nieco szerszy w barkach, a w pasie szczuplejszy, ale sądzę, że nada się. Chcesz przymierzyć?

–Z przyjemnością.

Dafydd wdział więc na siebie zbroję i kiedy rozpoczął ćwiczenia, Brian był zachwycony nowym uczniem, który pod wielom względami był zdolniejszy od Jima, a nawet Sir Gilesa. Smoczy Rycerz, o czym zresztą wszyscy wiedzieli, stał na straconej pozycji. Znaczną część nauk Briana należało zgłębiać już prawie od urodzenia. Dlatego Dafydd, choć od dzieciństwa ćwiczył się jedynie we władaniu łukiem, teraz nabierał wprawy w błyskawicznym tempie. On, podobnie jak Brian, był urodzonym wojownikiem.

Jim pomyślał, że w dwudziestym wieku Walijczyk mógłby być szczególnie uzdolnionym, profesjonalnym graczem w football amerykański, który zainteresował się nagle zupełnie nie znanym sobie golfem i po upływie zaledwie kilku tygodni jest w stanie pokonać wszystkich osiemnaście dołków z niewiarygodnie niskim wynikiem.

W tym czasie w siedzibie de Merów i innych położonych przy granicy warowniach trwały przygotowania do bitwy.

Jim ze zdziwieniem odkrył, że w każdym zamku gromadzo- no dodatkowe zapasy broni i innego sprzętu wojennego.

Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że zbroje i broń muszą być dość często wymieniane. W tych czasach miecze, nie mówiąc już o maczugach lub porannych gwiazdach, czyli łańcuchach zakończonych kolczastymi kulami, były wykonane z tak miękkiego i mało wytrzyma- łego metalu, iż łatwo ulegały niemożliwym do naprawy uszkodzeniom, a nawet po prostu łamały się. Zbroje zaś przy lada uderzeniu gięły się niemal jak puszki od konserw i później trudno było dopasować do siebie ich poszczególne części.

Jim postanowił także jeszcze raz wybrać się zarówno do Pustych, jak i Małych Ludzi, po to, by ustalić wszystkie szczegóły.

Podczas drugiej wizyty u przywódców Pustych Ludzi skorzystał z nadarzającej się okazji, aby ponownie bardzo stanowczo zaakcentować konieczność obecności wszystkich duchów. Jeszcze raz ostrzegł także, że każdy, kto zjawi się później niż on, nie ma co liczyć na zapłatę.

Wybierając się w kolejne odwiedziny do Małych Ludzi zabrał ze sobą Sir Herraca i wspólnie opowiedzieli jak de Mer zmusił rodaków do przystania na obecność pięciu małych wojowników w zbliżającej się naradzie. W dyp- lomatycznej formie przekazali także wiadomość, iż można spodziewać się na niej więcej niż osiemnastu Northumbrian.

Jim niezwłocznie dodał, iż sytuacja taka jest niewątpliwie korzystna, gdyż zwiększy

liczbę wojowników, na których uprzednio liczyli. Gwarantowało to Małym Ludziom mniejsze straty dzięki ogólnej większej przewadze liczebnej nad wrogiem.

Ardac odparł jednak, iż jego towarzysze i tak stawią się w pełnym składzie, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, istniała obawa, że w rzeczywistości do walki stanie mniej ludzi znad granicy, niż deklarowało do tego gotowość. Po drugie zaś, Mali Ludzie chcieli wystąpić w liczbie co najmniej równej Northumbrianom. Poza tym dowódca schiltronu z ochotą zgodził się, by jego rodacy wzięli na siebie ciężar pierwszego uderzenia, a później dopiero przepuścili do przodu ludzi z pogranicza, by ci rozprawili się z przeciwnikami dosiadającymi niewidzialnych koni.

–Muszę przyznać, Sir Herracu – rzekł Ardac – że cieszy mnie, iż to ty jesteś dowódcą. Z twojej strony spodziewani się bowiem uczciwego i właściwego trak- towania moich ludzi.

–Masz na to moje słowo – zapewnił go de Mer. – Jeszcze jedna sprawa, o której wcześniej nie wspominałem. Teraz muszę to jednak uczynić, choć prze- widuję, jakiej udzielisz mi odpowiedzi. Czy ty i twoi ludzie pragniecie wziąć udział w podziale szkockiego złota, kiedy bitwa dobiegnie końca?

–Złoto jest nam zupełnie niepotrzebne – odpowiedział Ardac. – Wiem, że dla was ma ono znaczną wartość, ale my nie używamy pieniędzy, ani nie uznajemy ozdobnej biżuterii. Złoto zaś nie nadaje się przecież do wyrobu narzędzi ani broni. A wreszcie, widząc jaki wpływ ma na was, wolimy go nawet nie dotykać. Jeśli więc je macie, podzielcie między siebie i… skorzystajcie z niego właściwie.

–Dziękuję ci, Ardacu – rzekł olbrzym. – Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewałem. Ale będąc dowódcą musiałem o to zapytać. Rozumiesz mnie?

–Rozumiem. Teraz przejdźmy do innych spraw. Planu- jecie, by ludzie znad granicy ukryli się w pewnym oddaleniu od miejsca wyznaczonego Pustym Ludziom, prawda?

–Tak. Zbiorą się wcześnie rano około mili lub jeszcze dalej od pułapki, by ich obecność nie ostrzegła przeciw- ników przed niebezpieczeństwem. A jak wy zaplanowaliście przemieszczenie swoich oddziałów?

–Kiedy wasi ludzie będą już w tym miejscu, zjawimy się, by do nich dołączyć. Nie musisz pytać jak to zrobimy, skąd nadejdziemy, ani o nic związanego z naszym przyby- ciem. Niech wystarczy, iż mamy od was więcej doświad- czenia, a znamy te lasy i skały znacznie lepiej niż ktokolwiek inny. Jesteśmy w stanie idealnie skryć się, a już w następnej chwili być w pełnej gotowości do walki. Nie musicie się o nas martwić.

Herrac skinął głową.

–Więc kiedy chcecie, byśmy dołączyli do was i wspólnie ruszyli naprzód? – zapytał Mały Człowiek.

–Powiedziałem Pustym Ludziom, że zjawię się przed południem – przemówił Jim. – Spotkanie powinno więc nastąpić nie później niż przed nadejściem terqi, a wtedy zdążycie zająć pozycje do seksty. Do tego czasu obecny tu Sir Herrac oraz książę Merlon…

Ardac uśmiechnął się lekko, słysząc tak nieudolnie przetransponowane starożytne imię Dafydda.

–Jak zapewne wiecie, nie używamy tych chrześcijańs- kich określeń czasu – rzekł – lecz wiemy, że to pierwsze oznacza ranek, około godziny dziewiątej, a drugie południe.

Możecie więc swobodnie używać ich w rozmowie z nami.

Dobrze, zgadzamy się na te terminy i stawimy się jak sobie życzycie. Uważam też za wskazane, aby Sir Herrac, Sir James, książę Merlon – wypowiedział to słowo jak należy – i może ktoś jeszcze, spotkali się ze mną i innymi dowódcami schiltronów, zanim jeszcze ruszymy na pole walki.

–Zgoda – oświadczył Sir Herrac. – Niech tak będzie.

Wraz ze mną będą Sir James, książę Merlon oraz pewien szlachetny rycerz – Sir Brian, który ma szczególne do- świadczenie w bitwach takich jak ta, czekająca nas. Może jeszcze jeden lub dwóch, lecz z pewnością nie więcej.

Wydaje mi się, że mieliście już okazję poznać Sir Briana Neville-Smythe.

–Owszem – przyznał Ardac. – Uczestniczył wraz z nami w potyczce z Pustymi Ludźmi. Będzie przez nas mile widziany.

–Cieszę się – wyznał de Mer.

Spojrzał na słońce i ciągnął: – Na nas już czas. Zapewne nie zobaczymy się, aż do spotkania w przededniu bitwy.

–A więc wszystko ustalone.

Spotkanie dobiegło końca i Jim, Dafydd oraz Herrac dosiedli koni, po czym odjechali w kierunku zamku de Mer. Tam gospodarz zaraz oddalił się do swoich zajęć, podczas gdy pozostała dwójka niezwłocznie po- spieszyła do Briana, niecierpliwie oczekującego wieści ze spotkania.

Jimowi wydało się, że mistrz kopii w większym stopniu niż zwykle jest podekscytowany zbliżającą się bitwą. Zdzi- wiło go to, lecz po pewnym czasie uświadomił sobie, iż to jedyny sposób na odwrócenie uwagi od zżerającej przyja- ciela miłości do Liseth i obserwowania jej, przebywającej wciąż w towarzystwie Ewena MacDougalla. Na szczęście Brian rzetelnie wywiązywał się z danej obietnicy i trzymał się z dala od Szkota. Jeniec zaś coraz bardziej starał się zbliżyć do Liseth, co Jim wziął za dobrą oznakę, ponieważ świadczyło to, iż nie doszło między nimi do niczego poważnego. Gdyby tak było, ktoś taki jak on, przy- zwyczajony do powszechnych, acz krótkich romansów dworskich, zmieniłby swój stosunek do dziewczyny. Nato- miast Jim zupełnie nie był w stanie ocenić sposobu, w jaki Liseth traktowała MacDougalla. Jeśli wcale jej nie inte- resował, to była urodzoną aktorką, szczególnie biorąc pod uwagę to, iż wychowała się w miejscu odizolowanym od reszty świata, gdzie tylko od święta spotykało się sąsiadów.

Zrezygnował z zaprzątania sobie głowy tą sprawą i skon- centrował na przygotowaniach do bitwy.

Co dzień sumiennie pobierał lekcje u Briana, który czuł się już na tyle dobrze, iż sam nad nim pracował. Jim nie wierzył własnym oczom, widząc jak przyjaciel błyskawicznie nabiera sił. Mistrz kopii wciąż nalegał, by mógł wziąć czynny udział w walce przeciw Pustym Ludziom, a Smoczy Rycerz coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, iż nie istnieje siła, która mogłaby go zatrzymać.

Czas oczekiwania, który powinien wlec się w nieskoń- czoność, upłynął aż nazbyt szybko.

I nagle, zanim Jim zdążył się obejrzeć, nadeszła już wigilia bitwy – dzień, na który wyznaczono ostatnią naradę wojenną.

m Rozdział 28 j im wciąż nie był przygotowany do zbliżającj się rady, mającej odbyć się

w Wielkiej Sieni zamku de Mer. Właściwie nie było wyboru co do jej miejsca, ponieważ żadna inna komnata nie pomieściłaby takiej liczby ludzi.

Kiedy nadeszło popołudnie i promienie słoneczne wpadły przez wąskie okna do jego niewielkiej komnaty, Jim po raz kolejny usiłował połączyć się we śnie z Carolinusem.

Próbował tego już kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni, lecz nie był w stanie skontaktować się ze swoim nauczycielem magii. Stwierdził już, że gdy zasypiał myśląc o spotkaniu z Carolinusem, udawało mu się to częściej, kiedy na czole pisał odpowiedni czar. Zdecydował się więc posłużyć nim i tym teraz. Wyciągnął się na materacu, zamknął oczy i na wyimaginowanej wewnętrznej stronie czoła napisał: JA SEN/ WE ŚNIE -» CAROLINUS Natychmiast zapadł w sen i tym razem bez problemu znalazł się w zagraconej chatce Maga.

–Zapewne byłeś zajęty, skoro nie mogłem się z tobą skontaktować – zaczął Jim. – Wybacz mi więc, że ci przeszkadzam, jeśli tak jest. Znalazłem się jednak w kryzy- sowej sytuacji.

–Ależ nic nie szkodzi, chłopcze. Nic nie szko- dzi – przemówił Carolinus. – Zapewne tak gorąco pragnąłem z tobą pomówić, jak ty ze mną.

Smoczy Rycerz przyjrzał się podejrzliwie szczupłemu starcowi z siwą bródką i krzaczastymi brwiami, który zazwyczaj wściekał się z byle powodu, lecz teraz za- chowywał się niezwykle uprzejmie i dystyngowanie.

Ogarnął go niepokój. Gdy Carolinus był tak sympatycz- ny, nie wróżyło to nic dobrego. Stawał się miły tylko wtedy, kiedy miał do przekazania jakieś złe nowiny.

–Ja… – zaczął Jim, lecz Mag nie dał mu dojść do słowa.

–Powinienem cię najpierw ostrzec – warknął starzec swoim normalnym tonem – że nadszedł dla ciebie niebez- pieczny i trudny okres. Stan ten jest faktem i powinniśmy wspólnie zastanowić się jak najlepiej sobie z tym poradzić.

–Chciałem powiedzieć, że zdołałem nakłonić Małych Ludzi i Nortumbrian do wspólnego działania przeciw Pustym Ludziom. Innymi słowy, na tym odcinku w pełni panuję nad sytuacją, chyba że sama bitwa zakończy się niepowodzeniem. Pragnę cię jednak zapytać, czy dowie- działeś się czegoś więcej o larwie i udziale Ciemnych Mocy w całej tej sprawie?

–Nie i jeszcze raz nie – rzekł Carolinus. – Szczególnie jeśli chodzi o tę larwę. Nie mam pojęcia skąd się tam wzięła i jakie jest jej zadanie z dala od punktów koncentracji sił Ciemnych Mocy. Radzę ci jednak poważnie, byś miał się przed nią na baczności. W którymś momencie wkroczy do akcji, bo w przeciwnym razie po co w ogóle by się zjawiała?

Przerwał i głęboko zaczerpnął powietrza. – Niczego więcej nie zdołałem się dowiedzieć. Nie mogę ci więc powiedzieć nic ponad to. Nie zdobyłem też żadnych informacji na temat Ciemnych Mocy, wiem tylko, iż wspierają one szkocki najazd i francuską inwazję od strony kanału.

–Nie pomogłeś mi wiele – stwierdził Jim.

–Chciałbym bardzo, chłopcze, ale nie jestem w stanie.

Jak zaplanowałeś wykorzystanie energii ze swego magicz- nego konta?

–Planuję zużyć ją na przeistoczenie się w Ewena MacDougalla, aby jutro zacząć rozdawać złoto Pustym Ludziom. Poza tym obawiałem się pytać Wydział Kontroli na czym stoję. Jesteś pewien, że nie ma sposobu, byś pożyczył mi…

–Nie! – warknął Mag. – Wydział Kontroli powiedział to bardzo wyraźnie. Nie ma mowy o

przekazywaniu energii przez mistrza na konto swojego ucznia. Proponuję jednak, byś połączył się z nimi i sprawdził zapasy energii. Nie chcesz przecież wrócić do swojej postaci w samym środku realizacji planu, prawda?

–Nie, to ostatnia rzecz, której bym pragnął – przyznał Smoczy Rycerz. – Być może będę jednak zmuszony do podjęcia ryzyka.

–No cóż – zaczął Carolinus, a jego wąsy aż się najeżyły – jeśli chcesz usłyszeć moją radę, zaryzykuj! Nikt nie osiągnie niczego, jeśli nie będzie próbować. Trzeba ryzykować.

–Zamierzam tak zrobić. Mam jednak jeszcze jeden pomysł… Mali Ludzie mówią, iż posiadają nieco magicz- nych zdolności. Czy sądzisz, że mógłbym pożyczyć nieco ich energii? Nie rozmawiałem jeszcze z nimi na ten temat, bo najpierw chciałem zapytać ciebie.

–Nie proś ich nawet o to! – poradził starzec zdecydo- wanym tonem. – Po pierwsze, żadna grupa nie może użyczyć ci swojej magii, choć Wydział Kontroli jedno- znacznie tego nie zabrania. Ale mechanizm, magiczny mechanizm, nie pozwala na to. Co więcej, przekonałbyś się, jak niezwykle cenią sobie te zdolności, więc niezbyt przychylnie przyjęliby taką prośbę.

–W porządku – rzekł zrezygnowany Jim. – Tak sobie tylko pomyślałem. No cóż, wieczorem na zamku ma odbyć się ostateczne spotkanie, a zostało już niewiele czasu. Jutro wszyscy spotkamy się w pewnej odległości od Pustych Ludzi, po czym wraz z Dafyddem i Brianem, jeśli będzie usilnie nalegał, by uczestniczyć w rozdawaniu złota, opuścimy główne siły. Później wszystko będzie zależeć od Małych Ludzi i rodaków Herraca, którzy mają zaatakować duchy, odciąć im drogę ucieczki i wyciąć w pień.

Zamilkł, a po chwili dodał w zamyśleniu: – Chciałbym, aby istniał jakiś sposób na skontak- towanie się z tobą w trakcie tego wszystkiego.

–W porządku! – odezwał się nagle starzec. – Właś- ciwie nie łamię żadnych zasad. Jeśli naprawdę będziesz musiał porozmawiać ze mną lub poczujesz mrowienie w prawym łokciu, zamknij oczy i ujrzysz mnie. Nie mów głośno, ponieważ będę słyszał twoje myśli.

–Doskonale! – ucieszył się Jim.

–Robię to przede wszystkim nie dlatego, że możesz mnie potrzebować, ale odwrotnie – powiedział Caroli- nus. – Mistrz ma prawo wezwać swego ucznia lub zapytać go o coś, prawda? Jeśli Wydziałowi Kontroli nie spodoba się to, poinformują mnie.

–Dziękuję.

–Na Beelzebuba i Belsshazzara! – rzucił Mag swym zwykłym już tonem. – Przestań ciągle mi dziękować.

Wykonuj tylko swoje obowiązki jako mój uczeń! To wszystko! A teraz lepiej już wracaj. Mam do załatwienia ważne sprawy.

–Już. A więc do zobaczenia.

–Do zobaczenia – odpowiedział Mag mrugając okiem.

Nagle Jim poczuł, że leży na plecach z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w dość nierównej powierzchni kamien- nego sufitu.

Wstał i już miał zamiar opuścić komnatę, gdy nie wytrzymał i poddał się dręczącej go pokusie. Stanął i ostroż- nie rozejrzał się wokół.

–Wydział Kontroli – rzucił.

–Tak? – rozległ się basowy głos gdzieś niedaleko jego lewego łokcia.

Smoczy Rycerz aż podskoczył. Ten głos zawsze tak na niego działał, chociaż wiedział już, czego można się spodziewać.

–Jak dużo energii zostało jeszcze na moim kon- cie? – zapytał. – Czy wystarczy na nieco niewidzialności i przybranie czyjejś postaci?

–To zależy jak długo ma działać czar – odparł głos Wydziału Kontroli. – Czy masz jeszcze jakieś pytania?

–Nie – rzekł Jim posępnie.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Smoczy Rycerz uznał, że właściwie niepotrzebnie zadawał to pytanie. Przecież dowiedział się dokładnie tego, co wiedział już wcześniej.

Chodziło o czas działania czaru, którego i tak nie był w stanie wyliczyć. Przyszła mu do głowy nagła myśl, iż Wydział Kontroli nie wiedział dokładnie jak długo będzie mógł pozostawać pod postacią Ewena MacDougalla. Po rozpoczęciu natarcia, powinien natychmiast opuścić przy- łbicę. Atak odwróci od niego uwagę Pustych Ludzi.

Następnie z pomocą Dafydda, a może i Briana będzie próbował przebić się przez otaczające ich duchy i wycofać poza szeregi Małych Ludzi i Northumbrian.

Słońce przesunęło się na tyle, iż jego promienie nie wpadały już do komnaty i zaczynał panować w niej półmrok. Musiał teraz opuścić pomieszczenie, więc nie warto było zapalać kaganka. Podszedł do drzwi, otworzył je i skierował się w stronę Wielkiej Sieni.

Schodząc po schodach uznał, iż nie zaszkodzi zjawić się tam przed resztą mieszkańców zamku i gośćmi. Kiedy jednak dotarł na miejsce, ze zdziwieniem stwierdził, iż nie on pierwszy doszedł do podobnego wniosku. Przy stole siedzieli już bowiem Herrac wraz z synami, Dafydd oraz Brian. Brakowało tylko Christophera.

–A gdzie nasz jeniec? – zapytał Jim, gdy dołączył do nich.

–Na pewien czas znalazł się w swojej komna- cie – powiedział de Mer. – Przy jego drzwiach po- stawiłem zaś zaufanego strażnika. Oświadczyłem mu po prostu, iż mam do załatwienia ważne sprawy, więc będzie trzymany w zamknięciu, dopóki nie zechcę go oswobodzić. Dostał jedzenie i picie oraz paliwo do ka- ganka. Słudzy mają rozkaz dbać o niego, tak, że na razie możemy spokojnie zapomnieć o nim. Wkrótce zjawią się tu goście. Do tego czasu radzę wszystkim zgromadzonym przy stole…

Posłał twarde spojrzenie synom, którzy w takiej sytuacji kurczyli się w sobie i spuszczali głowy.

–…aby odprężyli się, oderwali myśli od jutrzejszego dnia i zdali na czekające nas przeznaczenie. Nie chcemy przecież, by rycerze, którzy tu przybędą, pomyśleli, iż planowaliśmy coś za ich plecami.

–Mówisz bardzo słusznie, Sir Herracu – przyznał Brian. Ziewnął i wyciągnął nogi, dosłownie stosując się do rad olbrzyma. – Przecież jutrzejszy dzień będzie radosny.

Nie mogę się go już doczekać!

–Obawiam się, że lubisz bitwy bardziej niż inni – rzekł Herrac. – Niemniej swym zachowaniem dajesz nam dobry przykład. Sam postaram się skorzystać z niego i nie myśleć o dzisiejszej naradzie ani jutrzejszej próbie sił.

W tym momencie przyszła Liseth i dołączyła do reszty siedzących.

–Na razie możesz z nami zostać, Beth – powiedział potężnym głosem de Mer.

Po raz pierwszy Jim słyszał, by zwracano się do dziew- czyny używając zapewne

pewnego rodzaju zdrobnienia.

Przyznał, że brzmi ono ładnie.

–Dziękuję, ojcze.

–… Ale tylko do czasu, gdy zjawi się pierwszy z gości, o czym wiedziała twoja matka i nie trzeba jej było nigdy przypominać.

–Tak, ojcze – rzekła Liseth, lecz tym razem nieco zawiedzionym tonem. – Nie obawiaj się. Postąpię jak przystało na panią zamku.

–Tego właśnie oczekuję od ciebie i twoich braci.

Musisz bowiem zachowywać się jak prawdziwa dama, a oni jak mężczyźni, którzy już niedługo staną się odważ- nymi i cenionymi rycerzami.

–Wiem, ojcze – zapewniła delikatnie. Siedziała na- przeciw niego, na tyle blisko, że wyciągnęła rękę i położyła ją na chwilę na dłoni rodzica. – Wiesz dobrze, że żadne z nas cię nie zawiedzie.

–Wierzę w to głęboko – rozczulił się Herrac, lecz nagle zmienił ton, spoglądając na wejście do Wielkiej Sieni. – A oto pierwszy spośród naszych gości. Możesz zostać jeszcze na chwilę i przywitać go, Liseth.

–Tak, ojcze.

Wstała, odsunęła się od stołu i zwróciła w kierunku nadchodzącego. Był to William z Berwick, który uśmiechnął się na jej widok.

–Cha! – wykrzyknął, kiedy podszedł bliżej. – To już nie ta mała Beth, którą kiedyś podrzucałem w górę! Cieszę się, widząc, że wyrosłaś na przepiękną kobietę, Lady Liseth.

–Dziękuję, Sir Williamie – odparła kłaniając się. – Muszę opuścić was jednak, by zająć się czekającymi mnie obowiązkami. Jeśli będziecie czegokolwiek potrzebo- wać, służący oczekują na rozkazy. – Zwróciła się do siedzących przy stole: – Dobranoc wszystkim.

–Dobranoc, Liseth – odpowiedział ojciec, kiedy już odchodziła w kierunku wyjścia do kuchni.

–Siadaj i napij się wina, Willie – zachęcił gościa de Mer. – Cieszę się, że już jesteś.

–Na Świętego Piotra! Widzę, że twoi synowie wyrośli jeszcze bardziej niż córka! – zauważył Sir William, siadając i przyjmując podsunięty mu przez gospodarza kubek wina.

Jednym haustem opróżnił naczynie i gdy odstawił, Herrac niezwłocznie ponownie je napełnił. Gość uniósł kubek, umoczył wargi i trzymał w górze, wsparłszy łokcie o blat stołu, – Nikogo nie spotkałem po drodze, ale wierzę, iż wszyscy się stawią. Sir John the Graeme złajał nawet tych, którzy wahali się jeszcze czy wziąć udziału w wyprawie.

–A więc całym sercem stoi po naszej stronie? – zapytał Herrac.

–Jak najbardziej! – William pociągnął duży łyk wina, wciąż pozostając w niezbyt wyszukanej pozycji. – Czy podejrzewałeś, że może odczuwać zawiść w związku z prze- jęciem przez ciebie dowództwa? Nie sądzi, byś chciał, aby pozostało tak na stałe. Orientujemy się wszyscy, czym żyjesz na co dzień. Sądzimy więc, że nie zamierzasz więcej podejmować się tej funkcji. A przecież wszyscy doskonale wiedzą, iż jesteś najodpowiedniejszą osobą do przewodzenia nami wszystkimi.

–To prawda! To szczera prawda! – odezwał się William de Mer, starszy tylko od najmłodszego Chri- stophera.

Gość posłał mu karcące spojrzenie.

–Rozmawiam z mężczyznami, a nie z chłopca- mi – rzucił.

–Czy chcesz powiedzieć, że moim braciom nie wolno zabierać głosu, chociaż jutro będą walczyć jak wszyscy inni? – zapytał z oburzeniem Giles. – Czy tak właśnie uważasz, Sir Williamie? Jeśli tak, ja jako jeden z synów Sir Herraca i pasowany rycerz nie pozwolę na taką obelgę!

–Cha! Nie miałem zamiaru potraktować cię jak chłop- ca, Sir Gilesie – rzekł gość pojednawczym tonem. – Muszę przyznać, iż masz rację. Zachowałem się niesprawiedliwie w stosunku do twoich braci. Niech mówią, co myślą, a ja nie będę miał nic przeciwko temu.

–A więc wszystko w porządku – zakończył spór Sir Herrac. – Sir William przyznał się do błędu, Gilesie. Mam nadzieję, że zachowasz się jak na rycerza przystało i przy- jmiesz te przeprosiny. Zapomnijmy jednak o tym, bo już nadchodzą kolejni goście.

Wszyscy spojrzeli w stronę wejścia. Pojawiło się w nim czterech mężczyzn, a po chwili jeszcze jeden. Jim zaczął odczuwać coraz większy niepokój i napięcie. Chwila rozpo- częcia narady zbliżała się nieuchronnie.

W miarę jak pomieszczenie wypełniało się, Smoczy Rycerz zauważył, iż goście dobrze znali swoją rangę i odpowiednio do niej zajmowali właściwe miejsca. Większość przybyłych siadała przy niskim stole, a tylko niewielu przy wysokim, i to jedynie z jednej jego strony, by nie być tyłem do zgromadzo- nych poniżej. Herrac zajął miejsce w samym środku wysokiego stołu. Po jego prawicy siedział Dafydd, oczywiś- cie jako książę Merlon. Z lewej strony zasiadł natomiast Jim, a przy nim Brian, dalej zaś Sir Giles i jego bracia.

Wszystkie miejsca po prawej ręce Dafydda pozostawały puste. William z Berwick, który przybywszy jako pierwszy, zasiadł naprzeciw de Mera, wstał teraz i obszedł stół, aby usiąść po drugiej jego stronie. Zatrzymał się jednak kilka kroków przed gospodarzem.

–Cóż to takiego, do diabła? – zapytał, spoglądając na ustawione tam siedzenia.

Jim wychylił się zaciekawiony i dopiero teraz dostrzegł, iż zazwyczaj stojąca w tym miejscu ława została zastąpiona inną, wysoką niemal tak, jak sam stół. Dopiero dalej były normalne siedzenia. Herrac odwrócił głowę i spojrzał na stojącego rycerza.

–Willie – przemówił – to są miejsca dla pięciu przedstawicieli Małych Ludzi. Jeśli masz ochotę, siadaj dalej, lecz lepiej zostaw nieco przestrzeni dla Sir Johna the Graeme'a.

Rycerz usiadł więc na normalnej ławie, pozostawiając wolne miejsce na jej skraju. Gdy uczynił to, posłał wściekłe spojrzenie de Merowi.

–Czy wszyscy oni mają siedzieć przy wysokim stole? – zapytał. – Podczas gdy nasi znamienici rycerze muszą zadowolić się mniej honorowymi miejscami?

–Ten stół przeznaczony jest dla mojej rodziny i przy- wódców – wyjaśnił Herrac. – Całą piątkę Małych Ludzi, skoro jest ich tak mało, traktuję jako dowódców równych rangą najznamienitszym pośród nas. Tutaj więc jest ich miejsce.

Sir William nie powiedział nic więcej, lecz sięgnął po swój kubek i ostentacyjnie, okazując dezaprobatę, napełnił go winem.

Herrac zignorował jego reakcję, obserwując jak sień wypełnia się coraz bardziej. Tylko nieliczni zajmowali miejsca przy wysokim stole po prawicy Sir Williama.

Jednym z nich, jak przypomniał sobie Jim, był Sir Peter Lindsay, którego rodzina posiadała w tych okolicach znaczną władzę.

Był on tylko nieco wyższy od Sir Gilesa, lecz jak Dafydd bardzo proporcjonalnie

zbudowany, przez co zdawał się być pokaźniejszego wzrostu. Miał proste, szerokie plecy, szczupłą talię, a na jego twarzy trzydziestolatka malowały się spryt i inteligenta. Miał niebieskie oczy i jasne brwi, zaś ostre rysy znamionowały człowieka o silnym charak- terze.

Gości przybywało. Zjawił się już także sam Sir John the Graeme, który siadł tuż obok miejsc przygotowanych dla Małych Ludzi. W przeciwieństwie do Sir Williama, nie komentował i nie okazywał zaskoczenia, zapewne domyś- lając się dla kogo są przeznaczone.

Kiedy ostatni spośród Northumbrian zasiadł za niskim stołem, a pozostali debatowali popijając wino, otworzyły się drzwi i do środka weszło pięciu Małych Ludzi.

Ich nadejście spowodowało, że w sieni zaległa cisza.

Obecni jeden po drugim milkli, aż wreszcie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Grupa Małych Ludzi, prowadzona przez Ardaca, obeszła zaś wysoki stół i dostrzegłszy przeznaczone dla siebie miejsca, zajęła je.

Cisza przedłużała się. Herrac, jako gospodarz i dowódca, zdecydował się ją przerwać.

–Jego Wysokość książę Merlon, Baron Sir James de Bois de Malencontri et Riveroak oraz nasi sprzy- mierzeńcy Mali Ludzie, prowadzeni przez Ardaca, syna Lutela… – posłał spojrzenie dowódcy schiltronu, który skinął mu głową – oraz wszyscy inni zaproszeni na naradę przybyli już. Ogłaszam więc rozpoczęcie narady wojennej przed mającą nastąpić jutro walką z Pustymi Ludźmi.

m Rozdział 29 G dy dyskusja rozpoczęła się, Jim z pewnym zdziwie- niem zauważył, że ma ona dość niezwykły, jakby uroczysty charakter. Wyraźnie brakowało w niej swobody, okrzyków, przerywania mówiącemu w pół słowa oraz innych elemen- tów tak charakterystycznych dla zwykłych, czternasto- wiecznych spotkań.

Przypomniało mu to chwile wkrótce po zjawieniu się w tym świecie, podczas szukania sposobu ocalenia Angie i sprowadzenia jej z powrotem do dwudziestego wieku.

Wtedy to wczesnym rankiem, wraz z Dafyddem, Brianem, miejscowymi ludźmi oraz wilkiem Araghem sposobili się do ataku na zajmowany przez wroga zamek oblubienicy Briana – Geronde Isabel de Chaney. Wówczas także, wszyscy byli niezwykle skupieni i zaangażowani w czekające ich zadanie. Do czasu, aż Brian uprzejmie, acz zdecydowa- nie zaproponował Jimowi występującemu w smoczym ciele, aby oddalił się i nie wchodził im w drogę.

Na wstępie Herrac podał czas i miejsce zgrupowania sił w lasach niedaleko punktu zbornego Pustych Ludzi oraz puścił w obieg sporządzoną przez Smoczego Rycerza mapę.

I Na chwilę wybuchło zamieszanie, gdy nie znający położenia miejsca spotkania ani drogi do niego rozglądali się za towarzyszami mogącymi im pomóc. Zaczęto także określać, ilu ludzi przywiedzie każdy spośród przybyłych i sumować liczbę wojowników.

W trakcie tego, Jima zaskoczyła informacja, że sam de Mer wystawi stu dwudziestu trzech ludzi, chociaż podczas pobytu u niego nie widział nigdy takiej liczby zbrojnych.

Uświadomił sobie jednak, iż Herrac włada na tyle rozleg- łymi ziemiami, iż zamieszkuje na nich wielu mężczyzn zdolnych do noszenia broni, podlegających mobilizacji w okolicznościach takich jak te.

Kiedy gospodarz zakończył liczenie, głos zabrał Sir John the Graeme: – Powinniśmy jeszcze wysłuchać naszych sprzymierzeń- ców, których przywódcy stawili się na naradzie.

Oczekuje- my, że poinformują nas, ilu ludzi przywiodą i czy możemy na nich w pełni liczyć.

Było to pewnego rodzaju wyzwanie, biorąc pod uwagę skład uczestników spotkania, i wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

Ardac spojrzał na Sir Johna, po czym stanął twarzą do rycerzy siedzących przy niskim stole.

–Przyprowadzimy ze sobą osiem schiltronów po stu pięćdziesięciu wojowników każdy, co łącznie daje tysiąc dwustu włóczników. Będą to więc zapewne siły większe niż wystawiane przez was.

Jima po raz kolejny zdziwiła głębia głosu Małego Czło- wieka. To, oraz fakt, iż siedział wyżej od reszty przywód- ców, sprawiało, że wyraźnie wyróżniał się spośród nich.

–Schiltron zazwyczaj formowany jest w sześć szeregów po dwudziestu włóczników każdy – ciągnął. – Aby jednak zwiększyć prawdopodobieństwo pozbycia się wszys- tkich Pustych Ludzi, w tym wypadku podzielimy każdy oddział na pół, co da nam szesnaście shiltronów, po trzy szeregi każdy.

–Czy… – zaczął Graeme, lecz Ardac nie dał mu dojść do słowa.

–Wybacz, Sir Johnie – rzekł Mały Człowiek – ale jeszcze nie skończyłem. Nie spotkamy się z wami w miejscu do tego wyznaczonym i nie ruszymy wspólnie do punktu zbornego Pustych Ludzi. Przybędą tam jedynie nasi dowód- cy i spotkają się z waszymi, gdy będziecie już gotowi do wymarszu. Reszty nie ujrzycie, aż nie podkradniecie się do samego pola walki. Mamy swoje sposoby poruszania się po lasach i nie powinno was to interesować. Możecie być jednak pewni, że znajdziecie nas na stanowiskach, gotowych do natarcia.

Przerwał na chwilę i spojrzał na Dafydda.

–Książę Merlon – jeszcze raz śpiewnie wymówił imię Walijczyka, które w takim brzmieniu większość zgroma- dzonych słyszała po raz pierwszy – ma nam przewodzić podczas bitwy. Tak więc chcemy prosić, by udał się dzisiaj z nami i towarzyszył jutro w spotkaniu dowódców.

–Wybacz mi, Ardacu, synu Lutela – przemówił łucznik. Jego miękki głos brzmiał donośnie i wszyscy zgromadzeni słyszeli go wyraźnie. – Będę waszym przywó- dcą i reprezentantem, lecz nie mogę odjechać z wami. Nie będzie mnie bowiem wśród nacierających. Muszę towarzy- szyć Sir Jamesowi Eckertowi de Bois de Malencontri na skalnym występie, gdy ten zajmie się wypłacaniem należnoś- ci Pustym Ludziom. Wszyscy widzieliście mapę polany i wiecie, że znajduje się tam występ, wznoszący się kilka stóp ponad poziom łąki. Sir James musi znaleźć się tam, by skupić na sobie uwagę duchów, a ja mam być wraz z nim.

–Ja także – odezwał się Sir Brian. – Sir James nie może tam być beze mnie…

–I beze mnie! – rozległ się ochrypły głos.

Ciemna postać zjawiła się znikąd i dała susa na blat stołu. To Snorrl wyłonił się z ciemnego kąta pomiesz- czenia.

Wskoczył na stół obok najmłodszego spośród de Merów i przeszedł po blacie, aż zatrzymał się przed Jimem.

Odwrócił się do zgromadzonych i przemówił: – Jestem Snorrl, northumbriański wilk. Niektórzy spo- śród was mogli o mnie słyszeć lub słuchać mnie samego, kiedy wyję do

księżyca. Ja także będę na tym występie, ponieważ wszyscy Puści Ludzie obawiają się wilków, jak wy na przykład ciemności. Ci, którzy nie wiedzieli o tym wcześniej, niech to sobie zapamiętają. – Otworzył paszczę i zaśmiał się bezgłośnie. – Teraz, kiedy wiecie już, kim jestem, zapamiętajcie także, że moi pobratymcy rządzili tymi ziemiami na długo zanim zjawił się tu pierwszy z waszego gatunku. Zostawiam was samych, byście prowa- dzili te swoje głupie rozmowy. Niech nikt nie próbuje iść za mną lub mnie szukać. Może się to dla niego źle skończyć!

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, odwrócił się skrobiąc pazurami po blacie, przeskoczył nad Jimem i nagle zniknął.

… Tak nagle jak pojawił się w budynku, choć zarzekał się, że nigdy nie wejdzie do ludzkiej siedziby.

W sieni zapanowała idealna cisza. Nie tylko Northumb- rtanie, ale także Mali Ludzie, jak zahipnotyzowani, wpat- rywali się w Jima.

–Sądzę, że w tym momencie powinienem coś wyja- śnić – przemówił Smoczy Rycerz, kiedy przedłużająca się cisza zaczęła być już kłopotliwa. – Jestem, jak zapewne wszyscy wiecie, zarówno magiem, jak i rycerzem. Nie widzieliście mnie jednak czyniącego magię, ponieważ nie jest to działanie na pokaz. Gdy jednak ujrzycie mnie ponownie, będę wyglądać zupełnie inaczej niż obecnie.

Znajdując się na występie skalnym i rozdając złoto, będę mieć na sobie ubranie Ewena MacDougalla – posłańca szkockiego króla do Pustych Ludzi, a także posiadać jego twarz. Uczynię także inne czary, lecz to nie ma w tym momencie żadnego znaczenia. Mówię wam teraz o tym, ponieważ gdy tylko duchy zostaną otoczone i przyparte do skał na tyle, by ludzie z pogranicza mogli ruszyć do natarcia, przedostając się przez szyki Małych Ludzi, będę wiedział, że wszystko idzie po naszej myśli.

Rozejrzał się na boki i posłał spojrzenia przyjaciołom, – W tym momencie Sir Brian, książę Merlon i wilk, którego właśnie widzieliście, wraz ze mną spróbują przebić się przez ciżbę Pustych Ludzi i dotrzeć do oddziałów Małych Ludzi, którzy powinni nas przepuścić. Zobowiązuję całą resztę, aby uważała na nas i dopilnowała, by groziło nam jak najmniejsze niebezpieczeństwo. Do tego czasu odzyskam już swoją normalną twarz, ale wciąż będę miał na sobie płaszcz Ewena MacDougalla zarzucony na zbroję.

Wychodząc, ujrzycie go przy drzwiach. Zwróćcie uwagę na wyhaftowane na nim rodowe zawołanie bojowe "Buaidah no Bas".

Te celtyckie słowa, które znaczyły "Zwycięstwo lub śmierć" Jim opanował dzięki pomocy Gilesa. Northumb- rianie mówili używanym przez wszystkich uniwersalnym językiem tego świata, ale pośród nich nie było z pewnością żadnego, który nie zrozumiałby wypowiedzianego przez niego w miarę poprawnie zdania.

Jim mówił dalej: – Zwracam waszą uwagę na to, abyście bezpiecznie przepuścili nas, gdy nadejdzie pora. Pamiętajcie, że mówiąc nas, mam na myśli wszystkich, włącznie z wilkiem. Niech nikt nie waży się podnieść broni na żadnego z moich przyjaciół, dwu czy czworonożnego. Jako mag obiecuję, że każdy, kto to uczyni, żałować będzie swego postępku do końca życia.

Zamilkł. Po jego groźnej wypowiedzi nikt nie śmiał się odezwać. Jimowi nie udało się rozładować napięcia, co było jego intencją, a jeszcze tylko zagęścił atmosferę. Nie był

jednak w stanie pohamować się i zatrzymać potoku słów, które cisnęły mu się na usta. Ci ludzie zapewne polowali na wilki i starali się raz na zawsze je wytępić.

Snorrl wyróżniał się jednak spośród swych pobratymców na tyle, iż powinien sobie poradzić z chcącymi mu dokuczyć ludźmi.

Tym razem Herrac podjął próbę złagodzenia skutków wystąpienia Smoczego Rycerza: – Bardzo dobrze, panowie. – Jego potężny bas wyrwał siedzących z odrętwienia. – Głos zabrał już chyba każdy, kto miał cokolwiek do powiedzenia. Czy jest jeszcze ktoś, kto chce przemówić?

Mówiąc to spojrzał na Sir Johna the Graeme. Ten pokręcił przecząco głową. Gospodarz skierował więc wzrok na Ardaca.

–Powiedziałem już wszystko, co chcieliśmy – rzekł Mały Człowiek. – Tak więc teraz już was opuszczamy.

Wspólnie z towarzyszami wstał, a reszta zgromadzonych w milczeniu obserwowała jak zeszli z podwyższenia i wzdłuż niskiego stołu skierowali się do drzwi.

Wraz z ich odejściem atmosfera nagle zmieniła się, jakby wszyscy zapomnieli o prawdziwym celu spotkania. Roz- gorzały głośne dyskusje, podczas których sięgano po kubki wina i połykano ich zawartość kilkoma łykami.

–W takim razie – głos Herraca ponownie rozległ się potężnym echem – uznaję naradę za zakończoną. Wszyscy znają już miejsce spotkania i jego czas, więc ci, którzy chcą, mogą już wyjść. Pozostałym proponuję wino i sąsiedzkie pogawędki. A może macie jeszcze jakieś mniej interesujące ogół pytania?

Gdy jego słowa przebrzmiały, gwar głosów wybuchł ze zdwojoną siłą. Jim, Herrac, Dafydd oraz Brian siedzieli na swych miejscach, oczekując ewentualnie na kogoś mającego do nich specjalne pytania, lecz nikt nie kwapił się do tego.

Jim usłyszał nagle szept Briana.

–Jak ten wilk to zrobił?

Smoczy Rycerz pokręcił głową.

–Pamiętasz jak Aragh zjawiał się i znikał niezauważo- ny? Wygląda na to, że wszystkie wilki to umieją. Nie dziwię mu się zresztą, że pojawił się tu i zabrał głos. Wszystkim trzeba było dobitnie wytłumaczyć, że jemu także należy się ochrona. Gdybyśmy nic nie powiedzieli, rzuciliby się jutro na niego bez wahania.

–Wciąż jednak – do ich rozmowy dołączył Da- fydd – może znaleźć się jakiś zapaleniec, który będzie chciał go skrzywdzić. Najlepiej więc, gdy przebijając się, weźmiemy go pomiędzy siebie. Ty, Jamesie, ruszysz jako pierwszy, ja będę po prawej i osłonię wilka z tej strony, a Brian z lewej.

–Widzę, że nikt nie ma ochoty rozmawiać z na- mi – zmienił temat Jim.

–To zapewne z powodu obecnej rangi Dafydda oraz naszej, o której przecież wszyscy wiedzą – zauważył cichym głosem Brian. – Ci Northumbrianie to dumni ludzie. Nie chcą być widziani przez sąsiadów w naszym towarzystwie, ponieważ posądzono by ich o próby przypo- dobania się nam. Chodźmy więc na górę, odeślijmy służą- cych i nad dzbanem wina przedyskutujemy część planu dotyczącą tylko nas.

–Dobra myśl – zauważył łucznik.

–Rzeczywiście – zgodził się Jim.

Wstali równocześnie, pożegnali Herraca i wymknęli się z Wielkiej Sieni. Przeszli przez kuchnię i skierowali do komnaty Dafydda oraz Briana, jako że Jim przeniósł się do specjalnie dla niego przygotowanego pomieszczenia.

Kiedy weszli, stwierdzili, że służący przygotowali ją już na noc. Zapalone zostały kaganki, lecz w komnacie nie było zbytnio nadymione. Na stole stał zaś dzban z winem oraz kubki. Na podłodze siedział tylko jeden sługa – resztę odesłano, gdy Brian zaczął wstawać – który na ich widok poderwał się pospiesznie na nogi.

–Jeszcze jeden dzban, a później czekaj za drzwia- mi! – rozkazał mistrz kopii.

–Tak, Sir Brianie – wyszeptał służący i pospiesznie wyszedł.

Pozostawszy sami, trzej przyjaciele usiedli przy stole i Brian napełnił kubki. Jim pociągnął solidny łyk, lecz zaraz odstawił naczynie. Nie miał ochoty, szczególnie jutro rano, cierpieć na ból głowy spowodowany zbyt dużą ilością wypitego wina.

–Jak sądzisz, Jamesie? – zapytał rekonwalescent, także popijając. – Jak nam się jutro powiedzie?

–Wierzę, że wszystko pójdzie po naszej myśli – odpo- wiedział Jim. – Nasza trójka, konno, z dodatkowym jucznym dźwigającym dwie skrzynie złota, pojawi się na skraju polany. Nie mam wątpliwości, że bez problemu przepuszczą nas do skalnego występu, żebyśmy jak najszyb- ciej mogli rozpocząć wypłatę. Myślę, że zdołamy także wprowadzić na występ wierzchowce, obejrzałem go dokład- nie. Nie jest zbyt szeroki, ale na tyle długi, że konie będzie można zostawić u nasady. Rozładujemy skrzynie, aha, musimy zrobić to sami, nie dopuszczając Pustych Ludzi, żeby żaden nie próbował sięgnąć dla siebie garści monet.

–Bez wątpienia to poważne zagrożenie – przyznał Dafydd. – Dobrze byłoby umieścić na skrzyniach jakieś magiczne znaki. Powiedz im, że jeśli tylko tkną skrzyni, staną się z nimi jakieś straszne rzeczy.

–To dobra myśl, Dafyddzie – pochwalił przyjaciela Brian.

–Zdradzę wam obu pewien sekret – rzekł na to Jim. – Obaj słyszeliście, jak rozmawiałem z Wydziałem Kontroli, prawda?

–Oczywiście, że tak – przyznał mistrz kopii marszcząc brwi. – Jakie to ma jednak znaczenie, Jamesie?

–Muszę wam powiedzieć, że w obecnej chwili moje zapasy magicznej energii znajdują się na wyczerpaniu.

Wystarczy jej jedynie na zamianę w Ewena MacDougalla, a mam nadzieję, że czar ten będzie działać wystarczająco długo. Potrzebuję także wykorzystać jej część na dwukrotne powiększenie rozmiarów Snorrla, co już mu obiecałem.

Sądzę, że zrobi to ogromne wrażenie na Pustych Ludziach.

Nie pozwólcie jednak zwieść się tym widokiem. Chociaż będzie większy, wciąż pozostanie sobą i nie przybędzie mu wcale siły.

Obaj przyjaciele milczeli chwilę, po czym odezwał się Walijczyk: – Dobrze, że mówisz nam to teraz.

–Rzeczywiście, bardzo dobrze – zaczął Brian, lecz urwał, ponieważ nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł zadyszany służący z dzbanem pełnym wina.

–Będę czekać tuż za drzwiami, Sir Brianie, panie i Wasza Wysokość – wysapał

niezdarnie się kłaniając, po czym ponownie wymknął się z komnaty.

Brian odczekał, zanim nie zamknął drzwi i dopiero wtedy kontynuował: – Jak już mówiłem, Dafydd ma w zupełności rację. Nie wiem, jak zachowałbym się na widok dwa razy większego Snorrla, chociaż byłby on wówczas niewiele większy od Aragha. Aha, a właściwie to gdzie wilk dołączy do nas?

–Nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał Smoczy Rycerz. – Sądzę, że Snorrl nie wybrał do tego żadnego konkretnego miejsca. Kiedy uzna za stosowne, odnajdzie nas i dołączy. Sądzę, że będzie chciał być z nami zanim dojedziemy do polany zajętej przez Pustych Ludzi. Zapewne pragnie towarzyszyć nam, kiedy będziemy przejeżdżać pomiędzy nimi, a później przedzierać się na wolność, aby ucieszyć wilcze serce widokiem duchów kurczących się ze strachu na jego widok.

–To dziwne, że Puści Ludzie tak bardzo obawiają się wilków – rzekł Dafydd.

–Snorrl tłumaczył mi, że dzieje się tak dlatego, iż postrzegają go tak jak ludzie ich – jako coś niezwykłego, rodem z innego świata.

–Kiedy więc dołączy do nas i wszyscy znajdziemy się na miejscu – ciągnął Jim, wracając do głównego tematu rozmowy – zostawimy konie, po czym osobiście przenie- siemy skrzynie. Później zajmiemy się rozdawaniem złota.

Dwie francuskie monety dla każdego Pustego Człowieka.

–Na Boga! – wykrzyknął Brian. – Ci Puści Ludzie wysoko się cenią!

Jim zmarszczył brwi.

–Masz rację – przyznał. – Dwa złote franc d cheval, wybite ostatnio przez francuskiego króla Jeana, aby zapłacić za mającą nastąpić inwazję. Na jednej stronie widnieje jego podobizna na koniu.

–A w efekcie wpadną one w ręce Northum- brian! – rzekł mistrz kopii ze smutkiem, myśląc zapewne jak ich garść pomogłaby mu w odnowieniu chylącego się ku upadkowi zamkowi Smythe. – Cóż, my mamy nasze wino i siłę…

Spojrzał na przyjaciół rozpromieniony nagle.

–… I druhów, na których można polegać.

Jim oraz Dafydd w odpowiedzi uśmiechnęli się do niego.

–To prawda – powiedział miękko Walijczyk. – To jest właśnie nasze największe bogactwo.

Przez moment w komnacie zapanowała cisza. Słowa te tak rozczuliły Jima, że napił się więcej wina niż zamierzał.

–W każdym razie, mam nadzieję, że zanim zdążymy połowę ich rozdać, Mali Ludzie ruszą do natarcia. Puści Ludzie nie powinni się tego spodziewać, co pozwoli ze- pchnąć ich w stronę skał. Później zapewne Mali Ludzie będą starali się utrzymać zdobyty grunt, aż do czasu gdy pojawią się wojownicy z pogranicza i zmienią ich w pierw- szych szeregach. Kiedy tylko to nastąpi, proponuję, abyśmy siadali na konie i starali się przebić do naszych.

–A złoto? – zapytał Brian.

–Sądzę, że nie powinniśmy starać się zabierać go ze sobą – rzekł Smoczy Rycerz. – Przede wszystkim jest obiecane Northumbrianom. Poza tym, jeśli któryś z Pustych Ludzi zwróci uwagę, że odjeżdżamy ze złotem przeznaczo- nym dla nich, wydostanie się może być znacznie trudniejsze.

–To prawda – zgodził się Brian. – Przyznaję ci rację.

A więc dobrze. Mam jeszcze jedno pytanie, Jamesie. Wielu spośród Pustych Ludzi nie będzie można zapewne zobaczyć, z wyjątkiem jakichś strzępów odzienia, a i one mogą zostać zamienione. Jak więc chcesz uzyskać pewność, iż nie zapłacisz temu samemu kilkakrotnie, a innym wcale i w re- zultacie że nie zabraknie ci złota?

–Liczę głównie na samych Pustych Ludzi, iż będą się nawzajem pilnować – wyznał Jim. – Wyraźnie powie- działem im, że będę miał tylko tyle złota, ile potrzebne jest dla opłacenia wszystkich. Nikt nie ma ochoty, by jego udział przypadł komuś innemu. Pamiętajcie, że Eshan i może jeszcze jacyś inni przywódcy będą na występie razem z nami. Oni także będą pilnować, by nikt nie zagarnął nie swojej zapłaty, choćby tylko w nadziei, że zostanie jeszcze nieco złota, które przypadnie w udziale właśnie im. Ale tak na wszelki wypadek mam jeszcze nos Snorrla, który dopilnuje porządku.

–Wciąż jednak zapewne istnieją jakieś sposoby na oszukanie nas, nawet jeśli nie jesteśmy w stanie ich teraz ujawnić – stwierdził Dafydd.

–Mam nadzieję, że nie stanie się tak. A przecież właściwie naszym zadaniem jest wystawienie ich Małym Ludziom i Northumbrianom, a następnie bezpieczne wydo- stanie się z tej bitewnej kipieli, zanim ci rozprawią się z nimi.

–Tak, ale oczywiście nie oznacza to, iż po przejściu na naszą stronę nie rzucimy się ponownie w wir walki? – zapytał mistrz kopii.

–Mam nadzieję, że nie zrobisz tego, Brianie – rzekł Jim. – Wiem. Czujesz się dobrze, co aż trudno sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę czas jaki upłynął od zadania rany. Byłoby jednak wyjątkowo nierozsądne z twojej strony, gdybyś kontynuował walkę. Pamiętaj, że w takim tłoku i zamieszaniu możesz znaleźć się nagle otoczony przez czterech czy pięciu wrogów, a w pobliżu nie będzie nikogo, kto ci pomoże.

–To prawda, ale jednak… – przyznał Brian, lecz zawahał się.

Jim nie starał się kontynuować tematu, mając nadzieje, że przyjaciel sam dojdzie do rozsądnych wniosków. Przecież to od jego rozwagi zależało jak postąpi, a Jim nie mógł przecież narzucić mu swej woli. Rycerz zachowywał się jak siedzący na ławce gracz, którego aż skręca, by wejść na boisko i pomóc swojej drużynie.

Jim uznał, iż wyjaśnione zostały wszystkie sprawy zwią- zane z następnym dniem. Przyjaciele widocznie doszli do podobnego wniosku.

–Sądzę, że Dafydd jutro o świcie powinien pójść po ciebie i wszyscy trzej wyruszymy razem – rzekł Brian. – Nie zaszkodzi, jeśli nikt inny nie będzie wiedział, jaką drogą udajemy się do punktu zbornego. Nie uważasz, Jamesie?

–Tak, sądzę, że masz rację – zgodził się Smoczy Rycerz.

To mówiąc odsunął kubek, po czym wstał od stołu i przeciągnął się. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Nie dało się tego wyraźnie określić jako wyczerpanie fizyczne czy też psychiczne. Chciał po prostu znaleźć się wreszcie sam, by móc przed zaśnięciem przez chwilkę pomyśleć 0 Angie.

–Żegnam was więc. Dobranoc.

–Dobranoc – odpowiedzieli zgodnie.

Wyszedł z komnaty i w niemal zupełnie ciemnym kory- tarzu rozpoznał postać sługi, siedzącego na podłodze 1 wspartego plecami o ścianę.

Na jego widok człowiek poderwał się.

–Przynieś mi pochodnię – polecił Smoczy Ry- cerz. – Nie zaszkodzi także, jeśli przyprowadzisz ze sobą kogoś, kto będzie oświetlał mi drogę do mojej komnaty, a później zapali kaganek.

Rozdział 30 N, iech Puści Ludzie poznają me męstwo.

Śpiewał Sir Brian Neville-Smythe5 kiedy wraz z Jimem i Dafyddem jechał wczesnym rankiem, oddalając się od zamku de Mer w stronę miejsca wyznaczonego na pułapkę.

I miecz co nie zawodzi.

Na duchy czyha niebezpieczeństwo Gdy Nevilłe-Smythe nadchodzi!

Jim słyszał już tę pieśń, z nieco innymi słowami, niemal dwa lata temu, kiedy Brian groził smokom błotnym, a Jim znajdował się w ciele smoka o imieniu Gorbash. Słysząc tę groźną piosenkę najadł się wiele strachu i schronił w koronie drzewa.

Wtedy po raz pierwszy spotkał Briana, który wypatrzył go pośród gałęzi i chciał zmierzyć się z nim w walce. Jim starał się uniknąć tego za wszelką cenę, przekonując wojownika, iż jest zwykłym człowiekiem, wbrew swojej woli przemienionym w smoka.

Ta piosenka mogłaby teraz przywołać niemiłe wspo- mnienia, lecz na szczęście nic się nie stało. Zajście sprzed dwóch lat zakończyło się szczęśliwie, ponieważ Jim zdołał przekonać rycerza, iż jest chrześcijaninem zamienionym w smoka. Dopiero wtedy odważył się zejść z drzewa i, nie zagłębiając się w szczegóły, skłonić Briana, by ten został pierwszym spośród jego późniejszych towarzyszy, wraz z którymi zdołał uratować Angie porwaną do Twierdzy Loathly. Zagnieździło się tam zło Ciemnych Mocy, a jego obecna żona miała posłużyć jako przynęta.

Nie było wątpliwości, iż Brian ma wspaniały humor.

Zapewne po części wpłynęło na to obfite śniadanie, które zjedli wspólnie.

Średniowieczna dieta niezupełnie odpowiadała Jimowi, lecz powoli przyzwyczajał się od niej. Mistrz kopii nie miał podobnych problemów, ponieważ w życiu nie zaznał niczego innego. I tak mieli szczęście, że mogli sobie pozwolić na wyszukane posiłki. Biedota musiała bowiem zadowalać się obecnie owsianką przyrządzaną z resztek ubiegłorocz- nych zbiorów.

Co prawda nastała już wiosna, lecz na razie nie przyniosło to żadnej zmiany w jadłospisie, młodą cebulę, skosztował tylko Brian. Jim z trudem odpędził od siebie myśl o świe- żych warzywach. Nigdy nie myślał, że tak może ich brakować.

Brian nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Miał pełny żołądek, dzień zapowiadał się pogodny, a wkrótce miała rozpocząć się wspaniała bitwa.

Sir Herrac miał rację mówiąc, iż lubi on walkę bardziej niż inni. Podczas gdy Jim czarno widział zbliżającą się próbę sił, myśląc o czającym się z każdej strony niebez- pieczeństwie, przyjaciel nawet nie zaprzątał sobie tym głowy. Wprost nie mógł doczekać się chwili, w której sięgnie po broń i zaatakuje wroga.

Dobry humor Briana był jednak zawsze zaraźliwy.

Smoczy Rycerz stwierdził więc, że jego obawy są przesa- dzone i należy być dobrej myśli.

Mistrz kopii urwał nagle w pół słowa. Spojrzał na łucznika, który jechał po przeciwnej stronie Jima. Będąc we własnym tylko towarzystwie jechali obok siebie jak równi.

–Dafyddzie… to znaczy Wasza Wysokość… – zaczął niepewnie.

–Zwracaj się do mnie Dafydd, Sir Brianie – przerwał mu Walijczyk. – Jestem tym Dafyddem ap Hywelem, którego tak dobrze znasz.

–Dobrze – zgodził się rycerz, lecz wciąż w jego głosie brzmiała niepewność. – Ale… chodzi mi o ten… ten tytuł książęcy, który posiadasz według Małych Ludzi. Czy to prawda? To znaczy czy to prawdziwy tytuł? Czy naprawdę jesteś księciem? To znaczy, nie chciałbym zachować się niewłaściwie w stosunku do tak wysokiej rangą osoby…

Dafydd przerwał mu ze śmiechem.

–Aleś się zaplątał, Brianie. A wracając do tamtego pytania, tak, to prawda. Lecz cóż znaczy być księciem setek mil morskich fal, gdzie nie ma żadnych poddanych?

Rzeczywiście jestem księciem, jeśli chodzi o sam tytuł. Ale to tytuł, który dawno temu utracił znaczenie i o wiele bardziej odpowiada mi bycie Dafyddem ap Hywelem niż księciem czegoś tam. Jednym słowem, przestanę nosić ten tytuł, gdy tylko opuścimy zamek de Mer.

–No coż, jeśli tak mówisz… – zgodził się Brian, marszcząc czoło. – Ale przecież to cholernie niesprawied- liwe. Ludzie na całym świecie zabiegają o tytuły baronów czy książąt, a ty jesteś nim, a chcesz pozostać zwykłym łucznikiem.

–Najniezwyklejszym łucznikiem – poprawił go Jim.

–Niech będzie! Ale i tak dla mnie to nie w porządku.

To kurtuazja i obyczaje odróżniają nas od dzikich zwie- rząt. No i oczywiście nasze nieśmiertelne dusze – dodał Brian, czyniąc znak krzyża. – Naturalne jest więc, że znając czyjąś rangę traktuje się go zgodnie z nią – cią- gnął. – Wydaje mi się więc Dafyddzie… Wasza Wysokość…

że jeśli naprawdę jesteś księciem, powinieneś się do tego otwarcie przyznać i zasłużyć tym sobie na odpowiednie traktowanie.

–Wcale tego nie pragnę – zaprotestował Walij- czyk. – Ten tytuł nie ma w sobie nic realnego i równie dobrze mógłbym nazwać się "księciem pustki". Zupełnie nie pasuje do dzisiejszych czasów. Teraz i tutaj jestem łucznikiem i nie wstydzę się tego. Co zyskam udając kogoś innego? Okażesz mi należny szacunek, jeśli będziesz mnie traktował jak kiedyś, na przykład pozwalając jechać nieco z tyłu za sobą i w inny jeszcze sposób dając do zrozumienia, że moja ranga jest niższa od twojej.

–Naprawdę tego chcesz, Dafyddzie? – zapytał mistrz kopii, z zainteresowaniem przyglądając się przyjacielowi.

–Tak.

–A więc na tym możemy zakończyć tę dys- putę! – uznał. – Życzenia przyjaciół powinny być respek- towane. Masz moje słowo, że będę postępować wedle twojej woli. Kiedy opuścimy zamek de Mer, ale dopiero wtedy, będę traktować cię tylko jako łucznika, którego znam już od dwóch lat. Co prawda sam nie jestem wprawny w posługiwaniu się tą bronią jak Jamę… – urwał nagle i chrząknął zakłopotany – jak wielu, którzy nie znają sztuki walki, lecz wielce ją sobie cenię.

Jim puścił mimo uszu to niedokończone porównanie.

–Nie przeczę, że tak jest – zgodził się Dafydd z uśmiechem – ale założę się, że gdybyś na rok zamieszkał w głuszy mając tylko łuk, stałbyś się wyśmienitym łucz- nikiem.

–Tak uważasz? To ciekawe. Nie mam jednak czasu na takie eksperymenty.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

–Kiedy już zakończyliśmy temat związany z tytułem Dafydda, chciałbym podnieść inną kwestię – przerwał ciszę Jim. – Udajemy się teraz na spotkanie przywó- dców, a Mali Ludzie będą gdzieś w pobliżu. Sądzę jednak, że później powinniśmy zatoczyć łuk i zbliżyć się do Pustych Ludzi od północy, tak, aby niczego nie podejrzewali. – Popatrzył na obu przyjaciół. – W związku z tym niepokoi mnie pewna sprawa. Bez odzienia, duchy mogą poruszać się niezauważone, a na- wet jeździć na swoich niewidzialnych koniach. Mogą wiec podkraść się na tyle blisko, by podejrzeć nas i pod- słuchać, co może doprowadzić do zawalenia się wszelkich planów.

–Nie ma obawy! – rozległ się ochrypły głos.

Gdy spojrzeli w kierunku, z którego dobiegał, ujrzeli biegnącego obok Snorrla. Wilk uśmiechnął się do nich.

–Towarzyszyłem wam niemal od chwili opuszczenia zamku – ciągnął. – Będę też z wami, aż dotrzemy do Pustych Ludzi, chociaż możecie mnie wcale nie widzieć.

Gwarantuję jednak, że żaden duch nie zbliży się, by móc was podsłuchać. A teraz jedźcie dalej. Zniknę, ale będę przy was.

Mówiąc to niemal rozpłynął się w powietrzu, chociaż Jim wiedział, że w otaczającym ich lesie jest to zupełnie niemożliwe.

–A więc to już jasne i muszę przyznać, że kamień spadł mi z serca – rzekł. – Jeśli będziemy jechać w takim tempie, wkrótce dotrzemy do punktu zbornego.

Urwał i zamyślił się.

–Właściwie to dobrze – rzekł po chwili. – Jeśli zjawimy się wcześnie, spotkanie szybciej się zakończy i będziemy dysponować pewną rezerwą czasu. To szczegól- nie istotne, jeśli chcemy zbliżyć się do Pustych Ludzi z przeciwnej strony. Nie uważacie?

Brian i Dafydd zgodnie kiwnęli głowami.

–To, co mówisz, jest bardzo rozsądne – przyznał mistrz kopii. – Należy unikać zbytecznego ryzyka, chociaż nic nie jest pewne. Ale zawsze trzeba zrobić wszystko, co możliwe, by zabezpieczyć się przed nieprzyjemnymi nie- spodziankami.

–To prawda – zgodził się Walijczyk.

Do miejsca spotkania Northumbrian dotarli, gdy stawiła się tam dopiero trzecia ich część. Wybranym punktem była polanka, lecz zbyt mała, by pomieścić wszystkich wojow-ników. Dlatego większość rozlokowała się w okolicznych lasach, poza zasięgiem wzroku.

Trójka przyjaciół podjechała do Herraca. Pan zamku de Mer, wraz z synami i swoim oddziałem, zajął przypadające mu z urzędu miejsce na środku polany.

–Cha! – wykrzyknął na ich widok. – Cieszę się, że już jesteście, Wasza Wysokość, panie oraz Sir Brianie.

Czekaliśmy na was.

–Z pewnością nie wszyscy dowódcy zjawili się już… – rzekł Jim, gdy zatrzymał konia przed ogromnym przywódcą Northumbrian.

–To prawda, wielu jeszcze nie ma – przyznał de Mer. – Nie przewiduję jednak, by wszyscy przywódcy spotykali się z Małymi Ludźmi. Wybrałem do tego tylko najznamienitszych, którzy stawią się na rozmowę z Ar- dacem, synem Lutela, i jego towarzyszami. – Na moment zmarszczył brwi, po czym kontynuował: – Jestem niemal

pewien, że wraz z nim nie będzie więcej niż pół tuzina dowódców schiltronów. Z naszej zaś strony stawią się Sir John the Graeme, Sir William Berwick, Sir Peter Lindsay i ewentualnie jeszcze kilku. Przecież nie możemy czekać zbyt długo na spóźniających się, a nie ma sensu wyczekiwać do południa na kogoś, kto wcale się nie pojawi.

–Zamierzasz więc zorganizować spotkanie już te- raz? – zapytał Jim.

Orientując się po położeniu słońca była zaledwie tercja, co oznaczało godzinę dziesiątą.

–Jak tylko zdołam ich wszystkich zebrać – odparł de Mer. – Poczekajcie tu.

Zwrócił się do synów i rozesłał ich w różne strony, aby sprowadzili przywódców wybranych do uczestniczenia w spotkaniu. Jim zorientował się, iż będzie ich razem jedenastu. Mając na względzie Małych Ludzi ucieszył się z powodu zachowania równowagi sił. Oczywiście pod warunkiem, że pozostali dowódcy nie poczują się dotknięci.

Humor poprawił mu jeszcze Brian szepcząc na ucho: – Często się tak dzieje, Jamesie. Nie przyjmuj się tym.

Zazwyczaj to z powodu czyjejś nieobecności opóźniają się takie narady. Wszelkie decyzje podejmuje jednak dowódca i nie powinniśmy się tym martwić. To on określa, kiedy ma odbyć się narada i kiedy należy zaatakować wroga.

Jim skinął głową.

–Rozumiem – wyszeptał.

Dwadzieścia lub trzydzieści minut później jedenastu mężczyzn spotkało się z ośmioma Małymi Ludźmi. Pośród nich znajdował się Lachlan, rozpromieniony niczym Brian.

Rozlokowali się w dość znacznej odległości od Northumb- rian, by nikt nie zakłócał im spokoju i nie miał możliwości podsłuchania zapadających tu decyzji.

–Sądzę, że pozostaje nam tylko upewnić się, czy nasze plany nie uległy żadnym zmianom – przemówił Herrac po uprzednim powitaniu Ardaca. – O której lub na jaki sygnał moi rodacy mają ruszyć do ataku?

–Zadmę w swój róg – rzekł Mały Człowiek, unosząc krowi róg wiszący na ramieniu i przykładając jego cienki koniec do ust. – Posłuchajcie, ponieważ drugiego takiego nigdy nie usłyszycie.

Zadął weń, a jego słowa okazały się szczerą prawdą.

Jim spodziewał się usłyszeć ochrypły dźwięk, taki jaki dobywał się zazwyczaj z podobnych rogów. Ten jednak wydawał z siebie wysoki, miły dla ucha ton, który niósł się na wiele mil.

Ardac odjął go od ust i wśród jego gęstej brody zagościł uśmiech.

–Wasi ludzie będą zapewne zastanawiać się, skąd pochodzi ten głos – rzekł – lecz nie zorientują się, ponieważ nie sposób określić kierunku, z którego dobiega.

Nie jest to taki róg, jaki posiadają duzi ludzie i gdy usłyszysz go choć raz, zawsze już ten dźwięk rozpoznasz.

Możecie być także pewni, że zabrzmi on tak głośno, iż zagłuszy bitewny gwar. Przecież do tego właśnie celu służy.

–Masz rację, że to wspaniały róg – przemówił Her- rac. – A więc dobrze, będziemy czekać na jego dźwięk.

Powiedz mi jeszcze, w którym momencie walki zamierzasz z niego skorzystać?

–Moim zamiarem jest zmuszenie Pustych Ludzi pierw- szą szarżą, nawet dwukrotnie

mniejszymi sschiltronami, do wycofania się o jedną czwartą odległości między drzewami a skałami.

–Na Świętego Krzysztofa! – wykrzyknął William z Berwick. – Ależ to niemożliwe. Przecież będziecie mieli przed sobą półtora tysiąca przeciwników.

–Dwa tysiące, albo i jeszcze więcej – poprawił go Ardac. – Znamy ich nieco lepiej niż ty i twoi ludzie, Sir Williamie. Czy uważasz, że to niemożliwe? Co więc zrobił- byś na widok ruchomego lasu pik jeżącego się przed tobą i zbliżającego z każdą chwilą? Naturalnym odruchem jest, iż cofną się, a nawet zaczną uciekać. Powiem więcej: odepchniemy ich nawet dalej, o trzecią część szerokości I!› polany. Powstrzymanie ich jednak w tym miejscu to już zupełnie co innego, ponieważ otrząsną się i sami zaatakują.

Kiedy więc zadmę w róg, powinniście ruszyć bez chwili wahania, będziecie bowiem niezbędni. Jeśli spóźnicie się, możemy nie wytrzymać ich naporu i element zaskoczenia zostanie zmarnowany.

–Jestem dowódcą i zapewniam was, że gdy tylko zabrzmi róg, wszyscy wojownicy znajdujący się pod moimi rozkazami niezwłocznie ruszą wam z pomocą, konno czy też pieszo. – Nie dał nikomu możliwości dojścia do głosu i kontynuował: – Sądzę, że na tym skończymy nasze spotkanie, Ardacu, synu Lutela. Ty i twoi towarzysze mogą już wracać do swoich. Jego Wysokość wraz z Sir Jamesem oraz Sir Brianem muszą zaś jak najszybciej wyruszać w drogę, ponieważ powinni dotrzeć do Pustych Ludzi znacznie wcześniej niż my. Ogłaszam więc naradę za zakończoną.

Odwrócił się i skierował do swoich oddziałów. Reszta Northumbian niemal automatycznie podążyła za nim.

Ardac zawahał się przez chwilę, po czym przemówił do Dafydda: – Mieliśmy nadzieję, że znajdziesz się pośród nas i dodasz nam otuchy. Szkoda, że tak nie będzie.

–Ja także bardzo żałuję – odparł Walijczyk. – Nie mam jednak wyboru. Moim obowiązkiem jest towarzysze- nie tym oto dwóm szlachetnym rycerzom i odwrócenie uwagi Pustych Ludzi, tak abyście mogli podejść ich niepo- strzeżenie i zaskoczyć swym atakiem. Musicie radzić sobie beze mnie.

–Czy Sir James nie może zrobić tego sam, tylko w towarzystwie Sir Briana? – zapytał Mały Człowiek.

–Nie.

Jak zwykle głos Dafydda był miękki, ale zabrzmiała w nim nie pozostawiająca wątpliwości stanowczość. Z pew- nością Ardac i jego towarzysze także ją wyczuli. Dzidami oddali mu niemy salut, jak uczynili to już raz, przed potyczką z Pustymi Ludźmi. Nie odezwali się ani słowem i miarowym krokiem odeszli. Zniknęli wśród pni drzew niemal tak błyskawicznie jak zwykł to czynić Snorrl.

Jim spojrzał na dwójkę przyjaciół. Stali tuż obok siebie.

–Czy chcesz przejąć nad nami przewodnictwo, Dafyd- dzie? – zapytał.

–Nie, Jamesie. Pozostawiam to tobie.

–Brianie? Może ty? Jeśli chodzi o bitwy, masz znacznie większe doświadczenie niż ja.

–Zgodzę się, jeśli chodzi o bitwy, ale przecież tu rzecz polega na kierowaniu fortelem, a ty będziesz w tym najlepszy spośród całej naszej trójki, Jamesie.

Jeśli będę ci potrzebny, możesz liczyć na moją pomoc, ale uważam, tak jak Dafydd, że

to ty powinieneś nam przewodzić.

–A więc zgoda – zakończył dyskusję Jim.

Wskoczył na konia, którego podprowadził na miejsce spotkania z Małymi Ludźmi, a w jego ślady poszli towa- rzysze. Dafydd z przyzwyczajenia zajął miejsce nieco z tyłu i ujął wodze jucznego wierzchowca dźwigającego skrzynie ze złotem. Ruszyli na północny-zachód, nieco w bok od miejsca zbiórki Pustych Ludzi.

Gdy odjechali wystarczająco daleko, skręcili o dziewięć- dziesiąt stopni i skierowali się na wschód. Wkrótce dotarli do szlaku, na którym zorganizowali zasadzkę na Ewena MacDougalla. Ruszyli nim do miejsca nieco na północ od przyszłego pola bitwy.

Tam zboczyli z traktu i skierowali się na południowy- -wschód, wprost na oczekujących Pustych Ludzi. Nie zdążyli zagłębić się jeszcze w las, gdy usłyszeli znajomy głos Snorrla: – Wkrótce zobaczy was jeden z ich strażników – oświa- dczył. – Czy nie uważasz, że nadszedł już czas na dokonanie tych magicznych zmian, o których mówiłeś?

–Masz rację – zgodził się Jim.

Nie wspomniał, że czekał tylko na zjawienie się wilka, ponieważ ten nie był zadowolony, gdy go wzywano.

Ściągnął wodze rumaka i zeskoczył na ziemię, Brian i Dafydd także się zatrzymali. Miał przed sobą nie lada problem. Ewen MacDougall był zdecydowanie niższy. Jeśli przemieniłby się w niego, jak uczynił to wcześniej, musiałby mieć na sobie jego zbroję. Gdyby magia przestała działać, kiedy byłby jeszcze na skalnym występie i musiał przedrzeć się przez zgraję Pustych Ludzi, powinien mieć na sobie własną zbroję, ponieważ należąca do Szkota nie wytrzyma- łaby i po prostu rozpadła się na jego własnym ciele. Myślał 0 zabraniu swojego pancerza i włożeniu go przed rzuceniem się w wir walki. Wątpił, by udało się znaleźć na to czas 1 warunki. Wdzianie przez rycerza zbroi nie było przecież wcale takim łatwym zadaniem.

Znalazł jednak bardzo proste rozwiązanie. Należało przemienić tylko twarz i przez cały czas mieć na sobie własną zbroję, z narzuconym na nią płaszczem. Było bardzo mało prawdopodobne, że Eshan zwróci uwagę na to, iż poprzednio Ewen MacDougall był o kilka cali niższy i węższy w barkach, skoro większą część jego postaci osłaniał ten sam długi płaszcz. Co więcej, Jim nie zamierzał ukrywać oblicza, które przecież należało do wysłannika szkockiego króla. To rozwiązanie wpływało także na wydłużenie działania czaru, ponieważ w tym wypadku potrzeba było znacznie mniejszej ilości magicznej energii.

Opuścił więc zamek jakby nigdy nic we własnej zbroi. Teraz zaś, stojąc obok konia, napisał na wewnętrznej stronie czoła: MOJA TWARZ -J MACDOUGALLA TWARZ EWENA Jak zwykle niczego nie poczuł, lecz reakcja wilka po- zwoliła zorientować się, iż zmiana już nastąpiła. Snorrl momentalnie odskoczył od niego i przywarł do ziemi szczerząc kły.

–Przestań, Snorrlu! – rzucił poirytowany Smoczy Rycerz. – To przecież ja, tylko z twarzą Ewena Mac- Dougalla. Czy jesteś gotów, bym i ciebie przemienił?

Wilk powoli uspokoił się, aż wreszcie stanął prosto.

–Czy nie stanie mi się nic złego? – zapytał.

–Nie. Co więcej, niczego nawet nie poczujesz. Jeśli chcesz przekonać się o zmianie, musisz znaleźć jakąś wodę i przejrzeć się w niej. Zauważysz też, iż patrzysz z nieco większej wysokości niż zwykle.

–A więc zrób to – zgodził się wilk.

Jim na wewnętrznej stronie czoła napisał drugi czar: SNORRL -› DWA RAZY CIĘŻSZY, DWA RAZY WIĘKSZY W mgnieniu oka Snorrl stał się podobny rozmiarami do kuca. Na ten widok, konie odskoczyły przerażone i zaczęły się szarpać. Jim poczuł, że nie jest w stanie utrzymać Gruchota, który ciągnął go za sobą. Dopiero Brian, który jako pierwszy ujarzmił swego dobrze wytrenowanego ru- maka, chwycił za cugle i zatrzymał go.

–Na Świętego Piotra! – rzekł mistrz kopii ze śmie- chem. – Jeśli Snorrl zrobi podobne wrażenie na Pustych Ludziach, bez problemu przedrzemy się przez nich jak ostry nóż przez ser.

Wspólnymi siłami obaj rycerze uspokoili Gruchota, na tyle, że Smoczy Rycerz mógł go dosiąść. W tym czasie wilk ponownie zniknął.

–Gdzież on się znowu podział? – zdenerwował się Jim.

Brian wzruszył ramionami, a łucznik pokręcił głową, dając do zrozumienia, że Snorrl zachował się zgodnie ze swoim zwyczajem. Po chwili wilk pojawił się jednak ponownie.

–Miałeś dobry pomysł – rzekł. – Znalazłem wodę i przejrzałem się w niej. Jest dokładnie tak jak mówiłeś.

Zgadzam się już pozostać w takiej postaci.

–Przykro mi, ale wrócisz do zwykłych rozmiarów, kiedy czar się wyczerpie, a może się to zdarzyć jeszcze wśród Pustych Ludzi. Wtedy obaj powrócimy do normal- nego wyglądu i jak najszybciej powinniśmy z pomocą Sir Briana i Dafydda ap Hywela wydostać się poza pole walki.

Snorrl milczał przez moment.

–No coż, jeśli tak musi być, to niech będzie – powie- dział z rezygnacją w głosie. – Taki jak teraz czy nie, obiecuję, że przedrę się przez Pustych Ludzi, a wy, jeśli chcecie, możecie podążyć za mną!

Rozdział 31 z.

/ostaliśmy zauważeni – obwieścił Snorrl nieco później, kiedy zbliżali się do punktu zbornego Pustych Ludzi.

Jim popatrzył z ciekawością na wilka.

–Jak wyczułeś, że ktoś nas obserwuje? – zapy- tał. – Wiatr wieje przecież w przeciwnym kierunku.

–Wcale nie musiałem go wyczuwać. Widziałem i sły- szałem go, zarówno gdy czekał, jak i gdy spieszył do reszty z wieścią o naszym pojawieniu się. Wy także mogliście słyszeć go i widzieć, gdybyście jak wszystkie dwunożne istoty nie byli na wpół głusi i ślepi.

Jim zrezygnował z kontynuowania rozmowy na ten temat, ponieważ wilk, jak robiło to wielu ludzi, krytykował wszystkich z wyjątkiem siebie.

–Jesteśmy już niedaleko od nich – oznajmił Snorrl.

Jim spojrzał w górę i stwierdził, że słońcu sporo jeszcze brakuje do zenitu. W tej chwili zatęsknił za ulubionym zegarkiem, którego używał przez czternaście lat, a który pozostał w dwudziestowiecznym świecie, leżący nie wiado- mo gdzie.

Obiecywał sobie, że kiedyś, gdy zdobędzie wyższe magi- czne umiejętności, zajmie się problemem mnogości światów.

Z pewnością Carolinus wiedział, że ich świat nie jest jedynym, a pośród innych znajdują

się zbliżone do tego, lecz przesunięte w czasie. Kilkakrotnie już zdradzał tę wiedzę w rozmowach z Jimem. Starzec był jednym z trzech największych magów. Smoczego Rycerza, jako maga klasy D, czekało więc jeszcze długoletnie zgłębianie tajników magii.

Jim porzucił myśl o zegarku. Było dość wcześnie, lecz nie stanowiło to poważnego problemu. Zostali już zauważeni, a więc nie było już wyboru. Musieli jechać naprzód, dostać się na skalny występ i rozpocząć rozdawanie pieniędzy.

Mogli mieć tylko nadzieję, że Mali Ludzie i Northumbrianie zajmą swe pozycje zanim wyczerpie się złoto lub magiczna energia na koncie Jima.

Każda z tych sytuacji spowodowałoby wściekłość Pustych Ludzi i skazała ich na pewną śmierć, pomimo niewzruszonej pewności siebie wilka.

Podążali więc dalej. Nie trwało długo, zanim drzewa przerzedziły się przed nimi i wyjechali na skraj polany.

Puści Ludzie zajmowali całą otwartą przestrzeń, a na ten widok Jimowi zrobiło się słabo. Jak przewidywał Ardac, musiało ich być znacznie ponad dwa tysiące, ponieważ na polanie, która zdawała się być większa niż potrzeba, niemal nie było wolnego miejsca. Na szczęście nie popełnił błędu i nie wybrał miejsca, które wydawało się być lepsze. Tam wszystkie duchy nie miałyby szans się pomieścić.

Puści Ludzie wyraźnie oczekiwali na Jima i jego towa- rzyszy (ale na pewno nie na wilka). Zewnętrzne ich szeregi odziane były tylko w strzępy odzienia, następne w kom- pletne już stroje i części pancerzy, aż do w pełni opan- cerzonych postaci stojących najbliżej występu. Ci najważ- niejsi, w zbrojach, trzymali około dwudziestu pierwszych szeregów. Niektórzy spośród nich dosiadali niewidzialnych wierzchowców, lecz znaczna większość była pieszo. Teraz jednak wszyscy wpatrywali się w Snorrla.

Wilk szedł zaś wraz z trójką przyjaciół. Duchy roz- stępowały się przed nim, jakby wbijał się w nich niewidzial- ny klin, torujący drogę aż do samego występu u stóp skał.

Żaden z nich nie odważył się pozostać w odległości mniejszej niż dziesięć, piętnaście stóp od Snorrla, a jemu sprawiało to wyraźną przyjemność. Wysunął się przed jeźdźców i posyłał spojrzenia na prawo i lewo, na co Puści Ludzie kulili się, jakby poznawał każdego z nich.

Jim pomyślał, że może rzeczywiście tak jest, ponieważ wilk zapamiętywał i rozpoznawał ich zapachy. Fałszywi posłańcy jechali więc za nim szerokim korytarzem, aż znaleźli się przy pierwszych szeregach duchów. W idealnej ciszy zbliżyli się do wyznaczonego miejsca. Konie opierały się nieco, a ich kopyta ślizgały na gołej skale, lecz udało się wjechać aż na występ. Dopiero wtedy wszyscy trzej zsiedli.

W przeciwnym końcu półki stało pięć postaci w pełnych zbrojach, takich jakie miał także Eshan. On sam był na pewno jednym z nich. Wszyscy mieli uniesione przyłbice, lecz nie mogło to oczywiście pomóc w ich rozpoznaniu, ponieważ wnętrza hełmów ziały pustką. Jim był jednak pewien, iż Eshan musi dać wreszcie znać o sobie.

Smoczy Rycerz podszedł do jucznego konia i sprawdził zamocowanie skrzyń. Snorrl ruszył u jego boku, a dwójka przyjaciół nieco za nimi.

Jim chciał w ten sposób zyskać nieco na czasie. Sądząc z położenia słońca, zbliżało się już południe. Oglądając skrzynie miał możliwość rozejrzenia się i przeczesania wzrokiem skraju lasu. Nie było tam jednak najmniejszego śladu ani Małych Ludzi, ani Northumbrian.

Zwrócił jednak uwagę na nienaturalne zgromadzenie sokołów i innych większych ptaków, takich jak choćby kruki, krążących ponad duchami.

–Skąd wzięło się tu tyle ptaków – zapytał Snorrla na tyle cicho, by ten go usłyszał, a jego słowa nie dotarły do żadnego z Pustych Ludzi.

Wilk wyszczerzył zęby uśmiechając się po swojemu do stojącej na występie piątki. Odpowiedział nie poruszając głową: – Mali Ludzie je tu wezwali. Są ich przyjaciółmi, podobnie jak zwierzęta. Czy Liseth nie mówiła ci jak wzywają jej sokoła, kiedy wyśle go na ich poszukiwanie?

–Słuszałem coś na ten temat – odpowiedział Jim. – Ale po co Małym Ludziom ptaki?

–One także potrafią dostrzec lub wyczuć Pustych Ludzi, nawet bez żadnego odzienia, choć nie wiem, w jaki sposób to czynią. Bez wątpienia pomogą nam uzyskać pewność, że żaden spośród duchów nie ucieknie. Na co teraz czekasz?

–Chcę nieco zyskać na czasie – szepnął Smoczy Rycerz. – Wciąż jeszcze nie ma południa i nie wiem czy Mali Ludzie i Northumbrianie zajęli swe pozycje.

–O to ci chodzi? – parsknął wilk. – Mogę cię zapewnić, że są tam, gdzie powinni być. Przecież żaden z nich nie będzie chciał przegapić tego dnia.

Jim poczuł wielką ulgę.

–A więc dobrze – rzekł do Briana i Dafydda.

Rozplatał linę, którą przywiązany był juczny koń, po czym poprowadził go w głąb półki.

Na widok zbliżającego się wilka, pięć zakutych w zbroje postaci cofnęło się o krok, lecz dalej nie mogło się już odsunąć. Smoczy Rycerz doszedł do połowy długości występu i tam zatrzymał się.

–Podejdźcie tu! – zawołał do piątki Pustych Lu- dzi. – Czy waszym zadaniem nie jest obserwowanie jak będę rozdawać zapłatę? Oczekuję, że będziecie stać nade mną i patrzeć mi na ręce.

Przez chwilę zawahali się i zaczęli szeptać między sobą Wreszcie zbliżyli się na około dziesięć stóp i znowu stanęli.

–Jestem Eshan – przemówił najbliższy. – Zapewne nie możesz mnie rozpoznać, lecz pamiętasz na pewno z poprzednich spotkań. Jeśli już tu jesteś, zajmij się tym, co masz zrobić! Tylko trzymaj z dala tego wilka!

Jim uśmiechnął się niemal słodko.

–Nie będzie was niepokoić, chyba że zajdzie taka konieczność – rzekł.

Odwrócił się, otworzył jedną ze skrzyń i wyjął z niej garść złotych monet.

–Skoro nie widzę was, tylko to, co macie na sobie – przemówił, podnosząc głos, by wszyscy go sły- szeli – nie potrafię was odróżnić. Ale stojący za mną wilk jest w stanie uczynić to z łatwością. Jeśli któryś spróbuje wziąć podwójną zapłatę, on zajmie się nim jak należy.

Pierwsze szeregi oczekujących zakołysały się, jakby chciały się wycofać, lecz za nimi stało tak wielu towarzyszy, że było to zupełnie niemożliwe. Niemniej w tłumie na- przeciw Snorrla pojawił się wyraźny wyłom. Starano się za wszelką cenę znaleźć jak najdalej od niego.

–Każdy z was – rzekł Jim na tyle głośno, by słyszano go w ostatnich szeregach – otrzyma dwie takie francs d'or pełnej wagi, nowo wybite przez króla Francji, aby pokryć

nimi wydatki inwazji na Anglię!

Pozostawił na dłoni jedną z nich i obracał nią na wszystkie strony, aby błyszczała w słońcu.

–Nosi nazwę franc a cheyal, ponieważ przedstawia króla siedzącego na koniu – obwieścił, na co wśród tłumu rozległ się pomruk zadowolenia i stojący z tyłu zaczęli napierać na pierwsze szeregi.

Nie było już sposobu na dalsze odwlekanie rozpoczęcia wypłaty.

–A więc dobrze – krzyknął. – Niech podejdzie tu pierwszy spośród was! A później następni, po kolei!

Przez moment panowało niezdecydowanie, aż wreszcie jedna z opancerzonych postaci z pierwszego rzędu zbliżyła się do występu. Jim położył dwie monety na rycerskiej rękawicy. Stalowe palce zacisnęły się na złocie i duch niezwłocznie oddalił się. Jego miejsce zajął od razu następny i cały rytuał powtórzył się.

Podział złota rozpoczął się.

Jedna za drugą, wyciągały się w kierunku Jima ręce zakończone rękawicami, a ich właściciele podchodzili od przeciwnej strony, niż ta, z której stał Snorrl, starając się pozostawać od niego możliwie jak najdalej.

Jim nie spodziewał się, że wręczanie złota będzie tak męczącym zadaniem. W miarę jak słońce, minąwszy zenit przesuwało się po nieboskłonie, zaczynał odczuwać coraz większe otępienie. Zaczęło mu się już wydawać, że nie- zliczona liczba rąk będzie wyciągać się w jego stronę w nieskończoność jak szczęki spragnionych jadła pad- linożerców.

To było jak witanie tysięcy gości lub wykonywanie niezliczonej liczby analogicznych czynności, co zaczynało się robić zupełnie mechanicznie.

Doszedł do wniosku, iż bez Snorrla nie poradziłby sobie.

Sam dawno już zrezygnował z pilnowania, czy któryś z Pustych Ludzi nie podchodzi po raz drugi, starając się go oszukać. Teraz wszystkie dłonie wydawały mu się zupełnie takie same. Przestał już także rozróżniać stroje duchów i różnice ich budowy. Zdawało mu się, że podchodzi do niego wciąż jeden i ten sam Pusty Człowiek.

Od czasu do czasu, ocierając pot z czoła, ponieważ słońce przypiekało wyjątkowo silnie, rzucał ukradkowe spojrzenia na otaczające polanę drzewa, za każdym razem mając nadzieję zobaczyć jakiś znak obecności Małych Ludzi. Niczego jednak nie dostrzegał. Wokół latały tylko coraz niżej i niżej ptaki, nawołując się wzajemnie. Wiedział, że ich głosy to sygnały ostrzegawcze. Jeśli więc wydawały jakieś okrzyki, to kierowały je do pobratymców, a nie Pustych Ludzi. Jim wierzył jednak, że Mali Ludzie muszą wiedzieć, co robią, jeśli rzeczywiście to oni wezwali ptaki.

W połowie wyczerpał zapas złota z pierwszej skrzyni i zaczęły się pojawiać pierwsze postaci odziane już tylko w część zbroi. Czasami ręka kończyła się na mankiecie i wtedy Jim doznawał nieprzyjemnego uczucia, kładąc monety w miejsce, gdzie powinna znajdować się dłoń. Po jakimś czasie zaczął je upuszczać nad niewidzialną dłonią ducha, pozostawiając mu troskę o ich pochwycenie. Wybrał ostatnich kilka złotych krążków z pierwszej z dwóch przegród skrzyni, po czym ogłosił przerwę. Obrócił konia i otworzył wieko z drugiej strony kufra.

Pozwoliło mu to po raz pierwszy przyjrzeć się uważnie skrajowi lasu. Przez chwilę miał

wrażenie, że widzi jakiś błysk pośród drzew, lecz równie dobrze mogło to być złudzenie. Z każdą chwilą zaczynał odczuwać coraz większy gniew.

Dawno już minął czas, gdy Mali Ludzie i Northumbrianie mieli zająć swe pozycje. Dlaczego więc nie ruszali do natarcia? Jeżeli wkrótce się nie zjawią, może zabraknąć mu złota. A wtedy Puści Ludzie, szczególnie ci w zbrojach, rzuciliby się na nich i zabili od razu lub pojmali, aby później dokonać wymyślniejszej i bardziej bolesnej eg- zekucji.

Sytuacja pogarszała się. Ponad tłumem tłoczących się duchów uniósł się tuman kurzu. Co więcej, ptaki latały teraz tuż nad ich głowami, potęgując jeszcze zamieszanie.

Ci, którzy nie uzyskali jeszcze zapłaty, opętani żądzą złota zaczynali, nie zważając na strach przed Snorrlem, coraz bardziej tłoczyć się wokół Jima.

Sytuację komplikował jeszcze dodatkowo fakt, iż ci w pełnych zbrojach uznawali swoje miejsca w pobliżu występu za wyróżnienie i niechętnie przepuszczali tu tych z tyłu, więc duchy w skrawkach zbroi lub odzieniu musiały zdecydowanie przepychać się, by sforsować zastępy opan- cerzonych towarzyszy. Podnosił się więc coraz głośniejszy gwar i rozlegały okrzyki pełne wściekłości.

Jim poczuł nagle, że ktoś chwycił go za rękę dłonią w rękawicy. Obejrzał się i spojrzał w pusty otwór odkrytej przyłbicy zbroi jednego z Pustych Ludzi towarzyszących im na skalnej półce.

–Musisz się pospieszyć! – rozległ się ponad gwarem krzyk Eshana.

–Nie ma na to sposobu! – odkrzyknął fałszywy MacDougall.

Wyszarpnął rękę, uwalniając ją z uchwytu. Przywódca duchów stał jednak przy nim przez kilkanaście minut obserwując go uważnie, zanim wreszcie zrezygnował i od- dalił się do pozostałej czwórki.

Jim sięgał właśnie do skrzyni po kolejną garść monet, gdy poprzez tuman kurzu dojrzał wśród drzew jakieś błyski, i to w kilku miejscach jednocześnie. Pospiesznie powrócił do rozdawania zapłaty. Jego zadaniem było bowiem maksymalne skupienie na sobie uwagi Pustych Ludzi, gdy mali wojownicy pokonywać będą otwartą przestrzeń, ruszając do szturmu. Nie był z tego zadowolony, lecz wciąż trzymał opuszczoną głowę, nie widząc co dzieje się za plecami duchów tłoczących się w bezpośrednim jego sąsiedztwie.

Opróżnił dłoń i sięgnął do skrzyni, co pozwoliło mu spojrzeć ponownie ponad głowami Pustych Ludzi. Z radoś- cią dojrzał tym razem zastępy włóczników biegnące wprost na ostatnie szeregi duchów.

Pospiesznie powrócił do swoich zajęć, wciskając wciąż monety w wyciągnięte ręce. Po chwili jednak zorientował się, że Mali Ludzie musieli dotrzeć już do najdalej stojących duchów.

Ton wrzasków zmienił się nagle i ryk przybrał na sile.

Ogólny gwar został zagłuszony przez wrzaski Pustych Ludzi, którzy przyjęli na siebie siłę pierwszego uderzenia i teraz ginęli. Jednak wszyscy znajdujący się w zasięgu wzroku Jima wciąż cisnęli się w jego stronę, chcąc otrzymać złoto. Pomyślał, że najlepiej będzie udawać, iż nic się nie dzieje i odwracać uwagę, przynajmniej tych najbliższych, jak długo tylko się da.

Minęła zatem minuta lub dwie, gdy nagle usłyszał za plecami świst strzał. Teraz już tylko nieliczni byli zwróceni w jego kierunku. Spojrzał w prawo i dostrzegł cztery opancerzone postacie leżące bezwładnie z wy- stającymi z pancerzy lotkami pocisków Dafydda. Piąty

przywódca zniknął gdzieś. Wyraźnie nadszedł już czas, by ruszać.

Nabrał więc monet w obie dłonie i cisnął je w niewidzialne twarze stojących tuż przed nim. Odwrócił się i podbiegł do najniższego skraju półki. Czekał tam już na niego Brian na swym Blanchardzie, a za uzdę przytrzymywał Gruchota.

Smoczy Rycerz nie potrafił, niestety, tak jak przyjaciel w pełnej zbroi wskoczyć na siodło, chociaż bez dodat- kowego obciążenia, dzięki ogromnej sile nóg, był w stanie wybić się na taką wysokość. Teraz jednak dosiadł konia korzystając ze strzemienia i obaj zawrócili w kierunku zjazdu na stały grunt.

Dafydd, także już na końskim grzbiecie, dołączył do nich po chwili. Łuk miał teraz przewieszony przez ramię.

W prawym ręku trzymał miecz, a w lewym tarczę pożyczoną z zamku de Mer. Gdy tylko zjechali z występu, stanęli oko w oko ze zgrają Pustych Ludzi w pełnych zbrojach, uzbrojonych i dosiadających niewidzialnych wierzchowców.

Tamci na ich widok przestali się interesować nadciągającymi Małymi Ludźmi i zwrócili się przeciw trójce ludzi.

Jim poczuł nagle, że znaleźli się w beznadziejnym poło- żeniu. Nigdy nie zdołają przebić się przez tak potężną ścianę wrogów.

W tej jednak chwili przed oczami mignął mu kudłaty kształt, który rzucił się na stojących przed nimi Pustych Ludzi. Mocne szczęki znalazły miejsce pod kolczugą jednego z duchów, mającą chronić jego szyję, a ostre jak brzytwy zęby zacisnęły się na niewidzialnym gardle.

To Snorrl przyszedł im na ratunek i pozostali Puści Ludzie momentalnie utracili ochotę do walki. Zaczęli tłoczyć się do tyłu. Smoczy Rycerz poczuł nagły ucisk w dołku na widok wilka, który już odzyskał normalne rozmiary. Dotknął twarzy i zorientował się, że także ma własne oblicze. Magia wyczerpała się więc, lecz Puści Ludzie oszaleli na punkcie złota i nie dostrzegli zmiany, jaka zaszła w jego wyglądzie.

Musiał mieć jednak jeszcze twarz MacDougalla, gdy podszedł do niego Eshan, ponieważ ten bez wątpienia rozpoznałby, że coś jest nie tak.

Teraz nie miało to jednak już żadnego znaczenia. Snorrl dość łatwo torował im drogę naprzód. W panującym wokół zamieszaniu, Jim nie widział nic, poza najbliższym sąsiedztwem i nie był w stanie ocenić jaki jeszcze dystans dzieli ich od przyjaciół.

Na jego tarczy, którą się osłaniał, lądowały ciężkie uderzenia.

Spojrzał w lewo i ujrzał, że Brian zrezygnował z użycia kopii. Panował bowiem tak ogromny tłok, iż broń ta była całkiem bezużyteczna. Rąbał jednak zapamiętale mieczem i osłaniał się tarczą, podobnie jak Dafydd.

Jim wyjrzał spoza tarczy i zadał cios znajdującemu się przed nim duchowi. Tamten spadł z konia. Dopiero w tej chwili Jim zorientował się, że piesi Puści Ludzie starają się powalić Gruchota i zrzucić go z siodła.

Skupił więc na nich swoją uwagę, lecz niespodziewanie pomógł mu jego bojowy wierzchowiec. Wpadł bowiem w taką panikę, że zaczął wierzgać na wszystkie strony i gryźć to, co ruszało się w zasięgu jego wzroku.

Rozdział 32 p, óźniej nastąpiło trudne do opisania zamieszanie.

Jim był jednocześnie śmiertelnie przerażony i silnie pobudzony. Spowodowało to, że rzucił się do walki, wspólnie z Brianem, Dafyddem oraz Snorrlem, mieczem torując drogę.

Wokół unosił się taki kurz, że aż trudno mu było oddychać.

Walka zdawała się trwać jednocześnie przez moment i całą wieczność. Właściwie czas nie istniał. Wszystko było jedną chwilą i nieskończonością. Nagle przed Jimem zalśniły ostrza pik Małych Ludzi, które rozsunęły się dając mu przejazd. Cała czwórka pospieszyła w kierunku tego wyło- mu. Gdy tylko minęła go, zamknął się szczelnie, po- wstrzymując podążających za nimi wrogów.

Mogli wreszcie opuścić broń, ponieważ otaczali ich przyjaciele. Jim poczuł, że spocił się tak, iż pływał niemal w zbroi. Miał nadzieję, że to tylko pot, a nie krew.

Z lewej strony włócznie i kurz zasłaniały cały widok.

Z prawej zaś utworzono przejście, przez które w wir walki rzucali się konno ludzie z pogranicza, mający za zadanie rozprawić się z najlepiej uzbrojonymi Pustymi Ludźmi.

Towarzysze zatrzymali się dopiero poza liniami Małych Ludzi i Northumbrian, na pustej części polany. Jim rozejrzał się i dostrzegł Herraca siedzącego prosto na koniu, otoczo- nego zakutymi w żelazo synami, pośród których wyróżniał się niedużym wzrostem Sir Giles.

Smoczy Rycerz nie spodziewał się ujrzeć Herraca w tym miejscu. Średniowieczny dowódca nie zwykł podczas bitwy trzymać się na uboczu. Jim skierował więc Gruchota w jego stronę, a za nim podążyli Brian i Dafydd. Snorrl zniknął już gdzieś. Nie widzieli czy z powrotem rzucił się do walki, czy też oddalił w knieje.

De Mer miał nie tylko uniesioną przyłbicę, ale i zsunięty hełm, tak że odsłonięta była cała jego twarz. Zauważył trójkę przyjaciół, gdy ci jechali w jego stronę.

–Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknął, gdy znaleźli się nieopodal.

–Czy teraz możemy ruszyć z innymi do natarcia, ojcze? – zapytał Alan, spod uniesionej przyłbicy.

–Za chwilę. Czekałem tylko aż Wasza Wysokość, Sir James oraz Sir Brian będą bezpieczni. Teraz możemy dołączyć do walczących.

Mówiąc to nasunął hełm, lecz przyłbicę wciąż pozostawiał otwartą.

–Pójdę wraz z tobą, Sir Herracu! – obwieścił Brian.

Jego głos był jednak dziwnie słaby, a ponadto Jim dostrzegł, że przyjaciel niepewnie trzyma się w siodle.

Smoczy Rycerz odwrócił się, wyciągnął rękę i uniósł przyłbicę skrywającą twarz Briana. Była ona trupio blada.

Ponownie niebezpiecznie zakołysał się w siodle.

–Nigdzie nie wracasz! – oświadczył zdecydowanie Jim. – Rozkazuję ci pozostać z nami!

–I ja wydaję podobny rozkaz! – wsparł go de Mer. – Gilesie, będziesz trzymać się z dala od walki i pomożesz tym trzem rycerzom, a szczególnie Sir Brianowi, bezpiecznie wrócić na zamek i rozkazać, by odpowiednio zajęto się tam nimi. Ty także, Christopherze!

–Ojcze! – zaprotestował szesnastolatek.

–Słyszałeś, co powiedziałem. To wszystko. Wraz z Gi- lesem macie doprowadzić ich do domu. A reszta, opuszczać przyłbice i naprzód!

Mówiąc to sam osłonił twarz, przynaglił konia ostrogami i ruszył galopem w stronę korytarza utworzonego przez Małych Ludzi. Giles oraz Christopher z minami cierpięt- ników obserwowali ich odjazd.

–Jedźmy więc – polecił niecierpliwie Smoczy Ry- cerz. – Wracajmy na zamek. Zajmijcie

miejsca z obu stron Sir Briana.

–Wcale ich nie potrzebuję… – zaprotestował słabym głosem zainteresowany.

–Nie słuchajcie go! – nie ustępował Jim.

Młodzi de Merowie ustawili się po obu stronach mistrza kopii, a Sir Giles ujął go dla pewności za pas.

Jim, który odsunął się robiąc miejsce Christopherowi, ruszył jako pierwszy. Dopiero po chwili odważył się przyspieszyć do kłusa, oglądając się jednocześnie przez ramię.

–Czy wytrzyma takie tempo, Gilesie? – zapytał.

–Wytrzymam nawet cholerny galop… – odezwał się Brian.

Giles skinął zaś głową.

–A więc jedźmy jak można najszybciej, lecz nie prędzej niż teraz.

Nagle poczuł się tak, jakby ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Ściągnął wodze, zatrzymując konia.

–Zabierzcie Briana na zamek – rzekł. – Jedźcie najszybszym tempem, jakie wytrzyma. Brianie, czy nie czujesz żadnej nowej rany? Nie krwawisz z żadnego innego miejsca?

–Ależ nie, do cholery! – rekonwalescent chciał krzyk- nąć, lecz wydobył z siebie jedynie szept. – Jestem… tylko straszliwie słaby…

Mówiąc to oparł się o końską szyję.

–Dafyddzie, obejmiesz dowództwo i… – zaczął Jim.

–Nie, Jamesie – przerwał mu zdecydowanie Walij- czyk. – Giles i Christopher wystarczą.

Łucznik odwrócił się w siodle i przemówił do de Merów: – Sprawdzajcie co jakiś czas czy jego wcześniejsza rana nie krwawi. Jeśli krwawienie byłoby obfite, zwolnijcie, a nawet zatrzymajcie się. Gdyby nie miał siły jechać dalej, z czubków dwóch drzew zróbcie nosze, przywiążcie do swoich koni i ułóżcie go na nich. Rozumiecie?

Młodzieńcy zgodnie kiwnęli głowami.

–Jeśli nawet tego nie będzie w stanie wytrzymać, jeden niech zostanie przy nim, a drugi popędzi do zamku i sprowadzi na pomoc Liseth. Najlepiej będzie, jeśli Giles zostanie, a Christopher uda się po pomoc.

–Dafyddzie… – zaczął Jim, lecz Walijczyk spojrzał na niego srogo.

–Mówisz do księcia Merlona, Sir Jamesie. Ja także zamierzam pozostać.

Chociaż Smoczy Rycerz nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy, obaj de Merowie przystąpili do wykonywa- nia poleceń i podtrzymując Briana ruszyli stępa. Jim ze złością obserwował jak znikają wśród drzew.

–Mam nadzieję, że nic mu nie będzie! – przemówił, głośno wyrażając swe myśli.

–To silny człowiek, Jamesie – uspokoił go Da- fydd. – Zniesie wszystko, co jest w stanie wytrzymać mężczyzna, a może nawet więcej. Jeśli masz powody, by zostać, to ja także, nawet jeśli są one różne. Czuję się odpowiedzialny za Małych Ludzi. Czy ty także?

Jim spojrzał na łucznika. Jego przystojna twarz wyrażała spokój i jakąś chłodną determinację. Był tak zmieniony, że Smoczemu Rycerzowi wydało się, iż stoi przed nim zupełnie inna osoba.

–Tak – przyznał. – Co więcej, przed opuszczeniem pola walki musimy mieć pewność, że żaden z Pustych Ludzi nie przeżył. Wtedy…

Urwał.

–Wtedy? – zachęcił go przyjaciel.

Jim milczał przez moment.

–Nie wiem – zawahał się, czując jakiś wewnętrzny niepokój, zupełnie nie związany z Brianem. – Zapewne jest coś jeszcze.

–Coś jeszcze? – zapytał Dafydd. – Powiedz, co to może być.

–Nie wiem – powtórzył Jim. – W tej chwili mam tylko takie przeczucie.

–Niczego nam to wprawdzie nie wyjaśni, ale muszę przyznać, że ja również mam jakieś złe przeczucia. A wiesz, że moje zawsze się sprawdzają. Pamiętasz jak niedługo po naszym pierwszym spotkaniu odczuwałem coś podobnego?

Podejmowałeś wówczas decyzję, czy udać się z Brianem i innymi do zamku Chaney, przed próbą ratowania twojej Lady Angeli.

Czekał na odpowiedź.

Smoczy Rycerz przytaknął.

–A później, ubiegłego lata, pamiętasz, co powiedziałem wam wszystkim – tobie, Gilesowi i młodemu księciu Edwardowi – że ogarnął mnie dziwny chłód, gdy opusz- czałem moją ukochaną żonę wyruszając do Francji? A pó- źniej wszystko, czego dotknąłem zdawało mi się lodowate?

Znów spojrzał wyczekująco na Jima, który ponownie skinął głową.

–…Wszystko z wyjątkiem miecza, który w końcu znalazł się w rękach Gilesa – ciągnął. – Miecza, który doprowadził go do śmierci, ale przyniósł także ogromną chwałę. Teraz także mam przeczucie, ale dotyczy ono ciebie, Jamesie. Coś podpowiada, że nie mogę cię opuścić, podobnie jak Małych Ludzi.

–Cóż, nie mogę cię odesłać – zauważył Jim, siląc się na uśmiech. – Jak mi przypomniałeś, jesteś przecież księciem.

–To prawda. Wyczuwam jednak, podobnie jak ty, że czeka ciebie coś jeszcze, poza samą bitwą. Ale popatrz, wygląda na to, że Mali Ludzie i Northumbrianie posuwają się naprzód.

Słysząc to Jim powrócił myślami do teraźniejszości i spojrzał na pole walki. Tumany kurzu jeszcze się zagęściły, lecz poprzez nie dostrzegł, iż bronili się już właściwie tylko Puści Ludzie odziani w zbroje. Desperacko walczyli ze- pchnięci pod same skalne zbocza. Wszyscy pozostali leżeli martwi, jako sterty pancerzy i ubrań.

–Żeby tylko żaden nie próbował udawać martwego, leżąc wraz z innymi – zaniepokoił się na ten widok Jim.

–Sądzę, że Snorrl i ptaki dopilnują, by tak się nie stało – uspokoił go Dafydd.

Smoczy Rycerz rozejrzał się wokoło.

–Ale przecież wilk gdzieś zniknął.

–Nie odszedł daleko. Popatrz.

Jim podążył wzrokiem za wskazującym palcem łucznika.

Wśród kurzawy, w przeciwległym końcu polany dostrzegł Snorrla krążącego wśród leżących pancerzy. Towarzyszyły mu ptaki, spośród których większe krążyły nieco wyżej, a mniejsze, takie jak jaskółki oraz jerzyki, w locie dotykały niemal ziemi.

Koniec duchów był już nieunikniony. Żywi po obu stronach walczyli dając z siebie

wszystko. Ocaleli Puści Ludzie bronili się przed ostateczną śmiercią. Mali Ludzie i Northumbrianie wyładowali zaś gromadzoną przez całe pokolenia nienawiść. Grozę zdarzenia potęgowało to, że walka toczyła się w całkowitym milczeniu. Jedynym dźwiękiem był szczęk uderzającego o siebie metalu. Powoli szeregi opancerzonych Pustych Ludzi przyciśnięte do skał przerzedzały się, aż wreszcie pozostała ich tylko garstka, z którą przeciwnicy rozprawili się już w mgnieniu oka.

Wreszcie nie pozostał żaden.

Sprzymierzeńcy zaczęli się wycofywać, lecz już dawno pękły ich równe szyki. Teraz wszystkie formacje były dokładnie przemieszane. Wojownicy spoglądali po sobie, jakby zobaczyli się po raz pierwszy. Inaczej patrzyli na siebie w świetle wspólnych dokonań.

Kiedy oddalali się od stóp zbocza, Jim miał wrażenie, że leżące zbroje duchów nie są z metalu, lecz czegoś lekkiego, co poruszało się na wietrze, jak opadłe jesienią liście.

Idąc, Mali Ludzie i Northumbrianie rozdzielali się stop- niowo, aż wreszcie znów byli dwiema odrębnymi grupami.

Chociaż bitwa dobiegła końca, wciąż panowała absolutna cisza. Smoczy Rycerz dostrzegł wznoszącą się ponad innych potężną postać Herraca, otoczonego przez synów. Dowódca oddalił się od klifu, pragnąc zwołać zbiórkę oddziałów. Po chwili rozległ się jego potężny głos: – Rodacy! Do mnie!

Ten ton zakłócił panującą na pobojowisku ciszę. Ludzie z pogranicza podążyli w jego kierunku, a Mali Ludzie powoli, bez rozkazu zaczęli formować się w zwykłe zastępy.

Jim ruszył w stronę dowódcy Northumbrian, a Dafydd podążył wraz z nim. Otaczający de Mera wojownicy na ich widok rozstąpili się na boki. Przy Herracu znajdowali się wszyscy biorący udział w bitwie synowie.

Smoczy Rycerz ściągnął wodze Gruchota.

–Dokonaliście tego… wy i Mali Ludzie – przemó- wił. – Wszystko skończone raz na zawsze.

Wzrok de Mera powędrował w dal i Jim podążył za nim.

Zbliżał się do nich Ardac wraz z czterema towarzyszami, wszyscy nadal uzbrojeni w tarcze i piki. Smoczemu Ryce- rzowi wydawało się, że w pozostałych rozpoznaje obecnych na dzisiejszym porannym spotkaniu.

–Zrobiliśmy to z waszą pomocą – rzekł Herrac do Małych Ludzi. – Sami nic byśmy nie zdziałali. Wasze włócznie pomogły zepchnąć ich na skały i nie pozwoliły uciec żadnemu.

–Ani my nie poradzilibyśmy sobie w pojedynkę – za- uważył Ardac. – Wiemy to obaj, jak i wielu spośród tych, którzy przeżyli. Teraz oddalimy się stąd. Naszych wspól- nych czynów nigdy nie zapomnimy, zaś część z was po pewnym czasie nie będzie pamiętać o tym boju toczonym ramię przy ramieniu przez dużych i małych ludzi. Wasi następcy będą znów chcieli zająć nasze ziemie, a my będziemy zmuszeni bronić ich granic.

–Nie – zaprotestował Jim. – Nie sądzę, by od tej chwili było tak jak dawniej.

–Możesz myśleć, co chcesz – rzekł Mały Czło- wiek. – Ja jednak twierdzę, że nic się nie zmieni…

Urwał nagle, ponieważ jeden z jego towarzyszy trącił go lekko i wskazał na coś poza plecami Jima. Ardac, a z nim cała reszta zgromadzonych, spojrzeli w tę stronę.

W idealnej ciszy, po odległym, dość łagodnym stoku sunęła powoli w ich stronę larwa

większa od tej, którą Jim widział podczas starcia pod Twierdzą Loathly. Siedziała na niej postać w pełnej zbroi, z uniesioną przyłbicą, pod którą była tylko pustka. Rozległ się spod niej głos należący do Eshana, który zakłócił ciszę zalegającą nad polem bitwy.

–Myśleliście, że zwyciężyliście! Nigdy się wam to nie uda! Ja żyję i wkrótce ożyją wszyscy moi towarzysze!

Chodźcie i zabijcie mnie, jeśli tylko zdołacie!

Nikt spośród zgromadzonych nie ruszył jednak w jego stronę. Zamiast tego wszyscy cofnęli się, choć od larwy dzieliła ich jeszcze znaczna odległość. Snorrl zaś zniknął w lesie.

Larwa sunęła po skałach, a za nią pozostawał lśniący w słońcu pas śluzu. Obłe ciało miało cztery do pięciu stóp średnicy i dziesięć, a może nawet dwanaście stóp długości.

Jeden jej koniec unosił się ponad ziemią, a z niego wyrastała para słupków, na końcach, których mieściły się dziwne oczy. Poruszały się one i śledziły podłoże, po którym sunęła.

Poniżej oczu nie było śladu nozdrzy, tylko koliste usta, otware na tyle, że w paszczy widać było liczne rzędy niewielkich, lecz ostrych jak brzytwa zębów.

Wszyscy wpatrzeni w poczwarę nie zwrócili uwagi na tętent kopyt i Jima wyrwał dopiero z otępienia głos dobiegający zza pleców.

–Jestem tu – przemówił Brian.

Smoczy Rycerz aż podskoczył w siodle. Mistrz kopii z większą już pewnością zatrzymał wierzchowca. Miał uniesioną przyłbicę, a jego twarz, choć wciąż blada, nabrała nieco kolorów. W pewnej odległości za nim podążali z zakłopotanymi minami Giles i Christopher.

–Wybacz mi, Sir Jamesie! – rzekł młody de Mer, gdy zatrzymał się obok Briana. – To moja wina. Ale on przysięgał, że rzuci się na nas z mieczem, jeśli nie pozwolimy mu powrócić. Nie mogłem przecież z nim walczyć, ani też pozwolić na to Christopherowi. Wróciliśmy więc razem.

Powiedział, że musi tu być, i jest.

–Rzeczywiście, to twoja wina, Gilesie! – rzekł srogo Herrac.

–Nie wiń go – przemówił Brian, nie patrząc na dowódcę ludzi z pogranicza. – Nikt i nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Mam tu do spełnienia obowiązek. Czułem to, ale do tej chwili nie wiedziałem jaki. Teraz już wiem dokładnie. Przy życiu pozostał jeszcze jeden Pusty Człowiek, chroniony przez larwę. A ja, ja sam, walczyłem z podobną i potrafiłem ją pokonać. Muszę więc zmierzyć się i z tą.

–Nie – rzekł twardo Jim. – Nie możesz z nią walczyć, ponieważ w obecnym stanie nie zdołasz zwyciężyć. To ja musze stanąć do walki, a twoim zadaniem będzie kierowanie mną, jak zwykłeś to robić. Obaj będziemy mieli zajęcie!

–Bóg jeden wie, że tak musi być! – przemówił zmienionym głosem Herrac. – Ja sam nie ośmieliłbym się stanąć przeciwko temu… temu stworowi. Widzę też, że nikt inny poza tobą nie jest w stanie tego zrobić! To nie larwa…

to… to coś więcej…

Miał rację. Wraz z jej pojawieniem się nadciągnęło coś znacznie okropniejszego. Coś jak potężny podmuch lodo- watego wiatru, który przeniknął zgromadzonych aż do szpiku kości i wydobył z nich wszystko złe, co uczynili i pomyśleli przez całe życie. To właśnie przed tą tajemną siłą cofali się ze strachem, wbrew własnej woli.

–Nie możesz walczyć z tym stworem, Jamesie – po- wiedział Brian i jednocześnie wyjął

z pochwy miecz. – Nie dasz rady. Obaj dobrze o tym wiemy.

–Tym razem muszę! – rzekł zdecydowanie Smoczy Rycerz. – Brianie, schowaj miecz!

–Czekajcie! – rzucił Dafydd, stojący obok Jima.

Zsunął z ramienia łuk i z czułością przesuwał po nim dłonią. – Moje strzały nie zrobią krzywdy larwie, jeśli Carolinus i Brian mówili prawdę o jej twardej skórze, ale może zdołam zrobić coś z tym dosiadającym ją duchem.

Mówiąc te słowa, sięgnął do kołczanu po strzałę, przy- łożył ją do łuku i maksymalnie napiął cięciwę. Przez moment trwał w takiej pozie, po czym zwolnił cięciwę i strzała pomknęła do celu. Niemal już go dosięgła, gdy stwór błyskawicznie uniósł przednią część ciała i pochwycił strzałę w paszczę. Pogryzł ją na drzazgi niezliczonymi zębami i połknął.

Siedzący na nim Eshan zakołysał się na boki, zanosząc się ze śmiechu.

–Strzelaj sobie jak długo chcesz, łuczniku! – krzyknął.

–Żadna z twoich strzał nie tknie mnie, gdy dosiadam takiego rumaka.

Larwa zaś wciąż zbliżała się w ich kierunku.

–Widzisz, Brianie, jest coraz bliżej nas – rzekł Jim. – Zrozum, że nie możesz z nią walczyć. Ja muszę to zrobić. Powiedz mi tylko jak!

–Boże, dopomóż mi! – Mistrz kopii aż kipiał z bez- silnej wściekłości. Ze złością wepchnął miecz do pochwy.

–Niewiele mogę ci powiedzieć, Jamesie. Powtórzę tylko rady Carolinusa. Najpierw postaraj się odciąć larwie oczy, a później dopiero przebić jej grubą i niezwykle twardą skórę. Ma kilka stóp grubości i trzeba wbić w nią całe niemal ostrze, by sięgnąć wrażliwych części ciała. – Głę- boko zaczerpnął powietrza. – Tylko to mogę ci doradzić – ciągnął, tym razem już spokojniejszym tonem. – Może…

może powiedzie ci się tak dobrze, a nawet lepiej niż mnie, Jamesie. Brak ci umiejętności dobrego szermierza… wybacz, powinieniem powiedzieć, że posiadasz ich niewiele. Ale w tej sytuacji nie one są najważniejsze. Liczy się przede wszystkim siła. Pamiętaj tylko, by najpierw odciąć jej oczy i w ten sposób oślepić. Później zaś wbij miecz w jej ciało, tuż za tą częścią, która uniosła się, by pochwycić strzałę Dafydda.

–Może przynajmniej pomogę wam oślepiając tego stwora! – przyłączył się do rozmowy Walijczyk.

Z tą samą co zwykle wprawą wystrzelił jeszcze dwie strzały. Znowu jednak larwa wykonała błyskawiczny ruch i pochwyciła je w locie.

–Podejdź ją z tyłu i jednym ciosem odrąb jej słu- pki z oczami, tak jak ja to uczyniłem – poradził Brian. – Będzie śledzić cię wzrokiem, ale patrząc w tył nie widzi chyba tak dobrze jak do przodu. Myślę, że właśnie dlatego zdołałem tamtą oszukać. Oczy są dla niej bardzo ważne, więc konieczne jest ich zniszczenie. Kiedy zostanie oślepiona, nie będzie dokładnie wiedziała, gdzie się znaj- dujesz, a więc jej ruchy utracą pewność.

–Jeśli będzie zajęta walką, może moja strzała sięgnie tego Pustego Człowieka – powiedział łucznik.

–Nie sądzę – rozległ się głos, zupełnie nieoczekiwany w tym miejscu, lecz znajomy przynajmniej dla trójki przyjaciół.

Obejrzawszy się zobaczyli stojącego obok Carolinusa.

Mag, z siwą bródką i wąsami rozwiewanymi lodowatymi podmuchami, zdającymi się

pozbawiać wszystkich sił, miał na sobie zwykłą, nieco wyblakłą czerwoną szatę, sięgającą aż do ziemi. Wyglądał na bardzo wątłego.

–Nie sądzę, Dafyddzie – powtórzył. – Popatrz!

Podążyli wzrokiem za jego wskazującym palcem i ujrzeli jak Eshan zsuwa się z grzbietu stwora i znika pośród piętrzących się głazów.

–Ucieknie, chyba że pojawi się na moment na tej skale, by wspiąć się na klif – ciągnął Carolinus. – Patrz uważnie z łukiem gotowym do strzału. Tylko w ten sposób możesz pomóc Jamesowi.

–Dobrze – rzekł powoli Walijczyk.

Położył kolejny pocisk na cięciwie, lecz nie naciągał jej, tylko przeszedł kilka stóp w lewo, skąd miał znacznie lepszy widok na miejsce, gdzie powinien pojawić się duch.

–Widzicie – zaczął Mag, a jego niezbyt silny głos w panującej idealnej ciszy z łatwością dotarł także do nieco oddalonego Dafydda. Nawet krążące wciąż ptaki nie wydawały z siebie żadnych dźwięków. – Ciemne Moce nie przewidziały, że James może otrzymać pomoc. Brianie, to James ma tu zostać poddany próbie. Larwa przeznaczona jest tylko dla niego.

–Czy nie możesz powiedzieć mu jeszcze czegoś, co będzie pomocne w walce, Magu? – zapytał błagalnie mistrz kopii.

Carolinus pokręcił głową.

–Nie wiem nic więcej. A nawet gdybym wiedział, nie wolno by mi tego zrobić. Jamesie, wszystko zależy od ciebie.

Były to ostatnie słowa skierowane do ucznia.

–A więc ja radzę ci stanąć do walki z tym stworem pieszo – rzekł Brian do przyjaciela. – Podchodząc miej ramię z mieczem wzniesione wysoko, by nie przycisnął ci go do tułowia i mocno trzymaj tarczę. Wesprzyj jej górny brzeg o guz na barku, zaś dolny o nagolennik. Dzięki temu potężne uderzenia jego ciała zostaną osłabione, a brzegi tarczy nie zrobią ci krzywdy. Jego paszcza jest tak skonstruowana, że nie będzie w stanie chwycić tarczy zębami i wyrwać ci jej.

–Dobrze, zapamiętam – zapewnił go Jim.

Uniósł wzrok i rozejrzał się.

–Najpierw muszę się czegoś napić – oświa- dczył. – Zupełnie zaschło mi w gardle.

–Proszę… – rzekł Herrac, podjeżdżając do niego.

Carolinus nalewał już jednak jakiś płyn z niewielkiej butelki do kielicha znacznych rozmiarów. Oba naczynia nagle pojawiły się znikąd w jego dłoniach.

Wręczył pełny kielich Smoczemu Rycerzowi, który wypił jego zawartość. Płyn wyglądał jak spożywane przez Maga mleko. Zaspokoił nie tylko pragnienie, ale także napełnił go ogromną energią.

Nagle poczuł się świeży i zrelaksowany. Zaraz jednak owładnął go swym podmuchem lodowaty wiatr.

Znowu wróciły pustka, zimno i strach, które przynosił ze sobą ten niezwykły wicher. Ogarnęło go także uczucie rezygnacji i przekonanie o nieuchronności losu. Zsiadł z Gruchota, sprawdził tarczę, wyjął miecz i ruszył w stronę monstrum.

Rozdział 33 J im i larwa zaczęli się do siebie zbliżać. Smoczy Rycerz znajdował się u

jednego krańca klifu, podczas gdy stwór u drugiego. Larwa, biorąc pod uwagę jej rozmiary i szyb- kość z jaką łapała w locie strzały, poruszała się dość wolno, z pewnością nie szybciej niż idący człowiek.

Jim zauważył, że utrzymywała górną część ciała, którą unosiła chwytając pociski, nieco ponad powierzchnią grun- tu. Poza tym, wykonywała ruchy całą masą ciała, którego szkielet składał się chyba tylko z kręgosłupa znajdującego się płytko pod skórą. Przemieszczała się więc podobnie jak węże. Podczas bitwy pod Twierdzą Loathly nie zwrócił uwagi na takie szczegóły, ponieważ całą uwagę skupił na olbrzymie, który był jego przeciwnikiem.

W tej chwili, idąc, Jim poczuł w sobie kompletną pustkę… Nie, niezupełnie. Coś przyszło mu na myśl.

Dręczyło go jakieś stare wspomnienie. Czuł, że ono może zwiększyć jego szansę w walce z larwą. Co to było?

Nagle przypomniał sobie. Zawrócił i na tyle szybko, na ile pozwalała mu zbroja, ruszył w stronę dopiero co opuszczonych przyjaciół.

–Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl – wyjaśnił ciężko łapiąc powietrze. – Brianie, mój Gruchot nie może równać się pod względem wyszkolenia i bystrości z twoim rumakiem bojowym, natomiast zaniesie mnie w pobliże larwy, na odległość, na jaką nie odważyłby się podjechać twój Blanchard. Przypomniałem sobie bowiem, że znajdując się w ciele smoka Gorbasha popełniłem niewybaczalny błąd, rzucając się wprost na kopię Sir Hugha de Bois de Malencon- tri. Stryjeczny dziadek Gorbasha – Smgrol – ostrzegał mnie przed zaatakowaniem rycerza z kopią, ale wtedy zapomnia- łem o tym zupełnie. Pamiętasz, że Sir Hughowi nic się nie stało, podczas gdy ja niemal przypłaciłem ten atak życiem?

–Pamiętam dobrze – przyznał mistrz kopii.

–Nagle dotarło do mnie, że niczym nie ryzykuję, próbując z konia przebić larwę kopią – ciągnął Smoczy Rycerz podekscytowany. – W galopie, napierana masą moją i Gruchota, kopia musi wbić się na tyle głęboko, by dotrzeć do witalnych organów tego stwora. W najgorszym wypadku okaleczy larwę i wywoła wewnętrzny krwotok, co spowoduje, że podczas walki ze mną będzie już słabsza.

–Wspaniały pomysł! Wprost wyśmienity! – uznał Brian. – Ale nie ty to zrobisz, Jamesie. Nie ty! Wiesz, że najgorzej ze wszystkich broni posługujesz się właśnie kopią.

Ja jednak zwyciężyłem w tylu turniejach, że brakuje palców obu rąk do ich zliczenia. W swoich osądach mylisz się także bardzo. Blanchard pod Twierdzą Loathly bał się nie larwy, lecz olbrzyma, z uwagi na jego rozmiary. Wyglądał dla niego niczym góra, a przecież w ręku miał jeszcze tę maczugę. Nie, wezmę Blancharda oraz kopię i zapewniam cię, że wbiję ją w górną część ciała larwy, gdzie wyrządzi jej największą krzywdę!

Zamilkł na moment, po czym rozglądając się krzyknął: – Kopię! Kto da mi kopię? Szybko mi ją znaleźć!

–Możesz wziąć moją – zaofiarował się Herrac. – Po- zostawiłem ją opartą o drzewo, kiedy stało się jasne, że nie będzie miejsca na posłużenie się nią. Alanie… wiesz gdzie jest. Przywieź ją szybko!

Młodzieniec spiął konia i oddalił się galopem. Po chwili wrócił z kopią w ręku.

Policzki Briana wyraźnie nabrały kolorów. Wyprostował się w siodle i wyglądał, jakby nic

już mu nie dolegało.

Wziął broń i wsparł ją ukośnie na barkach rumaka.

Następnie wsunął jej gruby koniec pod pachę i uniósł poziomo.

–To dobra kopia… wspaniała broń! – stwierdził.

Przez chwilę utrzymywał ją w idealnym bezruchu, a ostrze lśniło w promieniach słońca. Stopniowo zaczęło się jednak pochylać, aż Brian z dużym wysiłkiem ponownie wsparł drzewce na karku Blancharda, by nie wbiła się grotem w ziemię.

Zaległa krępującą cisza. Sam Brian zachwiał się w siodle.

–Cóż ze mnie za nieudacznik – rzekł z wściekło- ścią. – Brakuje mi sil do dłuższego jej utrzymania we właściwej pozycji. A żeby wbić ją właściwie, musiałbym utrzymać ją znacznie dłużej niż teraz. Jamesie, nie jestem w stanie tego zrobić!

–Trudno – rzekł Jim, dosiadając Gruchota, który stał w pobliżu. – Daj mi tę kopię…

Sięgnął po nią i wyjął z drżących rąk przyjaciela, który przygnębiony utkwił wzrok w grzywie konia.

–Nie podołasz temu, Jamesie – przemówił ci- cho. – Wybacz mi! Ale to trudne zadanie nawet dla kogoś takiego jak ja, by wymknąć się larwie, jednocześnie wbijając kopię w jej ciało.

–I tak muszę spróbować.

Fakt podjęcia tej decyzji dodał mu nowych sił. Wsparł broń na łęku siodła i ruszył w kierunku wciąż pełznącego w ich stronę potwora.

–Czekaj! – zawołał za nim Brian. – Jeszcze chwila, Jamesie! Jest sposób, bym zdołał ci pomóc!

Dogonił Jima i zatrzymał wierzchowca tak, że i przyjaciel musiał stanąć.

–Jamesie – zaczął tryumfalnie. – Nie muszę ko- rzystać z rąk, by prowadzić Blancharda. Mogę robić to samymi kolanami. A siłę muszę skupić tylko na mo- ment. Mam sposób, by wyrządzić tej maszkarze krzywdę.

Wysłuchaj mnie!

–W porządku. Nie mamy jednak zbyt dużo czasu do stracenia.

–Może to nie będzie żadna strata. Posłuchaj, Jamesie!

Rozpędzę Blancharda wprost na larwę, a potem, w ostatniej chwili kolanami skieruję go w bok, zanim stwór mnie dosięgnie. Przejeżdżając obok, pochylę się i obetnę oczy jednym ciosem miecza. To nie będzie wcale takie trudne!

Właściwie to błahostka! Ty zaś możesz pewnie szarżować na nią z kopią, bo wtedy będziesz miał już ułatwione zadanie!

Brian znów sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie był ranny i czuł się w pełni sił. Puścił cugle i Blanchard ruszył naprzód.

Jim skierował Gruchota w ślad za przyjacielem, ale niemal natychmiast zatrzymał go. Nie był już teraz w stanie powstrzymać Briana. Jego Blanchard – potężny siwek, na którego Brian wydał cały swój majątek, za wyjątkiem ziem i zamku, był znacznie szybszy niż można było sądzić po jego wyglądzie.

Szybkość ta, której przeciwnicy zazwyczaj się nie spo- dziewali, niejednokrotnie pomagała już mistrzowi kopii w bitwach i turniejach. Teraz więc Jim, zrezygnowany patrzył jak przyjaciel błyskawicznie zbliża się do larwy.

Obserwował, a właściwie wszyscy obserwowali, tryumf ducha nad ciałem. Brian w innych okolicznościach nie wytrzymałby zapewne dziesięciu kroków, ale teraz, siedząc w siodle i skrywając słabość dzięki osłaniającemu go pancerzowi, wyglądał jak rycerz w pełni sił, ruszający do ataku.

Skierował Blancharda pod kątem w stosunku do larwy, która odwracała się w jego stronę. On także w pewnej chwili ruszył wprost na nią i zdawało się, że jedzie na pewną śmierć. Z gardeł obserwatorów dobył się jęk, ponieważ wyglądało, że dojdzie do nieuniknionego zde- rzenia.

W ostatniej jednak chwili, gdy stwór rzucił się do przodu, Brian jakimś cudem zdołał zmienić kierunek, stanął w strze- mionach i zamachnął się uniesionym mieczem. Oba słupki zakończone oczami upadły na ziemię. Brian zaś zawrócił rumaka i skierował się w stronę Jima oraz reszty przyjaciół.

–Och, wspaniale! – wykrzyknął Herrac. – Cudownie zrobione! Widzieliście to, chłopcy? Nigdy w życiu nie zobaczycie wyższych umiejętności jeździeckich i władania mieczem. Nikt nie może się z nim równać. Sir Brian musiał bowiem idealnie wyliczyć moment zmiany kierunku w celu uniknięcia ciosu bestii oraz odległość od niej i jednocześnie dosięgnąć ją mieczem, pozbawiając wzroku! A później bezpiecznie wrócić do nas, jak czyni to właśnie teraz. Ale pospieszcie do niego… Alanie, Gilesie! Nie dojedzie bez pomocy!

Obaj de Merowie podjechali do rycerza w ostatniej chwili. Nie kierowany już Blanchard stanął, a jeździec z trudnością utrzymywał się w siodle. W chwili gdy dopadli do niego, przychylał się właśnie na jeden bok. Zdążyli pochwycić go jednak wpół i tak podjechali do całej grupy.

–Wspaniale, wspaniale, Brianie! – wykrzyknął Jim.

Twarz Briana pozbawiona była zupełnie krwi, a ciało stało się całkiem bezwładne.

–Dziękuję ci, Jamesie, że pozwoliłeś mi… – zaczął słabym głosem.

Zabrakło mu jednak sił, by mówić dalej, zamknął oczy i opadł ciężko na Alana, który podtrzymywał go z lewej strony. Reszta braci pospieszyła z pomocą, ponieważ Brian był zupełnie bezwładny. Jasne, że w tym stanie nie mógł pozostać w siodle.

–Trzeba go jak najszybciej zabrać na zamek! – powie- dział zdecydowanym tonem Herrac. – Boję się, czy już nie jest na to za późno. Może nie wytrzymać takiego wysiłku.

–Nieważne! – rozległ się ostry głos Carolinusa, który na powrót pojawił się pośród nich. Wskazał na Gilesa oraz Alana. – Odeślę go do zamku, a was dwóch wraz z nim, byście mogli wszystko wyjaśnić.

Pstryknął palcami i Brian na Blanchardzie oraz obaj de Merowie na swych koniach zniknęli.

–Są już na zamkowym dziedzińcu – wyjaśnił Mag. – Twoja Liseth, Sir Herracu, pędzi przez Wielką Sień na pomoc Brianowi.

–Carolinusie! – wykrzyknął Jim. – Wydział Kontroli ukrzyżuje cię za to!

–Doprawdy? – zapytał niedbale starzec. – Przecież mogło się zdarzyć, że muszę przekazać ci słówko!

Poniósł głowę i rozejrzał się po polu bitwy.

–Popatrz, Jamesie. Twoja larwa wciąż się zbliża. Ruszaj na nią z kopią. Pamiętaj, co powiedział ci Brian. Gdy będziesz walczyć z nią pieszo, trzymaj miecz uniesiony wysoko, a

tarczę wspartą na nagolenniku oraz guzie na barku i wbij ostrze w miejsce, gdzie jej ciało unosi się ponad ziemię. Teraz najlepiej podjedź do niej z boku.

Wyczuwa hałas przez skórę, więc usłyszy, gdy będziesz się zbliżać i zacznie się odwracać, ale nie na tyle szybko, by uniknąć ciosu.

–Dobrze! – powiedział Jim, przekładając wodze do lewej ręki, a prawą podtrzymując kopię wspartą na łęku siodła.

–Czekaj! – zawołał za nim pospiesznie Mag. – Jeszcze jedno. Kiedy będziesz atakować Jarwę mieczem, staraj się wbić go jak najgłębiej, a później wcisnąć go aż po rękojeść.

Przy tym może cię uderzać górną częścią ciała i tarcza musi dać ochronę przed zmiażdżeniem. Będzie też usiłowała sięgnąć cię zębami i tą swoją ssącą paszczą. Więc za wszelką cenę musisz mieć wolne ramię z mieczem. Ruszaj!

Smoczy Rycerz skinął głową i balansując kopią, zawrócił Grucbota, po czym rozpędził go do galopu prosto na monstrum.

Dzielący ich dystans nie był już duży. Do głowy zdążyła mu przyjść tylko jedna myśl i oczami wyobraźni ujrzał Angie.

Niemal dwa lata temu, po zwycięskiej bitwie pod Twier- dzą Loathly, zdobył wystarczającą ilość magicznej energii, która, według słów Carolinusa, wystarczyłaby do przenie- sienia ich obojga z powrotem w dwudziesty wiek.

Jim przypuszczał, że Angie chce wracać i był zaskoczony, słysząc, że pozostawia mu decyzję co do ich dalszych losów. A on pragnął wówczas pozostać w czternastym wieku. Życie w średniowieczu traktował jak wyzwanie.

Uznał, że Angie myśli podobnie.

Postanowił, że pozostaną.

Dopiero później, już po podjęciu ostatecznej decyzji, zdał sobie sprawę, że zbyt pochopnie pokierował ich przyszłym losem. Nie przejął się bowiem zbytnio słowami Carolinusa, że jeśli teraz nie wrócą, możliwe, że taka okazja nigdy się już nie nadarzy. Wtedy nie rozumiał jeszcze, dlaczego będzie to tak trudne.

Teraz jednak wiedział. Aby móc wrócić do domu, musiałby stać się magiem dorównującym umiejętnościami Carolinusowi, by zyskać nie tylko równie dużo magicznej energii co on, ale i pozycję "w oczach" sił rządzących tym światem – Losu i Historii. Spełnienie obu tych warunków mogło zająć mu wiele lat, i to przy dopisującym szczęściu.

Jak na razie oboje byli uwięzieni tu i teraz, a przyszłość Angie w pełni zależała od niego i jego magicznych umiejęt- ności.

Co prawda, gdyby go zabrakło, Angie wciąż pozo- stawałaby panią zamku de Bois de Malencontri. Lecz w panujących tu warunkach i bez pomocy jego magii, samotnie nie byłaby w stanie obronić swego domu. Jedynym możliwym rozwiązaniem praktykowanym w czternasto- wiecznym społeczeństwie, było ponowne wyjście za mąż za kogoś, kto stałby się panem zamku i jej samej. Za jakiegoś czternastowiecznego rycerza, który nie miał pojęcia o tym, co wiedziała i pamiętała.

Krótko mówiąc, gdyby larwa zabiła Jima, co było przecież możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, jedyną naprawdę cierpiącą z tego powodu osobą byłaby właśnie Angie.

… Nie czas już jednak na rozmyślania. Znajdował się tuż przed stworem. A właściwie, gwoli ścisłości, trzydzieści stóp przed nim, i na tyle pragnął właśnie się do niego zbliżyć.

Przynajmniej na razie.

Spotkali się w tej części polany, gdzie właściwie nie widać było śladów bitwy. Smoczy Rycerz, pomimo refleksu i wysokich umiejętności gracza w siatkówkę w dwudziesto-wiecznym świecie, był osobą polegającą raczej na efektach pracy swego mózgu niż sprawności mięśni. W tym zaś wypadku widział dla siebie tylko jedną szansę.

Larwa przemieszczała całe ciało bardzo powoli. Jeśli to tempo było najszybszym, na jakie mogła sobie pozwolić, a nie widział, by stwór pod Twierdzą Loathly pełzał szybciej, istniała szansa powodzenia. Skręcił więc i zaczął zataczać kręgi wokół potwora.

Gruchot, widząc przeciwnika z bliska, nie był zachwycony jego wyglądem, z ochotą zmienił kierunek. Stwór obracał się za nimi, lecz Jim stopniowo przyspieszał z kłusa, poprzez cwał, aż do galopu. Larwa nie posuwała się już do przodu, a tylko na miejscu starała się nadążyć za jego obrotami.

Jim miał bowiem nadzieję, że kręcąc się z maksymalną szybkością, będzie czynić to prędzej niż obracające się monstrum, starające się być zawsze zwrócone przodem do niego. I rzeczywiście larwa z każdym obrotem traciła dystans, aż Smoczy Rycerz znalazł się wreszcie w dobrej pozycji, niemal z tyłu jej ciała.

–Teraz, Gruchot! – wykrzyknął.

Puścił wodze i po raz drugi w życiu wbił ostrogi w boki konia.

Rumak wystrzelił do przodu niczym błyskawica i poga- lopował wprost na larwę. Jim ścisnął pod pachą gruby koniec kopii, maksymalnie skupił uwagę i zaczął się modlić.

Nie było nic trudniejszego niż wycelować koniec długiej na dziesięć stóp kopii, siedząc na grzbiecie galopującego konia, gdy każdy jego ruch powoduje pochylenia w przód i w tył, jak dziób statku na sztormowej fali. Skoncentrował się, by koniec broni znalazł się najniżej jak to możliwe.

Lepiej bowiem zaryzykować wbicie go w ziemię, niż ześlizgnięcie po grzbiecie bestii.

Wszystko to działo się w ciągu kilku sekund. Niemal natychmiast Gruchot był tak blisko larwy, że mógł ją już tylko przeskoczyć. Smoczy Rycerz ścisnął kurczowo broń i wycelował ją w bok stwora, nieco pod kątem od tyłu.

Trafił i kopia zagłębiła się w ciele potwora.

Gruchot spiął się zaś do skoku ponad nią, co zmusiło Jima do wypuszczenia broni, ponieważ jej drugi koniec mógł go po prostu zmieść z siodła.

Znalazłszy się już z drugiej strony monstrum, z trudem usiłował zatrzymać przestraszonego konia. Gdy wreszcie odzyskał nad nim kontrolę i zawrócił, dostrzegł, że larwa złamała drzewce i teraz tarzała się po ziemi, starając się sięgnąć paszczą po odłamaną część i wyciągnąć ją ze swego ciała. Nie była jednak w stanie tego dokonać. Kopia wbiła się głęboko w jej twardą skórę. Z radością stwierdził, że bez wątpienia musiała dotrzeć do jej organów wewnętrznych.

Krwotok czynił już spustoszenie w organizmie larwy, zwiększając jego szansę na sukces.

Teraz jednak zbliżała się najtrudniejsza część zadania.

Bestia została zraniona, lecz miała jeszcze dość siły do walki. Jim zdołał zatrzymać Gruchota o jakieś trzydzieści stóp od larwy, po czym zeskoczył z siodła. Wyjął z pochwy miecz i płaską jego stroną klepnął konia w zad, by oddalił się. Następnie ruszył biegiem w

kierunku stwora, starając się, na ile było to możliwe, zajść go od tyłu, od strony miejsca gdzie tkwiła część kopii. Zbliżał się z uniesionym mieczem, którego ostrze lśniło w słońcu niczym groty włóczni Małych Ludzi.

Rozdział 34 p.

ędził, ile tylko miał sił w nogach. Przez głowę prze- mknęła mu myśl, że powinien wbić miecz jak najbliżej rany zadanej kopią… Wreszcie dotarł do larwy, która przestała się już obracać i z rozpędu wbił ostrze miecza w jej brązową, cętkowaną skórę. Weszło w nią na jedną trzecią długości, zaledwie parę cali od miejsca trafienia kopią. Starał się wbić miecz głębiej, lecz nagle stwór grzmotnął go z siłą tarana.

Tarcza zatrzeszczała pod naporem cielska larwy, które rzuciło się w jego kierunku. Trzymał ją jednak wspartą tak jak mu radzono i dzięki temu nie odniósł żadnych poważ- nych obrażeń. Górny jej brzeg uderzył go jednak na tyle silnie w policzek, że poczuł krwawienie na zewnątrz i w ustach. Czując słony smak krwi, zaczął napierać na miecz, by wepchnąć go głębiej i powiększyć rozcięcie.

Ostrze zagłębiło się jeszcze bardziej. Stało się tak głównie za sprawą samego stwora, który szarpiąc się i waląc w tarczę sam wbijał go głębiej, lecz i Jim miał w tym także swój udział.

Larwa uderzyła go ponownie przednią częścią ciała.

Jednak nie ustawał w wysiłkach.

Słyszał jak jej zęby dzwonią o tarczę, nie mogąc go dosięgnąć.

Znów otrzymał uderzenie. I znów. Skupiony na swym zadaniu, wyciągnął nieco miecz i wbił go ponownie, jeszcze głębiej, pod nieco innym kątem, by napotkać tkwiący tam odłamek kopii. Jednocześnie wyobraźnia podsuwała mu widoki okropnej paszczy ze śmiertelnie groźnymi, drobnymi zębami i ostrza miecza sięgającego już niemal kopii wbitej w potężne cielsko.

Wreszcie miecz zachrzęścił na czymś twardym. Udało mu się natrafić na drewno. Wciąż poruszając bronią na wszystkie strony, wbijał ją coraz głębiej i głębiej. W tym jednak czasie larwa uderzyła go ponownie. I jeszcze raz. Aż wreszcie jego umysł zupełnie przestał pracować i nie wiedział już, dlaczego czyni to wszystko. Był tylko pewien, że nie wolno mu przestać.

Opierał się całym ciężarem ciała na mieczu, a na tarczę przyjmował ciosy. Jego hełm przekrzywił się tak, że zasłonił cały widok. Walczył jednak dalej na ślepo. Cały świat ograniczył się jedynie do potu, walki i tych niewiarygodnie silnych uderzeń, które trafiały go jedno po drugim.

Tarcza aż wyginała się pod ciosami potężnego cielska i zdawała się idealnie przylegać do okrywających go stalowych siatek i przytwierdzonych do nich płyt. Każde uderzenie przenikało przez jego ciało, jakby nic go przed nim nie osłaniało.

A ciosy były coraz silniejsze. To niewiarygodne, że larwa, tak poważnie przecież ranna i z tkwiącym już, w dwóch trzecich w jej ciele mieczem, wciąż miała siłę druzgotać go uderzeniami ciała. Każdy cios miał w sobie niszczącą siłę.

W lewym boku czuł ogromny ból, zapewne z powodu połamanych żeber. Z następnym ciosem ból jeszcze się spotęgował. Wiedział, że coraz bardziej brakuje mu sił.

W płucach, niewątpliwie przebitych w kilku miejscach, brakowało już powietrza. A

monstrum wciąż nie słabło.

Pomyślał, że umiera. Ta larwa go zabijała. Kwestia tylko, które z ich dwojga padnie pierwsze. Miecz zagłębił się już bowiem na całą długość.

Zupełnie utracił kontrolę nad własnym ciałem. Był głuchy, niemy i ślepy i zdawało mu się, że leży na kowadle jakiegoś ogromnego kowala. Wiedział tylko, że musi się spieszyć i że nie wolno mu się poddać, choć nie był nawet w stanie przypomnieć sobie dlaczego. Musiał tylko coraz głębiej wbijać miecz. Pchał go więc i pchał…

Nagle poczuł, że coś go powstrzymuje. Ktoś wyjął mu z rąk rękojeść miecza, do której zdawał się już przyrosnąć.

W niewyjaśniony sposób uderzenia ustały, co przyniosło mu ogromną ulgę.

Wciąż jednak był ślepy i na wpół przytomny. Wydawało mu się, że czyjeś ręce, podnoszą go i niosą gdzieś. Bezgłośnie załkał, ponieważ ktoś nie pozwalał mu dokończyć tego, co zaczął.

Wtedy jednak poprawiono mu hełm i uniesiono przy- łbicę. Spojrzał wprost w twarz Carolinusa. Zorientował się, że leży na plecach. Przed oczami zamajaczyły mu także oblicza Dafydda, Herraca oraz jednego spośród jego synów. Mag uklęknął i przyłożył mu do ust niebieski kielich.

Smoczy Rycerz spróbował unieść ręce, by odepchnąć go od siebie, ale każda ważyła tonę. Nie był w stanie nawet nimi poruszyć. Poczuł brzeg naczynia przykładany do jego warg i płyn wlewający mu się do gardła. Smakując go, nagle zauważył jak bardzo jest spragniony. Pił chciwie, a Carolinus coraz bardziej przechylał kielich.

Aż wreszcie naczynie było puste. Jim usiadł, chcąc jeszcze pić, lecz nie miał nawet sił, by o to poprosić.

Powoli otaczający go świat zaczął się urealniać. Jakiś żar zdawał się promieniować z jego żołądka do innych części ciała, przynosząc nowe siły i energię. Poczuł, że znów ma I całe żebra i jest w stanie głęboko zaczerpnąć powietrza.

Ktoś zdjął hełm, co pozwoliło mu się rozejrzeć. Pod- trzymywany w półsiedzącej pozycji ujrzał, że znajduje się na polanie, na której porozrzucane były ubrania i części zbroi. Dwadzieścia stóp dalej leżała larwa.

Nie poruszała się. Z jej boku wciąż wystawał złamany koniec kopii, a obok rękojeść jego miecza.

Magiczny ogień płynął mu teraz poprzez żyły i miał takie wrażenie, jakby budził się z głębokiego snu. Czuł się jak wtedy, gdy Carolinus napoił go przed walką mlekiem.

Magiczny płyn przywracał mu siły, które wydawało się, iż utracił bezpowrotnie.

Spojrzał na Maga i spróbował przemówić. Tym razem zdołał to uczynić i z jego gardła wydobył się głos.

–Co się stało? Co… – wycharczał.

–Zwyciężyłeś, Jamesie – zakomunikował mu łagodnie Carolinus. Sięgnął po buteleczkę i zbliżył ją do kielicha, lecz w ostatniej chwili zmienił zamiar i schował oba naczynia gdzieś w swojej obszernej szacie. – Pomożemy ci wstać.

Czując w ustach smak wypitego mleka, zdał sobie sprawę, jaka przepaść istnieje pomiędzy jego nieudolnymi czarami, a magią czynioną przez Carolinusa.

Kilka rąk uniosło go do pionu. Rozejrzał się po polu bitwy.

–A Eshan? – zapytał.

Dafydd ujął go pod ramię i podprowadził nieco na bok.

Następnie wskazał ręką odległą część skalnego stoku.

Jim spojrzał w tym kierunku. Przez chwilę nic nie widział. Wreszcie na głazach dojrzał leżącą nieruchomo na plecach zbroję. Na napierśniku wyraźnie widać było jasne lotki wystającej strzały. Jim dłuższy czas przypatrywał się leżącemu duchowi.

–Ależ on żyje! – wykrzyknął. – Popatrz!

Obaj utkwili wzrok w postaci, która jednak ani drgnęła.

Wreszcie opancerzone ramię poruszyło się, jakby chciało wyszarpnąć pocisk wbity w piersi.

Bez słowa Jim oraz Dafydd popędzili w jego kierunku.

Za nimi podążali de Merowie. Młodzieńcy, na koniach, byli gotowi rzucić się galopem, lecz ojciec zabronił im tego.

Ruszyli więc w pewnej odległości za dwójką przyjaciół.

Ci dotarli wreszcie do Pustego Człowieka i uklękli przy nim. Duch miał opuszczoną przyłbicę, lecz Smoczy Rycerz uniósł ją i zajrzał do pustego wnętrza.

–Eshan…?-przemówił.

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Wreszcie z pustki dobiegł ich głos.

–Wiec wszyscy zginęli – wyszeptał przywódca Pustych Ludzi. – Wszyscy nie żyją,,, poza mną?

–Tak.

Eshan westchnął ciężko, po czym niespodziewanie za- chichotał.

–Więc jestem ostatnim. Mam przynajmniej ten za- szczyt. Aleja także umieram… a to koniec nas wszystkich.

Najwyższy już czas.

–Mówisz, że to najwyższy czas? – zdziwił się Dafydd.

Spod hełmu dobiegł niewyraźny charchot, jakby duch starał się odchrząknąć.

–Tak – przemówił wreszcie. – To trwało niezwykle długo… Jestem już tym zmęczony. Wszyscy byliśmy…

Jego głos słabł z każdą chwilą.

–Ale teraz… wreszcie… odpoczniemy…

Zamilkł nagle. Nie dało się poznać, czy jeszcze żyje, lecz Jim poczuł, że życie ulatuje z leżącego pancerza. Nagle była to już tylko sterta żelastwa.

Powoli obaj wstali. Obok nich stał Carolinus.

Odwrócił się, a Jim i Dafydd poszli w jego ślady. Ruszyli w stronę de Merów, którzy zatrzymali się nieopodal.

–A więc zginął ostatni z nich? – zapytał Herrac.

–Umarł, lecz przed śmiercią zdążył jeszcze coś wy- znać – odparł Smoczy Rycerz. – Powiedział, że wszyscy Puści Ludzie byli zmęczeni tym tak zwanym życiem.

Zapewne ci, którzy tu zginęli, podobnie jak Eshan, są nam za to wdzięczni.

Zaległo milczenie, nie tylko pośród ich grupki, lecz także wśród wszystkich Northumbrian oraz Małych Ludzi, wciąż znajdujących się na skraju polany. Ciszy towarzyszył bezruch i nagle Jim zauważył, że przestał już wiać ten lodowaty wiatr.

Niespodziewanie Carolinus przerwał milczenie, chicho- cząc. Jim zdziwiony przeniósł na niego wzrok.

–To Wydział Kontroli! – wyjaśnił Mag. – Od pewnego czasu starają się ze mną skontaktować. Pozwolę im na to, ale nieco później.

Z zadowoleniem zacierał dłonie, zachowując się niemal jak Brian na wieść o czekającej go bitwie.

–Ale jeszcze nie teraz – ciągnął. – Nie wszystko jeszcze zakończone. Sądzę, że chcesz wrócić na zamek de Mer i sprawdzić jak czuje się twój przyjaciel Brian?

–Tak! – przyznał Jim, powracając nagle do rzeczywis- tości. Zupełnie zapomniał o mistrzu kopii. – Czy nic mu nie jest? To znaczy…

Nie chciał głośno wyrażać swej obawy, iż może mistrz kopii doznał jeszcze innych obrażeń i już nie żyje.

–Nie, nie – uspokoił go starzec. – Sam sprawdź.

Wracaj do niego!

Jimowi zamigotało przed oczyma i nagle znalazł się w komnacie Briana na zamku de Mer. W kącie stało w gotowości kilku służących, a przy łóżku kręciła się Liseth. Rycerz nie tylko pozostawał jeszcze przy życiu, ale półleżał i właśnie mówił coś głośno.

–… I wina! – krzyczał. – Oraz mięso i chleb!

Zjadłbym konia z kopytami!

–Nie wiem, co powiedziałby na to Sir James… – za- częła Liseth.

Przerwała jednak na widok Jima, któremu przyglądał się także zaskoczony Brian.

–Jamesie – zawołał. – Wróciłeś. Walka dobiegła więc końca! Co się zdarzyło? Co z tą maszkarą…

–Larwa nie żyje… – odparł sucho Smoczy Rycerz.

–Ale jak? W jaki sposób? – wykrzyknął podekscyto- wany rycerz, gotowy już zerwać się z łoża.

–No cóż… Zabiłem ją. Miałem szczęście z kopią…

–Zabiłeś! I to kopią? Byłem pewien, że ci się uda!

–Chociaż wiedziałeś, jak słabo radzę sobie z ko- pią? – zapytał zjadliwie Jim.

–Jamesie! – rzekł Brian z wymówką w głosie.

–Tak, masz rację – ustąpił Smoczy Rycerz. – Przebi- łem ją kopią, lecz dzieła musiałem dokończyć mieczem.

–Och, wiedziałem, że znajdziesz jakiś sposób. Teraz musimy napić się wina. Musimy napić się razem, a ty, Liseth, wraz z nami. Larwa nie żyje! – Nagle jego twarz spoważniała. – A Puści Ludzie… – zapytał niepe- wnie. – Czy wszyscy zginęli?

–Tak. Oni także. Kiedy walczyłem z larwą, Dafydd przebił strzałą ich przywódcę, Eshana, który był ostatnim spośród nich. Razem byliśmy nieco później świadkami jego śmierci. Nie powstaną już nigdy więcej.

–Musimy to uczcić. To wprost konieczne! – ucieszył się, po czym zwrócił się do Liseth: - Jakże możesz jeszcze zwlekać z posłaniem do kuchni, pani?

Dziewczyna zdążyła się już jednak odwrócić do służących.

–Ty, Humbercie, na dół do kuchni i wracaj z dzbanem wina, kubkami, chlebem i mięsem dla Sir Briana -poleciła.

Nie musiała nawet dodawać "biegiem". Humbert wypadł z komnaty niczym strzała wystrzelona z łuku Dafydda. Jim pomyślał, że spieszył się zapewne, by przekazać w kuchni zasłyszane wieści. Dla Briana było jednak najważniejsze, żeby jak najszybciej powrócił.

I rzeczywiście, sprawnie wykonał polecenie. Mistrz kopii nie żałował sobie jedzenia ani picia, zadając jednocześnie pytania na temat starcia z larwą.

–… A więc pamiętałeś o moich wskazówkach? – przemówił Brian, gdy Jim opisywał swoją konną szarżę na stwora, po wymanewrowaniu go i zajęciu dogodnej pozycji.

–To okrążanie go, to sprytny pomysł – rzekł w zamyś- leniu mistrz kopii, popijając wino. – Muszę szczerze przyznać, że sam nie wpadłbym na to.

Następnie zaczął wypytywać przyjaciela o sposób, w jaki posługiwał się kopią.

–Zbliżając się trzymałeś koniec nisko? – zapy- tał. – Tak jak ci pokazywałem? Grotu kopii nie można po prostu skierować na cel. Musi być trzymana luźno, by poddawać się ruchom konia. Dopiero w ostatniej chwili trzeba ją usztywnić. Trzymałeś więc koniec jak najniżej?

–Tak.

Teraz Brian przeszedł do wypytywania o to jak radził sobie w pieszej potyczce, z mieczem i tarczą. Zainteresował się techniką walki larwy, gdy była już oślepiona.

–Moja poczwara zachowywała się podobnie – za- uważył. – W jakiś sposób te cholerne stwory rozpoznają gdzie się stoi.

–Nic w tym dziwnego – odrzekł Jim. – Zamknij oczy i sprawdź czy jesteś w stanie dotknąć kciukiem końca nosa.

Brian spróbował tego i ku jego zdumieniu udało się.

–Wszyscy mamy podobne umiejętności. Z larwą jest zapewne podobnie.

–No cóż, nie śmiem twierdzić, że nie masz racji…

Urwał nagle i ziewnął przeciągle.

–Nie wiem, co się ze mną dzieję, ale okropnie chce mi się spać.

Jim pomyślał, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę wyczerpanie, a także obecne rozluźnienie, zniknięcie stresu oraz działanie posiłku, a szczególnie alkoholu. Teraz przede wszystkim potrzebował snu.

–Więc pozwolimy ci odpocząć.

Spojrzał na Liseth, która skinęła głową. Brian ułożył się zaś wygodnie na łożu, po czym zamknął oczy i po chwili już spał.

–Pilnujcie go uważnie! – poleciła dziewczyna służącym, kiedy wraz ze Smoczym Rycerzem kierowali się ku wyjściu.

Zamknęli za sobą drzwi i udali w stronę Wielkiej Sieni.

Po raz pierwszy Jim dostrzegł jak smutna i nieszczęśliwa była dziewczyna, kiedy opuścili Briana.

–Czy coś jest nie w porządku, Liseth? – zapytał, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Ta stanęła i nagle przytuliła się do niego, zalewając się jednocześnie łzami.

–Och, Sir Jamesie! – zatkała. – Tak go kocham!

Pod Jimem aż ugięły się nogi. Tego jeszcze tylko brako- wało, by i Liseth zakochała się w Brianie. Ale dziewczyna mówiła dalej: -… A muszę wyjść za Ewena MacDougalla, którego nie cierpię. Wprost go nienawidzę!

Z trudem mówiła poprzez łzy.

Jim, który w ojcowskim geście przytulił ją do piersi, zamarł na te słowa i popatrzył na jej płowe włosy.

–Musisz wyjść za MacDougalla? – zdziwił się. – Ty?

Ale dlaczego?

Uniosła głowę, otarła dłonią łzy i dała krok do tyłu.

–Nie mam wyboru. W przeciwnym wypadku powie szkockiemu królowi, że ojciec i bracia brali wraz z tobą udział w pozbyciu się Pustych Ludzi i pokrzyżowali jego plany inwazji na Anglię. Możemy tylko uwolnić go lub zabić, a lepiej już pozwolić mu powrócić do Szkocji, niż splamić sobie ręce jego krwią.

–Ale dlaczego miałby powiedzieć o wszystkim królowi?

–A co może go powstrzymać? – zapytała zdespe- rowana Liseth. – Musi się wytłumaczyć z utraty fran- cuskiego złota i niepowodzenia w zawarciu umowy z Pu- stymi Ludźmi. W przeciwnym wypadku, król jego obarczy winą za to wszystko. A tak będzie mógł zrzucić ją na nas. Jeśli postąpi w ten sposób, król wyśle całą armię pod zamek de Mer, który zostanie doszczętnie zniszczony, zaś my wszyscy pochwyceni, zanim zdołamy uciec do morza. Zginiemy, jeśli nie w walce, to później w okropnych cierpieniach. Wszystko zaś dlatego, że Ewen MacDougall powie prawdę i na nas zrzuci winę…

chociaż mogę zaręczyć, że stać go na najpokrętniejsze kłamstwa.

–Czy to takie pewne? – zapytał Jim. Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach. Przede wszystkim doszedł do wniosku, że na magicznym koncie dzięki pokonaniu larwy musiało pojawić się sporo energii. – Wy- daje mi się, że znam sposób na zapobieżenie temu!

–Ale jak? – zapytała cofając się jeszcze i przypatrując mu. – Czy chodzi o magię, którą możesz się posłużyć, Sir Jamesie?

–Prawdę mówiąc tak – przyznał Smoczy Ry- cerz. – Ale nie w taki sposób, jak przypuszczasz. Wystar- czy, że przez chwilę pozostanę z nim sam na sam. Chciał- bym, żeby nikt nam nie przeszkadzał i dopilnuj, by żaden ze służących nie widział nas, ani nie słyszał. Muszę poroz- mawiać z Ewenem MacDougallem w cztery oczy.

–Czy zdradzisz mi, co masz na myśli? – zapytała ciekawie. – Chociaż słówko?

–Wolałbym nie robić tego zawczasu, skoro nie wiem, czy moje zamiary przyniosą jakiś skutek – rzekł, biorąc ją za rękę i ruszając dalej korytarzem. – Teraz udajmy się do Wielkiej Sieni. Pozostali powinni zjawić się za kilka godzin.

Mylił się jednak. Carolinus sprowadził ich bowiem wszystkich korzystając z magii. Uśmiechnął się tylko na myśl o reakcji Wydziału Kontroli na takie szafowanie energią przez Maga.

Kiedy oboje dotarli na dół, z dziedzińca dobiegły ich liczne głosy i znalazłszy się tam, napotkali nie tylko Carolinusa, ale także Dafydda i całą rodzinę de Merów, zeskakujących właśnie z koni.

Wraz z nimi był także Ewen MacDougall.

Na jego twarzy gościł lekki, kpiący uśmiech, zaś obok oczekiwał przygotowany już do drogi koń. Widocznie puszczano go wolno. Uśmieszek ten zgasł na widok Caro- linusa, który posłał Szkotowi nieprzyjazne spojrzenie.

W przeciwieństwie do Jima, w starcu już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać Maga.

–James? – warknął Carolinus. – Gdzie jest James?

–Tutaj – zawołał Smoczy Rycerz, wyłaniając się wraz z Liseth z podcienia.

Potężne postacie de Merów zasłaniały go przed wzrokiem Maga. Pospieszył więc, by nauczyciel mógł go zobaczyć.

–Cha, tam gdzie powinieneś być. Dobrze.

Starzec popatrzył po twarzach zgromadzonych.

–Teraz zbierzcie się tu wszyscy – polecił. – Mam coś do powiedzenia Wydziałowi Kontroli…

–Czy to może jeszcze chwileczkę poczekać, Carolinusie?

–przerwał mu Jim. – Muszę bowiem na osobności zamienić kilka słów z tym oto rycerzem…

To mówiąc wskazał na MacDougalla.

–To takie ważne, Jamesie? – zapytał poirytowany starzec. – Ja mam bowiem do powiedzenia coś nie cierpiącego zwłoki.

–To także jest bardzo ważne. Wcześniej jednak chciał- bym pomówić z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

To naprawdę istotna sprawa.

–No cóż, sądzę, że chwila zwłoki nie zaszkodzi – stwierdził wreszcie Carolinus.

Skinął na ucznia i obaj oddalili się od pozostałych na tyle, by nie być przez nich słyszani.

–O co chodzi, chłopcze? – zapytał Mag, zatrzymując się i spoglądając na Jima.

–Ewen MacDougall wyraźnie szantażuje de Merów.

Niestety, ma w ręku silne atuty. A kartą przetargową jest Liseth…

Smoczy Rycerz dokładnie wyjaśnił Carolinusowi, o co chodzi Szkotowi i o wymuszonej zgodzie Herraca na jego warunki.

–… Sądzę, że jestem w stanie odwieść od tego Mac- Dougalla – ciągnął Jim. – Najpierw chciałem jednak poradzić się ciebie. Czy uważasz, że uzyskałem nieco energii na swoim koncie? Przecież zabiłem larwę, a Puści Ludzi przestali być już zagrożeniem, co właściwie gwaran- tuje zaniechanie szkockiej inwazji na Anglię.

–Możesz na to liczyć – zapewnił go Mag, lecz uśmiechnął się złowieszczo. – Ale to może być drobiazg w porównaniu z tym, co może się jeszcze wydarzyć.

–Doprawdy? – zapytał Smoczy Rycerz, lecz tak naprawdę niezbyt przejął się tym groźnie brzmiącym ostrzeżeniem.

Teraz zależało mu jedynie na możliwości skorzystania z magii.

–Więc rzecz tylko w stanowczej rozmowie z Mac- Dougallem – podsumował. – Wracajmy więc do reszty.

•fi Rozdział 35 R.

.uszyli z powrotem, gdy naprzeciw im wyszedł Herrac i odprowadził Jima na stronę.

–Liseth powiedziała mi, że zdradziła ci żądania MacDougalla – przemówił olbrzym, zniżając głos do szeptu. – W normalnych warunkach nie prosilibyśmy o pomoc…, ale czy jesteś w stanie uczynić coś dla nas?

–Oczywiście, że tak… gdy tylko będę miał możliwość rozmowy z nim w cztery oczy, tu.

–Liseth mówiła także i o tym. Mam więc dla was właściwie miejsce. Właśnie kazałem już tam zabrać Mac- Dougalla. Choć ze mną.

Poszli nie przed bramę, jak planował Jim, lecz za występ wieży. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie nikt spośród zgromadzonych na dziedzińcu nie mógł ich widzieć. Mur obronny przylegał tu do ściany wieży, tworząc zaciszny zaułek. Stał tam już MacDougall, wyraźnie niezadowolony z miejsca, w którym się znalazł.

ówcześni ludzie często okazywali niezadowolenie, stara- jąc się w ten sposób ukryć niepewność, strach lub inne podobne uczucia. Jim poczuł się pewniej. Zatrzymał się dwadzieścia stóp od Szkota.

–Sir Herracu, czy teraz mógłbyś nas zostawić sa- mych? – poprosił. – Najważniejsze, by nie przeszkadzano nam i nie próbowano podsłuchiwać lub podglądać nas przez najbliższy kwadrans… może krócej.

–Masz na to moje słowo – zapewnił go de Mer, posyłając jednocześnie nieprzyjazne spojrzenie MacDou- gallowi.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

–Cóż to za sprawa, dla której sprowadziłeś mnie tutaj? – zapytał Szkot, podchodząc bliżej.

–Zaraz się dowiesz – obiecał Jim, zaczynając jedno- cześnie się rozbierać.

–Jeśli zamierzasz zaatakować mnie na modłę takich nagich durniów, jak Lachlan MacGreggor, pamiętaj, że mam przy sobie broń – ostrzegł MacDougall, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

–Ależ nic podobnego.

Jim był już rozebrany. Na wewnętrznej stronie czoła napisał czar, który najbardziej pasował w tej sytuacji.

JA -» SMOK Nagle stwierdził, że patrzy na Szkota ze znacznie większej wysokości niż jeszcze przed momentem.

Zmiana, jaka zaszła na twarzy MacDougalla upewniła go, że rzeczywiście przemienił się w smoka. Rezygnując z dalszej gry, szkocki poseł rzucił miecz, padł na kolana, przeżegnał się i złożywszy ręce jak do modlitwy patrzył na Jima.

–Jeśli chcesz walczyć, czy nie możesz uczynić tego przynajmniej w ludzkiej postaci? – wyjęczał. – I tak nie poddam się, ponieważ nie przystoi to mężczyźnie, szczegól- nie z rodu MacDougallow. Ale zachowujesz się jak tchórz, jeśli nie chcesz zmierzyć się ze mną jak równy z równym.

–Nie będzie żadnej walki.

Jego głęboki, potężny głos odbił się od otaczających ich kamiennych ścian i jeszcze bardziej przestraszył klęczącego przed nim mężczyznę.

Roztrzęsiony MacDougall powstał i podniósł broń.

–Wystarczy słów! – rzekł niepewnie. – Popatrz na co stać mnie przed śmiercią!

–Odłóż miecz – przemówił głębokim głosem Smoczy Rycerz. – Chcę tylko przekazać ci wiadomość, którą powtórzysz królowi Szkocji.

–Wiadomość? – Poseł utkwił w nim niezdecydowane spojrzenie i opuścił miecz.

–Tak. Połuchaj i zapamiętaj, co mówię. Powiesz mu ¦prawdę, że zostałeś okradziony, a wszyscy Puści Ludzie zabici przez Northumbrian – ludzi, których nie widziałeś i nie znasz.

Do tego dodasz specjalną wiadomość ode mnie, Jamesa Eckerta, Barona de Bois de Malencontri, Smoczego Rycerza. Przekaż królowi, że jeśli spróbuje w jakikolwiek sposób zagrozić zamkowi de Mer i jego mieszkańcom, sprowadzę przeciwko niemu wszystkie smoki z całej Anglii oraz Szkocji. Po nim i jego dworze nie zostanie nawet ślad.

Masz powtórzyć to słowo w słowo!

Ewen MacDougall był poprostu przerażony.

–Ależ… jesteś w stanie to uczynić?

To, co powiedział Jim było jednym wielkim kłamstwem.

Nie mógł zmusić do realizacji tej groźby wszystkich smo- ków. Wezwania takiego posłuchałby zapewne tylko jeden spośród nich – błotny smok Secoh, który podziwiał go za bohaterstwo i gotów był dla niego rzucić się do walki z każdym przeciwnikiem.

Rok temu nie udało mu się skłonić do pomocy smoków nawet z najbliższej okolicy. Z ogromnym trudem zdołał namówić francuskie smoki do pojawienia się nad polem bitwy pod Poitiers. Udało mu się wtedy nakłonić je do wykonania pewnego rodzaju pokazu swych lotniczych umiejętności. Wyglądało, jakby naprawdę gotowały się do ataku. Nie zgodziłyby się jednak na to, gdyby jego sytuacja nie była naprawdę bez wyjścia.

Czternastowieczni ludzie wierzyli jednak bez zastrzeżeń we wszystko, co było dla nich niezrozumiałe. A szczególnie, gdy rzecz dotyczyła niezwykłych istot, takich jak na przykład, smoki, które w rzeczywistości były zwykłymi zwierzętami, choć potężnych rozmiarów. W wyobraźni większości ludzi urastały jednak do niezwykle groźnych, bajkowych stworów.

Jim podniósł jeszcze bardziej głos, by nadać mu groźniej- szy ton.

–Niech tylko uczyni najmniejszy ruch w kierunku zamku de Mer, a przekona się na własnej skórze, tak jak przed rokiem król Francji, czym to grozi! A teraz znikaj!

I nie zapomnij przekazać tego, co powiedziałem!

–Nie zapomnę, panie – zapewnił MacDougall. – Nie zawiodę cię! Przysięgam, że dotrze to do królewskich uszu.

–Więc ruszaj! – ryknął Smoczy Rycerz, odsuwając się nieco na bok, by uwięziony w rogu Szkot mógł go wyminąć.

Królewski wysłannik wsunął miecz do pochwy i z wysił- kiem wyprostował skurczoną ze strachu postać. Ostrożnie przeszedł obok Jima, nie odrywając od niego wzroku.

Wreszcie, gdy był już za nim, ruszył biegiem i zniknął za rogiem. Po chwili Smoczy Rycerz usłyszał tętent końskich kopyt na zwodzonym moście.

Przyjął z powrotem ludzką postać, ubrał się i skierował na dziedziniec. Zanim jednak tam dotarł, na spotkanie wyszedł mu Herrac. Pan zamku de Mer odprowadził go na bok i stwierdził szeptem: – Doskonale to rozegrałeś.

–Słyszałeś?

–Dobiegły mnie tylko strzępy rozmowy. Słyszałem grzmiący głos, więc zapewne posłużyłeś się magią, by go zastraszyć. Wypadł stamtąd, jakby palił się na nim płaszcz.

–Właściwie masz rację. Teraz mogę się do tego przyznać.

Jednocześnie był zły na siebie. Powinien pamiętać, jak potężny jest głos smoka, nawet gdy nie wykorzystuje się w pełni jego możliwości. Trudno więc było go nie słyszeć.

Doszedł do wniosku, że w tej sytuacji wypada powiedzieć już wszystko.

–Przemieniłem się w smoka – wyjaśnił cicho. – Jeśli byłbyś tak dobry, zachowaj to dla

siebie. Powiedziałem mu, żeby przekazał szkockiemu królowi, że jeśli zaatakuje zamek de Mer, wystąpią przeciwko niemu wszystkie angiel- skie i szkockie smoki. A kiedy one się zjawią, z jego dworu nie pozostanie nawet kamień na kamieniu.

Ze zdziwieniem zauważył, że twarz Herraca pobladła.

–I jesteś w stanie to zrobić? – zapytał olbrzym drżącym głosem.

–Nie – uspokoił go Jim. – W tym właśnie problem.

Ale jeśli obaj w to uwierzą, jesteś zupełnie bezpieczny. To wszystko, co mogłem dla ciebie zrobić.

–Z pewnością nie dałoby się uczynić nic wię- cej! – zapewnił go Herrac, tym razem już weselszym tonem. – Chodźmy więc do reszty. Nikomu nie powtórzę tego, co mi powiedziałeś. Nawet własnym dzieciom.

Udali się do zgromadzonych na dziedzińcu młodych de Merów, Dafydda oraz MacGreggora. Kiedy podeszli bliżej, Jim ze zdziwieniem zauważył, że Liseth obejmuje Szkota.

Być może Lachlan także już ich opuszczał i w ten sposób żegnała go serdecznie.

–Sądzę, że namówiłem Ewena MacDougalla do opo- wiedzenia królowi, że obrabowano go ze złota… Nie pytajcie jednak, w jaki sposób. Ważne, że sprawa jest już załatwiona.

Powie bowiem, że zrobiła to nieznana mu zgraja ludzi z pogranicza, która później zniszczyła także co do jednego Pustych Ludzi. Teraz więc nie pomogą już Szkotom.

–Och, cudownie! – wykrzyknęła Liseth. Ponownie mocno objęła Lachlana. – Słyszałeś?

–Oczywiście, że tak! – potwierdził. – Więc wszystko dobrze się skończyło dla zamku de Mer i dla nas wszystkich.

Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy ruszać z Liseth do Szkocji już jutro.

–Ależ oczywiście, że jest – zaprotestowała dziewczyna, odsuwając się od niego. – Najpierw chcę tu mieć wspaniałe wesele. A to oznacza co najmniej kilka miesięcy pracy nad uszyciem sukni, przygotowaniem wszystkiego i zaprosze- niem gości…

–Wychodzisz za Lachlana? – zapytał zaskoczony Jim.

–O, tak – przyznała Liseth, ponownie obejmując swego wybranka. – Jak tylko będzie to możliwe, mój drogi.

Te ostatnie słowa skierowała raczej do MacGreggora niż Smoczego Rycerza.

–Ale myślałem… W korytarzu, przed sypialnią Briana, sądziłem, że chodzi o niego…

–Co ma z tym wspólnego Sir Brian? – zapytał Lachlan groźnym tonem, marszcząc czoło.

–No cóż… – zaczął Jim, lecz wyręczyła go Liseth.

–To moja wina, Lachlanie. Mówiłam jak bardzo cię kocham, lecz nie wypowiedziałam twojego imienia. A skoro chwilę wcześniej opuściliśmy śpiącego Sir Briana, Sir James musiał dojść do wniosku, że chodzi mi właśnie o niego.

Przeniosła spojrzenie na Smoczego Rycerza i mówiła dalej: – Nigdy w moim życiu nie było nikogo poza Lach- lanem, od czasu, gdy byłam dziewczynką. Jesteśmy sobie obiecani już od wielu lat. To dlatego zjawił się teraz na naszym zamku… i tak bardzo zależało mu na uchronieniu nas przed niebezpieczeństwem.

–Hmm, rozumiem – stwierdził wreszcie Jim.

Oblicze Szkota przybrało nieco łagodniejszy wyraz, Zwrócił się do Liseth: – Czy jesteś

pewna, że to tylko niedomyślność ze strony Sir Jamesa?

–Oczywiście – przyznał szybko Smoczy Rycerz. – Te- raz wszystko rozumiem. Jakże mogłem być tak nierozsądny?

Teatralnym gestem uderzył się w czoło, podkreślając swój błąd.

–No cóż, w takim razie… – zaczął Lachlan roz- promieniając się już zupełnie – wszystko w porządku.

Po chwili jednak znów spojrzał podejrzliwie na dziew- czynę.

–Tylko bez tego czekania na zaślubiny, Liseth. W Szko- cji tak się nie robi…

–Nie obchodzi mnie, jak to wygląda w twoim dzikim kraju! – oburzyła się wybranka jego serca. – Jesteśmy w Northumbrii, na zamku de Mer, w moim domu i zamie- rzam wyjść za ciebie tak jak ja tego chcę, a przygotowania, niestety, muszą potrwać.

Posłała MacGreggorowi słodkie spojrzenie, które złama- łoby opór każdego rycerza.

–No cóż, czekałem tak długo, że wytrzymam jeszcze tych kilka miesięcy. Niemniej…

–Nieważne! – przerwał mu nagle Carolinus.

Lachlan wlepił w niego pełne zaskoczenia spojrzenie.

–Co to ma znaczyć? – wykrzyknął. – Moje wesele jest nieważne?

–Ciszej! Uspokój się – przemówił Mag i choć usta Szkota nadal poruszały się, nie wychodził z nich żaden dźwięk. – Chodziło mi o to, że starczy już dyskusji na ten temat. Mam tu znacznie poważniejsze sprawy i chciałem, byście byli obecni podczas ich załatwiania. A teraz w ciszy słuchajcie, kiedy będę prowadził rozmowę.

–… Mówić jeszcze raz? – rozległy się nagle słowa MacGreggora, stanowiące zapewne koniec zdania wyciszo- nego magicznie przez Carolinusa.

–Jak sobie życzysz – stwierdził starzec – ale teraz bądź tak dobry i zamilcz. Jesteście tu jako świadkowie, a także eksponaty.

–Co znaczy to ostatnie słowo? – zapytał z zaciekawie- niem Herrac.

–Nieważne. W tej chwili to zupełnie bez znacze- nia – rzucił poirytowany Mag. – Zajmie nam to cały dzień, jeśli wciąż będziecie mi przerywać. Muszę bowiem zamienić kilka słów z kimś, kto stara się już od dłuższego czasu skontaktować ze mną. Wydział Kontroli.

Spojrzał na de Mera. Wokół jego głowy krążyła hałaśliwa mucha, lecz gdy tylko oko Carolinusa spoczęło na niej, odleciała pospiesznie, jakby na wyraźne polecenie.

–Słyszeliście? – rzucił starzec w pustkę. – Wydział Kontroli!

–Magu! – rozległ się potężny, basowy głos, do którego Jim zdążył się już przyzwyczaić. – Staraliśmy się skontak- tować z tobą…

–Wiem – rzekł zniecierpliwiony. – Teraz otrzymacie odpowiedzi na swoje pytania. Poza tym mam jeszcze do was pewną sprawę.

Zgromadzeni nie usłyszeli żadnej odpowiedzi, lecz po chwili Mag pokręcił głową.

–Nie obchodzi mnie czy się to wam podoba czy nie – stwierdził. – I nie zamierzam przed nikim ukrywać swych słów! Zrozumiano?

Przed Carolinusem lekko zawirowało powietrze, lecz wciąż nic nie było słychać.

–Lepiej, żeby tak było – warknął Mag. – Wypowie- działem się już wcześniej na ten temat. Ale mam wrażenie, że moje słowa nie dotarły do was. Jeśli więc chcecie, powrócę do tego tematu! Czy wam się to podoba, czy nie, przemyślcie to. Rozmawiałem już z wami o moim uczniu Jamesie Eckercie? – Znów chwila ciszy. – I miałem rację we wszystkich

pięciu przypadkach – ciągnął Mag. – Ale czy wy zwróciliście na to uwagę? Nie. Wam w głowie tylko przepisy. Czy uważacie, że tak należy załatwiać sprawy? Ja wam mówię, że nie…

Wyraźnie przerwał mu niesłyszalny głos Wydziału Kon- troli.

–Zapomnijmy teraz jednak o waszym braku odpowie- dzialności. Jestem w stanie dowieść, że nie należy po- stępować w ten sposób. Zastanówcie się, jak zazwyczaj człowiek zachowuje się w podobnej sytuacji. Czy najpierw zagląda do księgi z zapisanymi w niej zasadami? Prawie nigdy! Nie, zazwyczaj dostosowuje się reguły do okoliczno- ści… i to działa. W rezultacie te zmienione zasady wchodzą w życie!

Ponownie cisza.

–Wypraszam sobie taki ton! – warknął sta- rzec. – Zdaje mi się, że zapomnieliście o czymś. Czy to wy stworzyliście magię, którą nadzorujecie? Nie. Powstała dzięki magom – ludziom takim jak ja i obecny tu mój uczeń. Waszym jedynym zajęciem jest utrzymywanie kont we właściwym porządku i udzielanie pomocy magom.

Macie też odpowiadać na wszystkie ich pytania, na które znacie odpowiedź. Krótko mówiąc, wy pracujecie dla nas, a nie my dla was. A teraz wróćmy do sprawy Jamesa Eckerta.

Zapanował moment milczenia, lecz zbyt krótki, by Wydział Kontroli zdołał cokolwiek powiedzieć.

–Rzecz w tym, że ma klasę D – zaatakował Caro- linus. – A przecież pokonał olbrzyma, pozbył się stworów z Twierdzy Loathly, zdołał zapobiec bitwie pod Poitiers, a dzisiaj nie dopuścił do inwazji Szkotów! Ale pomimo tego wszystkiego, wciąż ma klasę D.

Głos Wydziału Kontroli zapewne chciał coś odpowie- dzieć, lecz starzec nie dał mu dojść do słowa.

–Nie obchodzi mnie, jakie są przepisy! – war- knął. – Miały być przecież tylko wskazówkami, mającymi was ukierunkowywać. Wiecie dobrze, że to nie są żelazne zasady. Powtórzę wam tyle razy ile będzie to jeszcze konieczne, że James Eckert nie jest już zwykłym uczniem.

Zwrócił bowiem na siebie uwagę Ciemnych Mocy. W związ- ku z tym wciąż musi z nimi walczyć… i będzie się tak działo dalej. Dobrze o tym wiecie. Ciągle jednak, pomimo tych wspaniałych zwycięstw, nie zamierzacie nic zmienić i oce- niacie go jedynie jako marnego maga klasy D!

Znów zapanowała cisza, tym razem nieco dłuższa.

–Tak, tak – rzucił poirytowany Mag. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że jego magiczna wiedza nie wykracza poza klasę D, oceniając według waszych zasad. Nie mają one jednak zastosowania w tak wyjątkowych przypadkach.

Zwyciężał przecież w starciach z Ciemnymi Mocami, a tylko w jednym przypadku, dzięki pomocy magii pożyczonej ode mnie, zanim nie zablokowaliście tej możliwości, przy pomocy wiedzy, pochodzącej dobrze wiecie skąd. W ten sposób traktujecie go wyjątkowo niesprawiedliwie. Słyszy- cie? Powinien mieć swobodę korzystania z dowolnych zasobów magii, by nie mieć tak związanych rąk!

Carolinus uważnie słuchał argumentów rozmówcy.

–Nie, nie i jeszcze raz nie! – wykrzyknął. – Jak zwykle patrzycie na sprawy z zupełnie

innego punktu widzenia. Przecież dostarczył wam surowej materii, z której powstaje magia. Innymi słowy, stworzył nową magię… co nie zostało przez was w żaden sposób docenione. Ile razy trzeba powtarzać, że magia to sztuka, a praktykujący ją są twórcami. Wy zaś nie tworzycie niczego. Jeśli nie jesteście do tego zdolni, doceńcie przynajmniej innych. Nie proszę was już teraz, lecz rozkazuję, by James Eckert zyskał natychmiast co najmniej pełną klasę C i otrzymał nie- ograniczone konto oraz możliwość pożyczania energii ode mnie!

Tym razem zapanowała krótka chwila ciszy.

–Doprawdy?! – wybuchnął wściekłością Caro- linus. – Powiem wam więc, co zamierzam zrobić. Skontak- tuję się z pozostałymi dwoma magami klasy AAA+ – pozostałymi podporami królestwa magii tego świata – i przekonamy się, czy zdołam ich nakłonić do pójścia w moje ślady. Bez względu na rezultat, wycofam się i swoje konto spod waszego nadzoru. Mam takie prawo! Nie mówcie mi, że nie! Wycofam i przekonacie się, że nie jesteście wcale tacy mocni. A kiedy to uczynię, będę pożyczać swemu uczniowi tyle energii, ile zechcę, nie patrząc na żadne zasady. Czy to zrozumiałe?

I tym razem odpowiedź nie została dokończona.

–Z pewnością jestem w stanie to zrobić i nie zawaham się. Mogę uczynić to nawet teraz – rzucił pewnie. – Słu- chajcie, wszyscy magowie! Ja, Salvanus Carolinus, teraz i tu wycofuję swoją magię…

Urwał nagle.

Tym razem dłuższą chwilę stał słuchając.

–No, teraz już lepiej. Magowie, zapomnijcie to, co przed chwilą ogłosiłem! – Zwrócił się ponownie do Wydziału Kontroli. – Nigdy nie wątpiłem, że prędzej czy później zmądrzejecie. Uważam więc, że od tej chwili jest magiem klasy C?

Krótka cisza.

–W porządku. I ma dostęp do nieograniczonych zasobów magii, gdy staje do walki z Ciemnymi Mocami?

Kolejny moment milczenia.

–Wspaniale. A więc wszystko ustalone. Nie wspominaj- cie więc o całej tej sprawie, a i ja o niej zapomnę.

–Wierzę wam – przyznał po chwili. – No cóż, wracam do domu. Mam tysiące spraw do załatwienia.

Wypowiedziawszy te słowa zniknął.

Rozdział 36 N, iech Ciemne Moce poznają to męstwo I miecz, co nie zawodzi Sir Brian urwał na moment, zastanawiając się nad daszym ciągiem.

Na niecne siły czyha niebezpieczeństwo Zaśpiewał zadowolony z siebie…

Gdy Neville-Smythe nadchodzi!

Tak wyśpiewywał mistrz kopii, gdy wraz z Jimem i Dafyddem jechał w kierunku domu, opuściwszy zamek de Mer.

–Jesteś w dobrym humorze, Brianie – zauważył Smoczy Rycerz ze śmiechem.

Jechał, jak zwykle, w środku. Rycerz znajdował się po jego lewej stronie, zaś łucznik po prawej.

–A czemuż by nie, Jamesie? – zapytał Brian pogo- dnie. – Mamy wspaniały wiosenny poranek i nareszcie wracamy do domu. Giles przyrzekł odwiedzić nas podczas Świąt

Bożego Narodzenia. Obiecałem, że nie tylko nauczę go jak walczyć w turniejach, umożliwiając podpatrywanie innych rycerzy, ale także sam stanę naprzeciw niego.

Bardzo chce podnieść swe umiejętności w tej dziedzinie.

Nie zaszkodziłoby, gdybyś dołączył do nas, Jamesie, – Hm… nie, dziękuję – odparł Jim. – Mam nowe obowiązki związane z magią, sam rozumiesz.

–No cóż, szczerze mówiąc nie.

Smoczy Rycerz uznał, że była to całkiem rozsądna odpowiedź, ponieważ wymówka ta zupełnie nie pasowała do okoliczności.

Mógł sobie jednak wyobrazić reakcję Angie, gdyby zakomunikował jej, że zamierza wziąć udział w turnieju.

Według niej, należało walczyć tylko w ostateczności. Ale ryzykować życie tylko dla sportu czy aplauzu widowni…

–… Teraz nie myślmy jednak o tym. Wiem, że jeśli pozbawisz nas swego towarzystwa, to będą po temu ważne powody – rzekł mistrz kopii, odzyskując pogodny na- strój. – Najważniejsze, że wracamy do domu. Już nie mogę doczekać się spotkania z Geronde. Ty z całą pewnoś- cią marzysz o spotkaniu z Lady Angelą, a Dafydd ze swą ukochaną Danielle.

Jim utkwił w nim pełne zdziwienia spojrzenie.

–Nie możesz się doczekać spotkania z Lady de Chaney?

–Ależ oczywiście! Czyż nie kochamy się i nie jesteśmy sobie przyobiecani? Pobierzemy się jak tylko z krucjaty do Ziemi Świętej powróci jej ojciec, ten staruch, lecz nie wolno mi przecież mówić nic złego o przyszłym teściu, a także, podobno szlachetnym rycerzu.

–Ale… – zaczął Jim, starając się dobrać właściwe słowa – sądziłem, że poświęciłeś swe serce i miłość…

–…Słodkiej Lady Liseth de Mer? – dokończył drwią- cym tonem Brian. – To było tylko krótkie zauroczenie, Jamesie. Gdy dowiedziałem się, iż kocha tego szalonego Szkota Lachlana, przejrzałem na oczy i stwierdziłem, że nie zasługuje na moje uczucia.

–Lecz wydawało mi się, że lubisz Lachlana… Przecież z taką ochotą popijałeś z nim wieczorami wino.

–Odpowiadał mi jako kompan do picia i walki – przy- znał Brian. – Jest dobrym wojownikiem. Ale stanąć przed wrogiem nago… Jakże można mieć go za gentlemana?

–Ależ Brianie – zaprotestował Jim, stając w obronie MacGerggora. – Przecież chodzi tu o obyczaje panujące w jego stronach. W taki właśnie sposób zwykli walczyć Szkoci z wyżyn.

–Być może, ale ja tego nie popieram.

–Lecz gdybyś znalazł się w potrzebie, czy miałoby to znaczenie, że walczy i pomaga ci nago? Nie możesz mu nic zarzucić poza tym jednym niezwykłym postępkiem.

–Tak, to prawda – zgodził się mistrz kopii. – Wi- dzę jednak, że zapominasz o pewnym fakcie, który dys- kwalifikuje go definitywnie. Nie jest przecież Anglikiem.

Wypowiedział te słowa z jak najpoważniejszą miną.

Jimowi zabrakło wprost słów. Był to jeden z argumentów, których nie dawało się w żaden sposób podważyć. Każdy z tych ludzi we własnym mniemaniu znajdował się na samym szczycie drabiny społecznej. Uważali siebie za najwspanialszych, a co za tym idzie,

kraj rodzinny za najlepsze miejsce na ziemi. Mógł usiłować zmienić zdanie Briana na ten temat, podobnie jak Snorrla, przekonując, że każdy inny wilk w niczym mu nie ustępuje. Bez wątpienia także Lachlan uznałby, że największą wadą Briana jest to, iż nie jest Szkotem.

–… Musisz się z tym pogodzić – tłumaczył przyjacie- lowi mistrz kopii.

Jim weschnął.

–Tak, Brianie, masz rację. Nie jest Anglikiem.

–A widzisz! – uradował się rycerz. – Na wszystko istnieje prosta odpowiedź, jeśli chcesz zaaprobować prawdę.

Ja zawsze tak postępuję i dzięki temu większość decyzji przychodzi mi z ogromną łatwością. Czy ty także doszedłeś do podobnego wniosku, Dafyddzie?

–Tak. Robię dokładnie tak samo – przyznał łucznik.

–Widzisz, Jamesie? – Wyciągnął rękę i na moment położył ją na dłoni przyjaciela, trzymającej cugle Gru- chota. – Życie staje się o wiele prostsze, gdy zwracasz uwagę tylko na tę niewielką przecież liczbę poważnych spraw, bagatelizując wszystko inne.

Jim rozmyślał już jednak nad zupełnie innym problemem.

–Hmmm – mruknął w zadumie. – Zapewne masz rację. Powiedz mi, Brianie, czy znasz jakieś miejsce w po- bliżu mego zamku, gdzie mógłbym nazbierać wiosennych kwiatów? Chciałbym dać Angie bukiet, gdy się spotkamy, zanim zdąży powiedzieć choć słowo.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-10-29
LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/